

ANDREA Camilleri



Miesiąc z komisarzem Montalbano



NOIR SUR BLANC

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

List anonimowy

Sztuka wróżenia

Skrót

Łeb w łeb

Miłość

Olbrzymka zawsze uprzejmie uśmiechnięta

Dzienniczek z 1943 roku

Diabelski fetor

Towarzysz podróży

Pułapka na koty

Cuda w Trieście

Ikar

Ostrzeżenie

Being here...

Pakt

Opowiedział o tym Aulus Gellius

Stary złodziej

Jasnowidząca

Policjanci i złodzieje

Ręka artysty

Człowiek, który chodził na pogrzeby

Delikatna sprawa

„Jak”

Dwóch filozofów i pojęcie czasu
Pięćdziesiąt par podkutych butów
Zabita mysz
Rajski zakątek
Powitanie Nowego Roku
Napastnik
Obosieczna poszlaka
Od autora
Nakładem wydawnictwa Noir sur Blanc

ANDREA CAMILLERI

MIESIĄC Z KOMISARZEM
MONTALBANO

Przełożył
Stanisław Kasprzysiak

NOIR SUR BLANC

Tytuł oryginału: UN MESE CON MONTALBANO

Opracowanie redakcyjne: MIROSŁAW GRABOWSKI

Korekta: EWA SOBKOW, MACIEJ KORBASIŃSKI, ELŻBIETA JAROSZUK

Fotografia na okładce: TOMASZ LEC

Opracowanie graficzne serii: OLGIERD CHMIELEWSKI

Copyright © 1998 Arnoldo Mondadori Editore S.p.A.

For the Polish edition

Copyright © 2005, Noir sur Blanc, Warszawa

ISBN 978-83-65613-00-4

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.

ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa

e-mail: nsb@wl.net.pl

księgarnia internetowa: www.noirsurblanc.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)

List anonimowy

Annibale Verruso wykrył, że jego żona zadaje się z innymi, więc jej grozi, że zapłaci mu za to życiem. Jak coś się stanie, zwałę to na was!

Ten list anonimowy, napisany czarnym długopisem, dużymi literami, został wysłany z Montelusy pod adresem komisariatu policji w Vigacie. Inspektor Fazio, którego zadaniem było rozdzielanie przychodzącej poczty, przeczytał anonim i od razu podsunął go swemu przełożonemu, komisarzowi Salvo Montalbano. A ponieważ tego dnia od samego rana wiał *libeccio*, komisarz był w podłym nastroju, zły na siebie i cały boży świat.

– Kto to taki ten pieprzony Verruso?

– Nie wiem, nie znam go, panie komisarzu.

– To się dowiedz. A potem mi powiesz.

Dwie godziny później Fazio stawiał się przed komisarzem i w odpowiedzi na jego pytające spojrzenie wyrecytował, co wiedział.

– Verruso Annibale, syn Carla i Filomeny z domu Castelli, urodzony trzeciego czerwca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku w Montaperto, zatrudniony w spółdzielni rolniczej w Montelusie, ale zamieszkały w Vigacie przy ulicy Alcide De Gasperi numer dwadzieścia dwa...

Gruba książka telefoniczna Palermo i prowincji, przypadkiem leżąca na biurku komisarza, zerwała się do lotu, przefrunęła przez cały pokój i trafiła w przeciwległą ścianę, zrzucając ozdobny kalendarz, którym uprzejmie obdarowała komisariat cukiernia „Pantano & Torregrossa”. Fazio cierpiał na dziwną manię, która komisarz nazywał kultem urzędu stanu cywilnego

i którą ciężko znosił nawet przy najlepszej pogodzie, a cóż dopiero takiego dnia, kiedy od rana wieje ciepły wiatr z Libii.

– Nie musi się pan na mnie złościć – powiedział Fazio, podnosząc książkę z posadzki. – Od tej chwili będę tylko odpowiadał, proszę pytać.

– Co to za typ?

– Niekarany.

Montalbano znowu sięgnął ostrzegawczo po książkę.

– Fazio, powtarzałem ci setki razy: niekarany to nic nie znaczy, nic a nic.

Pytam raz jeszcze: co to za typ?

– Podobno spokojny. Mało mówi, mało z kim trzyma.

– Gra? Pije? Lata za kobietami?

– Nic takiego.

– Od dawna żonaty?

– Od pięciu lat. Wziął sobie tutejszą, Serenę Peritore. Jest od niego o pięć lat młodsza. Piękna kobieta, jak mówią.

– Zdradza go?

– Kto wie...

– Tak czy nie? Przyprawia mu rogi?

– Może mu przyprawia. Ale robi to tak, że nikt się tego nie domyśla. Jedni mówią, że na pewno go zdradza, drudzy, że na pewno nie.

– Mają dzieci?

– Nie mają. Chyba ona nie chce mieć dzieci.

Komisarz popatrzył na Fazio z podziwem.

– Gdzieś ty zdobył tyle plotek?

– U fryzjera – odpowiedział inspektor, przeciągając dłonią po świeżo ostrzyżonym karku.

Więc zakład fryzjerski w Vigacie był czymś takim jak salon towarzyski w dawnych czasach.

– Co z tym robimy? – spytał Fazio.

– Poczekamy, aż ją wykończy. A potem się zobaczy – zmroził go Montalbano. Mówił, jakby wcale nie żartował.

Potraktował Fazio opryskliwie, mimo to anonim go zaintrygował.

Co prawda, odkąd objął posterunek w Vigacie, nie doszło tu ani razu do zabójstwa zwanego honorowym, ale coś mu mówiło, że ta sprawa z listem nie jest czysta. Powiedział Faziowi, żeby Verruso zabijał sobie żonę jak chce i kiedy chce, jednak źle się wyraził, Verruso wcale nie zamierzał zabijać żony. W liście było napisane, że żona „zapłaci mu życiem” co przypuszczalnie znaczy, że chciał sobie wynająć kogoś, kto by oczyścił jego splamiony honor. A czy kiedykolwiek tak się dzieje? Po pierwsze, mąż, do którego dochodzą pogłoski o zdradzie żony, sam się bierze do roboty. Wypatruje, sprawdza, zaczają się, strzela, a wszystko to robi osobiście. Nie strzela, dopóki się nie upewni, a tym bardziej nie wynajmuje sobie do pomocy kogoś obcego, chcąc czym prędzej pozbyć się kłopotu. Kim taki obcy miałby w tym przypadku być? Nikt z przyjaciół nie podjąłby się czegoś takiego. Miałby sobie Verruso poszukać mordercy? W Vigacie? Wolne żarty. Naturalnie nie brak tu płatnych morderców, ale tacy nie ryzykują prac zleconych, bo mają stałe posady i skrupulatnie płacone pensje. A po drugie, kto napisał ten list? Pani Serena, żeby zapewnić sobie pomoc policji? Gdyby podejrzewała, że mąż prędzej czy później zechce ją sprzątnąć, nie traciłaby czasu na anonimowe listy. Liczyłaby na pomoc ojca, matki, proboszcza, biskupa, kardynała albo ukartowałaby ucieczkę z kochankiem i nikt by ich tu więcej nie oglądał.

Jakkolwiek by do sprawy podchodzić, nie wyglądała jasno.

Komisarzowi coś zaświtało w głowie. A nuż ten żaloszny mąż poznał

w spółdzielni klienta bez skrępowań, który w pierwszym odruchu podjął się zleconego zadania, lecz potem uderzył się w pierś i zamiast zabić, napisał ten anonimowy list, żeby wyłgać się od obietnicy.

Nie zwlekając, Montalbano zatelefonował do spółdzielni rolniczej w Montelusie. Uciekł się do swojej starej sztuczki, już wiele razy wypróbowanej w urzędach publicznych.

– Halo? Kto mówi? – spytał głos w Montelusie.

– Proszę mnie połączyć z dyrektorem.

– Ale kto mówi?

– Boże święty! – krzyknął komisarz, aż ogłuszyło go echo odbite od słuchawki. – Co to jest, że nigdy nie rozpoznajecie mnie po głosie? Mówi prezes. Zrozumiał pan?

– Tak, panie prezesie – odpowiedział wystraszony urzędnik.

Minęło pięć sekund.

– Do usług, panie prezesie – odezwał się dyrektor unizonym tonem, oczywiście nie ośmielając się spytać, z jakim prezesem ma do czynienia.

– Jestem oburzony, dyrektorze! Dziwi mnie wasze nieodpowiedzialne zaniedbanie! – oświadczył Montalbano, strzelając na oślep, a mimo to mając pewność, że nie chybił. Przecież w każdym urzędzie zalegają jakieś niezakończony na czas sprawy, czemu więc nie miałyby być takich „niedokończonych” spraw tutaj?

– Panie prezesie, wybaczy pan, ale chyba nie zrozumiałem...

– Nie zrozumiał pan? A kartoteki osobowe? Nie mógł się pan domyślić?

Montalbano wyobraził sobie osłupiałą twarz dyrektora i jego złane potem czoło.

– Czekam na te kartoteki ponad miesiąc! – oświadczył „prezes” i bezlitośnie ciągnął dalej: – Chcę o was wiedzieć wszystko! O każdym

z was! Lata służby, stopień, funkcja, rozliczenia podatkowe – wszystko! Nie może się powtórzyć sprawa Sciarretty, mowy nie ma!

– Mowy nie ma – potwierdził stanowczo dyrektor, który na pewno nie mógł wiedzieć, kim jest Sciarretta. Nie wiedział tego także komisarz, który bez namysłu wymienił pierwsze z brzegu nazwisko.

– A co pan powie o Annibale Terruso?

– Verruso, panie prezesie, Verruso przez „V”.

– Nieważne przez co. Wie pan, o kogo chodzi. Są na niego skargi, tyle mam panu do powiedzenia. Ponadto lubi chodzić na...

– Oszczerstwa! Przykre pomówienia! – przerwał mu z niespodziewaną odwagą dyrektor. – Annibale Verruso jest wzorowym pracownikiem! Żeby wszyscy byli tacy jak on! Zajmuje się wewnętrzną księgowością, nie ma styczności z takim środowiskiem...

– Zostawmy to – zarządził władczo prezes. – Czekam na kartoteki. Ma pan na to dwadzieścia cztery godziny.

Montalbano odłożył słuchawkę. Skoro dyrektor spółdzielni broni jak lew swojego pracownika, to pewnie Annibale Verruso istotnie nie jest z tych, co sobie lekką ręką wynajmują płatnego mordercę.

Wezwał Fazia.

– Posłuchaj, Fazio. Idę na obiad. Do komisariatu wrócę koło czwartej. Masz mi do tego czasu dowiedzieć się wszystkiego o rodzinie Verruso. Od pradziadka poczynając aż po siódme przyszłe pokolenie.

– Gdzież ja się tego dowiem?

– U drugiego fryzjera.

Korzenie drzewa genealogicznego rodziny Verruso tkwiły w ziemi solidnie użyźnionej szacunkiem oraz licznymi cnotami, prywatnymi

i publicznymi: wuj księgowego, Annibale, był pułkownikiem karabinierów, inny wuj, także pułkownik, dowodził policją finansową, a niemal o świętość otarł się brat pradziadka, benedyktyn, którego proces beatyfikacyjny już się toczył. Trudno by było doszukać się skrytobójcy w listowiu tego drzewa.

– Ktoś z was zna niejakiego Annibale Verruso? – spytał komisarz swoich agentów, zgromadziwszy ich u siebie w gabinecie.

– Tego ze spółdzielni w Montelusie? – upewnił się Germana, jakby niejedynemu Verruso mógł mieć na imię Annibale.

– Tak, tego.

– Trochę go znam.

– I co powiesz? Jak wygląda?

– Panie komisarzu, nic prostszego, żeby pan sam zobaczył. Jutro niedziela, w południe pójdzie do kościoła, z żoną pod rękę.

– Idą – powiedział Germana za pięć dwunasta, kiedy dzwony kończyły bić na mszę.

Zgodnie z metryką Annibale Verruso powinien mieć trzydzieści sześć lat, ale sprawiał wrażenie zadbanego pięćdziesięciolatka. Był niewysoki, miał wyraźny brzusek, łysinę, która oszczędziła tylko najniższe partie włosów, małe ręce i małe nogi, okulary w złotej oprawie i ogólny wygląd człowieka przygnębionego.

„Chyba jest kropka w kropkę jak brat pradziadka, ten przyszły błogosławiony benedyktyn” – pomyślał Montalbano. Przede wszystkim jednak zawiewało od Annibale Verruso pocziwą głupotą. „Wystrzegaj się jak ognia cierpliwych rogaczy” – mówi mądrość ludowa. Kiedy cierpliwy rogacz traci cierpliwość, staje się prawdziwie niebezpieczny, jest gotów na wszystko. Może to ten przypadek? Niemożliwe! Bo kiedy taki traci

cierpliwość, dzieje się to nagle, nie obmyśla sobie wcześniej, czy ma już cierpliwość stracić, czy jeszcze nie. Z treści anonimu wynikałoby natomiast, że jednak obmyśla.

Co do żony Verrusa, pani Sereny z domu Peritore, Montalbano nie miał żadnych wątpliwości, co to za typ. Przyprawiała mężowi rogi, zadawała się z innymi, kiedy tylko przychodziła jej na to ochota. To było w niej: w sposobie kręcenia tyłkiem, w geście, którym poprawiała długie czarne włosy, a zwłaszcza w tym nagłym spojrzeniu, jakim obrzuciła komisarza, kiedy zorientowała się, że ją obserwuje, w tych zielonych oczach, które mierzyły w mężczyznę jak lufy dubeltówki.

„Młoda, ognista, śliczna i zdradziecka” – jak mówią słowa piosenki.

– Podobno ta pani robi mu to, co lubi robić – odezwał się komisarz.

– Jedni mówią, że robi, inni, że nie – odpowiedział ostrożnie Germana.

– A ci, co mówią, że robi, przynajmniej wiedza, z kim się puszcza?

– Z mierniczym Agro. Ale...

– Żadne tam ale. Kończ.

– Widzi pan, komisarzu, tu nie chodzi o zwyczajną zdradę. Serena Peritore i Giacomino Agro zakochali się w sobie, kiedy byli dziećmi...

– ...i bawili się w doktora.

Germana poczuł się ta kpiną dotknięty. Pewnie perypetie miłosne Sereny i Giacomina były dla niego tak wspaniałe jak historie z seriali telewizyjnych.

– Ale rodzina wymogła na niej, żeby wyszła za Verrusa, bo to była dobra partia.

– Tyle że po ślubie Giacomino i Serena dalej się spotykali.

– Chyba tak.

– I chociaż bawili się w to samo, robili to już po dorosłemu – zjadliwie

podsumował tę pasjonującą opowieść Montalbano.

Germana nic już na to nie odrzekł.

Następnego dnia Montalbano zbudził się wcześniej, bo nie dawała mu spokoju pewna myśl. Znalazł na nią odpowiedź dzięki komputerowi w Montelusie już w pół godziny po przyjeździe do komisariatu.

Pięć dni przed nadejściem listu anonimowego Annibale Verruso zakupił pistolet, berettę 7,65, i pudełko naboji. A ponieważ nie miał pozwolenia na noszenie broni, zobowiązał się w zgłoszeniu, że będzie trzymał pistolet w swoim letnim domu, który stał na odludziu, w miejscowości Monterussello.

Człowiek myślący logicznie pewnie by uznał, że Annibale Verruso, nie umiając wynająć zabójcy, postanowił osobiście zadbać o oczyszczenie swego honoru, splamionego przez „śliczną i zdradziecką”.

Salvo Montalbano nie kierował się jednak logiką, która często na nic się nie przydaje, kręcąc się tylko w kółko jak kundel za własnym ogonem. Wobec tego poprosił Fazio, żeby zatelefonował do spółdzielni rolniczej w Montelusie i oznajmił panu Annibale Verruso, że kiedy tylko upora się z ranną porcją rachunków, ma przyjechać w przerwie obiadowej do komisariatu w Vigacie.

– Co się stało? W jakiej sprawie? – spytał zaniepokojony Verruso.

Fazio, pouczony wcześniej przez komisarza, wymyślił byle jaki pretekst.

– Musimy ustalić, czy pan nie jest tamtym Verruso. Rozumie pan?

– Prawdę mówiąc, nie rozumiem...

– Bo może jest pan tamtym. Albo przeciwnie, wcale pan tamtym nie jest. Rozumie pan?

I na tym przerwał rozmowę, zdając sobie doskonale sprawę, w jaką

rozterkę, godną bohaterów Pirandella, wpędził biednego księgowego spółdzielni.

– Panie komisarzu, miałem telefon, że muszę się u was stawić, przyjechałem więc najszybciej, jak mogłem – powiedział zdyszany Verruso, kiedy już usiadł po drugiej stronie biurka naprzeciw komisarza. – Ale nie mam pojęcia, o co chodzi.

Chwila była trudna, Montalbano musiał jakoś tę partię rozegrać i rzucić karty na stół. Przez moment zwlekał, potem zaczął blefować.

– Dobrze pan wie, że każdy obywatel ma obowiązek zgłosić na policji przestępstwo, o którym się dowiedział.

– Z pewnością. Tak mi się zdaje.

– Tak nie ma się panu zdawać, tak ma być. Dlaczego wobec tego nie zgłosił pan kradzieży w swoim letnim domu w Monterussello?

Annibale Verruso poczerwieniał i zaczął kręcić się na krześle, jakby siedział na szpilkach. A tymczasem w głowie komisarza Montalbano rozdzwoniły się dzwony głoszące jego chwałę. Blef się udał, miał na to potwierdzenie.

– Ponieważ straty były niewielkie, moja żona uznała, że...

– Pańska żona nie miała nic uznawać, tylko zgłosić szkodę. Proszę mi opowiedzieć, co się stało. Musimy rozpocząć dochodzenie. W tamtej okolicy były też inne włamania.

Od oschłego tonu komisarza panu Verruso całkiem wyschło w gardle, tak że najpierw musiał się uporać z atakiem kaszlu, a potem opowiedział, jak było.

– Dwa tygodnie temu, w sobotę, pojechaliśmy z żoną do naszego domu w Monterussello. Chcieliśmy się tam zatrzymać do niedzieli wieczór. Ledwo wyszliśmy z auta, zauważyliśmy, że drzwi wejściowe do domu zostały

wyłamane. Złodzieje wynieśli telewizor, chociaż był stary, czarno-biały, i piękne przenośne radio, całkiem nowe. Naprawiłem drzwi, jak umiałem, ale Serena, moja żona, bardzo się zdenerwowała i wolała wrócić do Vigaty. Oświadczyła nawet, że jej noga już w tamtym domu nie postanie, dopóki nie wymyślę czegoś, żebyśmy się tam czuli bezpiecznie. I kazała mi kupić pistolet.

Montalbano zmarszczył czoło.

– Zgłosił pan posiadanie broni? – spytał surowo.

– Naturalnie, zaraz zgłosiłem – powiedział Verruso z uśmiechem, jak przystało na porządnego obywatela. I nawet pozwolił sobie na żart. – A co najzabawniejsze, mam pistolet, a wcale nie wiem, jak się z nim obchodzić.

– Dziękuję panu. Jest pan wolny.

Verruso umknął jak zając, którego nie dosięgnął pierwszy strzał.

Rano, o wpół do ósmej, Annibale Verruso wyszedł z bramy domu przy ulicy De Gasperi 22, skierował się szybko do swego samochodu, wsiadł i zapewne pojechał prosto do spółdzielni rolniczej w Montelusie.

A komisarz Montalbano wysiadł ze swego samochodu, podszedł do bramy i popatrzył na nazwiska przy przyciskach domofonu. „15 – Verruso”. Wyliczył, że mieszkanie powinno się znajdować na trzecim piętrze. Brama była niedomknięta, wystarczyło mocniej pchnąć, żeby się otworzyła; wszedł i wsiadł do windy. Wszystko się zgadzało, państwo Verruso rzeczywiście mieszkali na trzecim piętrze. Zadzwoił.

– Ciekawa jestem, czegoś dzisiaj zapomniał – odezwała się zza drzwi zaczepnym tonem kobieta.

I drzwi się otworzyły. Zobaczywszy nieznanego, pani Serena podniosła rękę do piersi i zasłoniła się trochę staranniej szlafrokiem. Chciała zamknąć

komisarzowi drzwi prosto przed nosem, ale on zdążył już wsunąć nogę do środka.

– Kim pan jest? Czego pan chce?

Nie była zaniepokojona, a tym bardziej przestraszona. Wyglądała wspaniale: zielone oczy mierzyły w mężczyznę jak z obrzynka, a cała postać miała w sobie aż za dużo kobiecej potęgi i pachniała łóżkiem, tak że komisarzowi zakręciło się lekko w głowie.

– Nie chciałem przeszkadzać, proszę pani.

– Nic mi pan nie przeszkadza, tylko nie lubię, jak mi ktoś o tej porze zawraca dupę.

Może pani Verruso wcale nie była taką panią, jak by się zdawało.

– Nazywam się Montalbano. Jestem komisarzem.

Nie zdziwiło jej to, była tylko poirytowana, skrzywiła się.

– Ważna sprawa, nie? Znowu zmarnuje pan trochę czasu na wypytywanie. Co ukradli, a co zostawili?

– Tak, o to mi chodzi, proszę pani.

– Już wczoraj wieczór mąż mi tym suszył głowę. Tak się pana wystraszył, że mało brakowało, a miałyby pełne portki.

Pani Serena wciąż wyrażała się subtelnie.

– Mogę wejść?

Przesunęła się na bok i nie kryjąc niechęci, zaprowadziła komisarza do straszliwie empirowego saloniku. Wskazała wygodny fotel ociekający złoceniami. Sama usiadła naprzeciw, na drugim takim samym.

Nagle uśmiechnęła się. W lśniących źrenicach zamigotało mocne światło, przy którym białka oczu nabrały fiołkowego tonu. Zęby połyskiwały jak błyskawice.

– Byłam dla pana niegrzeczna i niepotrzebnie wulgarna. Chyba mi pan wybaczy. – Najwyraźniej już obrała sobie stosowną strategię.

Na stoliku między nimi leżała papierośnica i masywna srebrna zapalniczka. Pani Serena pochyliła się, sięgnęła po papierośnicę, podsunęła ją komisarzowi. Gest był dobrze wystudiowany, szlafrok rozchylił się u góry, drobne piersi ukazały się w całej okazałości, jak je Pan Bóg stworzył. Montalbano pomyślał, że dałoby się pewnie nimi rozgniatać orzechy.

– Dlaczego pan mnie niepokoi? Czego pan ode mnie chce? – spytała niemal szeptem, patrząc komisarzowi prosto w oczy i wciąż podsuwając mu papierośnicę. Jasne stało się dla niego także to, co nie mieściło się w słowach: czego ode mnie zechcesz, dostaniesz.

Potrząsnął głową na znak odmowy. Odmówił też papierosa. Zamknęła więc papierośnicę, odłożyła ją na stół, ale nie przestawała wpatrywać się w komisarza, a szlafrok wciąż pozostawał rozchylony.

– Kto panu powiedział, że nas w Monterussello okradli?

Śmiało dotknęła najsłabszego punktu blefu, jakim Montalbano posłużył się wobec jej męża.

– Trafiałem na oślep – nie krył komisarz. – A mąż dał się nabrać.

– Aha! – powiedziała pani Serena, prostując się.

Piersiątki przepadły za zasłoną jak piłeczki na pokazie iluzjonisty. Przez chwilę, ale tylko przez chwilę, komisarz nie mógł odżałować, że już ich nie ogląda. Może jednak byłoby lepiej, gdyby stąd czym prędzej wyszedł.

– Mam pani od razu powiedzieć, jak wpadłem na to, że postanowiła pani pozbyć się męża? Czy nie warto strzepić sobie języka?

– Niech pan sobie nie strzepi.

– Miało to być udane przedstawienie, prawda?

– Mogło się udać.

– Proszę mnie poprawiać, jeśli będę się mylił. Pewnego razu, kiedy zatrzymujecie się na noc w Monterussello, budzi pani męża i wmawia mu, że usłyszała pod oknem jakieś podejrzone hałasy. Ma wziąć pistolet i zejść na dół sprawdzić. Kiedy wychodzi na dwór, pani z tyłu wali go mocno w głowę. A mierniczy Agro, udający złodzieja, nie musi udawać jeszcze zabójcy, bo rzeczywiście zabija. Strzela z pistoletu, który mu pani usłużnie podsuwa, i znika. Potem pani rozgłasza na prawo i lewo, że biednego męża pobił, rozbroił i zastrzelił złodziej. Tak to z grubsza miało wyglądać?

– Mniej więcej tak.

– Pani oczywiście już się zorientowała, że to wszystko, co pani tutaj mówię, to czcze gadanie, słowa rzucone na wiatr. Nie mam żadnych dowodów. Nie mam w ręku nic, co by mi pozwoliło wpakować panią do więzienia.

– Wiem, połapałam się.

– Pewnie też zrozumiała pani, że gdyby teraz stało się coś złego Annibale Verruso, pani pierwsza pójdzie siedzieć, a zaraz za panią jej przyjaciel Giacomino. Niech pani prosi tego Boga, w którego pani wierzy, żeby mężowi nic się nie przydarzyło, nawet lekkie rozwolnienie, bo od razu panią oskarżę o próbę otrucia.

Pani Serena słuchała oskarżeń Montalbana z wyraźnym zniecierpliwieniem.

– Ciekawa jestem jednego, komisarzy.

– Czego?

– Na czym się potknęłam?

– Niepotrzebnie wysłała pani do mnie ten anonim.

– Co takiego?

Nawet Montalbano poczuł się niepewnie, nie tylko ona.

– Wysłałam do pana anonim?

Komisarz zobaczył, że jest szczerze zaskoczona, wręcz wstrząśnięta. Także jego to zaskoczyło: więc to nie ona napisała ten list?

Patrzyli na siebie poruszeni.

– Ten list anonimowy, w którym ktoś pisze, że mąż postara się, aby zapłaciła pani życiem za to, czego się domyślił – wyjaśnił przez zaciśnięte zęby Montalbano.

– Przecież ja nigdy nic takiego...

Pani Serena nagle umilkła i zerwała się z fotela. Szlafrok rozchylił się, na ile mógł, od stóp do głów, tak że Montalbano miał przed sobą jak na dłoni łagodne wzgórza, cieniste doliny, rozkoszne łąki. Zamknął oczy. Ale zaraz je otworzył. Zmusił go do tego hałas masywnej zapalniczki, która grzmotnęła w obraz przedstawiający ośnieżone góry.

– To ten kutas Giacomino! – zaczęła krzyczeć pani Verruso. – Popuścił w gacie! Wystawił obsraną dupę!

Teraz papierośnica stłukła wazon na etażerce.

– Przestraszył się śmierdziel, idiota, i wymyślił tę sztuczkę z anonimem.

Kiedy stolik rozbijał szybę w drzwiach balkonowych, komisarz był już na dole i zamykał za sobą bramę domu, w którym mieszkali państwo Verruso.

Sztuka wrózenia

W Vigacie nikt nie świętuje karnawału. Mowa oczywiście o dorosłych. Nikt nie urządza balów maskowych ani tłustych czwartków. Co innego dzieci. Paradują tam i z powrotem po korsie, popisując się takimi strojami, jakie im dyktuje telewizja. Nie zobaczysz Pierrota czy Myszki Miki, choćbyś był gotów słono za to zapłacić; przetrwał tylko Zorro, ale pobiły go na głowę Batmany i dzielni astronauty w lśniących kosmicznych skafandrach.

Jednak tego roku karnawał nie był bez znaczenia przynajmniej dla jednego dorosłego, dla profesora Gaspare Tamburella, dyrektora miejscowego liceum imienia Federica Felliniego, które – jak o tym świadczy imię patrona – istniało od niedawna.

– Wczorajszej nocy chcieli mnie zabić! – oświadczył dyrektor, wchodząc do gabinetu komisarza Montalbano i sadowiać się na krześle.

Komisarz patrzył na niego z najwyższym zdumieniem. Poruszyło go nie tyle dramatyczne oświadczenie, ile twarz dyrektora, której koloryt drastycznie się zmieniał, przeskakując od śmiertelnej bladości do paprykowej czerwieni.

„Może mu się coś stać” – pomyślał Montalbano. I powiedział:

– Panie dyrektorze, proszę zachować spokój. Zaraz mi pan opowie, co się zdarzyło. Chce się pan napić wody?

– Nie chcę niczego! – wykrztusił Gaspare Tamburello i otarł sobie twarz chusteczką. Montalbano nie mógł się nadziwić, że te zmienne kolory nie pozostawiły na niej śladów. – Ten nikczemny łajdak jak powiedział, tak

zrobił.

– Panie dyrektorze, proszę się nie denerwować, musi mi pan opowiedzieć wszystko po kolei. Jak to się zaczęło i co potem nastąpiło.

Dyrektor Tamburello z trudem zmusił się do zachowania spokoju.

– Chyba pan wie, panie komisarzu, że nasz minister oświaty jest komunistą. To ten, co zarządził, że mamy w szkole uczyć poglądów Gramsciego. A ja pytam: dlaczego Gramsciego, a nie Tommasea? Potrafi mi pan to wyjaśnić?

– Nie – rzucił oschle komisarz, który szybko uznał, że ma dość dyrektora.
– Możemy przejść do rzeczy?

– Otóż chcąc uwzględnić w liceum, którym mam zaszczyt i obowiązek kierować, nowe normy ministerialne, pracowałem nad nimi w moim gabinecie wczoraj do późnej nocy.

Wszyscy w mieście wiedzieli, dlaczego dyrektor wynajdywał sobie najrozmaitsze preteksty, żeby tylko odwlec powrót do domu, gdzie czekała na niego, jak przyczajony w kryjówce tygrys, żona Santina, znana w sferach szkolnych pod imieniem „Ksantypina”. Ilekroć dyrektor wracał z pracy, sąsiedzi słyszeli wrzaski, wyzwiska, obraźliwe drwiny, których ta okropna kobieta nie szczędziła mężowi. A zjawiając się po północy, Gaspare Tamburello miał nadzieję, że żona już będzie spała i że ominie go codzienna awantura.

– I co dalej? Proszę nie odbiegać od tematu.

– Wróciłem do domu i ledwo otworzyłem bramę, usłyszałem donośny huk i jednocześnie zobaczyłem błysk. Chyba też wyraźnie usłyszałem, że ktoś się śmieje.

– I co pan zrobił?

– Co miałem zrobić? Wbiegłem schodami na górę, nie czekałem na windę.

Krew się we mnie burzyła.

– Opowiedział pan o tym żonie? – spytał komisarz, który kiedy chciał, umiał być naprawdę skończonym bydlakiem.

– Nie. Nic jej nie mówiłem. Dlaczego miałbym jej o tym opowiadać? Już spała, biedna kobieta.

– Jest pan pewien, że widział pan błysk?

– Na pewno widziałem.

Na twarzy Montalbana rysowało się powątpiewanie i dyrektor zaraz to spostrzegł.

– Czemu pan o to pyta? Nie wierzy mi pan?

– Wierzę. Chociaż to dziwne.

– Co w tym dziwnego?

– To, że kiedy ktoś, załóżmy, strzela do pana z tyłu, słyszy pan huk, co zrozumiałe, ale przecież nie może pan widzieć błysku. Mam rację?

– Ale ja na pewno widziałem błysk, nic na to nie poradzę.

Martwa biel i paprykowa czerwień zlały się ze sobą i utworzyły na twarzy dyrektora odcień oliwkowej zieleni.

– Panie dyrektorze, zasugerował mi pan, że zna osobę, która miałaby do pana strzelać.

– Proszę nie używać trybu warunkowego, jako że doskonale wiem, kto to zrobił. I przyszedłem tu po to, żeby złożyć formalne doniesienie.

– Chwileczkę, jedno po drugim. Kto według pana to zrobił?

– Profesor Antonio Cosentino.

Zabrzmiało to wyraźnie i stanowczo.

– Pan go zna?

– Śmieszne pytanie! Uczy u nas francuskiego.

– Dlaczego miałby do pana strzelać?

– Znow mówi pan to w trybie warunkowym. Nie „miałby strzelać”, tylko „strzelał”. Zrobił to, bo mnie nienawidzi. Nie może ścierpieć moich ciągłych upomnień i negatywnej oceny jego postawy. A czy mogę postępować inaczej? Dla mnie porządek i dyscyplina to imperatywy kategoryczne. Tymczasem profesor Cosentino wiecznie je sobie lekceważy. Spóźnia się na rady pedagogiczne, zawsze ma jakieś zastrzeżenia do tego, co mówią inni, kpi, wynosi się, podjudza kolegów przeciw mnie.

– I, pana zdaniem, byłby zdolny do morderstwa?

– Ha! Ha! Ha! Chce mnie pan rozśmieszyć? Ten osobnik jest zdolny nie tylko do morderstwa, ale i do znacznie gorszych rzeczy!

„Co może być gorszego od morderstwa? – pomyślał komisarz. – Może poćwiartowanie zwłok na drobne kawałki, żeby z połowy zrobić rosół, a połowę przypiec na ruszcie i zjeść z frytkami”.

– Wie pan, do czego on jest zdolny? – ciągnął dyrektor. – Widziałem na własne oczy, jak nakłaniał uczennicę do palenia.

– Trawki?

Gaspere Tamburello zdziwił się, a nawet obruszył,

– Jakiej tam trawki! Dlaczego mieliby palić trawę?! Podsunął jej prawdziwego papierosa.

Nie w dzisiejszych czasach i nie na dzisiejszym świecie żył ten nieskalany pan dyrektor.

– Czy dobrze zrozumiałem? Przed chwilą oskarżył pan profesora Cosentino, że panu groził.

– To nieścisle. Jawnych pogroźek nie słyszałem. Jednak coś w tym rodzaju mu się wyrwało, chociaż udawał, że żartuje.

– Z łaski swojej, proszę po kolei.

– Było tak. Może trzy tygodnie temu nasza koleżanka, profesor Lopane, zaprosiła nas wszystkich, całe grono pedagogiczne, na chrzciny swojej siostrzenicy. Nie mogłem się od tego uchylić, mimo że ze zrozumiałych przyczyn chciałem. Nie lubię, kiedy przełożeni i podwładni bratają się ze sobą. Uważam, że zawsze należy zachować właściwy dystans.

Montalbano zaczął żałować, że człowiek, który strzelał – jeśli ktoś taki rzeczywiście chodzi po ziemi – nie miał większej wprawy.

– Potem, jak to w zwyczaju, całe nasze grono przeszło do osobnego pokoju. Najmłodszy chcieli urządzić jakąś zabawę. Wtedy profesor Cosentino oznajmił nam, że posiada sztukę wróżenia. Twierdził, że nie musi w tym celu obserwować lotu ptaków czy zwierzęcych wnętrzności. Wystarczy mu wpatrywać się przenikliwie w daną osobę, by nieomylnie odgadnąć jej dalsze losy. Zaraz jedna trzpiotka, profesor Angelica Fecarotta, u nas tylko na zastępstwie, spytała, co ją czeka. Profesor Cosentino przepowiedział jej wielkie zmiany w miłości. Też mi wróżba! Wszyscy wiemy, że ona, chociaż jest narzeczoną dentysty, ciągle go zdradza z jego technikiem i że dentysta prędzej czy później na to wpadnie! W czasie tak wesołej rozrywki...

Montalbano nie wytrzymał, miał tej „rozrywki” dość.

– Panie dyrektorze, jeżeli w tym tempie będziemy ciągnąć dalej, posiedzimy tu do nocy! Proszę powtórzyć mi tylko to, co powiedział panu profesor Cosentino. A raczej co panu przepowiedział.

– Ponieważ wszyscy zaczęli go zamęczać, żeby odgadł moją przyszłość, zaczął się we mnie wpatrywać i wpatrywać, aż zrobiło się cicho jak w grobie. Tak, tak, panie komisarzu, wytworzył się tak napięty nastrój, że, szczerze mówiąc...

– Niech pan, na Boga, pieprzy nastrój!

Dyrektor, jako człowiek zakochany w porządku, od razu się do tego

wezwania zastosował.

– Powiedział mi, że trzynastego lutego ujdę z życiem z niebezpiecznej pułapki, ale nie miną trzy miesiące i nie będzie mnie wśród nich.

– Wyraził się dość mętnie, nie sądzi pan?

– Wprost przeciwnie! Przecież wczoraj był trzynasty. I do mnie strzelano. A ta niebezpieczna pułapka to nie miała być apopleksja, tylko prawdziwe zagrożenie życia, z użyciem broni!

Ten szczególny zbieg okoliczności uspokoił komisarza.

– Panie dyrektorze, umówmy się w ten sposób. Najpierw przeprowadzę dochodzenie, a potem być może poproszę pana o złożenie doniesienia.

– Jeśli pan chce podejść do sprawy w ten sposób, podporządkuję się. Chociaż nie ukrywam, że wolałbym od razu zobaczyć tego łobuza za kratkami. Do widzenia.

Wreszcie wstał i wyszedł.

– Fazio! – zawołał Montalbano.

Ale zamiast Fazio w drzwiach z powrotem pojawił się dyrektor. Twarz miał teraz całkiem żółtą.

– Zapomniałem o najważniejszym! O koronnym dowodzie!

Za dyrektorem Tamburello pokazał się Fazio.

– Słucham, komisarzu.

Dyrektor jednak, nieporuszony, ciągnął swoje.

– Dzisiaj rano, kiedy wychodziłem z domu, żeby złożyć doniesienie, zobaczyłem w bramie, w prawym skrzydle u góry, po lewej stronie, dziurę, której wcześniej nie było. To tam trafiła kula. Proszę to wziąć pod uwagę.

I dopiero teraz wyszedł na dobre.

– Wiesz, gdzie mieszka dyrektor Tamburello? – spytał komisarz Fazio.

– Owszem, wiem.

– Idź i rzuć okiem na ten otwór w bramie, a potem powiesz mi, co to takiego. Jeszcze jedno. Zadzwoń wcześniej do liceum, połącz się z profesorem Cosentino i powiedz mu, że dzisiaj po obiedzie, około piątej, chcę go tu zobaczyć.

Montalbano wrócił do komisariatu za kwadrans czwarta. Był cięższy o ponad kilogram rozmaitych ryb z rusztu, tak świeżych, że ledwie zostały zjedzone, zaczęły na nowo pływać w jego żołądku.

– Rzeczywiście jest tam otwór – oznajmił Fazio – ale nowiutki, drewna nie osmalił żaden wystrzał, wygląda na to, że ktoś go wydłubał scyzorykiem. I nie ma mowy o kuli, nie zostawiła śladu. Mam już na ten temat swoje zdanie.

– To się nim podziel.

– Nie wydaje mi się, żeby do dyrektora ktoś strzelał. Mamy teraz karnawał, pewnie jakimś gówniarzom zebrało się na żarty i rzucili w starego petardą.

– Może. Ale skąd ten otwór?

– Sam go wydłubał, żeby te pierdoły, które panu opowiadał, wydały się prawdziwe.

Otworzyły się drzwi, z hukiem walnęły o ścianę. Montalbano i Fazio podskoczyli na krzesłach. Tak zawsze wchodził Catarella.

– Teraz przyszedł do nas profesor Cosentintino i mówi, że chciałby osobiście rozmawiać z jakąś osobą.

– Niech wejdzie.

Fazio wyszedł, wszedł Cosentino.

Przez ułamek sekundy komisarz poczuł się nieswojo. Spodziewał się

człowieka w T-shircie, dżinsach i wielkich sportowych nike'ach na nogach, a tymczasem profesor Cosentino ubrany był w szary garnitur i nosił krawat. Miał w dodatku melancholijny wyraz twarzy, a głowę lekko pochylał w lewo. Oczy jednak patrzyły bystro, przenikliwie. Montalbano bez zwłoki i bez niedomówień przedstawił mu oskarżenia dyrektora i ostrzegł, że wbrew pozorom nie widzi w nich niczego śmiesznego.

– A dlaczego?

– Dlatego, że zgodnie z pana przepowiednią dyrektor trzynastego miał się stać obiektem jakiegoś zamachu i rzeczywiście do tego doszło.

– Panie komisarzu, jeśli naprawdę miałbym do niego strzelać, musiałbym być ostatnim głupcem, żeby mu to zapowiadać, w dodatku przy tylu świadkach. Nie uważa pan? Znaczyłoby to, że strzelam i od razu zgłaszam się do więzienia. Tutaj nastąpiło jakieś nieszczęśliwe zrządzenie losu.

– Muszę powiedzieć, że pańskie rozumowanie do mnie nie trafia.

– Dlaczego?

– Dlatego, że mówiąc to, co pan powiedział, i robiąc to, o czym pan mówił, a teraz przekonując mnie, że nie mógł pan tego zrobić, bo przecież pan to zapowiedział, wcale nie jest pan taki naiwny, tylko bardzo sprytny.

– Istotnie – przyznał profesor.

– Wobec tego jak to było?

– Czy pan naprawdę uważa, że udało mi się opanować sztukę wróżenia i że umiem przewidywać przyszłość? W przypadku dyrektora potrafiłbym najwyżej przepowiedzieć jego przeszłość. Tej jestem pewien jak własnej śmierci.

– Co by to miało znaczyć?

– Gdyby nasz dyrektor żył w czasach faszyzmu, nie sądzi pan, że by wiernie służył? Byłby jednym z tych młodzieńców w butach z cholewami

i orłem na czapce, co przeskakiwali przez kręgi ognia. Ręczę za to.

– Nie lepiej rozmówić się poważnie?

– Panie komisarzu, pan może nie zna wspaniałej osiemnastowiecznej powieści, zatytułowanej *Diabeł rozkochany*, autorstwa...

– Jacques’a Cazzotte’a – dokończył komisarz. – Czytałem ją.

Profesor był nieco zdumiony, ale otrząsnął się i ciągnął dalej.

– Otóż pewnego wieczoru Cazzotte zebrał swoich sławnych przyjaciół i precyzyjnie przepowiedział im, jak umrą. Toteż...

– Panie profesorze, znam tę historyjkę, czytałem ją u Gerarda de Nerval.

Profesor zaniemówił.

– Jezu! Jak pan to robi, że wszystko pan wie?

– Czytam – odpowiedział oschle komisarz. I surowym tonem dodał: – Ta sprawa nie trzyma się kupy. Wcale nie wiem, czy do dyrektora ktoś strzelał, czy rzucił za nim petardą.

– To była petarda, nic innego, tylko petarda – stwierdził wzgardliwie profesor Cosentino.

– Ja jednak formalnie pana ostrzegam. Jeżeli w ciągu trzech miesięcy dyrektorowi Tamburello coś się stanie, uznam, że to pan ponosi za to odpowiedzialność.

– Nawet jak złapie grypę? – rzucił Antonio Cosentino, nic a nic nieprzejęty przestrogą.

Jednak doszło do tego, do czego zgodnie z przepowiednią miało dojść.

Dyrektor Tamburello, szczerze rozgoryczony faktem, że komisarz nie wziął pod uwagę jego donosu i nie założył kajdanek człowiekowi, który jego zdaniem był wszystkiemu winien, zaczął robić kolejne fałszywe kroki. Na pierwszej radzie pedagogicznej przyjął postawę pokrzywdzonego

męczennika, oznajmiając osłupiałemu gronu, że stał się ofiarą zamachu i że tylko cudem uszedł z życiem za wstawiennictwem Matki Bożej i powinności moralnych, których był wiernym wyznawcą. Wywiązała się dyskusja. Dyrektor wciąż znacząco spoglądał w stronę profesora Antonia Cosentino, a ten jawnie chichotał. Drugi fałszywy krok polegał na wyjawieniu sprawy dziennikarzowi Pippo Ragonese, sprawozdawcy Telegigaty, który nie znosił komisarza Montalbano. Ragonese przedstawił w telewizji wszystko na swój sposób: oznajmił, że Montalbano nie wszczyna dochodzenia przeciw człowiekowi, którego mu wskazano jako rzeczywistego wykonawcę zamachu, bo najwidoczniej nie przejmuje się popełnianymi na jego terenie przestępstwami. Wynikło z tego jedynie tyle, że Montalbano mógł się szczerze pośmiać przed telewizorem, a cała Vigata mogła się dowiedzieć, że do dyrektora Tamburello ktoś strzelał.

Jak wszyscy, dowiedziała się o tym z lokalnego dziennika o wpół do pierwszej także żona dyrektora, która dotąd nie miała o niczym pojęcia. Kiedy nieświadomy zagrożenia Tamburello stawiał się o wpół do drugiej na obiad, sąsiedzi już czekali w oknach albo na balkonach, spodziewając się rozrywki. „Ksantypina” naprzód zelżyła męża za to, że trzymał wszystko przed nią w tajemnicy, a potem nazwała go zdrańcem, który pozwala strzelać do siebie z tyłu jak byle gówniarz, i wykpiła nieznanego zamachowca, stwierdzając, że pewnie „tak pieprzy, jak celuje”. Sąsiedzi wysłuchiwali tych wrzasków przez godzinę, a na koniec zobaczyli dyrektora, jak wymyka się z bramy niczym królik wypłoszony przez łasicę. Biedak wrócił do szkoły i zamówił sobie w barze kanapkę, którą przynieśli mu do gabinetu.

O szóstej po południu w kawiarni „Castiglione” zebrały się jak co dzień najbardziej cięte języki Vigaty.

– Co do tego, że jest to bęcwał, nikt nie ma wątpliwości – stwierdził aptekarz Luparello.

– Kto? Tamburello czy Cosentino? – spytał księgowy Prestia.

– Tamburello. Nie kieruje tym liceum, tylko nim rządzi, bo marzy mu się władza absolutna. Kto nie kładzie uszu po sobie, ten jest permanentnie na wylocie. Wszyscy dobrze pamiętamy, że w zeszłym roku oblał całą drugą C tylko za to, że nie zerwała się na równe nogi, kiedy on wszedł do klasy.

– To prawda – wtrącił się Tano Pisciotta, hurtownik ryb. I zniżając głos do szeptu, dodał: – A nie zapominajmy, że wśród oblanych uczniów byli syn Giosue Marchiki i córka Nene Gangitana.

Zapadła pełna napięcia, wymowna cisza.

Wiadomo było, że Marchica i Gangitano są w Vigacie osobami, którym nie robi się despektu. A przecież oblanie ich dzieci było jawnym despektem.

– Tu nie idzie o awersję dyrektora do profesora Cosentino i odwrotnie! W grę wchodzi coś poważniejszego! – uznał Luparello.

I właśnie na te słowa wszedł do kawiarni dyrektor. Nie domyślając się, co wisi w powietrzu, przyciągnął sobie krzesło i przysiadł się do stolika. Zamówił kawę.

– Darujcie, ale muszę wracać do domu – powiedział bez namysłu księgowy Prestia. – Żona gorączkuje.

– Ja też idę, czekam na służbowy telefon – zawtórował mu Tano Pisciotta.

– Moja żona także ma gorączkę – oznajmił aptekarz Luparello, któremu nie dopisywała fantazja.

Zrobiło się zamieszanie i po chwili dyrektor został przy stoliku sam. Tak czy inaczej, lepiej było nie pokazywać się w jego towarzystwie. Marchica i Gangitano mogliby sobie wyrobić fałszywy osąd o każdym, kto rzekomo przyjaźni się z dyrektorem Tamburello.

Rano do pani Tamburello, która kręciła się po targu, podeszła żona aptekarza Luparello.

– Pani jest naprawdę odważną kobietą, droga pani! Ja na pani miejscu albo bym uciekła, albo bym przepędziła męża z domu, i to bez chwili namysłu.

– A czemu to?

– Jak to czemu? Może ci, co do niego strzelali i nie trafili, już się teraz nie zważają i podłożą wam bombę pod drzwi.

Jeszcze tego samego wieczoru dyrektor przeniósł się do hotelu. Ale hipoteza pani Luparello zrobiła tak wielkie wrażenie na rodzinach Pappacena i Lococo, które mieszkały na tym samym piętrze, że obie wyprowadziły się z domu.

U kresu wytrzymałości fizycznej i psychicznej dyrektor Tamburello poprosił o przeniesienie i otrzymał zgodę. Nie minęły trzy miesiące, a już „nie było go wśród nich”, jak przepowiedział profesor Cosentino.

– Ciekaw jestem – rzekł komisarz Montalbano – jak to było z tym strzelaniem?

– Petarda – stwierdził spokojnie Cosentino.

– A ta dziura w bramie?

– Nie uwierzy mi pan, kiedy powiem, że to nie moja robota. Ale to prawda. Więc albo był to przypadek, albo sam wydłubał tę dziurę, żeby mu pan uwierzył, kiedy będzie składał na mnie doniesienie. Ten człowiek całe życie sam siebie krzywdzi. Nie mam pewności, czy panu wiadomo, że jedna z rzymskich komedii nosi tytuł *Sam siebie karzący* i że w niej...

– Wie pan co? – przerwał mu Montalbano. – Wiem tylko jedno. Nie chciałbym mieć w panu wroga.

I mówił to całkiem szczerze.

Skrót

Calorio nie nazywał się Calorio, lecz w całej Vigacie był znany pod tym imieniem. Przyjechał tutaj nie wiadomo skąd ze dwadzieścia lat temu, w jednej parze przewiązanych sznurkiem spodni, które wyglądały, jakby były uszyte z samych dziur, a nie z płótna, i w kurtce z naszytymi wszędzie łatami, jakby był arlekinem. Chodził przeważnie boso, ale miał zawsze czyste stopy. Utrzymywał się z jałmużny, którą wypraszał dyskretnie, nie narzucając się i nie strasząc kobiet i dzieci. Miał mocną głowę i nie odmawiał sobie wina, kiedy tylko stać go było na butelkę, ale nikt nigdy nie widział go choćby lekko podpitego, a przecież zdarzały się lokalne święta, na których darmowe wino lało się litrami.

Vigata dość szybko zaakceptowała przybysza. Ksiądz Cannata zaopatrywał go w stare buty i używaną odzież, nikt na targu nie skąpił mu ryb czy jarzyn, lekarz badał go bezpłatnie i przy byle okazji zasypywał lekami. Zdrowie zresztą na ogół nie zawodziło Caloria, mimo że przekroczył już chyba siedemdziesiątkę. Nocą spał pod portykiem ratusza, w zimie bronił się przed chłodem, okrywając dwoma starymi kocami, które podarowali mu ludzie. Ale od pięciu lat obrał sobie nową siedzibę. Na samotnej plaży po zachodniej stronie nabrzeża, daleko od kąpieliska, stała wyciągnięta na brzeg stara łódź motorowa. Wyłamano z niej co się dało, został tylko sam drewniany szkielet. Calorio uznał ją za swoją i zamieszkał w dawnej maszynowni. W pogodne dni przesiadywał na pokładzie. I czytał. To dlatego mieszkańcy Vigaty nazwali go Calorio: święty patron ich miasta, kochany przez wszystkich, wierzących i niewierzących, był przedstawiany na

obrazach jako ciemnoskóry zakonnik z książką w ręku. Nasz Calorio wypożyczał książki z miejskiej biblioteki, a jej dyrektorka, panna Melluso, twierdziła, że nikt nie umie obchodzić się z nimi lepiej niż on, nie mówiąc już o tym, że nikt też nie zwraca ich tak terminowo. Czyta wszystko – rozповідаła – Pirandella i Manzoni, Dostojewskiego i Maupassanta...

Komisarz Salvo Montalbano, który zazwyczaj wybierał się na przechadzki albo w stronę mola, albo w stronę zachodniej plaży, mającej tę zaletę, że zwykle jest pusta, zatrzymał się pewnego dnia przy łodzi Caloria i nawiązał z nim rozmowę.

– Co takiego dzisiaj czytamy?

Calorio, wyraźnie niechętny rozmowom, nawet nie oderwał wzroku od książki.

– Drugą część *Fausta* – usłyszał komisarz. A włączę, widząc, że natręt nie tylko się nie odczepił, ale nawet nie wygląda na zdziwionego odpowiedzią, zdecydował się jednak podnieść na niego wzrok. – W przekładzie Liliany Scalero – dodał uprzejmie. – Stary przekład, lecz w bibliotece nie mają innego. Nie ma co grymasić.

– Mam w domu przekład Manacordy – powiedział komisarz. – Mogę panu pożyczyć, jeśli pan chce.

– Dziękuję. Nie usiądzie pan? – spytał Calorio, robiąc komisarzowi miejsce na worku, na którym siedział.

– Nie mogę. Wracam do pracy.

– Gdzie?

– Jestem komisarzem policji w tutejszym posterunku, nazywam się Salvo Montalbano.

I wyciągnął do rozmówcy rękę.

Ten wstał i przedstawił się.

– Livio Zanuttin.

– Sądząc z pańskiej wymowy, jest pan chyba Sycylijczykiem?

– Mieszkam na Sycylii od ponad czterdziestu lat, ale urodziłem się w Wenecji.

– Proszę się nie pogniewać, że spytam. Dlaczego człowiekowi takiemu jak pan, wykształconemu, światłemu, przyszło żyć tak, jak pan żyje?

– Pan jest policjantem, więc ma pan ciekawość we krwi. Nie bierze się ona z samej natury, ale również z zawodu. Proszę nie mówić „przyszło”, bo to był mój wolny wybór. Wyrzekłem się wszystkiego: szacunku, honoru, godności, cnoty – tego, czego, dzięki Bogu, nie znają w swej błogosławionej niewinności zwierzęta. Wyzwolilem się z...

– Pan mnie nabiera – przerwał mu Montalbano. – Odpowiada mi pan słowami Pirandella. Tak mówi u niego czarodziej Cotrone. A pomijając wszystko inne, zwierzęta jednak nie czytają.

Uśmiechnęli się do siebie.

I tak zaczęła się ich dziwna przyjaźń. Od czasu do czasu Montalbano go odwiedzał, coś mu przynosił – przeważnie książki, raz radio – a widząc, że Calorio nie tylko czyta, ale też coś pisuje, podarował mu zapas długopisów i zeszytów. Kiedy zastawał go na pisaniu, włączęga od razu chował zeszyt do grubo wypchanej torby. Pewnego razu, gdy nagle mocno się rozpadało, Calorio zaprosił komisarza do dawnej maszynowni, osłaniając wejście kawałkiem ceraty. W środku wszystko było uporządkowane i czyste. Na sznurku przeciągniętym od ściany do ściany wisiały wieszaki, a na nich ubogie ubrania. Zrobił tu sobie nawet półkę, na której trzymał książki, świece i lampę naftową. Dwa worki służyły mu za łóżko. Jedyłą oznaką nieładu były puste butelki po winie, poniewierające się w kącie.

Ale oto Calorio leży teraz na piasku przy swojej łodzi i ma wielką ranę na potylicy. Został zamordowany. Znalazł go nocny stróż z pobliskiej cementowni, który wcześniej rano wracał tędy do domu. Miał przy sobie telefon komórkowy, zadzwonił do komisariatu i nie ruszył się z miejsca, dopóki nie przyjechała policja.

Z maszynowni, która była sypialnią Caloria, zabójca wyniósł wszystko: ubrania, torbę, książki. Tylko puste butelki zostały tam, gdzie były. „Czy to możliwe – zadawał sobie pytanie Montalbano – że w Vigacie są ludzie aż tak zdesperowani, że zdecydowali się ukraść nędzne rzeczy takiego samego desperata?”

Calorio, choć śmiertelnie zraniony, zdołał jakoś wydostać się z łodzi na brzeg, a kiedy upadł, usiłował jeszcze palcem wskazującym prawej ręki napisać coś dużymi literami na piasku. W nocy trochę padało, piasek na powierzchni był zbity i gładki, mimo to trzy nakreślone litery były niewyraźne.

Montalbano zwrócił się o pomoc do kierownika ekipy z sądówki, Jacomuzziego, który był wprawdzie świetnym fachowcem, ale nie potrafił się wyrzec żalostnego samochwalstwa.

– Możesz mi dokładnie powiedzieć, co ten nieszczęśnik próbował napisać, zanim umarł?

– Naturalnie, że mogę.

Doktor Pasquano, lekarz sądowy, człowiek o trudnym charakterze, lecz niezawodny w swojej pracy, dodzwonił się do Montalbana o piątej po południu. Potwierdził tylko to, co ustalił rano podczas pierwszych oględzin zwłok.

Jego zdaniem między ofiarą a mordercą musiało dojść około północy do gwałtownej bójki. Calorio, zdzielony pięścią w twarz, upadł do tyłu i uderzył

głową o zardzewiały kołowrót, służący kiedyś do wyciągania sieci, teraz zaplamiony krwią. Napastnik, myśląc, że włóczęga nie żyje, wyniósł wszystko, co znalazł pod pokładem, i uciekł. A Calorio po jakimś czasie na tyle jednak oprzytomniał, że zszedł z łodzi, lecz osłabiony wskutek utraty krwi upadł na piasek. Żył jeszcze ze cztery minuty i w tym czasie zdobył się na wysiłek, by napisać te trzy litery. Zdaniem Pasquana należało przyjąć, że zabójstwo nie było umyślne.

– Jestem święcie przekonany, że się nie mylę – oznajmił stanowczo Jacomuzzi. – Biedaczysko, umierając, chciał napisać jakiś skrót. Mamy tutaj P, potem O i E. Dałbym sobie rękę uciąć, że to skrót jakiejś nazwy.

Na chwilę umilkł.

– Może chodzi o jakąś partię? Tyle ich się teraz namnożyło. Partia Odnowy Europy?

– Co by tu miała do roboty taka kretyńska partia?

– Czy ja wiem co? Wszyscy dzisiaj mówią o Europie... Może to partia wywrotowa, która chce zaprowadzić nowe porządki...

– Jacomu, nie masz czasem rozmiękczenia mózgu?

Na piękne wyżyny wzleciał geniusz Jacomuzziego! Montalbano mógł mu tylko pogratulować. Skrót. Co Calorio chciał powiedzieć, o czym chciał zawiadomić? Może o czymś, co wiązało się z portem? Portowy Odcinek Est? Plac Odpraw Ekspedycyjnych? Wszystko to psu na budę. Takie zgadywanie nie miało sensu, te trzy litery mogły znaczyć zarówno wszystko, jak i nic. A przecież wypisanie tych trzech liter było dla Caloria w chwili śmierci czymś najważniejszym.

Gdzieś o drugiej w nocy, kiedy już spał na dobre, coś go zbudziło, coś, co nagle pojawiło się w jego głowie. Już kiedyś mu się zdarzyło, że zbudził się

w taki sam sposób, i od tamtego czasu nabrał pewności, że kiedy śpi, jakaś część jego mózgu czuwa i próbuje zmagać się z nierozwiązanym problemem. A potem bez wahania przywołuje go do rzeczywistości. Zerwał się, pobiegł do telefonu i wystukał prywatny numer Jacomuzziego.

– Były kropki?

– Kto mówi? – wymamrotał na wpół przytomny Jacomuzzi.

– Montalbano. Były kropki?

– Nie było kropek, ale będzie kropienie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– A to, że zaraz do ciebie przyjadę i tak cię kropnę, że się nie pozbierasz, a potem jeszcze pokropię cię wodą święconą.

– Jacomu, myślisz, że po to telefonuję do ciebie w środku nocy, żeby wysłuchiwać twoich głupich dowcipów? Były kropki czy nie?

– Jakie kropki, Boże święty?

– Między P a O i między O a E.

– Aha! Chodzi ci o ten napis na piasku? Nie, kropek nie było.

– To po coś mi pieprzył, że to skrót?

– Bo to może być skrót. A poza tym na pewno coś ci się poplątało. Kiedy ktoś umiera, nie traci czasu na stawianie kropek.

Komisarz zaklął, rzucił słuchawkę i podbiegł do półki, spodziewając się, że książka, której potrzebował, stoi na swoim miejscu. Nie zawiódł się. Wziął do ręki *Opowiadania* Edgara Allana Poe. Nic tu nie miały do rzeczy żadne skróty. Calorio napisał na piasku nazwisko autora, ponieważ liczył właśnie na Montalbana. Tylko on mógł to ostatnie przesłanie zrozumieć. Pierwsze opowiadanie w zbiorze nosiło tytuł: *Rękopis znaleziony w butelce*. Komisarzowi nie trzeba było nic więcej.

Wypłoszone szczury rozbiegły się w świetle latarki na wszystkie strony. Wiał porywisty mroźny wiatr, a jego powiewy, przechodząc przez szczeliny w zniszczonym poszyciu łodzi, odzywały się jakby lamentem, który przypominał ludzki głos. Dopiero w piętnastej butelce Montalbano zobaczył to, czego szukał: rulonik owinięty zielonym papierem, dobranym do koloru butelki. Calorio był człowiekiem inteligentnym. Komisarz odwrócił butelkę do góry dnem, ale rulonik nie chciał z niej wypaść, klinował się, był zbyt luźny. Chociaż Montalbano pragnął jak najszybciej odejść od łodzi, to jednak zeskoczywszy z pokładu, upadł na piasek, tak jak stało się to z biednym Caloriem, i chwilę leżał w skupieniu na plaży.

Po przyjeździe do domu w Marinelli postawił butelkę na stole i zaczął się jej przypatrywać. Chciał nacieszyć się swoją ciekawością, jakby była wstydliwym nałogiem. Kiedy uznał, że już dość, wyjął ze skrzynki narzędzia młotek i uderzył raz, ale mocno, precyzyjnie. Butelka pękła na dwie części, nie posypały się nawet drobne odłamki szkła. Rulonik był zawinięty w kawałek zielonej marszczonej bibuły, jaka w kwaciarniach okręca się wazonny.

Jeżeli te słowa wpadnę we właściwe ręce, to dobrze, jeżeli nie, to trudno. Będzie to już moja ostatnia porażka. Nazywam się Livio Zanuttin, a ściślej biorąc – to właśnie nazwisko zostało mi nadane, bo jestem podrzutkiem. W urzędzie stanu cywilnego zapisano, że urodziłem się 5 stycznia 1923 roku w Wenecji. Do dziesiątego roku życia byłem w sierocińcu w Mestre. Potem odesłano mnie do kolegium w Padwie, gdzie chodziłem do szkoły. W roku 1939, kiedy miałem szesnaście lat, przydarzyło mi się coś, co zadecydowało o całym moim życiu. W kolegium miałem kolegę, rówieśnika, Carla Z., który wyglądał jak dziewczyna i doskonale się nadawał do zaspokajania naszych pierwszych chłopięcych zapałów. Spotykaliśmy się z nim po nocach

w piwnicy, do której wchodziło się przez właz w spiżarni. Tylko jednemu chłopcu z naszej klasy Carlo uparcie odmawiał swoich względów. Do niego, do Attilia C., czuł antypatię i nic nie mogło tego zmienić. Im mocniej Carlo mu się opierał, tym bardziej Attilio był na niego zły, bo nie rozumiał powodów tego oporu. Pewnego razu umówiłem się z Carlem na spotkanie w piwnicy o wpół do pierwszej po północy (chodziliśmy spać o dziesiątej wieczór, kwadrans później gaszono światło). Kiedy zszedłem na dół, zobaczyłem w świetle świecy, którą on zawsze tam zapalał, straszliwy obraz: Carlo, z opuszczonymi spodniami i gatkami, leżał w kałuży krwi. Najpierw został zgwałcony, a potem zabity nożem. Byłem wstrząśnięty i przerażony. Odwróciłem się, żeby uciec, i zobaczyłem przed sobą Attilia z nożem w ręku. Podnosił go na mnie. Z dłoni ciekła mu krew, zranił się, kiedy mordował Carla.

– Jeśli ktoś się o tym dowie – powiedział – skończysz tak samo.

Z tchórzostwa milczałem. A najdziwniejsze było to, że o biednym Carlu nikt już nie wspominał. Z pewnością ktoś z kolegium, odkrywszy zabójstwo, usunął zwłoki; może zrobił to stróż, który też utrzymywał potajemne stosunki z Carlem i bał się, że to wyjdzie na jaw. Kiedy w kilka dni później zobaczyłem, że Attilio wyrzucił do śmietnika zakrwawiony bandaż, sam nie wiem dlaczego wyjąłem go. Odciąłem poplamiony kawałek i przykleiłem na ostatniej stronie pewnej książki, choć nie przyszło mi do głowy, że kiedyś może mi się na coś przydać. W 1941 roku zostałem powołany do wojska, byłem na froncie i w 1943 alianci wzięli mnie na Sycylii do niewoli. W trzy lata później wróciłem z obozu jenieckiego, ale moje życie już wypadło ze swoich kolein i nie warto tutaj o nim mówić. Było jednym łańcuchem błędów: możliwe – choć pewności co do tego nie mam – że sumienie wciąż mi wyrzucało tchórzostwo i wciąż pogardzałem sobą za to, że milczałem. Przed tygodniem, całkiem przypadkowo, zobaczyłem i natychmiast rozpoznałem

Attilia tutaj, w Vigacie. Było to w niedzielę, wchodził do kościoła. Zdumiało mnie to i zaciekało, wypytałem ludzi i dowiedziałem się, że przyjechał odwiedzić syna, który jest dyrektorem cementowni. On, Attilio, przeszedł już na emeryturę, ale wciąż jeszcze wykonuje prace zlecone dla Saminexu, największej włoskiej wytwórni konserw.

Przedwczoraj znowu go zobaczyłem i zatrzymałem się przed nim.

– Cześć, Attilio – powiedziałem. – Pamiętasz mnie?

Długo mi się przypatrywał, ale w końcu mnie rozpoznał i cofnął się o krok. W jego oczach pojawił się taki sam wyraz, jaki zobaczyłem wtedy w nocy, w piwnicy.

– Czego chcesz?

– Chcę ci zastąpić sumienie.

Ale on w to nie uwierzył, tylko nabrał przekonania, że chcę go szantażować. Wkrótce, może w dzień, może w nocy, na pewno się tutaj zjawi.

Była już piąta rano, nie warto było kłaść się do łóżka. Komisarz długo postął pod prysznicem, ogolił się, ubrał, usiadł na werandzie i patrzył na morze, które powoli, w rytmie spokojnego oddechu, napływało na piasek plaży. Zaparzył kawę w maszynie na cztery osoby, a potem parę razy wstawał, szedł do kuchni, nalewał sobie nową porcję i wracał na werandę. Był dumny ze swego przyjaciela Caloria.

Adres znalazł w książce telefonicznej. Tuż po ósmej przycisnął guzik domofonu przy nazwisku „dr Eugenio Comaschi”.

Odezwał się męski głos.

– Kto tam?

– Firma spedycyjna.

– Syna nie ma w domu.

– To nic, wystarczy, że ktoś pokwituje odbiór.

– Trzecie piętro.

Kiedy winda zatrzymała się na trzecim piętrze, uprzejmy starszy mężczyzna w pizamie już czekał na podeście. Ale zobaczywszy komisarza, Attilio Comaschi od razu nabrał podejrzeń, jakby odruchowo zrozumiał, że tego człowieka nie przysyła firma spedycyjna, zwłaszcza że przybyły nie ma nic w ręku.

– O co chodzi? – spytał.

– Chcę przekazać panu pewien drobiazg – powiedział Montalbano, wyjmując z kieszeni strzęp materii z ciemną, brunatną plamą.

– Co to za świństwo?

– To kawałek bandaża, którym pięćdziesiąt osiem lat temu opatrzył pan sobie ranę, kiedy skaleczył się w rękę, zabijając Carla.

Mówi się, że są na świecie kule, które trafiając człowieka, odrzucają go o trzy, cztery metry do tyłu. Stary mężczyzna jakby został trafiony w pierś taką kulą, dosłownie uderzył ciałem o ścianę. Powoli oprzytomniał, opuścił nisko głowę.

– Ale Livia... nie chciałem zabić – powiedział.

Łeb w łeb

Kiedy Montalbano został mianowany komisarzem i obejmował posterunek w Vigacie, przekazujący mu urząd kolega wtajemniczył go również w to, że o wpływy w Vigacie i jej okolicach walczą ze sobą dwie mafijne rodziny, Cuffaro i Sinagra, które w dążeniu do zakończenia wieloletniej rywalizacji nie uciekają się bynajmniej do środków prawnych, tylko do celnych strzałów z obrzynków.

– Z obrzynków? Ciągłe są jeszcze w modzie? – zdziwił się Montalbano, bo takie narzędzie rozstrzygania sporu wydało mu się co najmniej archaiczne w naszych czasach, kiedy karabiny maszynowe i kałasznikowy można kupić za marne pieniądze na miejscowym targu,

– To dlatego, że ojcowie rywalizujących ze sobą rodzin są siłą rzeczy staroświeccy – wyjaśnił komisarzowi kolega. – Don Sisino Cuffaro przekroczył osiemdziesiątkę, a don Balduccio Sinagra dobija do osiemdziesięciu pięciu. Więc przynajmniej można im wybaczyć, że są przywiązani do wspomnień z młodości: obrzynki to jedna z drogich im pamiątek. Ale ich synowie już powoli tracą cierpliwość: sześćdziesięcioletni don Lillino Cuffaro, syn don Sisina, i pięćdziesięcioletni don Masino Sinagra, syn don Balduccia, chcieliby wreszcie stanąć na czele rodzin i trochę się unowocześnić, ale jeszcze się trzęsą przed ojcami. Cóż to dla nich spoliczkować synów w miejscu publicznym, choćby na środku placu.

– Chyba żartujesz?

– Nie żartuję. Obaj starzy, don Sisino i don Balduccio, są ludźmi zrównoważonymi i obaj chcą być traktowani jednakowo. Muszą iść łeb

w łeb. Kiedy ktoś z rodziny Sinagra zabije kogoś z rodziny Cuffaro, masz jak w banku, że nie minie tydzień, a jakiś Cuffaro zastrzeli jakiegoś Sinagrę. Ale tylko jednego, możesz być pewien.

– Kto w tej chwili wygrywa? – spytał Montalbano, jakby chodziło o wynik meczu.

– Sześć do sześciu – odpowiedział mu z całą powagą kolega. – Teraz powinni strzelić ci od Sinagrów.

Pod koniec drugiego roku pracy komisarza w Vigacie wynik meczu zmienił się na osiem do ośmiu. Karnego mieli strzelać znowu ci od Sinagrów. Nic więc dziwnego, że na posterunek zatelefonował ktoś, kto nie chciał podać nazwiska, i zgodnie z jego informacją na przedmieściu Zingarella znaleziono zwłoki Titilla Bonpensiero, który wbrew swemu nazwisku nie wpadł na „dobra myśl”, tylko przeciwnie, na pechową, i wybrał się samotnie na przechadzkę w odludne miejsce z urwiskami i zaroślami. Trudno o lepsze, kiedy trzeba kogoś sprzątnąć. Trzydziestoletni Titillo Bonpensiero miał bliskie związki z rodziną Cuffaro, oficjalnie pracował jako agent w ich firmie sprzedającej mieszkania i od dwóch lat był mężem Mariucci Di Stefano. Naturalnie rodzina Di Stefano także była ściśle związana z rodziną Cuffiario, gdyż w Vigacie historię Romea i Julii uważa się wyłącznie za to, czym w istocie jest, czyli za ładną legendę. Było nie do pomyślenia, żeby ktoś z Cuffarów chciał się połączyć z kimś z Sinagrów czy odwrotnie, musiałoby to wypaść jak opowieść z gatunku fantastyki.

Na początku urzędowania w Vigacie Salvo Montalbano nie zamierzał się dostosować do zasady swego poprzednika, która brzmiała: „Dajmy się im wykańczać między sobą, nie wtrącajmy się, a wyjdzie to na dobre i nam, i wszystkim porządnym ludziom”. Z zapałem więc wszczywał śledztwa w sprawie tych mafijnych zabójstw, jednak rzeczywistość przytarła mu

rogów.

Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał, nikt nikogo nie podejrzewał, nikt sobie niczego nie wyobrażał i nikt nikogo nie znał.

„To dlatego Odyseusz właśnie tu, na ziemi sycylijskiej, powiedział Cyklopowi, że nazywa się Nikt” – kpił sobie w myślach komisarz, brnąc ciągle w tej samej gęstej mgle.

Kiedy więc doniesiono mu o znalezieniu na przedmieściu Zingarella zwłok kogoś z rodziny Cuffaro, zniechęcony nie wybrał się na miejsce sam, tylko posłał swego zastępcę, Mimi Augella.

A wszyscy w mieście już czekali na kolejne nieuniknione zabójstwo kogoś z Sinagrów.

I rzeczywiście, dwudziestego drugiego grudnia Cosimo Zaccaria, amator łowienia, wybrał się z wędką i robakami na ryby i już przed siódmą rano siedział na końcu zachodniego mola. Łowił z jakim takim szczęściem, więc tym bardziej zirytowała go po niecałej godzinie hałaśliwa łódź motorowa, która z pełnego morza pędziła szybko w stronę portu. Kierowała się nie tyle na wejście do portu między dwoma molami, co właśnie na skraj zachodniego mola, jakby płynęła tylko po to, żeby swoim hałasem wypłoszyć Cosimowi ryby. Parę metrów od brzegu, unikając uderzenia w falochron, zawróciła i popędziła z powrotem na pełne morze, ale Cosimo Zaccaria leżał już w tym czasie między dwiema skałkami, twarzą do ziemi, bo mu z obrzynka przestrelono pierś.

Ledwo wiadomość o tym się rozeszła, całe miasto nie mogło się nadziwić; zdziwiony był też komisarz Montalbano.

Czy to możliwe? Cosimo Zaccaria należał do rodziny Cuffaro, jak Titillo Bonpensiero. Dlaczego więc Sinagrowie zabili dwóch Cuffarów po kolei? Przecież umieli liczyć. A jeśli się w liczeniu nie pomylili, to dlaczego

zadecydowali, że nie będą już przestrzegać starych zasad?

Wynik brzmiał teraz „dziesięć do ośmiu” i można było mieć pewność, że Cuffarowie nie będą się długo zastanawiać i wyrównają rachunki. Zanosilo się na styczeń zimny i deszczowy, ale urozmaicony zabiciem dwóch Sinagrów, którzy już mogli się czuć, jakby byli na tamtym świecie. Jednak do wiadomej sprawy powróci się dopiero po świętach, bo od dwudziestego czwartego grudnia do szóstego stycznia w rodzinach obowiązywało zawsze milczące zawieszenie broni. Po Trzech Królach mecz zostanie wznowiony.

Gwizdek sędziego, na który w mniejszym napięciu czekali mieszkańcy Vigaty, a w większym zawodnicy obu drużyn, miał zabrzmieć siódmego stycznia. I rzeczywiście, następnego dnia Michele Zummo, właściciel wzorcowej kurzej fermy w dzielnicy Ciavolotta, został z trudem odnaleziony, już martwy, w morzu rozbitych jajek. Albo je rozbiły strzały z obrzynka, albo sam Zummo własnym ciałem, kiedy padał trafiony.

Mimi Augello zameldował przełożonemu, że żółtka i białka tak się wymieszały z resztkami Zumma, że można by z tego amalgamatu zrobić jajecznicę na trzysta osób i żadna z nich nie odróżniłaby jajek od Zumma.

Dziesięć do dziewięciu; wszystko zaczynało wracać do normy i miasto przestało się niepokoić: Michele Zummo należał do Sinagrów, zginął od obrzynka. Tak chciała tradycja i tak się stało.

Zginie jeszcze ktoś z rodziny Sinagra i znowu obie rodziny będą szły łeb w łeb.

Drugiego lutego, po krótkim szarym dniu, Pasqualino Fichera, hurtownik na targu rybnym, wracał do domu o pierwszej w nocy, kiedy został skoszony kulą z obrzynka. Upadł ranny na ziemię i może by jakoś wyżył, gdyby zamiast udawać zabitego, nie zaczął krzyczeć:

– Chłopcy, pomyłka! Nie tak miało być! Jeszcze nie moja kolej!

Usłyszano go w pobliskich domach, ale nikt się nie ruszył. Co się odwlecze, to nie uciecze. Dokładniej trafiony drugą kulą, Pasqualino Fichera wylądował, jak się to mówi, na rajskich łąkach, dręczony okrutną pewnością, że doszło do nieporozumienia. Gdyż w istocie należał do rodziny Cuffaro, a uświęcony tradycją porządek rzeczy kazał dla osiągnięcia remisu przenieść na tamten świat jeszcze jednego z Sinagrów. To o tym ranny chciał Sinagrom przypomnieć. A tymczasem ich rodzina wyraźnie wygrywała: jedenaście do dziewięciu.

Miasto nie mogło się w tym połąpać.

Montalbano, przeciwnie, połąpał się, że to ostatnie zabójstwo i wypowiedziane przez Pasqualina Fichere słowa pozwalają mu wreszcie pojąć, o co tu uchodzi. Swoje rozumowanie oparł na przekonaniu, wprawdzie tylko instynktownym, że wcale nie doszło do pomyłki w liczeniu ani po jednej, ani po drugiej stronie. Pewnego ranka, głowiąc się nad tym wszystkim, nabrał pewności, że koniecznie musi się rozmówić z doktorem Pasquano, lekarzem sądowym, który miał swoje biuro w Montelusie. Doktor był człowiekiem starym, kapryśnym i szorstkim, ale z Montalbanem dobrze się rozumiał i dlatego wykroił dla niego godzinkę zaraz po obiedzie.

– Titillo Bonpensiero, Cosimo Zaccaria, Michele Zummo, Pasqualino Fichera – wyliczył komisarz.

– No to co?

– Wie pan, że trzech należy do tej samej rodziny, a tylko jeden do przeciwnej?

– Nie, nie wiem. I mogę pana zapewnić, że mam to absolutnie i głęboko gdzieś. Poglądy polityczne, wierzenia religijne, przynależność do stowarzyszeń nie są jeszcze, niestety, obiektem badań podczas sekcji zwłok.

– Dlaczego mówi pan: nie są jeszcze?

– Dlatego, że w moim przekonaniu już za parę lat wynajdzie się stosowne aparaty, które na podstawie dobrze przeprowadzonej autopsji pozwolą ustalić, co denat myślał o polityce. Ale może przejdziemy do rzeczy: o co panu chodzi?

– W przypadku tych czterech zabitych nie dostrzegł pan jakichś anomalii? Czy ja wiem...

– Co panu chodzi po głowie? Czy ja się zajmuję tylko pańskimi zwłokami i tylko nad nimi się zastanawiam? Mam na głowie całą prowincję Montelusa. Może pan tego nie wie, ale tutejsi trumniarze już wybudowali sobie willę na Malediwach.

Otworzył metalowe pudło z kartoteką, wyjął z niego cztery kartki, uważnie je przeczytał, trzy włożył z powrotem, a czwartą podał komisarzowi.

– Przypominam panu, że wierne kopie moich sprawozdań, które trzymam w tej kartotece, wysłałem w stosownym czasie do pańskiego biura w Vigacie.

Miało to znaczyć: dlaczego nie czytasz tego, co ci posyłam, tylko zanudzasz mnie tu, w Montelusie?

– Dziękuję i przepraszam – powiedział Montalbano, przeciągnąwszy wzrokiem po gęsto zapisanej kartce.

Kiedy jechał z powrotem do Vigaty, wściekłość, że ośmieszył się w oczach lekarza sądowego, buchała mu kłębami pary z nosa jak z nozdrzy rozdrażnionego na arenie byka.

– Mimi Augello, do mnie! Pospiesz się! – krzyknął, ledwo przestąpił próg swego gabinetu.

– O co ci chodzi? – spytał Augello w chwilę później, unikając wzroku komisarza.

– Chodzi, Mimi, o taką błahostkę: co robisz ze sprawozdaniami, które ci

przysłała doktor Pasquano? Pakujesz w nie ryby czy podcierasz sobie nimi tyłek?

– A jak myślisz?

– Czytasz je przynajmniej?

– Pewnie, że czytam.

– No to wyjaśnij: dlaczego nie chciało ci się powiedzieć mi o tym, co doktor napisał o zwłokach Titilla Bonpensiero?

– A cóż takiego napisał?

– Posłuchaj, zrobmy tak. Wynoś się do swego pokoju, przestudiuj jego sprawozdanie, a potem odwiedź mnie jeszcze raz. A ja tymczasem postaram się opanować. Inaczej nasza sprawa paskudnie się skończy.

Po powrocie do gabinetu przełożonego Augello miał twarz zarumienioną, za to rumieńce na twarzy komisarza już trochę zbladły.

– No i co? – spytał Montalbano,

– No i wał ze mnie – przyznał Mimi.

– Co do tego zgoda.

Mimi Augello nie zareagował.

– Pasquano wyraźnie podejrzewa – powiedział Montalbano – że skoro na miejscu było niewiele krwi, to Bonpensiero został zabity gdzie indziej, a potem przewieziony do Zingarelli i wrzucony w zarośla. Tam do niego strzelono, ale on już od paru godzin był martwy. Strzał z obrzynka z najbliższej odległości, między podbródek a pierś. Na dobrą sprawę czysty teatr, inscenizacja. Dlaczego? Pasquano uważa, że Bonpensiero został uduszony we śnie, a rana z obrzynka bynajmniej nie zdołała usunąć śladów duszenia, choć miała to na celu. No to, Mimi, co teraz przychodzi ci do głowy, kiedy już byłeś uprzejmy rzucić okiem na sprawozdanie?

– Jeżeli rzecz tak wygląda, myślę, że nie jest to zabójstwo takie, jak trzeba.

Montalbano popatrzył na niego życzliwie, ale udał zdumienie.

– Czasami, Mimi, poraża mnie twoja inteligencja! I co, i to już wszystko? Nie jest to zabójstwo takie, jak trzeba – i tyle?

– Może... – porwał się na wnioskowanie Augello, ale od razu umilkł. Miał otwarte usta, bo myśl, która mu przyszła do głowy, zaskoczyła przede wszystkim jego samego.

– Dalej, wykrztuś, co wymyśliłeś, przecież cię nie zjem.

– Może rodzina Sinagra z zabójstwem Bonpensiero nie ma nic wspólnego.

Montalbano wstał, podszedł do swego zastępcy, ujął w dłonie jego głowę i pocałował go w czoło.

– Sam widzisz, że wystarczy zażyć coś na przeczyszczenie i już po chwili mamy to, na co czekaliśmy.

– Przysłał pan swego człowieka, komisarzu, by mnie zawiadomić, że chce mnie pan widzieć w tych dniach, ale ja przybiegłem do pana od razu. Nie dlatego, że rozmijam się z prawem, ale dlatego, że odnosimy się do pana, i ojciec, i ja, z wielkim szacunkiem.

Don Lillino Cuffaro, zwalisty, owłosiony, z jednym okiem na stałe przymkniętym, byle jak ubrany, miał jednak, pomimo zaniedbanego wyglądu, jakiś dyskretny urok. Przywykł rozkazywać, władać i nie umiał tego w żaden sposób ukryć.

Montalbano na jego komplement nie odpowiedział ani słowem, jakby go nie usłyszał.

– Panie Cuffaro, wiem, że jest pan człowiekiem bardzo zajęтым, i dlatego nie zabiorę panu wiele czasu. Jak się czuje pani Mariuccia?

– Kto?

– Pani Mariuccia, córka pańskiego przyjaciela Di Stefano, wdowa po

Titillu Bonpensiero.

Don Lillino Cuffaro otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz zaraz je zamknął. Nie spodziewał się ataku z tej strony. Szybko się jednak pozbierał.

– Jak się ma czuć nieszczęśliwa kobieta? Nie dalej niż dwa lata temu wyszła za mąż, a już wykończyli jej męża, i to w tak okropny sposób...

– W jaki sposób? – spytał Montalbano z niewinną miną, godna baranka wielkanocnego.

– W jaki?... Mnie powiedzieli, że go zastrzelono – wycedził z wahaniem don Lillino.

Zorientował się, że kroczy po zaminowanym polu. A Montalbano milczał jak posąg.

– Nie tak było? – spytał Cuffaro.

Komisarz podniósł palec wskazujący i poruszał nim z prawa na lewo, tam i z powrotem. Ale wciąż nic nie mówił.

– A jak było?

Tym razem Montalbano raczył odpowiedzieć.

– Udusili go.

– Co mi pan opowiada! – obruszył się don Lillino. Ale najwyraźniej nie radził sobie z nową rolą.

– Jeśli panu mówię tak, jak mówię, to musi mi pan wierzyć – powiedział pogodnie komisarz. Pewnie już bawiła go ta scena.

Zapadła cisza. Montalbano przypatrywał się trzymanemu w ręce długopisowi, jakby to był zagadkowy przedmiot, który widzi po raz pierwszy w życiu.

– Ale Cosimo Zaccaria popełnił błąd, poważny błąd – podjął po chwili.

Odłożył długopis na biurko, jakby zrezygnował ze studiowania jego tajemnicy.

– A co tu ma do rzeczy ten poczciwiec Cosimo Zaccaria?

– Coś ma, coś ma.

Don Lillino poruszył się na krześle.

– A pańskim zdaniem, skoro już przy tym jesteśmy, jakież to poważny błąd mógł popełnić?

– Skoro już przy tym jesteśmy, pobłądził, zwalając to zabójstwo na Sinagrow. Bo Sinagrowie dali do zrozumienia każdemu, kto jest zdolny rozumieć, że z tą historią nie mają nic wspólnego. A ci drudzy, kiedy się przekonali, że Sinagrowie nie mają z tym nic wspólnego, przeprowadzili na własną rękę dochodzenie w swoim domu. I wykryli coś, co nie mogło wyjść na jaw, bo wystawiłoby ich na pośmiewisko. Proszę mnie poprawiać, kiedy będę się mylił, panie Cuffaro...

– Nie wiem, jak miałbym pana poprawiać w sprawie, o której...

– Pan pozwoli, że skończę. Otóż Mariuccia Di Stefano i Cosimo Zaccaria od dawna są kochankami. Umieją się tak urządzać, że nikt tego nie podejrzewa, ani w rodzinie, ani w mieście, jednakże... to tylko mój domysł... Titillo Bonpensiero coś wywęszył i nie przestaje węszyć dalej. Mariuccia wpada w popłoch, dogaduje się z kochankiem. Razem obmyślają plan, jak pozbyć się Titilla i zwalić winę na Sinagrow. Pewnej nocy, kiedy mąż mocno śpi, żona wstaje z łóżka i otwiera drzwi, a Cosimo Zaccaria wchodzi...

– Tyle mi wystarczy – powiedział nagle don Lillino, podnosząc rękę. Nie chciał dłużej słuchać tej historii.

Zdumiony Montalbano zobaczył przed sobą innego człowieka, niezwykle zmienionego. Don Lillino siedział wyprostowany, spojrzenie miał ostre jak nóż, twarz śmiałą i stanowczą: wreszcie był przywódcą.

– Czego się pan po mnie spodziewa?

– To wy zarządziliście zabójstwo Cosima Zaccarii, żeby zakończyć ten burdel w rodzinie.

Don Lillino niemal nie oddychał.

– W porządku. Spodziewam się, że morderca Cosima Zaccarii sam się zgłosi do komisariatu. Spodziewam się też, że i Mariuccia Di Stefano się stawi, bo jest współniczką zabójstwa męża.

– Oczywiście ma pan dowody na to wszystko, co mi pan powiedział.

Była to już ostatnia linia obrony, ale komisarz szybko ją przełamał.

– Trochę mam, trochę nie mam.

– Wobec tego po co pan mnie wezwał? Mogę wiedzieć?

– Tylko po to, by panu oznajmić, że mam zamiar zrobić coś znacznie gorszego niż przedstawianie panu dowodów.

– Co mianowicie?

– Od jutra zaczynam z wielkim hukiem dochodzenie w sprawie śmierci Bonpensiera i Zaccarii. Każdy mój krok będzie pokazywany w telewizji, rozpiszą się o tym gazety, będę zwoływał co drugi dzień konferencję prasową. Oczernię was, ośmieszę. W rodzinie Sinagra popuszczą w portki ze śmiechu, na ulicy będą chichotać na wasz widok. Obsmaruję was tak, że nie będziecie wiedzieli, gdzie się schować ze wstydu. Wystarczy, że zrelacjonuję przebieg wydarzeń, a utracicie szacunek wszystkich. Bo powiem, że w waszej rodzinie nie ma posłuchu, że popadliście w anarchię, że każdy, kto chce, pieprzy, kogo chce, mężatki i panny, że można już lekką ręką mordować, kiedy się chce i kogo się chce...

– Wystarczy – raz jeszcze powstrzymał go don Lillino.

Wstał, lekko się skłonił komisarzowi i wyszedł.

W trzy dni później Vittorio Lopresti z rodziny Cuffaro zgłosił się do komisariatu i oświadczył, że zabił Cosima Zaccarię, bo ten był jego współnikiem i zaczął oszukiwać w interesach.

Następnego ranka Mariuccia Di Stefano, ubrana na czarno, wyszła wcześniej z domu i szybkim krokiem podążyła na sam skraj zachodniego mola. Była sama, wielu ją zauważyło. I, jak opowiedział Pippo Sutura, naoczny świadek, doszła do latarni morskiej, przeżegnała się i skoczyła do morza. Pippo Sutura gotów był się za nią rzucić, żeby ją ratować, ale morze tego dnia było, jak się zaklinał, straszliwie wzburzone.

„Kazali jej to zrobić, nie miała innego wyjścia” – pomyślał Montalbano.

W mieście wszyscy byli przekonani, że Mariuccia Di Stefano zabiła się, bo nie mogła się pogodzić ze stratą ukochanego męża.

Miłość

Michela Prestia urodziła się w rodzinie, która z trudem wiązała koniec z końcem: matka sprzątała w ratuszu, a ojciec wynajmował się do sezonowych prac na roli, bo okaleczył go pozostały z czasów wojny ręczny granat. W miarę jak dorastała, stawała się prawdziwą pięknoscią; spłowiałe sukienki, jakie nosiła, niemal wystrzępione i dziurawe, ale czyściutkie, nie kryły wdzięcznych kształtów. Miała ciemne włosy, a oczy zawsze jaśniejące radością, chociaż życie jej nie pieściło. Sama nauczyła się czytać i pisać. Marzyła o pracy sprzedawczyni w supermarkecie, bo te wielkie sklepy ją urzekały. Kiedy miała piętnaście lat, była już dojrzałą kobietą i uciekła z domu. Chciała jeździć furgonetką z miasta do miasta razem z komiwojażerem, który sprzedawał naczynia kuchenne, sztucce, talerze i kieliszki. Po roku wróciła do rodziców, a oni przyjęli ją tak, jakby nic się nie wydarzyło, i nawet mieli jej ten powrót trochę za złe, bo było teraz o jedną osobę więcej do wykarmienia. Przez następne pięć lat wielu mężczyzn w Vigacie, żonatych i nieżonatych, brało ją sobie i porzucało albo ona porzucała ich, ale zawsze odbywało się to bez awantur i tragedii. Michela miała w sobie tyle żywotności, że to tłumaczyło ciągłe zmiany i czyniło je czymś naturalnym. W wieku dwudziestu dwóch lat przeniosła się do starego doktora Pisciotty, została jego utrzymanką, on zaś zasypywał ją pieniędzmi i prezentami. To piękne życie trwało tylko trzy lata, a kiedy doktor zmarł w jej ramionach, na Michelę rzucili się jak sępy adwokaci rodziny i odebrali to wszystko, co od niego dostała. Znowu była sama, uboga i postrzelona. Ale nie minęło nawet pół roku i poznała księgowego Saveria Moscato. Z początku wyglądało na to, że będzie to taka sama historia jak wszystkie

poprzednie, ale w mieście szybko się połapano, że tym razem sprawa wygląda całkiem inaczej.

Saverio Moscato pracował w cementowni, miał trzydzieści lat i dobra prezencję. Był bardzo przywiązany do rodziców, ojca inżyniera i matki nauczycielki łaciny, ale nie zawahał się z nimi rozstać, kiedy rodzice, zorientowawszy się, w czym rzecz, zaczęli mu wypominać związek z tą małą, która w mieście nie miała nieskalanej opinii. Nie usiłując nawet się tłumaczyć, Saverio wynajął mieszkanie w pobliżu portu i zamieszkał razem z Michelą. Żyli w dostatku, księgowy nie był zdany tylko na swoją pensję, bo po jednym z wujów odziedziczył ziemię i sklepy. Przede wszystkim jednak ludzie byli zdumieni zmianą, jaka zaszła w Micheli. W związkach z innymi była zawsze swobodna i niezależna, a teraz stało się tak, że nie widziała nikogo poza Saveriem, była mu ślepo oddana, zachowywała się, jak sobie życzył, nie próbowała się buntować. Co dziwniejsze, Saverio także się zmienił, stał się taki jak ona, spełniał wszystkie jej życzenia, nawet te wypowiedane nie słowami, tylko samym spojrzeniem. Kiedy wychodzili z domu na spacer albo do kina, szli tak ciasno w siebie wtuleni i objęci, jakby właśnie żegnali się ze sobą i już nigdy nie mieli się zobaczyć. Całowali się, gdzie tylko mogli i gdzie nie mogli.

– Nie myślcie sobie – powiedział mierniczy Smecca, który przez jakiś czas był kochankiem Micheli. – Zakochali się, lgną do siebie. Mnie się to podoba, jak chcecie wiedzieć. Dobrze by było, żeby to trwało, Michela zasłużyła sobie na to, bo to porządna dziewczyna.

Saverio Moscato, który dokonywał cudów i stawał na głowie, żeby nie ruszać się z Vigaty i nie zostawiać Micheli samej, musiał jednak pojechać służbowo w sprawach cementowni do Mediolanu i zatrzymać się tam dziesięć dni. Wyglądał na zrozpaczonego. Tak przynajmniej odbierał to jego

jedyny przyjaciel, Pietro Sanfilippo.

– Zwróć uwagę – pocieszał go przyjaciel – że dziesięć dni to nie wieczność.

– Dla mnie i Micheli to wieczność.

– No to dlaczego nie weźmiesz jej ze sobą?

– Nie chce jechać. Nigdy nie ruszała się z Sycylii. Mówi, że w takim wielkim mieście jak Mediolan całkiem się pogubi, chyba że ani na chwilę się nie rozstaniemy. A czy to możliwe? Będę musiał wysiadywać na naradach, mam służbowe spotkania.

Przez te wszystkie dni, kiedy Saverio był w Mediolanie, Michela nie wychodziła z domu, nikt jej nie widywał w mieście. Ale dziwniejsze było to, że po powrocie księgowego nikt ich już nie widział razem. Może kiedy siedziała tutaj sama, czekając na ukochanego, rozchorowała się albo popadła w depresję?

W miesiąc po powrocie Saveria Moscato z Mediolanu przyszła do komisarza Montalbano matka Micheli. Nie sprawiała wrażenia zaniepokojonej.

– Moja córka Michela nie dała mi tego miesiąca ani centa, a zawsze dawała.

– Dawała pani pieniądze?

– Pewnie, że mi dawała. Dwieście albo trzysta tysięcy lirów, tyle ile mogła. Zawsze była dobrą córką.

– Rozumiem. Tylko co ja tu mam do roboty? Czego pani się po mnie spodziewa?

– Wybrałam się do nich i zastałam w domu samego księgowego. Powiedział mi, że Michela już z nim nie mieszka. Kiedy wrócił z Mediolanu,

już jej nie było. Pokazał mi nawet wszystkie pokoje, żebym sama zobaczyła. Nic nie zostało po Micheli, żadnej sukienki, nawet żadnych, za przeproszeniem, majtek.

– Co jeszcze powiedział pani księgowy? Jak wytłumaczył jej zniknięcie?

– Nie umie tego wytłumaczyć. Mówi, że wiadomo, jaka Michela była, i że pewnie uciekła z jakimś mężczyzną. Ale ja w to nie wierzę.

– Dlaczego?

– Dlatego, że była zakochana w księgowym.

– Co ja tu mogę pomóc?

– A czy ja wiem?... Jak pan z nim porozmawia, może panu powie, co się naprawdę z nią stało.

Nie chcąc, żeby pytania, które zamierzał zadać księgowemu Moscato, wypadły jak przesłuchanie, Montalbano czekał na okazję, kiedy spotka go przypadkowo. I pewnego dnia, pod wieczór, wreszcie zastał go w kawiarni „Castiglione”. Saverio Moscato siedział sam i pił wodę z sokiem miętowym.

– Dzień dobry. Nazywam się Montalbano, jestem komisarzem.

– Znam pana. Dzień dobry.

– Chciałbym zamienić z panem dwa słowa.

– Proszę, niech pan usiądzie. Na co pan ma ochotę?

– Na lody. Zjadłbym cassate.

Moscato zamówił.

– Słucham pana, panie komisarzu.

– Czuję się skrepowany, proszę mi wybaczyć – powiedział Montalbano. – Przedwczoraj przyszła do komisariatu matka Micheli Prestii i oznajmiła, że jej córka zaginęła.

– Bo tak się stało.

– Może mi pan to wyjaśnić?

– Po co?

– Przecież mieszka pan z Michela Prestią, albo pan mieszkał, prawda?

– Nie o to mi szło. Pytałem, po co się pan tym interesuje.

– No cóż, zjawiała się u mnie jej matka...

– Ale Michela jest pełnoletnia, nie zaprzeczy pan. Może robić, na co ma ochotę, Odeszła ode mnie, i tyle.

– Pan wybaczy, ale chciałbym wiedzieć o tym coś więcej.

– Wyjeżdżałem do Mediolanu, a ona nie chciała jechać razem ze mną. Mówiła, że boi się takiego wielkiego miasta, że będzie jej tam źle. Teraz myślę, że to był pretekst. Chciała zostać sama, żeby uciec. W każdym razie przez pierwsze siedem dni, kiedy mnie tu nie było, dzwoniłiśmy do siebie co rano i po nocach. Ósmego dnia rano już mi odpowiadała rozdrażniona, twierdziła, że... że nie umie sobie radzić beze mnie. A już w nocy telefon nie odpowiadał. Jeszcze się tym nie przejmowałem, pomyślałem, że pewnie zażyła tavor i śpi w najlepsze. Ale rano następnego dnia było to samo, więc zacząłem się zastanawiać, co się mogło stać. Zatelefonowałem do mego przyjaciela Sanfilippa, żeby poszedł do nas i zobaczył, co się dzieje. Poszedł i oddzwonił, że mieszkanie jest zamknięte, że długo i mocno pukał, ale nic to nie dało. Pomyślałem, że może coś jej się stało, że się rozchorowała. Wtedy poprosiłem ojca, któremu przed wyjazdem powierzyłem zapasowe klucze, żeby koniecznie tam zajrzał. Otworzył drzwi. Po Micheli nie pozostał najmniejszy ślad. Zabrała wszystko, co do niej należało. Nawet szminkę.

– I co pan zrobił?

– Chce pan wiedzieć? Zależy panu na tym? Rozpłakałem się.

Dlaczego jednak, gdy mówił o ucieczce ukochanej dziewczyny, o swoim żalu i płaczu, w jego oczach nie było smutku? Przeciwnie, lśniło w nich jak gdyby zadowolenie, że tak się stało. Starał się oczywiście mieć wyraz twarzy stosowny do okoliczności, ale zupełnie mu się to nie udawało. Spod popiołu, którego warstwą chciał przesłonić spojrzenie, wydobywały się niechciane radosne płomyki.

– Komisarzu kochany – westchnął Pietro Sanfilippo – co ja mogę panu powiedzieć? Czuję się zawiedziony. Sam pan zrozumie dlaczego. Kiedy Saverio wracał z Mediolanu, wziąłem sobie trzy dni urlopu. Może pan spytać o to u mnie w biurze, gdyby mi pan nie wierzył. Myślałem, że po ucieczce Micheli będzie zrozpaczony, zamierzałem nie odstępować go na krok, bałem się, że zrobi jakieś głupstwo. Tak bardzo się kochali! Poszedłem na dworzec, a on wysiadł z pociągu pogodny i beztroski jak nowo narodzony. Spodziewałem się łez, żalów, a tymczasem...

– Tymczasem?

– Kiedy jechaliśmy autem z Montelusy do Vigaty, zaczął podśpiewywać. Zawsze lubił operę, ma piękny tembr głosu. Śpiewał sobie: „Ty, co ku Bogu rozpostarłaś skrzydła”. Mnie to zmroziło, byłem wstrząśnięty. Wieczorem poszliśmy na kolację. Jadł z apetytem, był rozluźniony, nie poruszał w rozmowie przykrych tematów. Więc już następnego dnia wróciłem do biura.

– Nie rozmawialiście o Micheli?

– Ani słowem! Tak jakby tej kobiety nigdy nie było w jego życiu.

– Wiedział pan o jakichś kłótniach między nimi, o jakimś sporze?

– Gdzież tam! Zawsze tylko miłość i zgoda!

– Ktoś był o kogoś zazdrosny?

Na to pytanie Pietro Sanfilippo nie miał gotowej odpowiedzi. Myślał przez chwilę.

– Ona nigdy nie była zazdrosna. On może tak, ale na swój sposób.

– Co pan ma na myśli?

– To, że nie był zazdrosny o nic aktualnego, tylko o przeszłość Micheli.

– Paskudna sprawa.

– Oj, tak! Najgorszy rodzaj zazdrości, na taką nie ma lekarstwa! Któregoś wieczoru, kiedy był w szczególnie ponurym nastroju, powiedział zdanie, które wryło mi się mocno w pamięć: „Wszyscy dostawali od Micheli wszystko, a mnie już nie może dać nic nowego, nic, co by nie było przez kogoś tknięte”. Chciałem mu odpowiedzieć, że jeśli tak podchodzi do sprawy, nie powinien był wybierać sobie dziewczyny z przeszłością. Ale uznałem, że lepiej się nie odzywać.

– Pan, panie Sanfilippo, przyjaźnił się z Saveriem, zanim on poznał Michelę, prawda?

– Tak, jesteśmy w tym samym wieku, znamy się od szkoły powszechnej.

– Proszę mi odpowiedzieć po namyśle. Jeśli okres związku z Michelą uznamy za osobny epizod w jego życiu, to czy teraz pański przyjaciel jest inny, niż był dawniej?

Pietro Sanfilippo zmarszczył się i zastanowił.

– Saverio nigdy nie był otwarty, nigdy nie dzielił się tym, co czuje. Mówi mało, często dokucza mu melancholia. Tylko w tym czasie, kiedy mieszkał z Michelą, widać było, że jest szczęśliwy. Teraz stał się jeszcze bardziej zamknięty. Unika nawet mnie, a niedziele spędza na wsi.

– Ma dom na wsi?

– Tak, ma. Koło Belmonte, w prowincji Trapani; wuj mu ten dom zostawił w spadku. Dawniej nawet tam nie zaglądał. Ale ciekaw jestem jednego... nie

wiem, czy pan mi odpowie...

– Jeśli potrafię, odpowiem.

– Dlaczego tak się pan interesuje zniknięciem Micheli?

– Przyszła do mnie w tej sprawie jej matka.

– Matka? Matce nie chodzi o Michelę, tylko o tych parę lirów, jakie jej dawała.

– To przecież wystarczający powód, żeby chcieć coś wiedzieć.

– Panie komisarzu, nie jestem naiwny. Pan mnie pyta raczej o Saveria niż o Michelę.

– Będę szczery. Tak, mam pewne podejrzenia.

– Jakie?

– Odnoszę wrażenie, że pański przyjaciel Saverio spodziewał się tego, co zaszło. Chyba nawet znał mężczyznę, z którym Michela uciekła.

Pietro Sanfilippo połknął haczyk. Montalbano pogratulował sobie, że przyszła mu do głowy tak wiarygodna odpowiedź. Nie mógł mu przecież powiedzieć, że zastanowiło go i zaniepokoiło spojrzenie Saveria, to żywe lśnienie w głębi jego oczu.

Nie chciał do tej sprawy wciągać żadnego ze swoich agentów, bał się, że wyda im się śmieszny. Dlatego postanowił sam przesłuchać lokatorów kamienicy, w której mieszkał Saverio Moscato. W tym dochodzeniu wszystko było wątle, a nawet nieuchwytnie, właściwie nie było to żadne dochodzenie, tylko sam punkt wyjścia, delikatny jak koronka, jak pajęczyna. Jeśli rzeczywiście było tak, jak mu opowiedział Moscato – że Michela rano odebrała telefon, a w nocy już się nie odezwała – to musiała tego dnia opuścić dom. Ktoś mógł coś widzieć. Kamienica miała pięć pięter. Komisarz skrupulatnie zaczął od ostatniego. Na każdym piętrze były cztery mieszkania.

Nikt niczego nie widział, nikt niczego nie słyszał. Księgowy Moscato mieszkał na pierwszym piętrze pod numerem ósmym. Rozczarowany komisarz zadzwonił do mieszkania numer pięć. Na drzwiach była tabliczka z nazwiskiem „Maria Costanzo-Diliberto”. Otworzyła mu pewnie ona – schludna staruszka o bystrych, przenikliwych oczach.

– W jakiej sprawie?

– Nazywam się Montalbano. Jestem komisarzem.

– Kim pan jest?

Pani Diliberto najwyraźniej była kompletnie głucha.

– Jest ktoś w domu? – krzyknął Montalbano.

– Czemu pan tak krzyczy? – zapytała oburzona staruszka. – Nie jestem jeszcze głucha.

Zwabiony głosami przy drzwiach, z głębi mieszkania wyłonił się czterdziestoletni mężczyzna.

– Proszę rozmawiać ze mną, to moja matka.

– Mogę wejść?

Syn zaprowadził komisarza do saloniku, a staruszka usiadła w fotelu naprzeciw.

– Ja tu nie mieszkam, zajrzałem tylko do mamy – wyjaśnił niepytany.

– Jak państwo pewnie wiecie, panna Michela Prestla, która mieszkała pod ósmym z księgowym Saveriem Moscato, wyszła z domu, kiedy Moscato był w Mediolanie, nikogo nie uprzedzając. Musiało się to zdarzyć między szóstym a szesnastym maja.

Staruszka zaczęła okazywać zniecierpliwienie.

– O czym mówicie, Pasquale? – zapytała syna.

– Poczekaj – powiedział Pasquale Diliberto, nie podnosząc głosu.

Widocznie matka umiała odczytywać słowa z ruchu warg.

– Chciałem zapytać, czy pana matka wtedy czegoś przypadkiem nie zauważyła...

– Już rozmawiałem o tym z mamą. Nie, nie wie nic o zniknięciu Micheli.

– Wcale nie. Wiem coś – powiedziała starszka. – Widziałam tamtego. Przecież ci o tym mówiłam. A ty mu opowiadasz, że nie wiem.

– Kogo pani widziała, proszę pani?

– Panie komisarzu, muszę pana uprzedzić – wtrącił się syn – że moja matka nie tylko jest głucha, ale, co gorsza, z jej głową też nie wszystko wydaje się w porządku.

– Z głową nie w porządku?! Z moją głową?! – krzyknęła wdowa Diliberto, zrywając się energicznie z fotela. – Ty zakało! Taki z ciebie wyrodny syn, że mnie oczerniasz przed obcymi?

I wyszła, trzaskając drzwiami.

– Proszę mi powiedzieć, co pan wie – powiedział twardym tonem Montalbano.

– Trzynastego maja mama ma urodziny. Wieczorem przyjechaliśmy z żoną, zjedliśmy kolację, pokroiłem tort, wypiliśmy po kieliszku, może po dwa, szampana. O jedenastej wróciliśmy do domu. A mama nie mogła zasnąć. Może przez tort, może przez ten kieliszek, a może po prostu się przejadła, bo wciąż jeszcze lubi jeść. O trzeciej nad ranem przypomniała sobie, że nie wyniosła śmieci. Otworzyła drzwi, żarówka na podeście nie świeciła się, widocznie była przepalona. Twierdzi, że pod drzwiami do ósemki, do mieszkania naprzeciwko, zobaczyła mężczyznę z wielką walizką. Wydało się jej, że jest podobny do księgowego Moscato. Ale ja jej powtarzam: „Nie pleć, na Boga! Księgowy nie mógł wrócić z Mediolanu trzy dni wcześniej”.

– Panie komisarzu – powiedział Angelo Liotta, dyrektor cementowni – sprawdziłem to, o co pan mnie prosił. Księgowy Moscato, zgodnie z przepisami, załączył do rozliczenia delegacji wszystkie rachunki i bilety. Wynika z tego, że wyleciał w niedzielę z palermiańskiego lotniska o osiemnastej trzydzieści bezpośrednio do Mediolanu. Miał zarezerwowany pokój w hotelu „Excelsior”, gdzie przebywał do osiemnastego, a potem o siódmej trzydzieści miał samolot do Palermo z lotniska w Linate. Z tego, co wiem, uczestniczył we wszystkich zebraniach i naradach. Odbył też wszystkie spotkania służbowe. Po to został tam wysłany. Jeśli ma pan jeszcze jakieś pytania, jestem do pańskiej dyspozycji.

– Dziękuję. Chyba to wystarczy.

– Mam nadzieję, że mój pracownik, zwłaszcza taki jak księgowy Moscato, którego szczególnie cenię za sumienność, nie został wpłątany w jakąś przykrą sprawę?

– Ja także mam taką nadzieję – odparł Montalbano, żegnając się.

Kiedy dyrektor wyszedł z gabinetu, komisarz wziął kopertę ze wszystkimi załącznikami dotyczącymi podróży służbowej księgowego Moscato i schował ją do szuflady, nawet nie zaglądając do środka.

Tym gestem jak gdyby pożegnał się ze swoim dochodzeniem, które na dobrą sprawę nigdy się nie zaczęło.

W sześć miesięcy później odebrał telefon. Początkowo nie mógł się zorientować, kto dzwoni.

– Z kim rozmawiam? Przepraszam, że pytam.

– Tu Angelo Liotta. Pamięta mnie pan? Dyrektor cementowni. Kiedyś wezwał mnie pan, żeby się dowiedzieć...

– Tak, tak, pamiętam doskonale. Słucham pana.

– Chodzi o to, że właśnie porządkujemy tegoroczne rozliczenia i chciałbym dostać z powrotem te załączniki, które panu zostawiłem.

O co mu chodzi? Komisarz dopiero po chwili przypomniał sobie o kopercie z rachunkami i biletami, której nawet nie otworzył.

– Jeszcze dziś wszystko panu odeślę.

Żeby nie zapomnieć, od razu wyjął kopertę z szuflady i położył na biurku. Ale, sam nie wiedząc dlaczego, po chwili rozciął ją, rzucił okiem na rachunki i włożył je z powrotem do koperty. Rozsiadł się wygodnie w fotelu, zamknął oczy. Zastanowił się. Wyjął rachunki z powrotem, ułożył je na biurku zgodnie z datami, jeden obok drugiego. Pierwszy, po lewej, nosił datę czwarty maja i poświadczał zapłatę za pełny bak benzyny, ostatni po prawej był to bilet kolejowy, z datą siedemnasty maja, wystawiony na przejazd z Palermo do Montelusy. Na pewno coś się tu nie zgadzało. Chyba było tak, jak wynikało z rachunków. Księgowy Moscato wyjechał samochodem z Vigaty na lotnisko, a po zakończeniu podróży służbowej powrócił do Vigaty pociągiem. O tym, że wrócił pociągiem, mówił zresztą jego przyjaciel Pietro Sanfilippo. Pojawiało się zatem pytanie proste tak drut: kto odwiózł samochód księgowego z lotniska do Vigaty, kiedy ten przebywał w Mediolanie?

– Pan Sanfilippo? Tu Montalbano. Chcę pana o coś zapytać. Kiedy Saverio Moscato jechał na lotnisko do Palermo, żeby udać się do Mediolanu, pojechał pan razem z nim?

– Widzę, panie komisarzu, że nie wychodzi panu z głowy tamta historia. Wie pan, czasami ktoś z miejscowych wraca do Vigaty i mówi, że widział Michelę w Mediolanie albo w Paryżu czy nawet w Londynie. A na pana pytanie mogę odpowiedzieć: nie, nie tylko nie jeździłem z Saveriem na lotnisko, ale też mam pewność, że jest pan na złym tropie. Jeżeli Saverio

wrócił pociągiem, to dlaczego miałyby jechać do Palermo samochodem? Michela także nie mogła mu wtedy towarzyszyć, bo nie miała prawa jazdy, więc nie odstawiłaby auta z powrotem.

– A jak się teraz czuje pański przyjaciel?

– Saverio? Dawno go nie widziałem. Zwolnił się z cementowni, wyprowadził się stad.

– Dokąd? Wie pan?

– Naturalnie, że wiem. Mieszka teraz na wsi, w swoim domu w prowincji Trapani, w Belmonte. Chciałem go kiedyś odwiedzić, ale dał mi do zrozumienia...

Komisarz już go nie słuchał. Belmonte – powiedział Sanfilippo. Rachunek za benzynę miał u góry po prawej stronie nadruk: „Stacja benzynowa Pagano-Belmonte (TR)”.

Zatrzymał się na tej właśnie stacji, żeby zapytać, jak ma dojechać do księgowego Moscato. Wskazano mu drogę. Podjechał pod skromny piętrowy domek, stojący samotnie na odludziu. Mężczyzna, który podszedł, żeby otworzyć furtkę, tylko z grubsza przypominał tamtego Saveria Moscato, którego komisarz znał. Był zaniedbany, ubrany w byle co, nosił długą brodę. Dopiero po chwili rozpoznał komisarza.

W jego oczach, w które komisarz wnikliwie się wpatrywał, nie było śladu dawnego błysku. Była w nich już tylko ciemna warstwa popiołu. Zaprowadził komisarza do bardzo biednie urządzonej jadalni.

– Przejeżdżałem tędy – zaczął Montalbano.

Ale umilkł. Moscato jak gdyby o nim zapomniał. Przyglądał się swoim rękom. Przez okno widać było ogród ciągnący się za domem: same kwiaty, głównie róże, wiele krzewów i drzew. Oaza zieleni, dziwnie różniąca się od

reszty całkiem zaniedbanego terenu. Komisarz wstał z fotela, wyszedł do ogrodu. Pośrodku leżał wielki biały kamień, ogrodzony jak klomb i obrośnięty gęsto polnymi różami. Montalbano pochylił się nad niskim ogrodzeniem, ręka dotknął kamienia. Księgowy także wyszedł na dwór. Montalbano czuł, że stanął tuż za nim.

– Tu ją pan pochował, prawda? – zapytał spokojnie, nie podnosząc głosu.

Równie spokojnie odpowiedział mu Moscato. Tej odpowiedzi komisarz się spodziewał – i obawiał.

– Tak.

– W piątek po południu Michela poprosiła, żebyśmy przyjechali tutaj, do Belmonte.

– Nigdy tu wcześniej nie była?

– Była tylko raz, podobało jej się to miejsce. Nie umiałem jej odmówić. Spełniałem każde jej życzenie. Zamierzaliśmy tu spędzić całą sobotę, a w niedzielę rano miałem ją odwieźć do Vigaty i po południu jechać pociągiem do Palermo. Dzień był wspaniały, nigdy nie przeżyliśmy takiego pięknego dnia jak ta sobota. Wieczorem, po kolacji, poszliśmy szybko do łóżka, kochaliśmy się, a potem paliliśmy i rozmawiali.

– O czym?

– W tym rzecz, panie komisarzu. Rozmawialiśmy o tym, o czym chciała rozmawiać Michela.

– To znaczy o czym?

– Trudno to ująć. Zawsze jej wyrzucałem... Nie, wcale jej tego nie wyrzucałem, źle się wyraziłem... Zawsze smutno mi było, że ona po tym swoim wcześniejszym życiu już nie była w stanie dać mi czegoś, czego nie dawała innym.

– Przecież i pan tak samo w stosunku do Micheli...

Saverio Moscato rzucił okiem na komisarza, całkiem zagubiony. W jego oczach był tylko popiół.

– Ja? Ja przed Michela nie miałem żadnej kobiety.

Montalbano poczuł się zażenowany, sam nie potrafiłby sobie wyjaśnić dlaczego.

– W pewnej chwili Michela wyszła do łazienki. Była tam może pięć minut i wróciła. Uśmiechała się. Położyła się znowu obok, objęła mnie mocno jak nigdy i powiedziała, że może mi dać coś, czego inni nigdy od niej nie dostali i nigdy nie mogli mieć. Spytałem, co to takiego, ale ona wolała się znów kochać. A potem powiedziała, że daje mi swoją śmierć. Zażyła truciznę.

– I co pan zrobił?

– Nic, panie komisarzu. Tylko ująłem jej dłonie w swoje. I nie odrywaliśmy od siebie oczu. Szybko to poszło. Pewnie niewiele cierpiała.

– Niech się pan nie łudzi. I niech pan nie pomniejsza tego, co Michela dla pana zrobiła. Po zażyciu trucizny na pewno się cierpi!

– W nocy wykopałem grób i położyłem ja tam, gdzie teraz leży. Wyjechałem do Mediolanu. Czułem się zrozpaczony i szczęśliwy – czy może mnie pan zrozumieć? Któregoś dnia zebrania skończyły się wcześniej, nie było jeszcze piątej. Przyleciałem do Palermo i autem, które miałem na parkingu przy lotnisku Punta Raisi, wróciłem do Vigaty. Nie spieszyłem się, nie chciałem, żeby mnie ktoś zobaczył. Wrzuciłem do walizki jej rzeczy, wszystko, co miała, i wyniosłem z mieszkania. Mam to tutaj, na piętrze, w sypialni. Kiedy ruszyłem stąd z powrotem na Punta Raisi, samochód zgasł i nie chciał zapalić. Wepchnąłem go w krzaki i dojechałem na lotnisko taksówką z Trapani, ledwo zdążyłem na pierwszy samolot do Mediolanu. Wróciwszy do Palermo, dojechałem do Vigaty pociągiem. W pierwszych

dniach byłem uszczęśliwiony, wciąż żyłem w uniesieniu, myśląc o tym, na co Michela się dla mnie zdobyła. Dlatego przeniosłem się tutaj na stałe. Chciałem cieszyć się tym moim szczęściem tylko z nią. Ale potem...

– Potem? – spytał komisarz.

– Potem jednej nocy nagle się obudziłem i nie wyczułem przy sobie Micheli. A wcześniej, kiedy zamykałem oczy, zdawało mi się, że słyszę jej oddech, że śpi. Wołałem ją, szukałem po całym domu. Ale jej nie było. Wtedy zrozumiałem, że to jej poświęcenie miało za wielką cenę, że dar był za drogi.

Rozpłakał się. Nie szlochał, tylko łzy spływały mu w ciszy po policzkach.

Montalbano patrzył na jaszczurkę, która wdrapała się na biały kamień nagrobny i nieruchoma wygrzewała w słońcu.

Olbrzymka zawsze uprzejmie uśmiechnięta

Doktor Saverio Landolina, poważny i szanowany ginekolog z Vigaty, chociaż już przekroczył pięćdziesiątkę, stracił głowę dla dwudziestoletniej Mariucci Coglitore. Zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia. Wcześniej rodzice Mariucci znaleźli dla niej innego lekarza, dziewięćdziesięcioletniego profesora Gambardellę, którego podeszły wiek stanowił niezawodną gwarancję, że intymne badania będą się odbywały z absolutnym poszanowaniem doktryny o obowiązkach lekarskich, zwanej deontologią. Profesor Gambardella padł jednak na placu boju: ściął go z nóg zawał serca, a śmierć przyłapała go, by tak rzec, na gorącym uczynku, bo podczas badania przerażonej pacjentki.

Doktora Landolinę wybrano dla Mariucci po zwołaniu konsylium rodzinnego, rozszerzonego o krewnych drugiego stopnia. Rodzina Coglitore razem z kuzynami Gradasso, Panzeca i Tuttolomondo stanowiła na tle innych mieszkańców Vigaty rodzaj katolickiej wspólnoty integrystycznej, która narzuciła sobie własne reguły postępowania, takie jak codzienne wysłuchiwanie mszy porannej, wieczorna modlitwa z odmawianiem różańca i radykalne odrzucenie gazet, radia i telewizji. Na rodzinnej naradzie nie przeszła kandydatura doktora Angela La Licaty z Montelusy („Zdradza żonę, co będzie, jak zarazi Mariuccię swoimi nieczystymi łapami?”), jego kolegi, Michele Severina, także z Montelusy („Chyba żarty sobie stroicie? Nie ma nawet czterdziestki”), doktora Calogera Giarrizzo z Feli („Ktoś widział, jak kupował magazyn pornograficzny”), do wzięcia pozostał więc tylko Saverio Landolina, którego jedyną wadą było to, że mieszka tak jak Mariuccia

w Vigacie, toteż mała, spotykając go przypadkiem na ulicy, mogłaby się rumienić. Co do reszty, to o doktorze Landolinie nie dało się powiedzieć złego słowa. Był sekretarzem miejscowego oddziału Partii Demokracji Chrześcijańskiej i od dwudziestu pięciu lat wiernym mężem Antonietty Palmisano, kobiety olbrzymiej, ale zawsze uprzejmie uśmiechniętej, mimo że Pan nie zechciał obdarzyć tej pary potomstwem. O lekarzu nikt nigdy nie plotkował, nikt nie miał mu nic do zarzucenia.

Aż do chwili, kiedy Mariuccia, wstawszy z krzesła naprzeciw jego biurka, poszła za parawan, żeby się rozebrać. Bo do tej chwili w sercu ginekologa nie odezwało się nic szczególnego. Drobną dziewczyną w okularach, która rumieniąc się, odpowiadała monosylabami na jego pytania, była całkiem bez wyrazu. Ale kiedy Mariuccia w skromnej czarnej halce i bez okularów (odruchowo zdejmowała okulary, kiedy się rozbierała) wyszła zza parawanu i już cała, od stóp do głów, zarumieniona ze wstydu położyła się na fotelu, w sercu pięćdziesięcioletniego Landoliny odezwała się znienacka oszłamiająca symfonia, jakiej żaden rozsądny kompozytor nie ośmieliłby się nigdy stworzyć. Do galopującego dźwięku setek bębnow dołączyły wysokim tonem samotne skrzypce, a z rykiem tysiąca trąb kontrastowała płynna gra dwóch fortepianów. Doktor Landolina cały drżał, a nawet wibrował, kiedy położył rękę na Mariucci, a zwłaszcza kiedy majestatyczne organy rozpoczęły swój solowy popis i poczuł, że ciało dziewczyny wibruje unisono z jego ciałem, poddając się rytmowi tej samej muzyki.

Pani Concetta Coglitore, z domu Sicurella, która przyprowadziła córkę i czekała w saloniku na zakończenie wizyty, przypisała dziewczęcemu skrepowaniu przesadnie pąsową tonację policzków i gorączkowe lśnienie oczu Mariucci, która weszła do gabinetu panienką, a po godzinie wyszła dojrzałą kobietą.

Landolina i Mariuccia bawili się w lekarza przez okrągły rok. Po każdej

wizycie Mariuccia wychodziła do czekającej na nią matki coraz bardziej promienna i urocza, gdy tymczasem Angela Lo Porto, pielęgniarka doktora, od dwudziestu lat w nim zakochana, stawała się z dnia na dzień coraz bardziej chuda, ponura i milcząca.

– Co nowego? – spytał Salvo Montalbano, wchodząc do biura o dziesiątej rano, ostatniego maja, w poniedziałek, kiedy upały były już takie jak w połowie sierpnia. Komisarzowi tego dnia skwar dokuczał szczególnie, bo sobotę i niedzielę spędził na wsi u swego przyjaciela, Nicolo Zito, gdzie mógł się rozkoszować rześkim i czystym powietrzem.

– Znaleźli samochód doktora Landoliny – odpowiedział Fazio.

– Ukradli mu samochód?

– Nie, komisarzu. Wczoraj rano przyszła do nas pani Landolina i z płaczem zgłosiła nam, że mąż nie wrócił na noc do domu. Przez cały dzień prowadziliśmy poszukiwania, i nic. Przepadł na amen. A dziś rano, o świcie, rybak zobaczył samochód na skałach przyłądka Russello. Spadł w przepaść i rozbił się. Na miejsce pojechał wicekomisarz Augello. Przed chwila zadzwonił: to samochód doktora.

– Nieszczęśliwy wypadek?

– Chyba nie – powiedział Mimi Augello, wchodząc do gabinetu komisarza. – Szosa biegnie tam dość daleko od krawędzi przepaści. Musiał więc zjechać specjalnie. Nie doszłoby do tego, gdyby tylko stracił panowanie nad kierownicą. Skręcił, bo chciał spaść w dół.

– Możliwe, że popełnił samobójstwo?

– Nie da się tego inaczej wyjaśnić.

– W jakim stanie są zwłoki?

– Jakie zwłoki?

– Mimi, opowiadasz mi, że Landolina się zabił, no nie?

– Tak, to prawda. Tyle że przy uderzeniu o skałę na dole drzwi się otworzyły, a ciała w środku nie ma, prawdopodobnie spadło do morza. Ktoś miejscowy powiedział, że na pewno prądy poniosą je w stronę plaży w Santo Stefano. Za parę dni tam się znajdzie.

– Zobaczymy. Zajmuj się tym dalej.

Wieczorem Mimi Augello złożył komisarzowi raport. Nie znalazł żadnego uzasadnienia dla samobójstwa lekarza. Landolina był zdrowy, nie miał długów (co więcej, był zamożny, posiadał ziemię w rodzinnym Comiso, podobnie jak żona), nie miał nałogów, nie można go było szantażować. Wdowa...

– Nie nazywaj jej wdową, póki nie znajdziesz ciała – przerwał mu Montalbano.

– ...pani Landolina całkiem straciła głowę, nic z tego nie rozumie, upiera się, że to nieszczęście spowodował nagły zawał serca.

– Zajrzałem do jego kalendarza – powiedział komisarz. – Nie znalazłem nic, na ten dzień nic sobie nie zapisał. Jutro porozmawiam z pielęgniarką, która na wiadomość o nieszczęściu źle się poczuła i poszła do domu. Ale nie sądzę, żeby miała coś do powiedzenia.

A jednak pielęgniarka Angela Lo Porto miała wiele do powiedzenia i nie zawahała się tego zrobić następnego ranka, kiedy niewzywana zjawiła się w komisariacie.

– Wszystko tu jest jasne – zaczęła.

– Co takiego?

– Wszystko. Samochód na skałach, zwłoki, których nie ma. Doktor wcale się nie zabił, tylko został zabity.

Montalbano popatrzył na nią. Podkrążone oczy, pożółkła cera, rozbiegane spojrzenie. Wyczuwał jednak, że nie ma przed sobą mitomanki.

– A kto miałby go zabić?

– Ignazio Coglitore – odpowiedziała bez wahania Angela Lo Porto.

Montalbano nadstawił ucha. Ignazio Coglitore i jego dwaj synowie bynajmniej nie byli osobnikami o podejrzanym moralności, nie skompromitowali się związkami z mafią czy nielegalnym handlem. Lecz wszystkim w mieście znany był fanatyzm religijny panujący w ich rodzinie. A komisarz instynktownie nie ufał fanatykom. Uważał, że są zdolni do wszystkiego.

– A dlaczego miałby to zrobić?

– Doktor tak leczył jego córkę Mariuccię, że zaszła w ciążę.

Komisarzowi nie trafiło to do przekonania. Pomyślał, że chyba pomylił się co do pielęgniarki, pewnie była jedną z tych, co lubią fantazjować.

– Ktoś pani o tym powiedział?

– Moje oczy – powiedziała Angela Lo Porto.

Komisarz spojrział na nią. Ta kobieta mówiła prawdę.

– Proszę mi opowiedzieć o wszystkim po kolei.

– Gdzieś rok temu zatelefonowała matka tej Mariucci i zamówiła dla niej wizytę u doktora. Tego dnia przyszedłam do gabinetu późno. Mieszkam w Montelusie, autobus się popsuł, a nie mam samochodu. Kiedy weszłam, ta mała siedziała już u doktora, przed jego biurkiem. Wie pan, jak ten nasz gabinet wygląda?

– Nie wiem.

– Wchodzi się do wielkiego przedpokoju, potem są dwa małe saloniki. Na końcu jest właściwy gabinet lekarski, obok łazienka i pokój dla pielęgniarki. Tamtego dnia poszłam prosto do swego pokoju i włożyłam fartuch. Ale był

to taki pechowy dzień, kiedy człowiekowi się nie wiedzie. Fartuch rozpruli w pralni i musiałam go najpierw zeszyć. Kiedy w końcu weszłam do gabinetu...

Ucichła, zaschło jej w gardle.

– Przyniosę pani szklanekę wody...

Nie słuchała komisarza. Myślami była gdzie indziej. Wspominała to, co wtedy zobaczyła.

– Kiedy weszłam do gabinetu – ciągnęła dalej – już się to zaczęło. Doktor był goły. Ubranie rozrzucił byle jak po posadzce.

– Wydało się pani, że ją gwałci?

Z ust Angeli Lo Porto wydobył się dziwny odgłos, jakby uderzały o siebie dwa kawałki drewna. Montalbano zrozumiał, że pielęgniarka się śmieje.

– Panie komisarzu! Obejmowała go, była zachwycona!

– Znali się wcześniej?

– Nigdy przedtem tu nie była. Wtedy przyszła na pierwszą wizytę.

– I co dalej?

– Dalej? Co mogło być dalej? Nie widzieli mnie, nie widzieli niczego. Dla nich byłam jak powietrze. Wróciłam do pokoju i rozpłakałam się. Potem doktor do mnie zapukał. Już byli ubrani. Odprowadziłam Mariuccię do matki i wróciłam. Zanim wezwałam następną pacjentkę, musiałam wymyć fotel ginekologiczny. Wie pan, o czym mówię?

– Nie.

– Ta suczka była dziewczicą.

– A co doktor? Nic pani nie mówił? Nie wyjaśniał, nie tłumaczył się?

– Słowem się nie odezwał! Jakby nic się nie stało.

– I to było ich jedyne spotkanie?

Znowu dwa kawałki drewna zadudniły o siebie.

– Widywali się co dwa tygodnie. – Ta kurewka była zdrowa jak ryba, ale doktor wymyślił jej chorobę, żeby mogła przychodzić na wizytę dwa razy w miesiącu.

– A co pani robiła, kiedy oni...

– Co miałam robić? Szłam do swojego pokoju popłakać.

– Wybaczy pani, że spytam. Była pani zakochana w doktorze?

– Nie widać tego? – powiedziała pielęgniarka, zbliżając do komisarza zmęczona twarz.

– A między panią a nim nigdy do czegoś takiego nie doszło?

– Gdyby doszło, to dziś byłby żywy!

I nagle zaczęła szlochać, przyciskając chusteczkę do ust. Po chwili pozbierała się. Była mocną kobieta.

– W połowie kwietnia – mówiła dalej – suczka wbiegła do gabinetu, jakby wygrała los na loterii. Wyszłam do siebie, ale jeszcze usłyszałam, jak do niego mówi: „Co z ciebie za ginekolog? Do dziś nie zauważyłeś, że jestem w ciąży?” To mną wstrząsnęło, panie komisarzu. Zatrzymałam się, popatrzyłam na niego: stał jak słup soli. Chyba wreszcie zrozumiał, w co się wpakował. Weszłam do pokoju, ale nie domknęłam za sobą drzwi. I usłyszałam, co ta nieszczęsna idiotka chciała zrobić. Nie zgadłby pan! Chciała powiedzieć o wszystkim ojcu, bo wtedy doktor musiałby zostawić żonę i ożenić się z nią! Ale doktor miał już swój plan. Kazał jej trochę poczekać z tą rozmową z ojcem. Powiedział, że musi wcześniej przygotować żonę do rozwodu. A potem naturalnie zabawiali się jak zwykle.

– I wtedy widzieli się po raz ostatni?

– Gdzież tam! Nie dalej niż pięć dni temu była w gabinecie. Najpierw się zabawiali, a potem rozmawiali. Doktor powiedział, że już sobie zaplanował,

jak rozwiązać sprawę z żoną, i że żona na pewno go zrozumie. Ale, zaręczam, nie mówił prawdy, tylko mącił jej w głowie, żeby nie zrobiła jakiegoś głupstwa. Chciał jakoś z tego wybrnąć, lecz ciągle był roztargniony i przygnębiony.

– I pani podejrzewa, że tym rozwiązaniem miało być samobójstwo?

– Pan chyba żartuje? Doktorowi nie mogłoby przyjść do głowy, żeby się zabić. Niemożliwe, za dobrze go znałam! Widocznie ta kretynka powiedziała o wszystkim ojcu, a Ignazio Coglitore uznał, że nie ma na co czekać.

Kiedy pielęgniarka wyszła, Montalbano wezwał Fazio.

– Rozejrzyj się za Ignaziem Coglitore, za dziesięć minut chcę go tu mieć. Nic nie mów. Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz.

Fazio wrócił po godzinie, bez Ignazia Coglitore.

– Matko Najświętsza, komisarzy, ale tam burdel!

– Nie chciał tu przyjść?

– Nie może. Siedzi. Zwinęli go karabinierzy z Montelusy.

– Kiedy?

– Dziś rano, o ósmej.

– Dlaczego?

– Zaraz do tego dojdę, wszystko panu wyjaśnię. Było tak. Córka Ignazia Coglitore, kiedy dowiedziała się, że doktor Landolina się zabił, dostała jakiegoś ataku i straciła przytomność. Wszyscy w domu myśleli, że tak się tym przejęła, bo go dobrze znała. Ale nie mogli jej docucić. Więc Ignazio Coglitore z synami wyniósł małą do samochodu i zawiózł do szpitala u Montelusie, gdzie ją zatrzymali na badania. Wczoraj wieczorem Coglitore pojechał z żoną do szpitala, żeby zabrać córkę do domu. Wtedy lekarz, gówniarz i głupiec, powiedział im, że lepiej będzie, jak ją zostawią jeszcze

parę dni w szpitalu, bo może stracić płód. Coglitore i żona, oboje razem, padli na posadzkę, jakby ich piorun zwałił z nóg, i leżeli jak zabici. Kiedy doszli do siebie, Ignazio Coglitore wpadł w szał i rzucił się na lekarzy i pielęgniarzy. Z trudem wyprowadzili go z budynku. Dziś rano, o wpół do ósmej, znowu się tam zjawił, a razem z nim, oprócz dwóch synów, byli wszyscy mężczyźni z rodzin Gradasso, Panzeca i Tuttolomondo. Dwunastu osiłków.

– Czego chcieli?

– Małej.

– Po co?

– Ignazio Coglitore oświadczył, że muszą ją natychmiast zabrać i złożyć Bogu w ofierze, by Go przebłagać za grzech. Ordynator odmówił wydania dziewczyny i rozpętało się piekło. Szarpanina, wrzaski, rozbite szyby. Chorzy rozbiegli się po całym szpitalu. Kiedy przyjechali karabinierzy, tamci rzucili się na nich. W końcu udało się zamknąć wszystkich.

– Wyjaśnij mi jedno, Fazio: kiedy lekarz powiedział Coglitoremu, że jego córka jest w ciąży?

– Wczoraj wieczorem, około wpół do ósmej.

Tak więc domysłami czy wręcz pewnością pielęgniarce Angeli Lo Porto można było się podtrzeć. Rodzina niewątpliwie zrozumiała, że ciąża Mariucci to robota doktora Landoliny. Ale nawet gdyby chcieli, nie mogli się na nim zemścić. O romansie i jego następstwach dowiedzieli się już po zaginięciu ginekologa. Więc to nie oni go wykończyli. A skoro trzeba odrzucić samobójstwo, należy znaleźć kogoś, kto mógł mieć swoje porachunki z doktorem.

– Halo? Rozmawiam z panią Landolina?

– Tak.

Nie tyle usłyszał to słowo, co samo łagodne westchnienie.

– Nazywam się Montalbano, jestem komisarzem.

– Znaleźliście ciało?

Dlaczego w głosie pani Landoliny zabrzmiała nuta niepokoju? I czy to rzeczywiście był niepokój, czy rodzaj konsternacji?

– Nie, proszę pani. Chciałem z panią porozmawiać, to wszystko. Nie zabiorę pani więcej niż pięć minut. Potrzebuję pewnych wyjaśnień.

– Kiedy pan chce przyjść?

– Zaraz, jeśli można.

– Nie, panie komisarzu, proszę wybaczyć, teraz nie czuję się na siłach, głowa pęka mi z bólu. Mam taką migrenę, że nawet oczu nie mogę otworzyć.

– Współczuję pani. Możemy się zobaczyć po południu, o piątej?

– Dobrze. Czekam o piątej.

O trzeciej zadzwonił kwestor; komisarz miał koniecznie przyjechać do Montelusy przed szóstą na jakieś ważne zebranie. Mimo to nie chciał rezygnować ze spotkania z panią Landolina i dlatego zdecydował się wstąpić do niej godzinę wcześniej.

– Dokąd to? – spytał zaczepnie portier, który go nie znał albo udawał, że nie zna.

– Do pani Landoliny.

– Nie ma jej. Wyjechała.

– Kiedy wyjechała? – zapytał zdumiony Montalbano.

– Wsiadła do samochodu i wyjechała – zbył go portier. Ale po chwili dodał: – Wyładowała auto bagażami po brzegi, dużo tego było. Musieliśmy jej pomagać, ja i ojciec Vassallo.

– Był u niej proboszcz Vassallo?

– Był, był. Od dwóch dni jej nie odstępował, nie wychodził z domu, pocieszał ją. Święty człowiek. Przyjaźnili się z panią Landoliną od dawna.

– O której odjechała?

– Wcześniej, koło południa.

Zatem wkrótce po jego telefonie. Ale tyle bagażu nie można spakować tak szybko, na pewno zaplanowała wyjazd, zanim Montalbano do niej zadzwonił. Odkładając spotkanie do popołudnia, grzecznie wystawiła go do wiatru.

– Nie powiedziała, dokąd wyjeżdża?

– Powiedziała: do Comiso. Ma wrócić najdalej za tydzień.

Co robić? Zadzwonić do komisariatu w Comiso i poprosić któregoś z kolegów, żeby nie spuszczał pani Landoliny z oka? Pod jakim pretekstem? Że ciąży na niej kruche, mgliste, nieuchwytne podejrzenie o zabójstwo męża? Czy choćby o unikanie rozmowy?

Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Wrócił szybko do biura i zadzwonił do Antonina Gemmellaro, swego kolegi szkolnego, który był teraz dyrektorem Sycylijskiego Banku Rolniczego w Comiso.

– Halo, Gemmellaro? Tu Montalbano.

Dlaczego starzy koledzy szkolni mówią do siebie po nazwisku? Czyżby nie mogli zapomnieć dziennika klasowego?

– Piękna niespodzianka! Jesteś w Comiso?

– Nie, dzwonię z Vigaty. Potrzeba mi pewnej informacji.

– Pytaj, o co chcesz.

– Wiesz, że doktor Landolina zginął w sobotę wieczorem? Chyba go znałeś?

– Jasne, że go znałem, był naszym klientem.

– Albo się zabił, albo ktoś go zabił.

Gemmellaro nie odezwał się od razu. Najwyraźniej zastanawiał się nad tym, co usłyszał od Montalbana.

– Mówisz, że mogło to być samobójstwo. Nie sędzę.

– Dlaczego?

– Dlatego, że komuś, kto chce stąd odejść, nie przyszłoby do głowy, żeby sprzedać wszystko, co posiada. A doktor sprzedał, czasem nawet ze stratą, domy, ziemię, sklepy, słowem – wszystko, co miał. Chciał szybko zgromadzić jak największą sumę.

– Ile?

– Może aż trzy miliardy, z grubsza biorąc.

Montalbano gwizdnął.

– Wspólnie z żoną. Bierz i to pod uwagę.

– Pani Landolina także się wyprzedzała?

– Także.

– Doktor miał jej upoważnienie?

– A po co? Żona sama przyjechała do Comiso, żeby wszystkiego dopilnować.

– I co z tą sumą zrobili?

– Czy ja wiem? Z naszego banku także wybrali wszystko co do grosza.

Montalbano podziękował, rozłączył się i zadzwonił do jedynej w Vigacie agencji trudniącej się handlem nieruchomościami. Zadał precyzyjne pytanie.

– Tak, panie komisarzu, biedny doktor Landolina zlecił nam sprzedaż swojego domu i gabinetu.

– I co teraz? Jak sobie z tym poradzicie, skoro zginął?

– Panie komisarzu, mamy jego akt notarialny. Może ze dwa tygodnie temu biedny doktor zarządził, żeby dochód ze sprzedaży nieruchomości przekazać ojcu Vassallo.

Narada u kwestora nie trwała długo. Montalbano miał jeszcze dość czasu, żeby wstąpić do porucznika Colorni, naczelnika karabinierów w Montelusie, z którym był w dobrych stosunkach.

– Co postanowiliście w sprawie Mariucci Coglitore?

– Trzymamy ją w szpitalu. Sam rozumiesz, że z tą rodziną, z tymi obłąkanymi fanatykami...

– A co potem?

– Umieścimy ją w ośrodku dla niezamężnych dziewcząt z dziećmi. Daleko stąd, żeby nikt nie mógł zdobyć jej adresu. Wiemy o takim ośrodku, wskazał go nam spowiednik dziewczyny.

– Spowiednik?

Odpowiedź na to pytanie Montalbano znał. Ale chciał, by zabrzmiała jasno i wyraźnie.

– Ojciec Vassallo z Vigaty.

– Proszę ojca, przyszedłem ojca zawiadomić, że jutro rano muszę opowiedzieć prasie i telewizji o zaginięciu doktora Landoliny.

– I spodziewa się pan, że mogę w czymś pomóc?

– Oczywiście. Ale wcześniej zadam ojcu jedno pytanie: czy ksiądz, kiedy kłamie, popełnia grzech?

– Jeśli kłamstwo służy dobru, to nie sędzę.

Uśmiechnął się, rozłożył ręce. I w ten sposób komisarz otrzymał to, czego potrzebował. Ojciec Vassallo przekroczył pięćdziesiątkę, był otyły.

Uśmiechał się ironicznie.

– Pozwoli ojciec, że wobec tego coś mu opowiem.

– Jeśli panu na tym zależy, bardzo proszę.

– Poważny, żonaty lekarz zakochuje się w młodej dziewczynie, a ona zachodzi z nim w ciążę. Wtedy lekarz wpada w panikę: rodzina dziewczyny może na to zareagować z przesadną gwałtownością. Zrozpaczony, musi wszystko wyznać żonie, nie ma innego wyjścia. A żona, która jest osobą wyjątkową...

– Jest wyjątkowa na pewno – przerwał ksiądz.

– ...wspaniale organizuje najwłaściwsze rozwiązanie całej sprawy. W ciągu miesiąca, nikomu nic nie mówiąc, wyprzedaje wszystko, co posiadają, i gromadzi dużą sumę pieniędzy. Doktor symuluje samobójstwo, a w rzeczywistości znika. Wyjeżdża, może z pomocą zaprzyjaźnionego księdza, gdzieś, gdzie nikt o niczym nie wie. W dwa dni później dołącza do niego żona. Co ojciec na to?

– To prawdopodobne – powiedział spokojnie proboszcz.

– Ale to nie wszystko. Doktor i jego żona są ludźmi przyzwoitymi, nie zostawia na lodzie biednej małej w ciąży. Wobec tego postanawiają sprzedać mieszkanie i gabinet lekarski w Vigacie, a zysk przekazać na ręce księdza, z którym się przyjaźnią, żeby zadbał o pierwsze potrzeby dziewczyny z dzieckiem.

Nastąpiła cisza.

– I to powie pan na konferencji prasowej?

– Nie. Powiem, że doktor Landolina popełnił samobójstwo. A wdowa pojechała do krewnych gdzieś w swoje strony.

– Dziękuję – powiedział cicho ojciec Vassallo. Tak cicho, że właściwie nie było tego słychać. I jeszcze dodał: – Nigdy nie przypuszczałem, że anioł

może się wcielić w postać kobiety. Pan ją znał?

– Nie.

– Kobieta ogromna. Szczerze mówiąc, brzydka. Jak olbrzymka z tych legend o wielorybach i wiedźmach. Ale była...

– ...zawsze uprzejmie uśmiechnięta – dokończył komisarz.

Dzienniczek z 1943 roku

Ciepły wiatr z Libii wiał tak mocno, że morze zalało plażę i podeszło pod samą werandę domu komisarza Montalbano. Dlatego nastrój komisarza, który tylko wtedy nie miał pretensji do siebie i całego bożego świata, kiedy mógł się wygrzewać na słońcu, był czarny, jak noc. Fazio znał swego szefa na wylot, toteż ledwie go zobaczył wchodzącego do komisariatu, natychmiast zniknął mu z oczu. A Catarella, chociaż był tu już ponad rok, zapomniał, na jakie ryzyko się naraża, i nieopatrznie wpakował się do gabinetu.

– Komisarzu! Dziś dzwoniли do nas ludzie, co pytali osobiście o pana osobę. Spisałem ich nazwiska na tej notatce. – I podał komisarzowi kartkę krzywo wydartą z kratkowanego zeszytu.

– Twoja siostra także dzwoniła? – spytał z podejrzaną uprzejmością Montalbano.

Catarella zrazu osłupiał, a potem się uśmiechnął.

– Komisarzu, żarty się pana trzymają? Moja siostra nie miała możliwości dzwonić.

– Nie ma rączek, żeby wycisnąć numer?

– Nie, panie komisarzu, rączki to by miała. Nie da rady telefonować, bo jej wcale nie ma. Jestem jedynakiem. Matce i ojcu urodził się tylko jeden chłopczyk i nikt więcej.

Komisarzowi odechciało się dalszych żartów; dał za wygraną. Odprawił Catarellę i zaczął rozszyfrowywać jego spis nazwisk. „Doktor Vanesio” to mógł być tylko doktor Sinesio, któremu okradli mieszkanie, „pan Guestor” to oczywiście kwestor, „Scillicato” rzeczywiście nazywa się Scillicato,

a „dyrektor Purcio” to na pewno dyrektor Burgio.

Montalbano dawno go nie widział, a lubił tego starego, ponad siedemdziesięcioletniego byłego dyrektora szkoły, który razem z żoną Angeliną pomógł mu kiedyś w dochodzeniu opartym wyłącznie na wspomnieniach, nazwanym później sprawą psa z terakoty.

W żadnym razie nie rwał się do rozmowy z nowym kwestorem, który zawsze szukał dziury w całym. Od doktora Sinesio usłyszy narzekanie, że jeszcze nie odzyskali jego skradzionych sreber. Natomiast panu Scillicato sześć miesięcy temu spalono bmw, w miejsce którego kupił sobie punto. Kiedy z kolei spalono mu punto, zadowolił się używanym cinquecento, ale przed dwoma tygodniami i ono poszło z dymem. „Panie komisarzu, co mi pan radzi?” – spytał, zjawiwszy się w komisariacie. Najlepiej byłoby mu doradzić, żeby nie pożyczał tyle na lichwiarski procent, bo już i tak mówi się w mieście, że Pepe Jacono się powiesił, kiedy zadłużył się u niego po uszy. Montalbano, który tamtego dnia był szczególnie opryskliwy, przyjrzał mu się w milczeniu i w końcu odpowiedział: „Musi pan sobie kupić skuter”.

Skoro teraz dzwoni, pewnie spalono mu także skuter. Więc w końcu komisarz zatelefonował tylko do dyrektora Burgio i przyjął zaproszenie na kolację. Uczynił to z ochotą, wiedząc, że kuchnia pani Angeliny jest tyleż prosta, co znakomita.

Po kolacji przeszli do salonu i dopiero wtedy dyrektor ujawnił prawdziwy cel zaproszenia.

– Był pan ostatnio w porcie?

– Oczywiście. Chodzę na spacer w stronę latarni morskiej, wtedy mijam port.

– Widział pan, że zburzyli stary silos?

– Wreszcie! Już całkiem się rozsypywał, niebezpiecznie było pod nim przechodzić.

– Kiedy go budowali, w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku, miałem siedem lat – powiedział dyrektor. – Mussolini wymyślił wtedy „bitwę o zboże”, a kiedy uznał, że ją wygrał, pojawił się ten wielki silos.

– Dlaczego przy porcie, a nie przy stacji kolejowej? – spytał komisarz.

– Bo z portu miały wypływać statki ze zbożem w stronę tych krajów, które duce nazywał czwartym lądem, to znaczy do Erytrei lub Libii.

Umilkł na chwilę, pogrążony we wspomnieniach z dzieciństwa.

– Technik budowlany Cusumano, który kierował rozbiórką, znalazł w silosie stare papiery. Przyniósł je do mnie, bo wie, że interesuje się historią Vigaty. To przeważnie korespondencja oddziału w Vigacie z centralą Konsorcjum Rolniczego, które miało siedzibę w Palermo. Ale w innym kącie silosu, w szczelinie dylatacyjnej, były też stare numery „Popolo d’Italia”, dziennika partii faszystowskiej, książka *Rozmawiam z Brunem*, którą Mussolini wydał po śmierci syna, i częściowo zapisany zeszyt. Cusumano zatrzymał sobie gazety i książkę, a mnie podarował ten zeszyt. Zajrzałem do niego i dość mnie zaciekał. Proszę go przejrzeć, a przy okazji o nim porozmawiamy.

Był to zwykły szkolny zeszyt, miał pożółkłe kartki, a na okładce zdjęcie Mussoliniego w galowym mundurze, unoszącego rękę w faszystowskim pozdrowieniu; napis pod zdjęciem głosił: „Twórca Imperium”. Na tylnej stronie okładki widać było całe to Imperium w postaci małej mapki Abisynii. Na pierwszej stronie, pośrodku, dziecinna ręka napisała cztery linijki wiersza:

W tym zeszycie to ujęte,

Co dla dzielnych ludzi święte,

*Takich ludzi nawet w biedzie
Zanchi Carlo nie zawiedzie.*

Wierszyk został przekreślony, jakby Zanchi Carlo zawstydził się swojej nieporadnej poezji, stosownej najwyżej dla ucznia szkoły powszechnej. Za to poniżej napisał drukowanymi literami:

ZANCHI CARLO, AWANGARDA MŁODZIEŻY
FASZYSTOWSKIEJ, V DUCE, V KRÓL

A pod spodem:

ROK XXI ERY FASZYSTOWSKIEJ

Montalbano dokonał prostego rachunku i ustalił, że zeszyt pochodzi z roku tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego, który to rok, przynajmniej na Sycylii, należał tylko w połowie do ery faszystowskiej, bo alianci wyładowali na wyspie w nocy z dziewiątego na dziesiąty lipca.

Był to rodzaj sporadycznie prowadzonego dzienniczka. Na jego kartkach chłopiec utrwał wydarzenia, które uznał za najważniejsze. Pierwsza notatka nosiła datę drugi września.

Udało mi się wnieść tutaj ukradkiem cztery granaty, te małe, czerwono-czarne, które nazywają „Balilla”. Duce, będę umiał z nich skorzystać!

Wystarczyło tych parę słów, żeby wzmóc zaciekawienie komisarza, który od obojętnego kartkowania przeszedł do zachłannej lektury.

6 września. Dziś widziałem smutną scenkę: nasze kobiety stały na ulicy gotowe prostytuować się z najeźdźcami, i to z murzynami! Łzy napłynęły mi do oczu. Moja biedna Ojczyzno!

10 września. Zdrajcy, te szczury, co wypęły ze śmierdzących kanałów, ujawnili ku radości najeźdźców swoje ohydne zamiary. Chcą znowu powołać do życia partie, które Faszyzm zmiotł z powierzchni Ziemi. Jak ich powstrzymać?

15 września. Te wyrzutki ludzkości, które w imię tak zwanej demokracji urządziły zebranie, mianowały burmistrzem niejakiego Di Mora Salvatore. Ponieważ nie pochodzę z Vigaty, dyskretnie zasięgnąłem o nim języka. To znany mafioso, którego Faszyzm skazał na zesłanie! Jaki wstyd! Koniecznie muszę czegoś dokonać, żeby ocalić honor naszego Kraju.

Następna notatka nosiła datę piąty października.

Chyba przyszło mi do głowy rozwiązanie. Czy będę miał odwagę wcielić je w czyn? Myślę, że tak. Duce doda mi siły. A jeśli będzie konieczne, złożę moje życie na ołtarzu Ojczyzny.

Pod datą dziewiąty października:

Jutro na pewno będą odpowiednie warunki, bym mógł dokonać mego Czynu. V Italia!

Ostatnia notatka została sporządzona następnego dnia. Montalbano ledwie rozpoznał, że pisała ją ta sama ręka. Początkowo myślał, że te słowa skreślił ktoś inny:

10 października. Dokonałem Czynu. Żyję. To było straszne, przeraźliwe. Nie sądziłem, że... Boże, wybacz mi!

Komisarz w końcu zrozumiał, że napisała to wprawdzie ta sama ręka, ale pismo było zmienione pod wpływem jakiegoś wielkiego wstrząsu. Nie było już żadnego „niech żyje Duce!” ani inwokacji do Italii, w tych ostatnich słowach mieściły się tylko groza i przerażenie.

Co ten chłopiec zrobił? I dlaczego zeszyt pozostał w ruinach tego wielkiego, rozebranego już silosu?

Była prawie północ, kiedy zadzwonił telefon.

– Mówi dyrektor Burgio. Dla mnie bezsenność to nic nowego, a ponieważ wiem, że pan także kładzie się późno spać, pozwoliłem sobie niepokoić pana o tej porze. Miał pan okazję zajrzeć do zeszytu?

– Przeczytałem wszystko. I jestem tym bardzo poruszony.

– Nie mówiłem? Przyjdzie pan jutro na obiad?

Montalbano uśmiechnął się. Dyrektor najwyraźniej chciał go namówić na dochodzenie w tej już całkowicie przedawnionej sprawie, w której obaj, prawdę mówiąc, niczym nie ryzykowali.

– W tamtych latach – powiedział dyrektor – każdego z nas od najwcześniejszego dzieciństwa od razu pakowano do młodzieżowej organizacji faszystowskiej. Pierwsza nazywała się Czyn Narodowy Balilla, następna Liktorska Młodzież Włoska. Między trzecim a szóstym rokiem życia było się Synem Wilczycy...

– Tej, co wykarmiła Romulusa i Remusa – dopowiedziała pani Angelina.

– ...od sześciu do dziesięciu lat było się Balillą, potem Bojownikiem, a w wieku szesnastu lat lądowało się w Awangardzie Młodzieży

Faszystowskiej. Ten chłopiec z dzienniczka mógł mieć jakieś piętnaście lat

– Pisał już sprawnie po włosku – zauważył Montalbano.

– Tak. Też to spostrzegłem.

– Chłopiec taki jak on, dość egzaltowany...

– Wszyscy w jego wieku byli w tamtych latach egzaltowani – przerwała komisarzowi pani Angelina. – Jeśli nie byliśmy aż tak egzaltowani jak ten chłopiec, to jednak byliśmy urzeczeni tym, co się działo. A starsi od nas, nawet jeśli rozczarowali się faszyzmem, to przecież prawdziwie cierpieli, widząc na naszej ziemi obce wojsko.

– To by znaczyło – dodał komisarz – że taki chłopiec, tak do głębi urażony, słusznie czy niesłusznie, nową sytuacją, dysponujący czterema granatami, jest po prostu chodzącą miną...

– Która prędzej czy później musi wybuchnąć – powiedział dyrektor.

– Zanchi to nazwisko nie stąd – zauważył Montalbano.

– Nie stąd – potwierdził dyrektor. – Ale łatwo to wytłumaczyć. Wśród dokumentów, które mi przyniósł Cusumano, a których jeszcze w całości nie przeczytałem, jest list wyjaśniający tę sprawę.

Wstał, poszedł do drugiego pokoju i wrócił z pomiętą kartką, którą podał komisarzowi.

WIELCE SZANOWNA DYREKCJA GENERALNA,

PALERMO

10 października 1944 roku

W ślad za naszym pismem z 30 września br., nr dz. 250, mamy zaszczyt powiadomić, że uciekinierzy zakwaterowani w Silosie zostali przeniesieni do Montelusy. W Silosie pozostały jeszcze łóżka i nieliczne sprzęty (stoły, krzesła, ławki itd.), o których wywiezienie zadba w najbliższych dniach

Miejski Zarząd Opieki Społecznej. Zarządzimy następnie doprowadzenie pomieszczeń do porządku i dokonamy niezbędnych drobnych napraw.

Z należnym szacunkiem.

– Kto wie, skąd przywieziono tutaj tych uciekinierów? – zastanawiał się na głos komisarz.

– Mogę panu od razu powiedzieć skąd – odpowiedział dyrektor. – Wiem o tym z innego listu. Zarządca silosu prosi w nim o dużą ilość trucizny na szczury. Pisze, że szczury... można sobie wyobrazić, ile ich się kręciło w opuszczonym silosie na zboże!... nie dają spokoju dziesięciu rodzinom uchodźców z Libii. Szło z pewnością o byłych kolonistów, biedaków, którzy utracili tam wszystko, co mieli. Grube ryby, urzędnicy państwowi, którzy stamtąd uciekli na czas, z pewnością znaleźli dla siebie lokum gdzie indziej.

– Ale co takiego zrobił ten Zanchi, mając w ręku cztery granaty? – spytał Montalbano.

– W tym sęk – odparł dyrektor.

– Mamy tylko punkt wyjścia – stwierdził Montalbano, ciągnąc dalej swoje rozumowanie.

– To znaczy?

– Datę. To, co Zanchi zrobił... ten przeraźliwy czyn, jak sam o nim pisze w swoim dzienniczku... zdarzyło się z pewnością dziesiątego października tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku. Nie ma już dzisiaj w Vigacie nikogo, kto mógłby...

– Jest przecież Panarello – wtrąciła się do rozmowy pani Angelina. – Pepe Panarello, ojciec mojej przyjaciółki Giulii, nigdy nie wychylił nosa poza Vigatę, był tu zatrudniony w urzędzie stanu cywilnego. Ma swoje lata, urodził się w tysiąc dziewięćset dziesiątym roku.

– Jezu! – powiedział komisarz. – Ma osiemdziesiąt siedem lat? No to nic nie pamięta.

– Myli się pan – odparła pani Angelina. – Giulia, jego córka, nie dalej niż wczoraj mówiła mi, że ojciec już całkiem nie pamięta, co robił dzień wcześniej, ale sprawy sprzed pięćdziesięciu, sześćdziesięciu lat pamięta doskonale, o wszystkim przytomnie i precyzyjnie może opowiedzieć.

Montalbano i dyrektor Burgio popatrzyli na siebie.

– Zadzwoń do niej od razu – powiedział dyrektor do żony. – Dowiedz się, jak się ojciec ma, i umów z nim mnie i komisarza.

Pepe Panarello wolał spotkać się z nimi w kawiarni „Castiglione” niż przyjąć ich w domu.

– W ten sposób wykorzysta okazję i zamówi sobie koniaczek, którego bym mu nie dała, nawet gdyby mnie błagał na klęczkach – wyjaśniła pani Angelinie Giulia.

Zastali go przy jednym ze stolików wystawionych na chodniku przed kawiarnią. Właśnie sączył koniaczek.

Był stary i zdumiewająco chudy, jakby skóra przywarła już do kości, trzęsła mu się lewa ręka, ale od razu się wyczuwało, że jest w pełni przytomny. Zaczął mówić pierwszy – córka pewnie już mu wspomniała, że ci dwaj panowie chcą się zdać na jego pamięć.

– Co chcielibyście wiedzieć?

– Ciekawi nas pewne wydarzenie, które może wcale nie nastąpiło – powiedział dyrektor.

– A jeśli nastąpiło, to tutaj, w Vigacie, w pierwszej dekadzie października tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku – uściślił komisarz.

– Jak coś wydarzyło się w Vigacie, to pamiętam to na pewno – powiedział

stary. – Od kiedy jestem na emeryturze, cały czas poświęcam na przypominanie sobie tego, co się kiedyś zdarzyło.

Wysączył spokojnie koniaczek, zatopił się we wspomnieniach. Potem zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie, nic się tu wtedy nie wydarzyło – oznajmił na koniec rozmyślań, które trwały parę minut, a dyrektor i Montalbano w tym czasie nie ośmielili się otworzyć ust, żeby mu nie przeszkadzać.

– Jest pan pewien? – spytał zawiedziony Montalbano.

– I to jak! – odpowiedział stanowczo stary i podniósł rękę, żeby przywołać kelnera.

Komisarz pomyślał, że stary chce zapłacić i wracać do domu.

– Jeśli pan pozwoli... Jest pan naszym gościem – powiedział.

– Dziękuję – odparł Panarello. – Zapłacę tylko za ten pierwszy.

– Panie Panarello, wie pan co? Może w pańskim wieku...

– Mój wiek, panowie, nie ma tu nic do rzeczy – zaprotestował stary. – Ile jeszcze pociągnę pana zdaniem? Pół roku? Rok? Mam na ten krótki czas wyrzekać się koniaczku?

W tym momencie zegar na gmachu ratusza po drugiej stronie ulicy wybił godzinę.

– To już szósta? – zdziwił się Panarello.

– Daleko do szóstej. Ten zegar spieszy się co najmniej godzinę – powiedział dyrektor. – Chodzi, jak chce.

– Boże święty! – krzyknął stary. I ciszej dodał: – Jak mogłem o tym zapomnieć! O Boże!

Z podniecenia zaczęła mu się mocniej trząść lewa ręka. Przytrzymał ją prawą.

– Gdyby nie zegar – powiedział – nic bym sobie nie przypomniał.

Kelner na szczęście przyniósł mu razem z koniaczkiem szklanę wody. Wypił ja teraz jednym haustem.

Montalbano i dyrektor Burgio umilkli, wciśnięci w krzesła. W końcu stary poczuł się lepiej i zaczął mówić.

– Kiedy alianci zajęli już całą Sycylię, stało się konieczne oczyszczenie terenu z wielkiej ilości materiałów wybuchowych różnego rodzaju, które wszędzie pozostały po wojsku włoskim i niemieckim. Było to coś niesłychanego, możecie mi wierzyć. Dzieci bawiły się granatami, a kiedyś dwie grupy naszych chłopców z Vigaty urządziły sobie wojnę i strzelały do siebie z prawdziwych armat. Alianci wywozili wszystko na pełne morze i wrzucali do wody. Do tej akcji był wyznaczony specjalny oddział, sami Murzyni. Na molo przyjeżdżały ciężarówki pełne pocisków i różnej amunicji, w każdej siedziało trzech lub czterech Murzynów. Zarekwirowali z dziesięć łodzi rybackich razem z załogami. Z wysoka, z ciężarówki, żołnierze zrzucali amunicję, a tamci na łodziach łapali ją w powietrzu i rozmieszczali na pokładzie. Kiedy łódź była załadowana, wypływała na głębiny, pozbywała się całego ładunku i wracała po następny. My, tutejsi, tylko polecaliśmy nasze dusze bożej Opatrzności, bo wcześniej czy później coś musiało się stać. I stało się. Rankiem dziesiątego października ciężarówka wyleciała w powietrze. Zginęli czterej Murzyni, którzy się w niej znajdowali, czterech naszych rybaków na łodzi, trzech tragarzy portowych, co pracowali w pobliżu, i dwaj rybacy z miasta, którzy tamtędy przechodzili. Trzynastu zabitych i czterdziestu rannych. O Boże! Jak mogłem zapomnieć?

– Chyba nie można wykluczyć sabotażu? – spytał komisarz.

Stary popatrzył na niego stropiony.

– Wybacz pan, nie wiem, co pan ma na myśli.

– Chciałem zapytać, czy pana zdaniem był to czysty przypadek?

– Na pewno! To byli wariaci! Jak można w ten sposób brać się do takiej pracy! Bez najmniejszych środków ostrożności! Tak bezmyślnie i bezczelnie! To było nieszczęście, nie mogło to być nic innego.

– Nie mogło – potwierdził Montalbano.

– Proszę mi darować, że się wtrączę – powiedział dyrektor. – Pamięta pan, gdzie stała ciężarówka, kiedy nastąpił wybuch?

– Stała pod samym silosem, pod tym rozebrany. A trzy osoby, które wtedy mieszkały w silosie, zostały ranne.

– Ciekawi mnie jeszcze jedno – rzekł komisarz. – Dlaczego dopiero zegar na ratuszu przypomniał panu tamten wybuch?

– To przez taką plotkę, którą wtedy wszyscy sobie powtarzali. Może to była prawda, a może nie. Widzi pan, wybuch był tak silny, że powybił szyby w oknach nawet na dwa, trzy kilometry od portu. Ja byłem tutaj, w ratuszu, w moim biurze, a ratusz dzielą od portu aż cztery ulice. Mimo to podmuch wyrwał drzwi do pokoju, wybił szyby i zrzucił mnie z krzesła. Między innymi rozbił także szybę na zegarze, który zatrzymał się na dziesiątej dwanaście. Na minutowej wskazówce było coś czarnego i wszyscy myśleli, że to gołąb zabity przez eksplozję. Ale kiedy zawołali mechanika do naprawy zegara i wstawienia nowej szyby, to okazało się... tak przynajmniej twierdził ten mechanik... że to nie żaden gołąb, tylko dłoń Murzyna, która leżała na wskazówce, przeleciawszy nad dachami tylu domów. Bo z czterech Murzynów w ciężarówce zostały naprawdę same resztki, najwyżej cała noga albo ramię. To było straszne, przeraźliwe!

Użył bezwiednie tych samych słów, które zapisał Carlo Zanchi pięćdziesiąt siedem lat temu.

Wracali w milczeniu, jeden do domu, drugi do komisariatu. Dopiero gdy się żegnali, dyrektor powiedział:

– Może to jednak czysty przypadek?

– Nie sądzę – odpowiedział komisarz. – Chłopiec czekał, aż będą przeładowywać materiały wybuchowe pod samym silosem, i zrzucił z dachu granat. Potem wstrząsnął nim widok niewinnych ofiar.

– Co zrobimy z tym naszym sekretem? – spytał na koniec dyrektor.

– Zachowamy go dla siebie, dla nas dwóch. Czy raczej dla nas trojga, bo pan z pewnością zaraz opowie o wszystkim pani Angelinie.

Ten sekret znały jednak cztery osoby. Pewnego wieczoru, kiedy komisarz siedział w fotelu i oglądał w telewizji Retelibera dziennik, jedna wiadomość z kroniki wypadków szczególnie go poruszyła. Dziennikarz Nicolò Zito oznajmił, że w schronisku „San Calogero”, gdzie przebywali różnego rodzaju wykolejeńcy, doszło do pożaru czy raczej podpalenia, które zniszczyło dwa pawilony. Należało przypuszczać, że ogień podłożył ktoś, kto został usunięty z zakładu za niestosowne sprawowanie. Jednak nie sama ta wiadomość wzbudziła ciekawość komisarza Montalbano, tylko nazwisko założyciela zakładu, don Celestina Zanchiego.

Od razu przypomniał mu się list z tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku, w którym była mowa, że wszyscy uchodźcy z Libii, zakwaterowani w silosie, zostali przeniesieni do Montelusy. A zakład „San Calogero” stał w odległości czterech kilometrów od Montelusy. Mógł to być oczywiście czysty przypadek, ale mogło też być inaczej. Warto by sprawdzić.

Znalazł w książce telefonicznej numer zakładu, zanotował i poszedł spać.

O ósmej rano zadzwonił. Powiedziano mu, że ojciec Zanchi jest trochę przeziębiony, ale mimo to może go przyjąć około piątej po południu. Nie

spytano nawet, w jakiej sprawie chce rozmawiać z księdzem.

Don Celestino Zanchi przyjął go, leżąc w łóżku; miał trzydzieści osiem stopni gorączki.

– Głupstwo, zwykle, przeziębienie – powiedział przepaszająco. – Ale dość dokucza.

Był chudy, miał bystre, myślące oczy, wyglądał na człowieka silnego i stanowczego, mimo bardzo już podeszłego wieku.

– Pan jest komisarzem?

– Tak.

– Przyjechał pan w sprawie pożaru?

– Nie.

Ksiądz przyjrzał mu się z większą uwagą, gdy tymczasem komisarz rozglądał się po ubogim pokoju. Na etażerce stały dwie fotografie, na jednej była para dorosłych, na drugiej chłopiec, może czternastoletni. Ksiądz podążył za jego wzrokiem.

– To ojciec z mamą w Libii w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku. A na drugiej jest mój brat Carlo, miał wtedy piętnaście lat.

Powiedział już komisarzowi wszystko, co ten chciał wiedzieć. Montalbano nie miał tu już nic do roboty. Po co jeszcze męczyć chorego księdza? Wahał się, nie odrywał oczu od zdjęcia Carla. Jasna, uczciwa twarz dobrego chłopca, szeroki, szczery uśmiech.

– Chce pan spytać o coś, co dotyczy mojego brata, prawda? – powiedział cicho don Celestino.

– Tak – odrzekł komisarz, nie odwracając głowy w jego stronę.

– Jak pan na to wpadł?

– W burzonym silosie znaleziono zeszyt Carla. Rodzaj dzienniczka, który

brat księdza kiedyś prowadził.

– I tam napisał, że...

– Niejasno. Ksiądz o tym wiedział? – spytał Montalbano, odwracając się wreszcie w stronę łóżka.

– Widzi pan, nie mieszkałem w silosie razem z nimi. Już w Libii byłem w seminarium duchownym, więc mnie jednego umieścili osobno, w seminarium w Montelusie. Rano dziesiątego października dowiedzieliśmy się o eksplozji. Tego samego dnia po południu przyjechał do seminarium mój brat. Był wstrząśnięty, drżał i bełkotał. Myślałem, że coś się stało ojcu i mamie. Ale on z płaczem wyznał mi tę straszną rzecz, którą zrobił. Nie wiedziałem, jak się mam zachować, tym bardziej że on dostał wysokiej gorączki, a czasami nawet majaczył. Poszedłem do rektora, który mnie lubił i cenił, i opowiedziałem mu o wszystkim. Rektor umieścił Carla w pustym pokoju i wezwał lekarza. Przez cały miesiąc brat nie chciał nic jeść, musiałem go do tego przymuszać. Wreszcie pewnego dnia poprosił rektora o spowiedź. Nazajutrz rano przyjął komunię i wyszedł z seminarium. Znaleźli go w dwa tygodnie później na polu. Powiesił się.

Montalbano nie miał pojęcia, co powiedzieć. Po co wbił sobie do głowy, że musi porozmawiać z don Celestinem?

– A potem – ciągnął ksiądz – na mnie spoczął ten ostatni obowiązek.

– Jaki?

– Zadośćuczynienie. Musiałem choćby w części naprawić krzywdę wyrządzoną niewinnym ofiarom. Ojciec na rok przed śmiercią otrzymał od nowego rządu zwrot wartości pozostawionego w Libii majątku. Było tego dużo, majątek był spory. Wszystkie pieniądze, kiedy już je odziedziczyłem, rozesłałem anonimowo wdowom i dzieciom tamtych nieszczęśników. I nie ma dnia, żebym się nie modlił za nich i za mego brata Carla, który zmarł

w rozpacz.

– Jutro przyślę księdzu ten zeszyt – powiedział szybko i szorstko komisarz.

– Może ksiądz z nim zrobić, co chce.

Skłonił się księdzu i wyszedł z pokoju, przeklinając swój nałóg gliniarskiego dociekania.

Nazajutrz wręczył agentowi Galio kopertę i kazał ją zawieźć do don Celestina. W kopercie był zeszyt i czek na pięćset tysięcy lirów. Trochę ze swoich oszczędności mógł przecież przeznaczyć na schronisko.

Potem zatelefonował do dyrektora Burgio i sam zaprosił się na obiad. Musiał opowiedzieć gospodarzom, jak zakończyło się to jego żalosne dochodzenie.

Diabelski fetor

Pani Clementina Vasile Cozzo była starą, sparaliżowaną kobietą, emerytowaną nauczycielką, która już wiele razy pomogła komisarzowi Montalbano w jego sprawach zawodowych. Zrodziła się między nimi wielka przyjaźń, a nawet coś więcej: komisarz, który stracił matkę jako mały chłopiec, żywił do niej synowskie uczucie. Kiedy ją odwiedzał, zatrzymywał się na obiedzie lub kolacji, bo po kuchni jej gospodyni, Piny, zawsze można było sobie wiele obiecywać, a otrzymywało się jeszcze więcej.

Tamtego dnia pili już kawę po obiedzie, kiedy pani Clementina powiedziała:

– Wie pan, że moja nauczycielka ze szkoły powszechnej jeszcze żyje? I wcale nieźle sobie radzi.

– Naprawdę? Ile ma lat?

– Dziewięćdziesiąt pięć, właśnie dzisiaj obchodzi urodziny. Gdyby ją pan widział, komisarzu! Przytomna, całkiem samodzielna, chodzi jak młoda dziewczyna. Nie uwierzy pan, ale przynajmniej raz w miesiącu mnie odwiedza, chociaż mieszka daleko, koło starego dworca.

– Idzie pieszo?! – zdziwił się komisarz.

Do dworca był istotnie porządny kawał drogi.

– Ale dzisiaj to ja wybiorę się do niej. Z dwóch przyczyn. Zawiezie mnie syn, potem po mnie przyjedzie. Tutaj, w Vigacie, jest jeszcze trochę jej dawnych uczniów, może dziesiątka, i weszło w zwyczaj, że wszyscy tego dnia spotykamy się u Antonietty... ona nazywa się Antonietta Fiandaca... żeby uczcić jej urodziny. Nigdy nie chciała wyjść za mąż, żyła zawsze

samotnie. Z własnego wyboru, musi pan wiedzieć.

– A druga?

– Jaka druga? Nie rozumiem pana.

– Pani Clementino, powiedziała pani, że pojedzie odwiedzić swoją dawną nauczycielkę z dwóch przyczyn. Jedna to urodziny. A druga?

Pani Clementina zarumieniła się, była najwyraźniej niezdecydowana, czy powinna o tym mówić.

– Wie pan, trochę mnie to krępuje. Wczoraj Antonietta zatelefonowała i powiedziała mi, że znowu wyczuwa diabelski fetor.

Komisarz od razu zrozumiał, że pani Clementina wcale nie mówi tego w przerośni, tylko że ma na myśli najprawdziwszego diabła, takiego z rogami, kopytami i ogonem. Że taki diabeł wydziela fetor, czyli paskudnie śmierdzi, Montalbano wiedział z ksiązek i staroświeckich opowieści, które słyszał od swojej babki, gdy był dzieckiem. Ale pani Vasile Cozzo mówiła o tym na serio. Więc tylko się uśmiechnął.

– Niech pan sobie z tego nie kpi, komisarzu, bo to sprawa poważna.

Montalbano przełknął upomnienie.

– Dlaczego mówi pani, że pani nauczycielka wyczuła ten fetor „znowu”? Już się to kiedyś zdarzyło?

– Wyjaśnię to panu od początku, tak będzie najlepiej. Otóż Antonietta pochodzi z rodziny bardzo zamożnej, była nauczycielką nie dlatego, że musiała zarabiać na życie, tylko dlatego, że już w tamtych czasach miała postępowe przekonania. Potem interesy ojca zaczęły przynosić straty, tak że, krótko mówiąc, ona i jej siostra Giacomina odziedziczyły i rozdzieliły między siebie niewiele. Antonietcie przypadły dwa domki, jeden pod miastem, w Passero, drugi tutaj, w Vigacie. Ten tutejszy jest bardzo miły, widział go pan?

– Mówi pani o tym domku w stylu mauretańskim, który stoi niedaleko dworca?

– Tak, o tym. Zaprojektował go architekt Basile.

Komisarz nie tylko widział ten domek, ale wiele razy zatrzymywał się przed nim i podziwiał go, urzeczony jego wdziękiem.

– Kiedy Antonietta poszła na emeryturę, wolała przemieszkiwać jak najczęściej w tamtym domku na wsi, o który starannie dbała i który urządziła zabytkowymi meblami. Miała tam ogród zaprojektowany w stylu angielskim. Całe dni poświęcała na udzielanie korepetycji dzieciom sąsiadów. Wraz z nadejściem prawdziwej, dokuczliwej zimy przenosiła się do miasta. Tak było jeszcze do niedawna, dwa lata przed pana przyjazdem do Vigaty.

– A potem coś się stało?

– Stało się. Kiedyś w nocy zbudził ją hałas, którego przyczyny nie umiała odgadnąć. Oczywiście pomyślała o złodziejach. Na szafce nocnej miała rodzaj domofonu łączącego jej sypialnię z domkiem, gdzie mieszkał stróż z rodziną. Stróż zjawił się po pięciu minutach, miał przy sobie broń. Ale drzwi nie były wyłamane, żadne okno nie zostało wybite. Oboje poszli spać. Ledwo Antonietta znalazła się w łóżku, wyczuła okropny fetor. Był to duszący smród spalonej siarki przemieszany z odorem kloaki. Mdlilo ją od niego, zbierało jej się na wymioty. Ubrała się i nie chcąc już niepokoić stróża, przesiedziała całą noc w pawilonie, który stoi w ogrodzie.

– Ten fetor jeszcze się wyczuwało, kiedy rano wróciła do domu?

– Naturalnie. Stwierdziła to także żona stróża, która przyszła sprzątać. Smród był słaby, ale wciąż wyraźny.

– Potem się to powtórzyło?

– I to ile razy! Antonietta kazała opróżnić szambo, powynosić co się dało ze strychu, wysprzątać piwnice. Wszystko na nic. Fetor ciągle powracał. Aż

wreszcie zdarzyło się coś jeszcze gorszego.

– Co takiego?

– Jednej nocy, kiedy fetor znowu zmusił ją do przebywania w pawilonie, usłyszała dochodzące z domu jakieś piekielne odgłosy. Kiedy weszła, okazało się, że wszędzie leżą skorupy talerzy i szklanek porozbijanych o ściany. Na tym się nie skończyło. Po dwóch miesiącach takiego życia, z nocowaniem w pawilonie, naraz wszystko ustało tak nagle, jak się zaczęło. Antonietta znowu spała w łóżku. Ale po dwóch tygodniach, kiedy już wszystko toczyło się normalnie, przydarzyło się to coś gorszego.

Komisarz nie zapytał co. Prawdziwie zaciekawiony, czekał na dalszy ciąg opowieści.

– Antonietta zawsze śpi na plecach. Była upalna noc, więc zostawiła uchylone okno. Obudziło ją coś ciężkiego, co spadło jej na brzuch. Otworzyła oczy i zobaczyła go.

– Kogo?

– Jego, komisarzu, diabła. Diabła w takiej postaci, jaką zachciało mu się przybrać.

– Jaka to była postać?

– Postać zwierzęcia. Miało cztery łapy. Parę rogów. Całe lśniło, patrzyło czerwonymi oczami, sapało i wydzielalo z siebie ten straszliwy fetor siarki i kloaki. Antonietta krzyknęła i zemdlala. Ale krzyknęła tak głośno, że przybiegli stróż z żoną. Tylko że po tym obrzydliwym zwierzęciu nie było już najmniejszego śladu. Antonietta z tego wstrząsu dostała gorączki i majaczyła. Musieli wezwać lekarza. Kiedy doszła do siebie, zrozpaczona i wystraszona wezwała ojca Fulconisa.

– A kto to?

– Jej siostrzeniec, który jest proboszczem w Feli. Giacomina, jej siostra,

wyszła za mąż za lekarza, doktora Fulconisa, i miała z nim dwóch synów; jeden, Emanuele, został księdzem, a drugi, Filippo, zszedł na złą drogę, zaczął nałogowo grać, czym wpędził matkę do grobu. Zmarła na atak serca, a cały jej majątek rozwiął się jak mgła. Don Emanuele ma opinię egzorcysty. Dlatego Antonietta go wezwała; liczyła na to, że uwolni ją od diabła.

– I uwolnił?

– Skądże! Przyjechał i zaraz prawie zemdłał, zbladł, jakby już był na tamtym świecie, i powiedział, że wyczuwa bardzo potężną obecność Złego. Potem poprosił, żeby go zostawiono samego w domu; kazał wyjechać nawet stróżowi z rodziną. Przez trzy dni nie dawał znaku życia, co Antoniettę tak zaniepokoiło, że wezwała karabinierów. Znaleźli ojca Fulconisa pobitego, z twarzą posiniaczoną, kulejącego, bardziej już po tej drugiej niż po naszej stronie. Opowiadał, że diabeł pojawiał się wiele razy, że wdawał się z nim w walkę, ale on nie umiał sobie poradzić i zawsze przegrywał. I ostatecznie Antonietta przeniosła się na stałe do Vigaty i rozpowiadała, że tamten dom musi sprzedać. Jednak wszyscy dobrze wiedzieli, że tam ukazuje się diabeł, i nie mogła znaleźć kupca. W końcu jakiś typ z Feli kupił dom za psie pieniądze, za parę lirów. Urządził na parterze restaurację, a w pokojach na piętrze nielegalne kasyno. Potem karabinierzy zamknęli ten interes. Co było dalej, nie wiem i nie chcę wiedzieć, przecież dom już nie należy do Antonietty. Odkupili go jacyś inni ludzie. A wie pan co? Najbardziej niesłychane w tej historii z diabłem było dla mnie to, że Antonietta powiedziała mi o tym już po wszystkim, kiedy dom sprzedała.

– Gdyby pani wiedziała wcześniej, co by pani mogła zrobić?

– Nie wiem. W gruncie rzeczy, nie miałabym pojęcia, co jej poradzić. Ale może jednak coś by mi przyszło do głowy. A teraz powtarza się ta historia identycznie jak wtedy, tyle że tutaj! Boję się, że biedna Antonietta, niemłoda przecież, może na tym ucierpieć nie tylko finansowo.

– Proszę mi to bliżej wyjaśnić.

– Wygląda na to, że zaczyna się jej mącić w głowie. Opowiada mi dziwne, niestworzone rzeczy. „Czego ten diabeł chce ode mnie?”, zapytała niedawno.

Zrobiło się późno, komisarz musiał wracać do biura.

– Proszę mi dawać znać o wszystkim. Koniecznie! – powiedział pani Clementinie.

Kiedy pani Clementina dowiedziała się, że jej dawna nauczycielka, odkąd nasiliły się objawy diabelskich wizyt, zwłaszcza fetor siarki i kloaki, musiała spędzić dwie noce na schodkach przed domem, wysłała do niej Pinę z listem. Namawiała staruszkę, żeby przychodziła do niej na noc. Panna Antonietta wracała więc na dzień do swego domu, a o zmierzchu przenosiła się do pani Clementiny. O tej zmianie trybu życia panny Antonietty Clementina Vasile Cozzo zawiadomiła telefonicznie komisarza. Oboje uznali, że to istotnie najlepsze rozwiązanie, bo było więcej niż oczywiste, że diabeł nie lubi światła dziennego, a z kolei w nocy wydziela fetor tylko w obecności starej nauczycielki.

W dwa dni później Montalbano zatelefonował rano do pani Clementiny.

– Panna Antonietta jest jeszcze u pani?

– Nie, już wróciła do siebie.

– Doskonale. Mogę zaraz do pani wstąpić? Muszę z panią porozmawiać.

– Może pan przyjść, kiedy pan chce.

Panna Antonietta o wpół do ósmej jadła kolację (jeśli można tak powiedzieć, bo jadła tyle co ptaszek), zbierała potrzebne na noc rzeczy, wkładała je do torby i ruszała w stronę domu swojej dawnej uczennicy.

Tego wieczoru, właśnie kiedy kończyła jeść, zadzwonił telefon.

– Halo, Antonietta? Wybierasz się już do mnie?

– Za chwilę.

– Posłuchaj, bardzo mi przykro, ale wyobraź sobie, że nagle odwiedził mnie kuzyn z Australii, zrobił mi niespodziankę. Tylko dwie noce, dziś i jutro, a potem znowu będziesz u mnie.

– O Boże, gdzie się podzieję?

– Zostań w domu. Wszystko mi mówi, że dzisiaj nic się nie stanie.

Pierwszej nocy istotnie nic się nie zdarzyło, ale panna Antonietta i tak nie spała, bojąc się, że nagle poczuje diabelski fetor.

Drugiej nocy diabeł jednak się pojawił, ale pierwszy zobaczył go komisarz, który siedział przyczajony w swoim samochodzie, zaparkowanym w pobliżu tylnego wejścia do domu. Książkę ciemności otworzył kluczem drzwi, wszedł, nie przebywał w domu dłużej niż minutę, wyszedł, zamknął drzwi i ruszył w stronę swego auta.

– Pan pozwoli. Będzie mi pan potrzebny.

Zaskoczony tymi słowami, diabeł podskoczył i upuścił trzymaną w rękę fiolkę. Nie była dobrze zamknięta i jej zawartość rozlała się na chodnik.

– Pan rzeczywiście musi być diabłem – powiedział Montalbano. – Poznaje pana po tym smrodzie, który się za panem wlecze.

Potem, nie mając pojęcia, jak się traktuje nieziemską istotę, na wszelki wypadek wymierzył jej pięścią cios w szczękę.

– Wyznał, że prześladowali go wierzyciele, bo wciąż grat i przegrywał. Przyszło mu więc do głowy, żeby powtórzyć tamtą sztuczkę, którą posłużył się parę lat temu. Ci, co kupili tamten dom, byli z nim w zмовie. Teraz zmówił się z innymi i chciał zmusić ciotkę, żeby sprzedała z kolei dom

w Vigacie.

– Nie miałam złudzeń – powiedziała pani Clementina – co do jej siostrzeńca. Filippo jest wykolejencem. Mówi pan, że ten diabelski fetor był mieszanką chemiczną, którą sam sporządził, i to mnie nic a nic nie dziwi. Jak pan jednak tłumaczy tę noc z diabelskim zwierzęciem, które świeciło i skoczyło biednej Antonietcie na brzuch? I dlaczego brat Filippa, ksiądz Emanuele, twierdził, że musiał z diabłem walczyć?

– Diabeł w zwierzęcej postaci to był najzwyczajniejszy kot wysmarowany fosforyzującą pastą, z rogami z korka przyczepionymi do głowy. A co do księdza, to nie walczył z diabłem, tylko ze swoim bratem Filippem. Dowiedział się o wszystkim i nieudolnie próbował mu te sztuczki wyperswadować.

– Stając się ostatecznie jego współnikiem? On, ksiądz?

– Nie usprawiedliwiam go, co najwyżej rozumiem. Zadłużonemu Filippowi wierzyciele grozili śmiercią.

– I co teraz? Opowiemy o wszystkim Antonietcie? Gdy się dowie, że to siostrzeniec wymyślił taką przebiegłą sztuczkę, jej serce tego nie wytrzyma. Serce matki nie wytrzymało.

Montalbano zastanowił się.

– Coś mi przychodzi do głowy – powiedział.

– Proszę zaczekać, zaraz mi pan powie. Skąd Filippo wiedział, kiedy Antonietta miała spać w domu?

– O wszystkim donosił mu współnik. Podał nam już nazwisko tego łobuza.

– Proszę mi teraz przedstawić swój plan.

Wezwany przez ciotkę Antonietę, która zrobiła to za namową pani Clementiny, do Vigaty przyjechał natychmiast ojciec Emanuele Fulconis,

egzorcysta. Tym razem pracował bardzo sprawnie i wystarczyła mu jedna noc, żeby zrobić swoje. Rano triumfalnie oznajmił, że uporał się z diabłem, który został wreszcie pokonany raz na zawsze.

Dopiero kiedy skończyli sardele prosto z rusztu, komisarz odważył się zadać pytanie, z którym nosił się już od wielu dni.

– Pani Clementino, a pani wierzy w diabła?

– Ja? Gdzież tam! Gdybym wierzyła, po co opowiadałabym panu tę historię? Gdybym wierzyła, wolałabym raczej opowiedzieć ją biskupowi. Nie sądzi pan?

Towarzysz podróży

Komisarz Salvo Montalbano przyjechał na dworzec w Palermo w ponurym nastroju. Stracił humor, kiedy zbyt późno dowiedział się, że ogłoszono strajk linii lotniczych i komunikacji morskiej, a w slipingu do Rzymu mógł dostać tylko miejsce w drugiej klasie, w przedziale dwuosobowym. Zanosilo się, mówiąc wprost, na długą noc z kimś obcym w dziupli tak ciasnej, że przy niej nawet policyjna izolotka wydaje się luksusowym apartamentem. W dodatku komisarzowi nigdy nie udawało się usnąć w pociągu, choćby połknął taką ilość tabletek nasennych, jaka groziłaby płukaniem żołądka. Żeby zwalczyć bezsenność, uciekał się do niezawodnego sposobu – jednak mógł się nim posłużyć tylko wówczas, gdy był w przedziale sam. Polegało to, z grubsza biorąc, na tym, że kładł się, gasił światło, po kwadransie znów je zapalał, sięgał po papierosa, czytał parę stron zabranej do podróży książki, gasił papierosa, gasił światło i po paru minutach powtarzał cały cykl raz jeszcze – i tak aż do stacji końcowej. Ale skoro tym razem nie będzie sam, jego towarzysz podróży musiałby mieć nerwy ze stali albo spać kamiennym snem, żeby komisarz mógł skorzystać ze swojej metody. Lepiej nie próbować, bo może się to marnie skończyć. Na dworcu panował tłok, jakby to był pierwszy sierpnia. Montalbano poczuł się jeszcze bardziej przybity: nie łudził się, że drugie łóżko pozostanie wolne.

Przed wagonem sypialnym stał jakiś osobnik w zatłuszczonym granatowym kombinezonie, z identyfikatorem na piersi. Montalbano wziął go za bagażowego, chociaż byli oni rasą na wymarcu, odkąd na peronach pojawiły się wózki do przewozu bagażu, a podróżny tracił pół godziny, żeby

znaleźć choć jeden, który dałoby się uruchomić.

– Pański bilet! – zażądał surowo mężczyzna w kombinezonie.

– A po co? – spytał zaczepnie komisarz.

– Po to, że personel strajkuje i wyznaczili mnie na zastępstwo. Mam ścielić łóżka, ale z góry zapowiadam, że nie wolno mi robić wam rano kawy i przynosić gazet.

Montalbano poczuł się już na dobre przygnębiony: mniejsza o gazetę, ale bez kawy po prostu nie wiedział, jak zacząć dzień.

Wszedł do przedziału. Nie było tam jeszcze drugiego pasażera ani jego bagażu. Zdążył się rozlokować i zaczął czytać kryminał, który wziął ze sobą. W wyborze książki kierował się jej objętością, gdyż miała mu starczyć na całą podróż. Po chwili pociąg ruszył. Czy to możliwe, że jego towarzysz zrezygnował z wyjazdu i być może już się nie pojawi? Wkrótce stanął w drzwiach mężczyzna w kombinezonie, z dwiema butelkami wody mineralnej i dwoma papierowymi kubkami.

- Nie wie pan, gdzie wsiądzie ten drugi?

- Ma wsiąść w Mesynie. Tak mi powiedzieli.

Montalbano odetchnął z ulgą. Miał przed sobą ponad trzy godziny świętego spokoju, bo tyle czasu zajmował przejazd z Palermo do Mesyny. Zamknął drzwi i wrócił do książki. Kryminalne perypetie tak go wciągnęły, że dopiero spojrzenie na zegarek uświadomiło mu, iż dojeżdżają do Mesyny. Odszukał mężczyznę w kombinezonie, poprosił o pościelenie leżanki – miał miejsce na górze – a kiedy była gotowa, czym prędzej rozebrał się, położył... i czytał dalej. Ledwo pociąg wjechał na dworzec, komisarz zamknął książkę i zgasił światło. Kiedy wejdzie ten drugi, uda, że śpi w najlepsze, i nie będzie musiał wymieniać z nim żadnych uprzejmości.

Jednak z niezrozumiałych przyczyn, mimo że pociąg po długim

manewrowaniu wreszcie wjechał na prom, dolna leżanka pozostała pusta. Komisarzowi ulżyło. Cieszył się już, że ma tyle szczęścia. Ale gdy po przepłynięciu cieśniny prom szarpnął i dobił do nabrzeża, drzwi przedziału otworzyły się i drugi pasażer, z taką niechęcią oczekiwany, wszedł do środka. W słabym świetle dochodzącym z korytarza Montalbano zobaczył niskiego mężczyznę, krótko ostrzyżonego, opatulonego w obszerny gruby płaszcz, z niewielką walizeczka w ręku. Powiało zimnem. Pasażer z pewnością wsiadł w Mesynie, ale podczas całej przeprawy przez cieśninę wolał stać na górnym pokładzie promu.

Usiadł zaraz na dolnej leżance i zastygł w bezruchu. Nie zaświecił nawet małej lampki, która pozwala coś widzieć, a nie przeszkadza współtowarzyszowi. Przesiedział tak nieruchomo ponad godzinę. Gdyby nie to, że oddychał ciężko jak po długim biegu, Montalbano mógłby się łudzić, że dolna leżanka w dalszym ciągu pozostaje niezajęta. Nie chcąc krępować nieznanego, nie przestawał udawać, że śpi. Zaczął nawet lekko chrapać. Oczy miał zamknięte, ale tak jak kot, który rzekomo pogrążony jest we śnie, a w rzeczywistości bacznie się wszystkim przypatruje.

Wkrótce kompletnie stracił orientację i naprawdę zapadł w sen, co dotąd nie zdarzyło mu się w slipingu.

Obudził się, bo zmarzł. Pociąg zatrzymał się na dworcu w Paoli, o czym zawiadamiał przez megafon usłużny męski głos. Okno w przedziale było opuszczone i żółte światła peronu dyskretnie oświetlały przedział.

Towarzysz podróży, wciąż opatulony płaszczem, siedział teraz w nogach leżanki. Walizczkę położył przed sobą na pokrywie umywalki. Czytał chyba jakiś list, poruszając przy tym ustami. Kiedy skończył, podarł kartkę starannie na drobne kawałki i położył je obok walizeczki. Komisarz, przypatrzwszy się uważniej, spostrzegł, że sterta podartych kartek jest już dość duża. Pewnie to zajęcie trwało jakiś czas. Spał przecież prawie dwie

godziny.

Pociąg ruszył, nabrał szybkości. Pasażer po chwili podniósł się ociężale z leżanki, wziął w obie ręce połowę podartych kartek i wyrzucił przez okno. To samo zrobił z resztą. Potem, po chwili wahania, wziął walizeczkę, jeszcze częściowo wypełnioną nieprzeczytanymi i niepodartymi listami, i ją także wyrzucił przez okno. Ponieważ dziwnie pociągał przy tym nosem, komisarz zrozumiał, że płacze, co wkrótce się potwierdziło, bo przeciągnął rękawem po twarzy i otarł łzy. Na koniec rozpiął guziki grubego płaszcza, wyjął z tylnej kieszeni spodni jakiś ciemny przedmiot i także energicznie wyrzucił przez okno.

Montalbano nie miał wątpliwości, że nieznajomy pozbył się pistoletu.

Zapiął płaszcz, zamknął okno, zaciągnął zasłonkę i opadł ciężko, całym ciałem na łóżko. Szlochał bez wytchnienia. Zakłopotany komisarz udawał, że chrapie jeszcze głośniejsze. I ten piękny koncert trwał jakiś czas.

Wreszcie szlochanie osłabło. Pewnie za sprawą zmęczenia. W każdym razie mężczyzna na dolnej leżance zasnął niespokojnym snem.

Montalbano, stwierdziwszy, że zbliżają się do Neapolu, zszedł na dół po drabince, odszukał po omacku ubranie, cicho się ubrał, a tymczasem jego towarzysz podróży, wciąż opatulony płaszczem, leżał odwrócony do niego plecami. Komisarz jednak, słysząc jego oddech, zorientował się, że tamten nie śpi, tylko unika kontaktu. Sam przecież zachował się podobnie na początku podróży.

Kiedy się pochylił, żeby zasznurować buty, zauważył na podłodze biały prostokąt. Podniósł i po chwili wyszedł z nim na korytarz. Miał w ręku kartkę pocztową, na niej wokół czerwonego serca fruwało stadko białych gołębi na tle błękitnego nieba. Była zaadresowana do szanownego księgowego Maria Urso, ulica Liberta 22, w Patti (prowincja Mesyna). Na kartce było tylko parę słów: „Zawsze cię kocham i myślę o tobie”, a w podpisie imię „Anna”.

Pociąg nie stanął jeszcze na dobre przy peronie, a komisarz już pędził wzdłuż niego, szukając wózka z kawą. Wózka nigdzie nie było, więc wpadł zdyszany do głównego holu dworcowego, gdzie wreszcie oparzył sobie usta ukropem, wypijając łączywie, jedna po drugiej, dwie filiżanki kawy. Po czym rzucił się biegiem po gazetę do kiosku.

Musiał szybko wracać, bo pociąg już ruszał. Stojąc na korytarzu, wyrównał trochę oddech i rozłożył gazetę, rozpoczynając lekturę jak zwykle od kroniki wypadków. Rzuciła mu się w oczy notatka o wydarzeniu w Patti (prowincja Mesyna). Tylko parę zdań, na więcej widocznie ta wiadomość nie zasługiwała.

Cieszący się powszechnym szacunkiem księgowy, pięćdziesięcioletni Mario Urso, zastał młodą żonę, Annę Foti, w niedwuznaczej sytuacji z kochankiem R. M., karanym sądownie, i zabił ją trzema strzałami z pistoletu. R.M., kochanek, który wcześniej wielokrotnie drwił publicznie ze zdradzanego męża, ale którego zabójca oszczędził, na skutek doznanego szoku znalazł się w szpitalu. Poszukiwania zabójcy, podjęte przez policję i karabinierów, nie dały jeszcze oczekiwanego rezultatu.

Komisarz nie wszedł już do przedziału, stał na korytarzu i palił papierosa za papierosem. Ale kiedy pociąg powoli wtaczał się na dworzec w Rzymie, uchylił wreszcie zamknięte drzwi.

Mężczyzna w przedziale, wciąż owinięty płaszczem, siedział na łóżku. Ręce miał założone na piersi. Wstrząsały nim dreszcze. Niczego nie widział, niczego nie słyszał.

Komisarz zdobył się na odwagę, wszedł do ciasnej klatki gęsto wypełnionej lękiem, ciężkim przygnębieniem i jawną rozpaczą, które nagromadziły się i dawały mocny zapach w zgniłozielonym kolorze. Wziął swoją walizkę i delikatnie położył na kolanach towarzysza podróży podniesioną z podłogi kartkę.

– Powodzenia, panie księgowy – szepnął.

I zaraz dołączył do innych podróżnych, którzy już ustawili się na korytarzu w kolejce do wyjścia.

Pułapka na koty

– W niedzielę wieczorem urządzą przyjęcie: obchodzimy dwudziestopięciolecie naszego małżeństwa. Przyjdą do nas wszyscy nasi koledzy. Oboje z żoną będziemy szczęśliwi, jeżeli pan także nas zaszczyli – wyrecytował Fazio.

– Pewnie, że przyjdę – powiedział Montalbano.

Ze wszystkich agentów komisariatu w Vigacie Montalbano najlepiej rozumiał się właśnie z Faziem: wystarczyło im na siebie spojrzeć. Równie łatwo dogadywał się z wicekomisarzem Augello: także wystarczyło im na siebie spojrzeć, ale pod warunkiem, że Mimi nie miał w tym czasie głowy zaprzątniętej jakąś kobietą.

– Mięso czy ryba? – spytał Fazio, dobrze wiedząc, jak wielką wagę przywiązuje do jedzenia jego przełożony.

Montalbano szybko rozważył za i przeciw. Wiedział, że pani Fazio umie sobie radzić w kuchni. Ale urodziła się i wychowała w małym miasteczku w głębi kraju, z dala od morza, i ryby rzadko gościły na jej rodzinnym stole.

- Mięso, mięso – odpowiedział.

Pani Fazio przeszła samą siebie: własnoręcznie zrobiony makaron był nadzwyczajny, a rolada (zwinięte płaty mięsa z jajkiem na twardo, kielbasą i kawałkami owczego sera w środku) ulotniła się w jednej chwili, chociaż było jej tyle, że powinna wystarczyć na dwadzieścia osób. Komisarz przyniósł pudło z dwunastoma butelkami dobrego wina, które przysyłał mu ojciec. Po skończonej kolacji i opróżnieniu dwunastu butelek, chcąc

wykorzystać piękny majowy wieczór, biesiadnicy wybrali się na długi spacer w stronę mola. Zamierzali dojść do latarni morskiej, żeby ująć trochę ciężaru ładunkowi, jaki mieli w sobie.

A ponieważ wszyscy byli gliniarzami, nieuchronnie musiała się zacząć w pewnej chwili rozmowa godna gliniarzy. Okazji do niej dostarczyło niewinne pytanie komisarza, z jakim zwrócił się do idącego obok Fazio.

– Co kupiłeś żonie w prezencie?

Szli właśnie główną arterią Vigaty, via Roma, pełną sklepów z witrynami oświetlonymi mimo późnej nocnej pory.

– Mogę panu pokazać, jeśli pan chce – odpowiedział Fazio.

Przeszli na przeciwległy chodnik i Fazio zatrzymał się przed wystawą jubilera.

– Zegareczek na rękę, taki jak ten z czerwonym paskiem. Widzi pan?

Tymczasem zrównali się z nimi inni.

– Same przyzwoite rzeczy – odezwał się Mimi Augello – nie byle ozdóbki. Musiałeś słono zapłacić za ten zegareczek.

– Dość słono – odpowiedział na odczepnego Fazio.

Między nimi dwoma przyjaźń układała się, układała i jakoś nie mogła się ułożyć.

– Gdyby tu trafił ktoś obcy i przespacerował się tą ulicą – wtrącił Galluzzo, kiedy już ruszyli w stronę portu – miałby nieprawdziwe wyobrażenie o Vigacie. Pomyślałby, że nie ma u nas złodziei, bo szyby w witrynach nie są kuloodporne.

– A kiedy tak by sobie szedł i myślał, wyłuskaliby mu portfel z kieszeni i wyrwali walizkę z ręki – dodał Tortorella.

– Rzecz w tym – powiedział Fazio – że kupcy z via Roma śpią spokojnie, bo sobie ten spokój opłacają. Karabinierzy, którzy się tymi sprawami

zajmują, wiedzą, że tak jest, ale nic na to nie mogą poradzić. Żaden z kupców nie przyjdzie donieść, że wymuszono na nim wpłacenie haraczu za nietykalność sklepu.

– Pewniejsze to niż firma ubezpieczeniowa. Tu opłacasz, żeby nic ci się nie stało, i rzeczywiście nic ci się nie dzieje, a jeśli się ubezpieczysz w firmie, to nawet jak się coś stanie, to całkiem możliwe, że nic ci nie zwrócą – brzmiał mętny komentarz Galia, który wypił prawie dwie butelki wina.

– Ci z via Roma komu płacą haracz? – spytał Montalbano.

– Rodzinie Sinagra – odpowiedział Fazio.

– Sinagrowie posyłają poborcę i zgarniają?

– Nic podobnego, komisarzu, nawet nie zadają sobie tyle trudu. Pod koniec miesiąca kupcy idą do Pepe Rizzo, właściciela ostatniego sklepu po prawej. Zna go pan?

– Kupuję u niego buty.

– No i właśnie Rizzo jest z Sinagrów. Zbiera haracz, zostawia sobie, ile mu się należy, a resztę przekazuje komu trzeba. Czy można urządzać się wygodniej?

– Pewnie, że w człowieku wszystko się przewraca, kiedy wie, że ten czy tamten jest przestępcą, a nie wolno go tknąć, bo nie może mu spaść włos z głowy! – wyrzucił z siebie Galio.

– Gdy włos spadnie mu z głowy przez ciebie – skomentował to Fazio – będziesz miał przeciw sobie całą rodzinę Sinagra, czyli tłum typów nigdy niekaranych i typów ciągle karanych, którzy są na ich usługach.

– Rzeczy wcale tak nie wyglądają, jak opowiadacie komisarzowi – wtrącił się Tortorella, który był najbardziej trzeźwy ze wszystkich, bo z powodu starego postrzału w brzuch nie mógł wziąć do ust nawet kropli wina.

– Nie tak? Tylko jak? – spytał zaczepnie Fazio, któremu wino trochę

zmieniało charakter.

– Tylko tak, że z Pepe Rizzo żaden mafioso. Nie należy do rodziny Sinagra i kiedy zbiera dla niej haracz, sobie nie zostawia ani grosza.

– To po co się tym procederem zajmuje?

– Po to, że tak się stało, Sinagrowie zmusili go do tego. A teraz rozpuszczają pogłoski, że to jeden z nich.

– Skąd ty o tym wszystkim wiesz?

– Pepe sam mi powiedział w wielkim zaufaniu. To mój kuzyn, wychowywaliśmy się razem, znam go na wylot. Jak tak mówi, to tak jest.

Montalbano zaśmiał się.

– Przecież to pułapka na koty! – powiedział.

Wszyscy popatrzyli na niego, nie rozumiejąc, o czym mówi.

– Kiedyś córeczka mojej znajomej, dziewczynka może czteroletnia, narysowała na kartce wydartej z zeszytu ptaka. Przynajmniej ona była pewna, że to ptak, chociaż nie można by dać za to głowy. W każdym razie poprosiła matkę, żeby podpisała rysunek: „To jest ptak”. Potem wzięła kartkę i ustawiła ją na trawie w ich ogrodzie. „Po coś to zrobiła?”, spytała z ciekawością matka. „To pułapka na koty”, odpowiedziała mała. Rodzina Sinagra robi to samo, kiedy daje do zrozumienia, że Rizzo jest jednym z nich. Trzeba by teraz na nich coś wystawić w trawie, żeby ich wystawić do wiatru. Należy im się piękna pułapka na koty.

Jeszcze nie skończył tego mówić, a już wiedział, że następnego dnia wybierze się po nowe buty.

O wpół do ósmej wieczorem komisarz, schylając się pod na wpół opuszczoną żaluzją, zajrzał do środka i spytał:

– Mogę wejść? Zdążę? To ja, Montalbano.

– Co też pan mówi, komisarzu! – odpowiedział z głębi Pepe Rizzo.

Montalbano bokiem, jak krab, precyzyjnie się pod żaluzją i znalazł w sklepie.

– Czym mogę służyć?

– Tym co zawsze, brązowe sznurowane mokasyny.

Kiedy Rizzo zabrał się do szukania na półkach właściwych pudełek, komisarz usiadł, zdjął prawy but i oparł wygodnie stopę na podnóżku.

– Jak się panu wydaje, ile może być sklepów na via Roma? – spytał.

Pytanie mogło się wydawać niewinne, ale Pepe Rizzo nie miał czystego sumienia, więc wolał się nie narażać.

– Prawdę mówiąc, nie wiem. Nigdy ich nie liczyłem – odpowiedział zajęty jeszcze gorliwszym przekładaniem pudełek.

– To panu powiem: siedemdziesiąt trzy. Via Roma jest bardzo długa.

– To prawda.

Pepe Rizzo przykucnął przy nogach komisarza i otworzył pierwsze cztery pudełka, które przyniósł.

– Te są trochę droższe. Ale jakie miękkie! Niech pan dotknie!

Montalbano nawet nie spojrzał, Pepe nie miał wątpliwości, że siedzi zatopiony w myślach.

– I wie pan co? Może pan uważać za przyjaciół tylko sześćdziesięciu trzech. Na resztę, na dziesięciu, nie ma pan co liczyć.

– Dlaczego?

– Dlatego, że dziesięciu, których nazwisk nie wymienię, przyszło dzisiaj po południu do komisariatu i złożyło na pana doniesienie. Twierdzą, że to pan zbiera haracz dla rodziny Sinagra.

Pepe Rizzo opadł na podłogę z głuchym łoskotem, a całe powietrze, jakie

miał w płucach, wyszło z niego z dziwnym jękiem. Następnie zemdlął, padając z rozpostartymi rękami na plecy.

Komisarz zaniepokoił się. Z jedną nogą w bucie, utykając, podbiegł do żaluzji i ściągnął ją do końca w dół, a potem rzucił się na zaplecze i wyniósł stamtąd butelkę wody mineralnej i papierowy kubek. Skropił twarz Rizza, a kiedy ten zaczął wracać do siebie, nalał do pełna wody i podsunął mu. Rizzo wypił, drżąc jak w ataku malarii, ale nie otwierał ust w swojej obronie. Jego omdlenie było przecież czymś w rodzaju przyznania się do winy.

– Widzi pan, doniesienie to jeszcze nic takiego. Ale im dalej, tym gorzej – powiedział komisarz na wpół anielskim, na wpół diabelskim tonem.

– Chodzi jeszcze o coś? – spytał cicho Pepe.

– To „jeszcze” to będzie reakcja Sinagrów na doniesienie. Będą pewni, że jest pan człowiekiem, który nie umiał zadbać o dyskrecję i respekt dla siebie i przez to wpakował ich w tarapaty! I tu zaczyna się to gorsze, o czym pan wie lepiej ode mnie. Mogą pana tak potraktować, że więzienie w porównaniu z tym wyda się panu rajem na ziemi.

Pepe Rizzo zaczął się trząść jak drzewo smagane wiatrem, jednak mocny policzek, jaki otrzymał od Montalbana, wprawdzie skrzył mu głowę w bok, ale uchronił przed nowym omdleniem.

– Niech się pan pozbiera – powiedział komisarz. – Musimy się rozmówić.

Tortorella miał rację, Pepe Rizzo był marionetką, a nie mafiosem.

Kiedy już się uspokoił i rozluźnił, słowa wylewały się z niego i gadanina nie miała końca. Wyjawiał komisarzowi, jak został przez Sinagrów wynajęty, jak na niego naciskali, żeby został poborcą, i jakie sumy każdy z kupców musi wpłacać w żywej gotówce dwudziestego ósmego każdego miesiąca. W dzień po wpłacie wcześniej rano przyjeżdża do sklepu człowiek z workiem,

wkłada do niego pieniądze z haraczu, żegna się i na miesiąc przepada.

– Zawsze ten sam? – spytał Montalbano.

Rizzo odpowiedział, że w ciągu pięciu lat, bo tyle się to ciągnie, po odbiór pieniędzy zjawiali się różni osobnicy, było ich co najmniej siedmiu.

– Jak pan ich rozpoznawał? Tylko po tym, że przychodzili z płóciennym workiem?

Rizzo powiedział, że każda zmianę odbiorcy zapowiadano mu przez telefon.

– I pan ufał takiemu anonimowemu rozmówcy?

Nie tak było. Istniało porozumienie, rodzaj hasła. Anonimowy rozmówca mówił: „Dziś postanowiłem sprawić sobie nowe buty”.

Kiedy na koniec Rizzo zaczął nalegać, że chce poznać nazwiska tych dziesięciu, którzy odważyli się go zadenuncjować, komisarz przyznał się, że był to skok na głęboką wodę.

– Co to znaczy?

– Tak to nazywamy my, gliniarze. Wszystko zmyśliłem, zastawiłem na pana pułapkę i pan wpadł.

Pepe Rizzo wzruszył ramionami.

Jeszcze jakiś czas rozmawiali, zastanawiali się, co dalej. Montalbano wyszedł ostrożnie ze sklepu, gdy na dworze już się rozjaśniało. Miał pod pachą pudełko: skoro już tu był, kupił sobie brązowe sznurowane mokasyny, ale musiał na siłę wciskać pieniądze do kieszeni Rizza, bo ten w porywie wdzięczności nie chciał ich przyjąć.

Haracz nie wynosił tyle samo dla wszystkich siedemdziesięciu trzech kupców z via Roma. Wielkodusznie i ze zrozumieniem dla odmiennych sytuacji życiowych rodzina Sinagra ustaliła taryfy *ad personam*: ceny były

różne, od stu do trzystu tysięcy lirów. Wieczorem najbliższego dwudziestego ósmego Pepe Rizzo zamknął sklep i ruszył do domu z tą sama co zawsze walizeczką, wypełnioną stu siedemdziesięcioma milionami w gotówce. Szedł bez pośpiechu, nie bał się, że ktoś może mu walizeczkę wyrwać z ręki, bo całe miasto wiedziało, że byłby to rabunek lekkomyślny i na pewno miałyby łatwe do przewidzenia następstwa dla tego, kto by się na to odważył. Nazajutrz rano, wciąż z tą samą walizeczką, którą w nocy trzymał pod łóżkiem, Pepe Rizzo wyszedł o wpół do ósmej z domu i wstąpił do baru „Salamone” na mrożoną kawę z rogalikiem, a następnie, mniej więcej za pięć ósma, jak codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt kalendarzowych, wziął się do podnoszenia żaluzji sklepowej, a walizeczkę postawił obok siebie na chodniku, jego pomocnik zaczynał pracę o dziewiątej, a przed nim miał się pojawić w sklepie wysłannik Sinagrów, żeby przelożyć pieniądze z walizeczki do płóciennego worka, który zawsze ze sobą przynosił. Zajęty żaluzją, Pepe Rizzo nie zauważył, że przy chodniku zatrzymał się samochód, w którym siedziało dwóch mężczyzn. Kiedy żaluzja była już do połowy podniesiona, Rizzo schylił się po walizeczkę, ale dokładnie w tym momencie mężczyzna siedzący obok kierowcy otworzył drzwi samochodu, wypadł na zewnątrz i lewą ręką naparł mocno na plecy Rizza, wpychając go w ten sposób do sklepu, a prawą chwycił walizeczkę, wskoczył do samochodu i krzyknął do kierowcy: „Jedziemy!” Jednak nagle, jak zeznali nieliczni świadkowie, zdarzyło się coś niesłychanego: silnik nie zaskoczył. Kierowca bezskutecznie szamotał się z zapłonem. Nie poradził sobie. Pepe Rizzo wybiegł ze sklepu, wrzeszcząc jak wariat i wymachując rewolwerem, który trzymał na wszelki wypadek w szufladzie na zapleczu. Widząc, że samochód nie może ruszyć z miejsca, nie tracił czasu: krzyżąc tak, że można go było usłyszeć pod latarnią morską, wycelował w twarz tego, który siedział obok kierowcy, i grożąc, że rozwali mu łeb, kazał oddać walizeczkę. Dopiero

wtedy samochód, jak odczarowany, ruszył z piskiem opon. Pepe Rizzo wystrzelił dwa razy za uciekającymi, żeby ich zatrzymać. Po chwili, jak to było w jego zwyczaju, stracił przytomność i z rozłożonymi rękami padł na plecy. Zaczęło się zamieszanie, ludzie myśleli, że Pepe Rizzo został trafiony przez przestępców. Na szczęście w pobliżu przechodził komisarz Salvo Montalbano i zajął się z urzędu przywracaniem porządku. Wprawdzie niektórzy gapie zapamiętali numer rejestracyjny samochodu, ale komisarz uznał, że na nic mu się to nie przyda, bo auto z pewnością było kradzione. Pepe Rizzo z kolei, kiedy się ocknął, powiedział, że w tych straszliwych chwilach krew uderzyła mu do głowy i nie zdołał zapamiętać rysów mężczyzny, który oddał walizeczkę, a chowając rewolwer do kieszeni, oświadczył, że ma oficjalne pozwolenie na posiadanie broni.

– Co takiego cennego jest w tej walizeczce? – spytał komisarz.

Pod sklepem zebrało się już wielu ludzi i wszyscy, słysząc to pytanie, wstrzymali oddech, bo dobrze wiedzieli, co w niej jest.

– Papiery. Kwity, faktury, rozliczenia, wszystko bez wartości – powiedział uśmiechnięty Pepe Rizzo. – Ale tamci z pewnością liczyli na coś innego.

Wszyscy dookoła – co Montalbano doskonale wyczuł – z trudem się powstrzymali, by nie bić mu brawa. Komisarz powiedział Rizzowi, żeby w wolnej chwili zgłosił się na komisariat, bo trzeba będzie spisać protokół, a potem pożegnał się i odszedł.

O dziewiątej wieczorem tego samego dnia, kiedy doszło do próby rabunku, siedemdziesięciu trzech kupców z via Roma, bez Pepe Rizza, zebrało się na zapleczu sklepu alkoholowego „Vini & Liquori” Fonzia Alletto. Pierwszy punkt niepisanego porządku obrad dotyczył liczby, kształtu i budowy kul, ale tych intymnych, Pepe Rizza. Giosue Musumeci twierdził, że Pepe ma je kwadratowe, Michele Sileci, że ma ich chyba cztery, a Filippo Ingroia

uważał, że ma wprawdzie dwie, jak inni, tyle że z ołowiu. Wszyscy byli jednak zgodni co do tego, że Pepe Rizzo, robiąc to, co zrobił, działał we wspólnym interesie: trudno sobie wyobrazić, żeby rodzina Sinagra nie otrzymała haraczu, a gdyby ten przepadł, z pewnością kazałaby go sobie wpłacić po raz drugi. W tym punkcie dyskusja się ożywiła. Czy tamci dwaj pechowi rabusie byli zwykłymi łobuzami i nie wiedzieli, co się znajduje w walizeczce? A może należeli do drugiej rodziny, współzawodniczącej z Sinagrami, która zdecydowała się wydać im wojnę i zdobyć dla siebie via Roma? Ta druga ewentualność budziła większy niepokój: za tę ich wojnę zapłacą tak czy inaczej kupcy, którzy znajdą się pod obstrzałem, tkwiąc między dwiema walczącymi stronami. Rozeszli się zmartwieni i przybici.

Trzydziesty przypadał w niedzielę. W poniedziałek, o wpół do dziesiątej rano, Stefano Catalanotti i Turi Santonocito, dwaj zaufani ludzie Sinagrów, udali się do banków w Vigacie. Pierwszy do Banku Rolniczego, drugi do Spółdzielczego. Każdy z nich chciał wpłacić osiemdziesiąt pięć milionów. Wypełnili druki i podali banknoty kasjerom. Kasjer z Banku Rolniczego w połowie liczenia zaczął się wahać, ponownie złożył plik banknotów i jeden z nich zaczął uważnie oglądać pod światło.

– Coś nie gra? – spytał Stefano Catalanotti.

– Nie wiem – odpowiedział kasjer, wstając i znikając w gabinecie dyrektora.

Tymczasem to samo działo się w Banku Spółdzielczym.

W dwadzieścia minut po tym, jak weszli do banków, Stefano Catalanotti i Turi Santonocito, którzy nie chcieli ujawnić, skąd pochodzą wpłacane przez nich sumy, byli już w kajdankach, oskarżeni przez agentów z komisariatu w Vigacie o rozprowadzanie fałszywych banknotów.

O piątej po południu tego samego dnia zdarzyło się coś, co przeszło wszelkie wyobrażenia. Chłopczyk, może sześćioletni, wręczył Pepe Rizzowi

paczkę, mówiąc, że dali mu ją – razem z dziesięcioletnim banknotem w nagrodę – dwaj panowie przejeżdżający tędy samochodem, prosząc, żeby zaniósł tę paczkę do sklepu z butami i oddał właścicielowi do rąk własnych.

W paczce było sto siedemdziesiąt milionów w banknotach, wyłącznie prawdziwych, a na karteczce napisano: „Zwrócić właścicielom! Rodzina Sinagra to szlam i chłam”. Czyli sytuuje się na najniższym stopniu skali ludzkich wartości.

Na zapleczu sklepu „Vini & Liquori” Fonzia Alletto tego dnia znowu zebrali się wszyscy kupcy z via Roma, tym razem zaproszeni przez Pepe Rizza. Dyskutowali z ożywieniem, ale ostatecznie mogli dojść tylko do jednego wniosku. Napaść i rabunek były na pewno pozorowane, silnik samochodu zaciął się w odpowiednim momencie, żeby Rizzo mógł odebrać swoją walizeczkę, a raczej nie swoją, tylko identyczną jak jego, tyle że wypełnioną fałszywymi banknotami. I to te wręczył w dobrej wierze emisariuszowi Sinagrów. A jakby tego było mało, prawdziwe pieniądze zwrócono, żeby dać do zrozumienia, że cała ta inscenizacja była szatańską kpina z Sinagrów. Pierwszy otrząsnął się z osłupienia Giosue Musumeci. Zaśmiał się. Po chwili śmiali się już wszyscy, jedni ocierając łzy i trzymając się za brzuchy, inni wręcz tarzając się po posadzce. A ten ich śmiech był sygnałem, że zaczyna się upadek rodziny Sinagra.

Montalbano śmiał się sam w swoim domu w Marinelli. Był autorem i reżyserem tej genialnej farsy czy raczej pułapki na koty, którą wystawił na scenie przy współpracy Pepe Rizza (w roli głównej), Santa Barreki i Pippa Lo Monaco, agentów komisariatu w Montelusie (w rolach rzekomych rabusiów), oraz tamtejszej kwestury (dostawcy fałszywych banknotów i ślepych kul do rewolweru Pepe Rizza), ale dobrze wiedział, że sam w żadnym razie nie będzie mógł pojawić się na koniec na scenie i zebrać

należnych mu braw. Jakie to miało znaczenie, skoro i tak świetnie się bawił?

Cuda w Trieście

Czy można być gliniarzem z urodzenia, mieć we krwi instynkt łowiecki, jak go nazywa Dashiell Hammet, a jednocześnie przepadać za dobrymi, wyszukаныmi książkami? Można. Taki właśnie był komisarz Salvo Montalbano. Ale kiedy ktoś się temu dziwił i zadawał mu podobne pytanie, nic na to nie odpowiadał. Raz tylko, będąc w szczególnie marnym nastroju, odgryzł się pytającemu opryskliwie:

– Pana to dziwi, bo za mało pan wie. Nazwisko Antonio Pizzuto coś panu mówi?

– Nic.

– Ten człowiek zrobił wielką karierę w policji, był kwestorem, szefem Interpolu. A po kryjomu przekładał niemieckich filozofów i klasyków greckich. Kiedy po sześćdziesiątce poszedł na emeryturę, zaczął pisać i został najwybitniejszym pisarzem awangardowym, jakiego mieliśmy. Był Sycylijczykiem.

Rozmówca zaniemówił. A Montalbano ciągnął dalej:

– Skoro o tym mowa, to podzielę się z panem pewnym moim przekonaniem. Gdyby Leonardo Sciascia nie został nauczycielem szkoły powszechnej, tylko policjantem, stałby się słynniejszym komisarzem niż Maigret i Pepe Carvalho razem wzięci.

Ponieważ więc Montalbano był, jaki był, zaraz po wyjściu ze slipingu, którym przyjechał do Triestu, zaczął sobie przypominać wiersz Virgilia Giottiego, napisany w tutejszym dialekcie. Jednakże w miejscu swego pochodzenia, powtarzany w myśli z sycylijskim akcentem komisarza, wiersz

wypadał nieznośnie, jak obraza, niemal jak świętokradztwo.

Był wczesny ranek, przejrzysty i jasny, i komisarz, który w ciągu jednego dnia podlegał irytującym zmianom nastroju, miał nadzieję, że uda mu się zachować do wieczora ten stan ducha, który czynił go wyrozumiałym wobec wszelkich zbiegów okoliczności i nieprzewidzianych zdarzeń.

Z zatłoczonego peronu wszedł do obszernego holu dworcowego i zatrzymał się przy kiosku z gazetami, żeby kupić „Il Piccolo”. Przeszukał kieszenie, ale nie znalazł drobnych, a w portfelu miał tylko banknoty po pięćdziesiąt i sto tysięcy lirów. Wyjął pięćdziesięciotysięczny, chociaż nie łudził się, że w kiosku mu go rozmienia.

– Nie mam drobnych, nie mogę panu wydać – powiedział zgodnie z przewidywaniami kioskarsz.

– A ja nie mogę panu zapłacić – odparł Montalbano i odszedł parę kroków.

Zaraz jednak wrócił, bo wpadł mu do głowy pewien pomysł. Poprosił oprócz gazety o dwie powieści kryminalne, które wybrał na chybił trafił, a kioskarsz oczywiście znalazł trzydzieści pięć tysięcy lirów reszty. Komisarz wsunął pieniądze do prawej kieszeni spodni, bo nie chciało mu się wyciągać portfela. Poszedł przez hol w stronę postojów taksówek, a w głowie znowu odezwał mu się wiersz, tym razem Umberta Saby, i na szczęście brzmiał śpiewnym głosem samego autora, słyszonym pewnego razu w telewizji.

Triest ma swój niezrównany, szorstki wdzięk. Gdy komuś się spodoba, będzie jak chłopiec biedny i łapczywy z niebieskimi oczami i wielkimi dłońmi...

Dłonie, które nagle chwyciły go za wiatrówkę na wysokości piersi, nie były dłońmi chłopca, tylko pięćdziesięcioletniego mężczyzny, który w żadnym razie nie wyglądał na biednego i łapczywego. Był przyzwoicie ubrany, ale stracił równowagę i gdyby odruchowo nie wsparł się na

komisarzu, a ten odruchowo go nie podtrzymał, to leżałby jak długi na ziemi.

– Bardzo pana przepraszam, potknąłem się – powiedział zażenowany.

– Nie ma o czym mówić – odparł Montalbano.

Mężczyzna ruszył dalej, a komisarz po wyjściu z dworca podszedł do pierwszej z brzegu taksówki i otworzył drzwi.

Dokładnie w tym samym momencie w jakiś niezrozumiały dla siebie sposób zorientował się, że nie ma portfela.

„Niemożliwe! – jęknął w duchu. – Tak mnie wita to miasto, które zawsze bardzo lubiłem?”

– Namyślił się pan? Czy się pan rozmyślił? – rzucił taksówkarz, gdy komisarz otworzył drzwi, zamknął i na nowo otworzył.

– Mam prośbę – powiedział komisarz do taksówkarza. – Proszę mi zawieźć walizkę i książki do hotelu „Jolly”. Nazywam się Montalbano, mam zarezerwowany pokój. Przyjdę tam później, muszę jeszcze coś załatwić. Wystarczy dwadzieścia tysięcy?

– Wystarczy – odparł taksówkarz i od razu ruszył. Do hotelu „Jolly” miał zaledwie kilkadziesiąt metrów, o czym Montalbano nie wiedział.

Popatrzył za taksówką, a kiedy zniknęła z pola widzenia, przyłapał się na niespokojnej myśli: „Nawet nie zapamiętałem numeru na tablicy rejestracyjnej”. A jednocześnie poczuł, że nic go to nie obchodzi i że jest zmęczony.

Mężczyzna, który mu ukradł portfel, z pewnością był jeszcze gdzieś w pobliżu. Komisarz wrócił do holu, chodził po całym dworcu, stracił pół godziny na rozglądanie się na wszystkie strony z coraz mniejszą nadzieją, że go dostrzeże. Kiedy wyszedł z dworca na plac Wolności, zobaczył, że złodziej krąży między samochodami na parkingu. Właśnie zakończył odgrywanie takiej samej scenki, jaką popisał się przy komisarzu. Pozbawiony

portfela wysoki mężczyzna z siwymi rozwianymi włosami nie miał pojęcia, że czegoś mu brakuje, i szedł wyniośle w stronę Muzeum Sztuki Antycznej, rozglądając się na wszystkich z góry.

Kieszonkowiec zniknął. W chwilę później komisarzowi wydało się, że znów go widzi dochodzącego do korsa Cavour.

Czy komisarz policji może puścić się biegiem za nieznajomym i krzyżeć: „Łapać złodzieja! Łapać złodzieja!” Nie, nie może. Mógł tylko przyspieszyć kroku i próbować się z nim zrównać.

Ale musiał się zatrzymać na czerwonym świetle. Czekać, bezradnie obserwował kolejny popis kieszonkowca: tym jego ofiarą padł sześćdziesięcioletni, elegancki pan, przypominający Chaplina z filmu *Król w Nowym Jorku*. Komisarz musiał przyznać, że jest pełen podziwu dla zręczności złodzieja, który w swej dziedzinie był prawdziwym artystą.

Gdzieś się jednak podział. Montalbano minął swój hotel, doszedł do Teatru Verdiego i załamał się. To polowanie nie miało sensu. W którą stronę powinien teraz ruszyć? Skąd mógł mieć pewność, że kieszonkowiec już nie skręcił w pierwszą lepszą boczną uliczkę, w jedną z tych, które zaczynają się na placu Duca degli Abruzzi albo na nabrzeżu III Novembre? Bez pośpiechu zawrócił do hotelu.

Triest umiał zamienić daremny pościg w spokojną, pogodną przechadzkę. Komisarzowi sprawił przyjemność wyraźny, mocny zapach Morza Adriatyckiego, tak różny od zapachu morza w jego stronach.

Walizkę zanieiono mu już do pokoju, w recepcji powiedział, że za chwilę przyniesie dowód osobisty.

Z pokoju od razu zadzwonił do kwestury i zapytał o komisarza Prottięgo, swego wypróbowanego przyjaciela.

– Tu Montalbano.

– Cześć, co z tobą? Przyjechałeś wcześniej? Kongres zaczyna się o piętnastej. Wybierzesz się ze mną na obiad? Podjadę po ciebie pod „Jolly”, dobra?

– Dobra, dzięki. Wiesz co, muszę ci od razu coś powiedzieć. Ale jak się zaczniesz śmiać, to przyjdę na kwesturę, przysięgam, i rozwalę ci łeb.

– Co się stało?

– Okradli mnie. Wyciągnęli mi portfel. Na dworcu.

Musiał odczekać pięć minut ze słuchawką w ręku, bo Protti tyle czasu zarykiwał się ze śmiechu i nie był w stanie się pozbierać.

– No, nie mogłem się powstrzymać, wybac. Potrzebujesz paru centów?

– Dasz mi, kiedy się zobaczymy. Wstaw się za mną u swoich kolegów, żeby jakoś odzyskali moje dokumenty, wiesz, prawo jazdy, kartę do bankomatu, legitymację służbową...

Komisarz Protti znowu dostał ataku śmiechu. Montalbano odłożył słuchawkę. Rozebrał się, poszedł pod prysznic, ubrał się z powrotem, porozmawiał dobre parę minut z Mimi Augellem, swoim zastępcą w Vigacie, i równie długo z Livią, przyjaciółką z Boccadasse pod Genuą.

Kiedy zszedł do holu, portier zawołał za nim i komisarz się wystraszył. Z pewnością poprosi o dowód, by go zarejestrować, od tego w Trieście nie można się wykręcić, tu przestrzegają przepisów, jakby nie minęły jeszcze czasy Cecca Beppe. Co ma bredzić, żeby zyskać na czasie?

– Panie doktorze Montalbano, przynieśli dla pana tę kopertę.

Była to duża, mocna koperta, na której ktoś drukowanymi literami napisał: „Dla dr. Salvo Montalbano” Oddano ją wprost do recepcji, bez nazwiska nadawcy. W środku był jego portfel. A w portfelu to wszystko, co do niego włożył: prawo jazdy, karta do bankomatu, legitymacja, pięćset pięćdziesiąt

tysięcy lirów. Nie brakowało ani centa.

To jak cud, ale jak ten cud rozumieć? Skąd skruszony kieszonkowiec mógł znać adres jego hotelu? Może spostrzegł, że komisarz go śledzi, i wobec tego zmienił skórę, przeobraził się, sam zaczął ukradkiem śledzić okradzionego i doszedł za nim aż na próg hotelu?

Ale dlaczego pożałował tego, co zrobił? Może przeglądając dokumenty, zorientował się, że okradziony jest gliniarzem, i przestraszył się? Coś się tutaj nie zgadzało.

Protti od razu go zagadnął:

– Powiedz mi coś więcej o tej historii z portfelem.

Najwyraźniej wspaniale się bawił i chciał się zabawić raz jeszcze. Śmiech dobrze robi.

– Przepraszam, że od razu nie dałem ci znać, ale zadzwonili do mnie z Vigaty, zawrócili mi głowę i o tamtym całkiem zapomniałem. Kieszeń w marynarce była rozpruta i portfel wsunął się za podszewkę. Fałszywy alarm, przedwczesny i zbędny.

Protti popatrzył na niego z niedowierzaniem, ale nic nie odpowiedział.

W restauracji, dokąd zawiózł go przyjaciel, podawali tylko dania rybne. Montalbano zjadł talerz cienkiego makaronu w sosie z homarów, a na drugie zamówił filety z ryby zwanej tu guatto, którą trudno znaleźć gdzie indziej. Żeby te dary boże łatwiej się w nim zadomowiły, Protti doradził wino „Terrano del Carso” z winnic położonych na wzgórzach za Triestem.

Na kongres przyjechało chyba ze trzystu policjantów z całych Włoch. Montalbano został zaproszony do zajęcia miejsca na scenie, w prezydium, ale po tak wspaniałym obiedzie ogarniała go coraz większa senność, więc żeby ją pokonać, zaczął wpatrywać się kolejno w twarze kolegów siedzących na

widowni, z identyfikatorami w klapach marynarek. Próbował znaleźć kogoś znajomego.

I rzeczywiście znalazł. Widział go co prawda tylko przez parę sekund, ale za to jego twarz wryła mu się tak mocno w pamięć, że poczuł, jak po kręgosłupie przebiegło mu coś w rodzaju wstrząsu elektrycznego. To był kieszonkowiec, z całą pewnością! Złodziej, przestępca, który tak się rozzuchwiał, że przyszła mu ochota udawać policjanta z dobrze widocznym identyfikatorem (gdzie go, na Boga, zwinął?), i który teraz, napotkawszy wzrok Montalbana, uśmiechnął się do niego.

Czy komisarz na kongresie policji może nagle zeskoczyć ze sceny i rzucić się na kogoś, kogo inni uważają za kolegę, krzyżąc, że to złodziej? Nie, nie może.

Złodziej bez przerwy wpatrywał się w komisarza i wciąż się uśmiechając, zdjął okulary i wykrzywił twarz w komicznym grymasie.

I wtedy Montalbano uświadomił sobie, kto to jest. Genuardi! Nie mógł się mylić, to był Totuccio Genuardi, jego kolega z gimnazjum, który rozśmieszał innych uczniów, bo w każdej klasie jest zawsze jeden taki. Już wtedy niezwykle sprawnie manewrował swoimi aksamitnymi rękami: kiedyś dla hecy wyciągnął portfel dyrektorowi szkoły i cała klasa pożywiła się na koszt dyrektora przekąskami w gospodzie.

Co teraz robić?

Kiedy ogłoszono przerwę w obradach, Montalbano zszedł na widownię, ale zaraz zatrzymał go kolega ze związków zawodowych, by poprosić o radę w delikatnej sprawie. Uwolnił się od niego dość szybko, ale Totuccio już mu zniknął z oczu.

Rozglądał się za nim i wreszcie go dostrzegł. A dostrzegłszy, zdrętwiał. Zobaczył, że odgrywa akurat swoją niezawodną sztuczkę, obrawszy sobie za

ofiare kwestora Di Salvo. Właśnie go, zakłopotany, przeproszał. Kwestor, znany z pańskich gestów, poklepał go na pocieszenie po plecach i sam otworzył mu drzwi wejściowe. Totuccio uśmiechnął się do niego, skłonił, podziękował i wyszedł. Po czym przepadł wśród przechodniów.

Ikar

Zważywszy, że w Vigacie woda (niezdatna do picia) rozprowadzana jest z odsalarni tylko dwa razy w tygodniu przez cztery godziny dziennie, zważywszy, że liczba obywateli Vigaty, którzy wyemigrowali do Belgii i Niemiec, wynosi już dwa tysiące dwieście trzydzieści osób, zważywszy, że liczba bezrobotnych przekroczyła siedemdziesiąt procent ludności, zważywszy, że ostatnie statystyki szacują ilość narkotyzującej się młodzieży na czterdzieści procent, zważywszy, że miejscowy port został przed dwoma miesiącami przekwalifikowany i zdegradowany do niższej kategorii, zważywszy zatem to wszystko i wiele innych spraw, Burmistrz zarządził uroczyste obchody z okazji sto pięćdziesiątej rocznicy nadania Vigacie (która dawniej nosiła nazwę Niższego Mola Montelusy) autonomicznych praw miejskich.

Do programu obchodów, które miały trwać niemal tydzień, od dwudziestego piątego do trzydziestego czerwca, włączono codzienne wieczorne popisy Rodziny Moreno. Ktoś, kto miał szczęście oglądać to nadzwyczajne widowisko w jednym z miast na Północy, wiele na ten temat fantazjował. Nazwa obrana przez trupę artystyczną – Rodzina Moreno – pozwalała się domyślać niewinnej burleski, którą dziadkowie mogą oglądać razem z wnukami. Ta nazwa jednak wprowadzała w błąd, jak mówili dobrze poinformowani. A potwierdzeniem tego był ukośny napis na afiszach: „Nieletnim do lat 18 wstęp wzbroniony”.

Ojciec Burruano, miejscowy prałat, należnie poinformowany przez żonę człowieka, który oglądał to „widowisko w Bergamo, miał za złe

burmistrzowi Vigaty, że na nie zezwolił.

Najbardziej zdumiewało kapłana, że burmistrz przystał na to mimo przynależności do szacownej partii, której lokalny założyciel i przewodniczący miał w rodzinie ciotkę zakonnice, czym się często przechwalał. Ale burmistrz okazał się nieugięty; właśnie jego partii zależy na otwartych umysłach, a jego administracja bynajmniej nie przypomina tej z czasów partii poprzedniej, złożonej z ludzi bez Boga, bez Ojczyzny i bez Wolności. Jeśli więc dorośli zechcą na spektakl przyjść, nikt im w tym nie przeszkodzi, a jeśli nie zechcą, mają do wyboru inne punkty programu: dwie imprezy, które będą się odbywać równocześnie z popisami Rodziny Moreno, więc albo wyścig w workach, albo profesjonalny turniej gry w karty zwanej *scopone*.

Gerhardt i Annelise Boldtowie, brat i młodsza o dwa lata siostra, urodzeni i wychowani w cyrku, od wczesnego dzieciństwa popisywali się wyczynami akrobatycznymi. Annelise w wieku osiemnastu lat, kiedy już była świetnie zbudowaną blondynką, łatwo wygrywającą na punkty z okładkowymi modelkami, straciła głowę dla pilota helikoptera, Hugo Rittnera, i wyszła za niego za mąż. A Hugo wpadł na pomysł, żeby wspólnie z żoną i szwagrem utworzyć grupę akrobatyczną Rodzina Moreno.

Na trzy dni przed występem miasto zmontowało w rozważnie wybranym miejscu ogromną konstrukcję z żelaznych rur, rodzaj cyrku pod gołym niebem. Na zewnątrz osłonięto ją grubym brezentem, na którym wymalowano przesła łukowe, przypominające Koloseum.

Budowla z kuliście wpisaną widownią na czterysta miejsc miała pośrodku wielką platformę z jasnych desek. Nad tą cyrkową konstrukcją umieszczono potężny reflektor halogenowy, zainstalowany na wysokiej wieży z drewnianą kabiną i anteną na dachu. Występy, jak zapowiadał afisz, miały się rozpocząć

punktualnie o dwudziestej pierwszej trzydziści, ale już godzinę wcześniej wszystkie miejsca zapełnili widzowie, sami mężczyźni, głównie z Vigaty, kawalerowie i żonaci, mimo że cena biletu okazała się znaczna. Kobiet na widowni nie było: odstraszył je napis, że występ jest dozwolony od lat osiemnastu. Toteż przynajmniej pierwszego wieczoru nie miały odwagi się pojawić. O wyznaczonej godzinie, z teutońską precyzją, snop światła reflektora zaczął krążyć po niebie, a muzyka jak z horrorów ogłuszyła widzów. Publiczność zadarła głowy i wpatrywała się w czarne niebo. Nie inaczej zachowywali się też ci wigatyjczycy, którzy kręcili się pod „Kolosum”. Wreszcie reflektor wyłowił na niebie nadlatujący helikopter i towarzyszył mu, naprowadzając go nad budowlę. Śmigłowiec zatrzymał się dokładnie nad drewnianą platformą, jakby miał na niej wylądować, jednak tylko zrzucono z niego długą linę zakończoną pierścieniem. Po tej rozkołysanej linie zjechał na widownię mężczyzna w srebrnym skafandrze astronauty i rozpoczął serię efektownych akrobacji. Tymczasem miasto ogarnęła euforia: wszyscy stali na balkonach albo w oknach i wpatrywali się w niebo. Turniej gry w scopone i wyścigi w workach zostały odwołane. Akrobata zakończył popis szybкими przewrotami, trzymając się pierścienia tylko jedną ręką. Wigatyjczynom zapało dech w piersi.

Z helikoptera zrzucono drugą linę, do której był przymocowany trapez. Na jego poprzeczce siedziała kobieta, czego można się było domyślić tylko dzięki jasnym warkoczom, bo ona także miała na sobie skafander astronauty, tyle że bez hełmu. Gdy znalazła się na wysokości akrobaty, wykonała samotnie, z niewiarygodną wprawą, szereg szybkich ćwiczeń, które były dość trudne i niebezpieczne. Po chwili popisywali się już akrobacjami w duecie. Publiczność krzyczała z zachwytu i biła brawo, ale artyści byli zbyt wysoko w powietrzu, żeby cokolwiek z tego słyszeć. Na koniec napowietrznego baletu liny spuszczone niżej, na dwa metry nad centralne

podium, i akrobaci zniknęli z oczu tych wigatyjczyków, którzy pożałowali pieniędzy na bilet. Główny reflektor zgasł, helikopter, wciągnąwszy liny, odleciał i już tylko wąski, dyskretny snop światła z małego reflektora padał na platformę. Zmieniła się też muzyka. Należy to rozumieć dosłownie i w przenośni, bo zaczęła się druga część widowiska – ta, przed którą prałat, ojciec Burruano, tak płomiennie przestrzegał.

Dziewczyna zeskoczyła z trapezu. Udając, że upadła i zemdląca, leżała z rozłożonymi ramionami i nogami. Wtedy jej partner zrzucił z siebie skafander astronauty. Pod nim miał tygrysią skórę, a na twarz nasunął maskę lwa. Dziewczyna odzyskała zmysły, ale widząc nad sobą zwierzę, przeraziła się i rzuciła do ucieczki. Lew łapą zerwał jej górną część międzygwiazdowego skafandra, odsłaniając biustonosz. Łapa dopadła ją raz jeszcze i dziewczyna została w majtkach. Wtedy wreszcie zrozumiała, o co zwierzęciu chodzi. Dała mu znak, żeby nie traciło cierpliwości, i rozpoczęła powolny, zmysłowy striptiz, aż do samych, niemal niewidocznych stringów. I w takim odzieniu zdała się na pożądliwość lwa, który chyba nie tylko znał na pamięć całą Kamasutrę, ale mógłby też opracować jej nowe, przejrane i rozszerzone wydanie.

Kiedy nagradzany burzliwymi oklaskami występ dobiegł końca, była już późna noc i mocno się ochłodziło, ale mężczyźni byli tak rozpaleni i spoceni, jakby siedzieli przy ognisku. Helikopter pojawił się na nowo, zastygł w górze nad platformą, zrzucił liny, a akrobaci kłaniali się i dziękowali widzom po raz ostatni. Gdy już mieli się unieść, zdarzyło się to, co się zdarzyło.

– Co też tam się zdarzyło! – w ten sposób nazajutrz rano Mimi Augello zaczął relacjonować komisarzowi Montalbano swoje wczorajsze przeżycia. – Nie wiem, jak to nazwać, farsą czy tragedią. Dziewczyna już trzymała się trapezu, kiedy na widowni komuś zebrало się na tak żałosne, rozpaczliwe

wołanie, że aż wszystkich zatkało. „Nie, nie! Zostań! Jeszcze trochę! Nie odlatuj!”, krzyczał jakiś typ ochrypłym głosem. Niejeden by tak krzyczał, komisarzu! Dziewczynę zamurowało. Stała z ręką na drążku, z rozpuszczonymi włosami, które zakrywały jej całe plecy, z tymi strasznie długimi i mocnymi udami, które chyba... nie zmyślam, komisarzu... gdyby tak człowieka chwyciły, toby go prawie przecięły na pół, a przy tym wciąż pieściłyby go ciepło, po kobiecemu, z tym wysokim, twardym tyłeczkiem, który by sięgał... gdyby przy mnie stanęła!... mojego obolałego krzyża, i z tymi drobnymi, jędrnymi piersiami, pięknie opalonymi i niczym, ale to niczym niezastłoniętymi...

Montalbano zagwizdał, jak gwizdże się na owce. A Mimi Augello potrząsnął głową, jakby budził się ze snu.

– Odwróciłem się, żeby zobaczyć, kto krzyczy, ale nie mogłem się połapać. Na pewno był to chłopiec, którego już trzymali mocno pod ręce jego dwaj sąsiedzi. On jednak wyrwał się i wbiegł na pomost. Przestraszona dziewczyna, nie wiedząc, co się dzieje, wspięła się zręcznie po linie. Chłopiec wspiąłby się za nią, ale akrobata zwałił go na deski jednym ciosem męskiej pięści. Nieszczęśnik upadł na pomost, a tamtych wciągnięto na linach w górę i helikopter od razu odleciał. Wszedłem na platformę. Chłopiec jęczał, siedząc na deskach, a z rozbitej wargi sączyła mu się krew, mimo to w dalszym ciągu bełkotał: „Zostań! Zostań! Chcę cię mieć!” Miał obłąkane oczy, cały drżał. Upomniałem go, zapowiedziałem, że jeżeli jutro wieczorem będzie się tu kręcił, to go aresztuję. Nie dałbym głowy, że zrozumiał, co do niego mówię. A wie pan, komisarzu, kto to był? Nene Scozzari!

Usłyszawszy nazwisko Scozzari, komisarz nie mógł wyjść ze zdumienia. To niesłychane! Nene Scozzari! Szanowany w całej Vigacie młodzieniec, wychwalany przez wszystkich za rzetelność, zrównoważenie, pracowitość! Syn adwokata, nadzieja rodziny, dobrze prosperujący profesjonalista, członek

Akcji Katolickiej, zdolny prawnik, który uzyskał dyplom w wieku dwudziestu trzech lat, a w pół roku później ożenił się z Agatiną Lo Vullo, przewodniczącą Córek Maryi. Dlaczego publicznie pozwolił sobie na taki wybryk? Dlaczego miał za nic taki skandal?

– Nic z tego nie rozumiem – ciągnął Augello. – Gdyby dopadł tej akrobatki, toby ją obrabiał tam, na scenie, na oczach wszystkich!

Wydarzyło się to podczas pierwszego występu, dwudziestego piątego czerwca. Kiedy jednak rozeszła się plotka o tym, co się stało, jak zachował się po występie Nene Scozzari, następnego dnia pod kasą był taki tłum, że straż miejska musiała zaprowadzić porządek i zapobiec awanturom. Wśród publiczności pojawiło się już z dziesięć zamężnych kobiet w towarzystwie mężów. Raz jeszcze wybrał się na spektakl Mimi Augello, który bezwstydnie oświadczył komisarzowi Montalbano, że jego obecność jest nieodzowna, aby nie powtórzył się taki incydent, do jakiego doszło poprzedniego dnia. Ale po chwili przyznał się przełożonemu, że uda niemieckiej akrobatki majaczyły mu przez całą noc i nie pozwoliły się wyspać.

Tego drugiego wieczoru widowisko przebiegało bez zakłóceń, jeśli nie liczyć lekkiego omdlenia, które podczas najciekawszego fragmentu Kamasutry przydarzyło się siedemdziesięcioletniemu panu Scibecie, kawalerowi orderu. Syn i wnuk musieli go wynieść na świeże powietrze, bo nikt oprócz nich nie kwapił się przyjść z pomocą, żeby nie stracić ani minuty z ekscytującego widowiska.

Nene zapamiętał upomnienia wicekomisarza i nie pojawił się na spektaklu. Nie pojawił się także w domu i rodzice, z którymi mieszkał, nie ujrzeli go tej nocy.

Rano dwudziestego siódmego, około jedenastej, do gabinetu komisarza

wszedł Giulio Scozzari, ojciec Nene.

– Mój syn nie wrócił do domu na noc po tym, jak odegrał publicznie tę komedię, po której chcieliśmy się zapaść pod ziemię ze wstydu.

– Zaginął?

– Lepiej by zrobił, gdyby zaginał – powiedział rozgoryczony adwokat. – Doskonale wiem, gdzie jest.

– Gdzie?

– Na Przylądku Nadziei, tam gdzie ci pieprzeni Niemcy trzymają helikopter i kamper.

Przylądek Nadziei w tej części, w której akrobaci założyli bazę, był pustą platformą skalną, opadającą stromo do morza.

– Co tam robi?

– Nic nie robi. Siedzi w samochodzie i wypatruje, kiedy ta Niemka wyjdzie z kampera, bo nie może się na nią, zasraniec, napatrzeć.

– Jak miałbym panu pomóc?

– Gdyby pan się tam przejechał i porozmawiał z nim, może by go pan przekonał, że już dość błaznowania.

Było wpół do dwunastej. Komisarz nie miał ochoty jechać i dyskutować z Nene. Powierzył to zadanie Mimi Augellowi, który nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać. Ruszył z kopyta, mając nadzieję, że zobaczy akrobatkę z bliska. Po dwóch godzinach wrócił wstrząśnięty.

– Matko Boska, Salvo! Wiesz, jak tam, na przylądku, wygląda sytuacja? Nene Scózzari stał na szosie, oparty o auto, jakieś dwadzieścia metrów od kampera i śmigłowca. A Niemka leżała całkiem goła na łóżeczku polowym i opalała się. Nene trzymał właśnie w ręku bukietik stokrotek, które świeżo nzbierał. W pewnej chwili podszedł do dziewczyny, położył jej kwiaty na brzuchu i wrócił do samochodu. Wtedy na niego popatrzyła. Matko

Przenajświętsza, Salvo, ale jak popatrzyła! Kiedy tylko to będzie możliwe, kiedy tylko mąż i brat dadzą jej chwilę spokoju, zrobi wszystko, żeby Nene na chybicka ją obsłużył, mogę za to ręczyć!

– A wtedy tamci dwaj obsłużą jego. Znów mu rozbiją głowę, tym razem solidniej.

– Co ty mówisz, Salvo! To są Niemcy, nie Sycylijczycy. Takiej przelotnej zabawy nie mają kobietom za złe, to dla nich rzecz zrozumiała.

– A gdzie byli tamci dwaj, skoro już o nich mowa?

– Kapali się, byli ze sto metrów od brzegu.

– Rozmawiałaś z Nene?

– Rozmawiałem. Ale, zrozum, on mnie wcale nie słuchał. Chyba nawet mnie nie widział, takie odniosłem wrażenie. Tylko się wpatrywał w Niemkę, a ona w niego. Co tam miałem do roboty? Zabrałem się z powrotem. Przyznam ci się, że ta Niemka i mnie nie daje spokoju.

– Nigdy nie widziałaś gołej kobiety?

– Takiej jak ta nigdy – wyznał szczerze Mimi. – Nie chodzi o to, że jest ładna. Coś w sobie ma, i tyle. Dopiero teraz rozumiem, co mają na myśli Amerykanie, kiedy plotą o seksapilu.

Spektakl w nocy z dwudziestego siódmego na dwudziesty ósmy wypadł wspaniale, a kobiet na widowni było już dwa razy tyle co mężczyzn.

– Łatwo to zrozumieć – powiedział Mimi, który i tym razem nie pominął okazji, żeby tam być. – Gdybym był kobietą, straciłbym głowę dla tego akrobaty. On jest taki jak siostra, tyle że w męskim wydaniu.

Rano dwudziestego dziewiątego Mimi Augello przyszedł do komisariatu trochę spóźniony, ale uśmiechnięty.

– Zepsuł ci się budzik? – spytał komisarz.

– Nic w tym stylu! Szedłem do biura, gdy przed wypożyczalnią samochodów zobaczyłem obu Niemców, pilota i akrobatę, jak wsiadali do wynajętego auta. Wypytałem właściciela, co się dzieje. Pojechali do Katanii, powiedział mi, żeby znaleźć miejsce na bazę, kiedy tam się przeniosą.

– Mimi, nawet portierka czy służąca nie jest tak wścibska jak ty.

– To nie wszystko – powiedział Mimi z błyskiem w oczach. – Przyszło mi do głowy...

– ...żeby skoczyć na Przylądek Nadziei – dopowiedział Montalbano. – I skoczyłeś.

Mimi Augello popatrzył na niego z podziwem.

– Nie mylisz się. Zatrzymałem się trochę bliżej, żeby nie narobić alarmu, i poszedłem pieszo. Nene nie było w samochodzie. Podkradłem się pod sam kamper, w którym śpią. Nie uwierzyłbyś, Salvo! Drzwi i okna były pozamykane, a ona w środku krzyczała jak w szale: *Ja! Ja!*, jakby ją zarzynali. Jeśli naszemu Nene starczy sił, to może sobie tak używać do szóstej wieczorem, bo tamci wcześniej nic wrócą. Mówiłem ci, Salvo, prawda? Byłem pewien, że ona, kiedy tylko będzie to możliwe, nie przepuści okazji i wciągnie Nene na siebie.

O wpół do siódmej rano, trzydziestego, komisarza obudził telefon adwokata Giulia Scozzariego.

– Panie komisarzu, proszę mi wybaczyć, że dzwonię o tej porze, ale jestem bardzo niespokojny o syna.

– Co się stało?

– Około pierwszej w nocy, jak zawsze w tych dniach, pojechałem na przylądek. Nie ma tam samochodu mego syna.

– A helikopter i kamper są?

– Oczywiście. Tamci właśnie wrócili z występu. Myślałem, że syn zaraz się przywlecze za nimi, ale się nie pokazał. Łudziłem się, że może wreszcie wrócił do domu. Ale nie wrócił.

Czy mógł powiedzieć ojcu, że jego syn, zmęczony, jak się wyrażał Mimi, takim „długim galopowaniem”, pojechał na przykład do jakiegoś hotelu, aby odzyskać siły, zupełnie się przy tym nie licząc z rodziną i nikomu się nie tłumacząc?

– Panie mecenasie, pewnie coś się zmieniło.

Adwokat oczywiście nie zrozumiał, co komisarz ma na myśli.

– Nic się nie zmieniło. Nie dalej niż kwadrans temu znowu tam pojechałem. Niemcy śpią, a syna ani jego samochodu nie ma.

– Pański syn jest pełnoletni.

– Co to ma do rzeczy?

– Coś ma, bo nie możemy go szukać, jakby był wyrostkiem, który uciekł z domu i nie wraca. Musimy trochę poczekać. A jeżeli się nie pojawi, zobaczę, co się da zrobić.

Ale niepokój adwokata Scozzariego i jemu się udzielił.

O wpół do dziesiątej, zamiast pojechać do komisariatu, zdecydował się wstąpić do Niemców. Samochodu Nene Scozzariego istotnie nigdzie nie dostrzegł. Był pewien, że wszyscy w kamperze jeszcze śpią, jednak obaj mężczyźni byli już na nogach: Hugo zajmował się silnikiem helikoptera, a Gerhardt ćwiczył na drążku. Komisarz podszedł do niego i chociaż nie znał ani słowa po niemiecku, miał nadzieję, że jakoś się dogadają.

– Może wiesz, gdzie się podział ten pan, co tu stale siedział w aucie?

Gerhardt zeskoczył z drążka, rozłożył ręce, zaprzeczył ruchem głowy. Zbliżył się Hugo, który także usłyszał pytanie komisarza.

– Italiano skochany? Nikomu go dziś nie widział.

I zaśmiał się. Zaśmiał się oschle, odrażającym śmiechem. Komisarz nie mógłby powiedzieć nikomu, nawet samemu sobie, że rozpoczął dochodzenie tylko dlatego, że usłyszał odrażający śmiech, w którym brzmiała kpina, pogarda, triumf i złośliwość. Dochodzenie jednak rozpoczął. Kiedy przyjechał do komisariatu, od razu wezwał do siebie Fazia i Galla.

– Ty – powiedział do Galla – pojedziesz na przylądek w pobliże ich bazy, ale musisz to tak zrobić, żeby cię nie widzieli. Weź ze sobą lornetkę i komórkę. Masz mnie o wszystkim informować.

– A ty – zwrócił się do Fazia – kiedy tylko przyjedzie Mimi Augello, pojedziesz z nim po Niemkę. Jeżeli jeszcze śpi, to ją zbudzicie, nic mnie to nie obchodzi. Chcę ją mieć w komisariacie, ale tylko ją, tamtych dwóch nie.

Potem zatelefonował do adwokata Scozzariego.

– Ma pan wiadomości o synu?

– Nie mam, panie komisarzu. Jesteśmy zrozpaczeni – powiedział adwokat. Po chwili jednak nabrał podejrzeń.

– Czemu pan o to pyta? Dowiedział się pan czegoś? Dlaczego pan dzwoni? Montalbano nie miał pojęcia, co na to odrzec.

– Dzwonię z ciekawości. Proszę wybaczyć, mam mnóstwo pracy. Gdyby się pan czegoś dowiedział, proszę mi dać znać.

Odłożył słuchawkę. I w tym samym momencie stanął w drzwiach Mimi Augello.

– Nie pojechałeś z Faziem?

– Dzwoniłem, że się trochę spóźnię, więc Fazio nie czekał, pojechał po Niemkę z Galluzzem.

– Wolałbym, żeby pojechał z tobą. Przecież to ty pieprzysz, kiedy możesz i jakie możesz, Niemki pewnie też. Chyba parę słów po niemiecku umiesz z siebie wykrztusić.

– Jeśli ci o to chodzi, to Galluzzo jest w tym lepszy. W młodości jeździł do pracy w Niemczech.

– Mimi, kiedy przywiozą Niemkę, chcę, żebyś tu siedział razem ze mną. I żebyś nie zbaraniał, gapiąc się na jej nóżki i piersiątko.

– Powiesz mi w końcu, co się stało?

– Nene Scozzari zaginał. Auto też zaginęło.

– I tylko tyle? Po tym, jak wczoraj dorwał się do Niemki...

– Tak, Mimi. To właśnie miałem na myśli. Coś się tutaj nie zgadza.

Mimi Augello umilkł. Kiedy jego przełożony mówił, że coś się nie zgadza, musiało to znaczyć, że rzeczywiście coś się nie zgadza, tego mógł być pewien.

Kiedy Annelise weszła do gabinetu komisarza, ubrana w krótkie obcisłe spodenki i okryta wielkim jedwabnym szalem, który zasłaniał piersi, Montalbano zrozumiał, ile wycierpiał Mimi, gdy ją zobaczył gołą. Miał rację, nie chodziło tu tylko o to, że jest ładna. Uśmiechnęła się do Mimi Augella, którego już знаła, skinęła głową komisarzowi i spytała o coś po niemiecku.

– Pyta, czy chodzi panu o ich paszporty.

– *Nein* – odpowiedział odruchowo Montalbano.

– *Nein* – powtórzył za nim Mimi.

Popatrzyli na siebie.

– Posłuchaj – odezwał się komisarz – powiedz jej, że chcemy wiedzieć, jak spędziła wczorajszy dzień.

Mimi spytał, a ona zaczęła opowiadać. Wyczerpująco. Komisarz nie rozumiał, co mówi. A Augello, w miarę jak mówiła, wydawał się coraz bardziej zakłopotany.

– Co powiedziała?

– Wiesz, Salvo, nie przebiera w słowach. Ponieważ wczoraj została sama, wykorzystwała wolną chwilę, żeby się zająć seksem... tak się wyraża... z tym pięknym sycylijskim chłopcem, który za nią szaleje. Nic nie jedli, nie rozstawali się do czwartej po południu, ale potem odesłała go z obawy, że w każdej chwili mogą wrócić jej mąż i jej brat, którzy pojechali do Katanii. Kiedy chłopiec wyszedł, zdrzemnęła się. Usnęła od razu, bo była trochę zmęczona. Tak mówi.

– Pogratulować Nene Scozzariemu – powiedział Montalbano.

– Około szóstej wieczór – ciągnął Mimi – mąż ją obudził i zaczęli się przygotowywać do występu.

– Spytaj ją, czy auto Scozzariego jeszcze stało, kiedy wsiadała do helikoptera.

– Mówi, że nie wie – przetłumaczył Mimi jej odpowiedź. – Było już całkiem ciemno. Powiedziała, że dzisiaj rano, zanim nasi po nią przyszli, nawet się zdziwiła, że nie widzi jego samochodu tam, gdzie zwykle stał. Zrobiło się jej przykro, ale się ucieszyła.

– Najpierw spytaj, dlaczego zrobiło się jej przykro, a potem dlaczego się ucieszyła.

Odpowiedź Annelise była dość długa.

– Było jej przykro, bo uważa, że wszyscy mężczyźni są wstrętnymi egoistami i jak tylko dostaną to, na co mieli ochotę, zaraz zasypiają albo idą do łazienki odlać się... tak dosłownie się wyraziła... albo gdzieś znikają. Ucieszyła się, bo ciągle obawiała się jakiegoś brzydkiego wybryku Gerhardta, który nie tylko jest zazdrosny, ale też agresywny.

– Dobrze tłumaczysz, Mimi? Przecież Gerhardt to brat, a mąż ma na imię Hugo.

Mimi o coś zapytał, a słysząc odpowiedź Niemki, niespodziewanie się

zarumienił. Montalbana to zdziwiło: ta niezłomna twarz jego zastępcy potrafi się rumienić?

– Co ci powiedziała?

– Po prostu mówi, że kiedy miała czternaście lat, brat był pierwszym mężczyzną w jej życiu.

– Ponieważ wcześniej nie dopuszczała do siebie mężczyzn, tylko słonie – skomentował to niezbyt grzecznie komisarz.

– Powiedziała, że Gerhardt bardzo to przeżył, gdy zachciało jej się wyjść za mąż za Hugona. Ale na szczęście mąż okazał się bardzo tolerancyjny. Dodała też, że biedny Gerhardt, kiedy oboje robią tę kamasutrę na platformie, bardzo się męczy, bo musi udawać to wszystko, co chciałby wyczyniać naprawdę.

Niemka pochyliła się, żeby zetrzeć ziarenka piasku z palca, który wystawał z sandała. Zupełnie nie zwracała uwagi na to, jak ci dwaj mężczyźni reagują na jej słowa.

– Powiedz, że jest wolna – zdecydował Montalbano. – To jasne, że nic nie wie o Nene Scozzarim. Dziwka, bo dziwka, ale chyba szczerą.

– Też tak myślę – zgodził się Mimi.

Montalbano zebrał w gabinecie wszystkich swoich agentów z wyjątkiem Galla, który ciągle sterczał na Przylądku Nadziei i obserwował Niemców. Wyjaśnił im, co mają robić.

– Ty, Germana, idź do adwokata Scozzariego i powiedz, żeby złożył nam doniesienie o zaginięciu syna Nene. Ma je datować na dwudziestego ósmego rano, bo muszą upłynąć dwadzieścia cztery godziny, żebyśmy zgodnie z prawem mogli zacząć śledztwo. To doniesienie dasz do ręki komisarzowi Augello. A ty, Mimi, od razu pójdiesz z nim do sędziego, coś mu wmówisz

i wydostaniesz od niego nakaz rewizji kampera, ciężarówki, śmigłowca, słowem – wszystkiego, co Niemcy tu ze sobą przywlekli. Tę rewizję możemy przeprowadzić dopiero dzisiaj w nocy, po spektaklu, kiedy helikopter wylądaje na przylądku. Tortorella, Galluzzo i Grasso pojedą służbowym samochodem i zatrzymają się w pobliżu przylądka, tak żeby Niemcy ich nie zauważyli. Szukajcie auta Nene Scozzariego – Augello zna jego markę i kolor. Ty, Germana, połącz się z komórką Galla, dowiedz się, gdzie teraz jest, i za godzinę pojedziesz go zastąpić.

– A ty? – spytał Augello.

– Ja? Ja idę na obiad – odpowiedział Montalbano.

Trzaskając drzwiami, wszedł Catarella.

– Panie komisarzu, przed chwilą telefonował do mnie Gallo. Mówi, że dwaj Niemcy mężczyźni czepiają się Niemki kobiety. Skrzyczeli ją, a nawet już ją popychają.

– Mam złe wieści – powiedział Mimi, wchodząc do gabinetu komisarza około czwartej po południu.

– Sędzia nie podpisał ci nakazu rewizji?

– Podpisał, nawet się nie skrzywił, nakaz mam w kieszeni. Rzecz w tym, że potem coś mi przyszło do głowy i pojechałem do wypożyczalni samochodów, żeby to sprawdzić. Spytałem właściciela, o której Niemcy zwrócili mu auto. Powiedział, że o wpół do siódmej. Odwiózł je Gerhardt, a do bazy wrócił autobusem, który jedzie do Montereale i ma przystanek na wysokości Przylądka Nadziei.

– To ma być ta zła wiadomość?

– Zły jest jej dalszy ciąg. Właściciel wypożyczalni dodał, że Niemcy wrócili z Katanii wcześniej, a dopiero po trzech godzinach odwieźli

samochód.

– Skąd o tym wie?

– Widział, jak przed czwartą szli w stronę Montereale, czyli w stronę przylądka.

– I mogli widzieć, jak Nene wychodzi od Annelise.

– Otóż to, widzieli, a to daje do myślenia.

Zadzwoił telefon. Germana meldował, że zmienił Galla.

– Komisarzu, tu wszystko w porządku. Akrobaci ćwiczą na drążku. Gerhardt i Annelise po tej awanturze, którą widział Gallo, pogodzili się. Objęli się i całowali. Chce pan coś wiedzieć, komisarzu? Sądząc z tego, jak się całowali, to tacy z nich brat i siostra jak ze mnie papież.

– Nie bądź formalistą, Germana. Niemcy mają inne zwyczaje, wszystko załatwiają w rodzinie, gorzej niż u nas.

O szóstej triumfalny głos Tortorelli oznajmił, że znaleźli samochód Nene Scozzariego trzy kilometry od przylądka. Był wepchnięty w gęste krzaki i dodatkowo obłożony gałęziami. W środku nie było Nene. Co mają robić? Komisarz odpowiedział, żeby niczego nie ruszali, wszystko ma być tak, jak jest. Grasso zostaje w pobliżu na straży, inni mogą wracać.

O ósmej zjawił się Gallo.

– Jadę zmienić Germana. Wie pan co, komisarzu? Niemcy przez głośnik mówią, że dzisiaj na pożegnanie pokażą numer specjalny. Wykona go akrobata, który nazywa się Ikar.

– Skąd go wytrzasnęli? – spytał komisarz. Ale od razu sam sobie odpowiedział: pewnie właśnie po niego jeździli do Katanii. – Przypominam ci – dodał – jeśli zobaczysz lub usłyszysz coś dziwnego, zaraz dzwoń do mnie. Biorę ze sobą komórkę.

– Chyba dzisiaj i ja wybiorę się na ich występ – powiedział Montalbano. –
Ile kosztuje bilet?

Mimi popatrzył na niego zdumiony.

– Przecież nie potrzebujesz biletu!

– Nie? Dlaczego?

– Dlatego, że jesteśmy miejscową władzą.

– Nie wiedziałem – szczerze zdumiał się komisarz.

– Jak to nie wiedziałeś? Mamy miejsca zarezerwowane w pierwszym rzędzie.

O dziewiątej dwadzieścia, kiedy właśnie wychodzili z komisariatu, zadzwoniła komórka Montalbana. Telefonował Gallo.

– Komisarz? Niemka nie wsiadła do helikoptera. Widzę to dobrze, bo zapalili w środku światło. Dziewczyny z nimi nie ma. A oni w tej chwili startują.

– Ilu ich jest w helikopterze?

– Dwóch, komisarzu. Pilot i akrobata. Akrobata trzyma w ręku hełm od skafandra astronauty, poznaję go.

A gdzie podziali Annelise? A gdzie ten nowy akrobata, ten Ikar, którego zapowiedzieli przez głośniki?

– Gallo, rób, jak ci mówię. Podejź do kampera. Jeśli coś się tam dzieje, jeśli coś cię zaniepokoi, działaj, jak uznasz za stosowne. I zaraz dzwoń.

Przez głośniki zapowiedziano widowisko specjalne i rzeczywiście zaczęto je inaczej niż co wieczór. Z helikoptera, który zawisł wysoko nad platforma, opadła pierwsza lina i dotknęła pierścieniem desek. Mijały minuty i nic się nie działo. Wreszcie na drugiej linie, od której odłączono trapez, pojawił się

przywiązany do niej akrobata. Pasy, które łączyły go z liną, były tak skrzyżowane, że zjeżdżał brzuchem na dół i przypominał żabę. Miał na sobie slipy, podkoszulek i skarpetki, na głowie zaś hełm astronauty. Ten strój był zdecydowanie komiczny. Klown poruszał rękami i nogami w tak zabawny sposób, że ludzie wybuchnęli śmiechem. Zatrzymano go nad platformą. Trząś się cały, z szeroko rozrzuconymi ramionami i nogami, i teraz z kolei przypominał pająka. Z pewnością był to ten zapowiadany Ikar.

– Dobry aktor, dobrze gra – powiedział Mimi do komisarza.

Montalbano nic na to nie odpowiedział. A sobie zadał pytanie, czy jakikolwiek aktor mógłby tak wiarygodnie odegrać historyczne przerażenie, żeby wypadło równie prawdziwie? Obok Ikara pojawiła się nagle druga lina, a on rzucił się gwałtownie w jej stronę. Chciał ją uchwycić, ale tylko szamotał się w powietrzu. Głowa opadła mu w dół, nogi poszły w górę. Publiczność znowu wybuchnęła śmiechem, biła mu brawo. Ruchy kłowna, który „popisywał się” przerażeniem, stawały się coraz bardziej spazmatyczne.

W tym momencie zadzwoniła komórka Montalbana.

– Komisarzu, tu Gallo. Usłyszałem jęki w kamperze i wyłamałem drzwi. Ta Niemka leży tu związana, z zakneblowanymi ustami. Chyba zwariowała, komisarzu. A ja nie rozumiem, co do mnie bełkocze. Wrywa mi się, chce uciekać, już jestem całkiem podrapany.

– Trzymaj ją! – zawołał komisarz do Galia, a do Augella rzucił: – Idziesz ze mną!

Obaj wybiegli na zewnątrz.

– Masz pistolet? Kiedy wejdziemy na górę, obezwładnij każdego, kogo tam napotkamy!

Dobiegli do wieży z reflektorem halogenowym, wspięli się po

zewnątrznych schodkach. Montalbano spocił się, rękami mocno chwycił za słupy konstrukcji, kręciło mu się w głowie.

– Powiedz mi, co się dzieje – chciał wiedzieć Mimi, który wspinał się za nim.

– Teraz, kurwa, do mnie nie mów, brak mi tchu – wysapał komisarz.

Dotarli do pomostu, na którym stała kabina z reflektorem. Komisarz zajął pozycję z boku, a Mimi Augello wdarł się przez uchylone drzwi do środka i całym ciałem rzucił się na mężczyznę siedzącego za konsolą i manewrującego światłem. Obalił go na podłogę razem ze stołkiem.

Montalbano zerwał słuchawki z uszu leżącego, usłyszał jakieś pytania zadawane po niemiecku, więc podał słuchawki Mimi. Na konsoli były dwa mikrofony. Do jednego z nich mówił oświetleniowiec, kiedy tu wtargnęli. Komisarz uruchomił ten drugi.

– Ci z helikoptera pytają, co tu się dzieje – powiedział Mimi, a chcąc mieć wreszcie wolne ręce, zdzielił kolbą pistoletu w kark obalonego mężczyznę, który już się podnosił.

– Vigatyjczycy! – zawołał Montalbano.

Z okna kabiny widać było trzy czwarte widowni i niemal całą centralną platformę. Komisarz zorientował się, że jego głos dotarł do wszystkich, bo ludzie skierowali głowy w stronę głośnika.

– Vigatyjczycy! – powtórzył. A złośliwy demon ironii, który go nie opuszczał i zawsze dawał o sobie znać, zwłaszcza w najcięższych chwilach, podpowiedział mu, żeby dorzucił: „Bracia moi, narodzie nasz!”, jak zwykł się zwracać do słuchaczy Alberto da Giussano. Oczywiście przewyciężył tę pokusę. – Tu komisarz Montalbano. Człowiek zawieszony głową w dół to żaden Ikar, żaden kłown. To vigatyjczyk, jeden z nas, Nene Scozzari. Niemcy pojмали go przemocą i uwięzili, a teraz na naszych oczach narażają jego

życie. Pomóżcie mi!

– Tamci w helikopterze już się połapali, że coś się dzieje. Trzeba się spieszyć! – powiedział podniecony Mimi ze słuchawkami na uszach.

Dobrze mówić! Ale jak to zrobić? Komisarz rzucił okiem na widownię. I ujrzał obraz, od którego wyszło mu w gardle. Dwaj czy trzej chłopcy wspinali się jak małpy po linie do helikoptera, i duża grupka mężczyzn, może trzydzieści osób, przytrzymała ją, szarpiąc w dół. Montalbano podniósł wzrok i zobaczył, że helikopter najwyraźniej znalazł się w opałach, ale jest jeszcze stanie wznieść się wyżej i pociągnąć linę z ludźmi.

– Przemów do tych sukinsynów – powiedział Montalbano. – Zagroź im, że jeśli teraz odlecą, powloką za sobą kilka osób uczepionych liny.

Wiedział już jednak, jak powinno się to skończyć.

– Zostawcie helikopter w spokoju! – zawołał. – Wracajcie na swoje miejsca!

Tymczasem lina z zawieszonym na niej Nene Scozzarim, który zemdlał i wyglądał jak bezwładna kukła, powoli zaczęła zniżać się na platformę.

Niniejszym przedstawiam przebieg wiadomych wydarzeń.

Niemka, ten piękny okaz zdrowego ciała, po którym memu zastępcy Mimi Augellowi zostało niezatarte wspomnienie, jako że widział to ciało obnażone, skorzystała z nieobecności męża i kochanka, który zarazem jest jej bratem, żeby się przez parę godzin potarzać w łóżku z Nene Scozzarim, dotąd przykładowym młodzieńcem, który jednakże oszalał na jej punkcie. Niemcy, wróciwszy do Vigaty wcześniej, niż mieli wrócić, zobaczyli, że Scozzari wychodzi z kampera. Zdecydowali, że musi za swoje szczęśliwe chwile zapłacić. Najlepiej ośmieszeniem. Dopadli go, związali i wnieśli do helikoptera, a jego auto ukryli. Kiedy kurewka obudziła się

z pokrzepiającego po rozkosznych trudach snu, mężczyźni co prawda zganili ją za beztroskę, ale wyglądało na to, że porachunki na tym się zakończą. Przysłali do miasta swojego pełnomocnika, żeby ogłosił, iż w wieczornym widowisku weźmie wyjątkowo udział nowy akrobata, Ikar. Przed wylotem z bazy weseli kpiarze związali i zakneblowali swoją żonę-siostrę-kochankę, która najwidoczniej odmówiła udziału w tej zabawie. Rozebrali Scozzariego do slippek, wpakowali mu na głowę hełm, żeby nie było słychać krzyków, i na linie spuścili na platformę. Oczom widzów pojawił się kłown-akrobata. Zrozumiałem, co się dzieje, kiedy mój agent zatelefonował z kampera, że znalazł w nim dziewczynę związaną i zakneblowaną.

Proponuję, co następuje: karę dożywocia dla obu sukinsynów (choć, co zaznaczam, nie zamierzali zabić Scozzariego, tylko porządnie go przestraszyć), a dla uroczej Niemki – warunkowe zwolnienie (tym warunkiem byłoby co prawda przebywanie na wolności, ale pod opieką, co najmniej przez okres jednego miesiąca, mojego zastępcy, Mimi Augella).

Tyle wyjaśnił sędziemu komisarz Montalbano w swoim raporcie. Użył jednak innych słów i nie uzupełnił raportu końcowymi propozycjami.

Ostrzeżenie

– Nic z tego nie rozumiem, panie komisarzu.

Carlo Memmi wyglądał na trzydziestolatka, który przedwcześnie się postarzał, ale kto znał jego datę urodzenia, wiedział, że jest pięćdziesięciolatkiem, który się bardzo dobrze trzyma. Jego ojciec, Antenore Memmi, prowadził kiedyś w Parmie znany salon fryzjerski, chętnie odwiedzany przez faszystowskich hierarchów. Ale pod koniec tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku zamieszkał u teściowej w Vigacie, bo stąd się wywodziła jego żona Lia. Czego zatem należało się domyślać? Vigatyjczycy stawali na głowie, żeby zrozumieć motywy jego decyzji. Mówi się, że kto przebywa w złym towarzystwie, temu to na złe wychodzi. Tak też było z Antenore Memmim. Ponieważ zawsze bratał się z faszystami, to pod koniec ich rządów, w czasach Republiki Salo, może z zawodowego nawyku – w końcu fryzjer, goląc kogoś, bądź co bądź dobiera mu się do skóry – zaczął się też dobierać do skóry partyzantom, których jego przyjaciele wyłapywali i wtrącali do więzienia. Po wyzwoleniu jakoś się wymigał i uniknął aresztowania, ale zrozumiał, że nie może pozostać w Farmie, bo prędzej czy później komuś przyjdzie do głowy, że za tę pracę, w którą się angażował, należy mu się zapłata. Osiadł więc w Vigacie i za pieniądze teściowej otworzył salon fryzjerski, a ponieważ w swoim prawdziwym zawodzie radził sobie po mistrzowsku, klientów mu nie brakowało, przyjeżdżali do niego nawet z okolicznych wsi. W roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym urodził mu się jedyny syn, Carlo, który zaczął fryzjerską karierę od praktykanta i pomocnika mistrza. Miał dwadzieścia lat, kiedy zmarła mu matka, pani Lia.

W pół roku później Antenore Memmiemu przyszła ochota, by wybrać się do Parmy. Syn go od tego gorąco odwodził, ale Antenore uparł się i pojechał, zapewniając, że nie zabawi tam długo. I tak się stało. W trzy dni po przyjeździe zginął w wypadku ulicznym: rozpędzony samochód, nigdy niezidentyfikowany, zabił go na miejscu. Vigatyjczycy uznali, że ktoś spokrewniony z tamtymi, którym Antenore dobierał się do skóry, zapamiętał jego zasługi. A ponieważ nie były godne pochwały, należało, choćby po długim czasie, dać mu to do zrozumienia. Carlo został sierotą. Sprzedał ojcowski zakład i kupił większy, w którym urządził dwa salony, jeden dla panów, drugi dla pań. Miało to bardzo prostą przyczynę: kiedy pojechał do Parmy na pogrzeb ojca, poznał tam kuzynkę Annę, fryzjerkę damską. I właśnie dzięki tej miłości od pierwszego wejrzenia Vigacie przybył elegancki zakład fryzjerski z lśniącym szyldem „Carlo & Anna”.

Po jakimś czasie, kiedy interes kwitł lepiej, niż można było oczekiwać, Carlo wpadł na wyśmienity pomysł i sprowadził do Vigaty, prosto z Paryża, Monsieur Dede, czterdziestoletniego fryzjera damskiego, osobnika typowego w tej specjalności, bo Dede był poza tym pedałem (zdaniem starszych vigatyjczyków) vel ciotą (zdaniem vigatyjczyków gorzej wychowanych), vel gejem (zdaniem pań, które za nim przepadały). Jego przyjazd miał takie następstwa, że Carlo przeniósł zakład do lokalu trzykrotnie większego i zatrudnił sekretarkę przyjmującą zapisy, jednak z początkiem lat dziewięćdziesiątych Carlo Memmi z żoną Anną niespodziewanie wycofali się z zawodu i przekazali zakład w ręce Monsieur Dede, który odkupił go za setki milionów lirów. Carlo odtąd mógł się całkowicie poświęcić swoim dwóm pasjom: polowaniu i łowieniu ryb. Miał willę w Marinelli, w której mieszkali w lecie i w zimie. Zapewniała mu dogodne warunki do wędkowania, bo w każdej chwili mógł wypływać łodzią na pełne morze. Trochę bardziej skomplikowana była sprawa z myślistwem. Carlo Memmi

jeździł raz do roku polować za granicę, wcześniej do Jugosławii, ostatnio do Czech i Słowacji, i przebywał miesiąc poza domem. Miał szybki, wspaniale wyposażony samochód, którego w Vigacie nie ruszał z garażu, bo na co dzień używał zwykłego punto. Miał też trzy strzelby dobrej marki i psa myśliwskiego rasy angielskiej, bardzo kosztownego. Trzymał go w ogrodzie willi razem z kundlem Bobo, do którego pani Anna była czule przywiązana.

Komisarz Montalbano nigdy nie był klientem salonu Carla: w ogóle nie znosił strzyżenia, a już zwłaszcza u fryzjera. Uważał, że trudno by mu było znieść to eleganckie miejsce, gdzie w wielu lustrach jednocześnie musiałyby oglądać swoją twarz, która w takich okolicznościach zawsze wyglądała głupawo. Carla Memmiego dobrze znał i wiedział, że jest on porządnym i spokojnym człowiekiem, który nigdy nikomu nie dał się we znaki. A jednak zdarzyło mu się to, co się zdarzyło, i Montalbano nie rozumiał dlaczego.

– Nie rozumiem dlaczego – powiedział Carlo Memmi, jakby czytał w myślach komisarza.

Ostatniej nocy, około pierwszej, kiedy Carlo wypłynął w morze na ryby, w jego garażu doszło do potężnej eksplozji i zaczął się palić drogi samochód. Wybuch uszkodził strop i podłogę w mieszkaniu nad garażem, tak że strażacy doradzili zajmującym je państwu Currera, żeby się na razie gdzieś przenieśli. Mimi Augello udał się na miejsce wypadku, a wróciwszy, oznajmił komisarzowi, że było to na pewno umyślne podpalenie. Pani Amalia Currera, która ma lekki sen, zeznała, że o wpół do pierwszej w nocy usłyszała, jak ktoś podnosi żaluzję od garażu. Potem zdrzemnęła się na nowo i nagle zbudził ją wybuch.

– Ale się wystraszyłam! Myślałam, że bomba spadła!

Augello dodał, że teraz w garażu przeprowadza badania rzeczoznawca ubezpieczeniowy.

O dziesiątej rano zadzwonił Carlo Memmi i poprosił komisarza

o rozmowę. Siedział więc teraz przed nim, z twarzą obrzękłą z niewyspania i zgryzoty, i pytał, dlaczego to się stało.

– Jeśli pana toyotę podpalono umyślnie – powiedział Montalbano – oznacza to, że ktoś pana ostrzega.

– Przed czym mnie ostrzega?

– Panie Memmi, możemy przecież rozmawiać otwarcie. Takie ostrzeżenie tutaj, w moim mieście, a zarazem w pańskim, skoro się pan tu urodził, ma zawsze podwójne znaczenie.

– Jak mam to rozumieć?

– Bardzo prosto. Chcesz, przyjacielu, zrobić to a to? Zastanów się, czy ci się to opłaca. Albo: nie chcesz, przyjacielu, zrobić tego a tego? A jednak opłaci ci się to zrobić. Ale o tym, co pan chce albo czego nie chce zrobić, wie tylko pan i nie ma sensu mnie o to pytać. Ja, owszem, mogę panu jakoś pomóc, ale tylko pod jednym warunkiem: musi mi pan powiedzieć szczerze, jak wyglądają pańskie sprawy i jak to się stało, że komuś przyszła chęć podpalić panu toyotę.

Co najmniej przez dwie minuty komisarz patrzył na Carla, a Carlo milczał. I zdawało się, że w ciągu tych dwóch minut bardzo mu zmizerniała twarz, że już wygląda na pięćdziesiąt lat, które w istocie miał, a może nawet na więcej. W końcu westchnął głęboko, jakby z rezygnacją.

– Proszę mi uwierzyć, panie komisarzu, że odkąd się to wydarzyło, sam się nad tym ciągle zastanawiam. Co miałbym zrobić albo czego nie zrobić, nie wiem. Niczego takiego nie umiem znaleźć. Rano nawet przyszło mi do głowy...

Nagle umilkł.

– Proszę mówić dalej – zachęcił go Montalbano.

– Wstąpiłem do salonu. Spytałem Dede, czy nie zapomniał...

Znowu umilkł, nie wiedział, jak ma ciągnąć dalej. Komisarz przyszedł mu z pomocą.

– Czy nie zapomniał zapłacić na czas haraczu?

– Tak – potwierdził Carlo, rumieniąc się.

– I nie zapomniał?

– Nie – odparł Carlo. – Nie zapomniał. – I zaczerwienił się, jakby mu twarz stanęła w ogniu.

Od razu wstał i wyciągnął rękę.

– Przepraszam, że pana niepokoiłem. Wiem, że pan zrobi wszystko, by mi pomóc. To ja nie umiem pomóc panu. Mogą mnie nawet wysadzić w powietrze, a i tak będę zadawać sobie tylko jedno pytanie: dlaczego?

Dwa tygodnie później komisarz zbudził się wcześniej, ale zaraz ogarnęło go takie lenistwo, taka niechęć do czegokolwiek, że sam pomysł, żeby się ubrać i jechać do komisariatu, przyprawiał go o mdłości. Zawiadomił Fazia, że nie pojawi się w biurze, i usiadł na werandzie w samych slipach. Był trzeci maja, a zdawało się, że to trzeci września. Montalbano w młodszych latach namiętnie czytywał „Linusa” i pozostała mu sympatia do wszystkich bohaterów komiksów z tamtych czasów, od Mandrake’a po tajnego agenta X-9, od Gordona Flasha po Jima z Dżungli. Miesiąc temu, kiedy pojechał w odwiedziny do Livii, do Boccadasse pod Genuą, zobaczył na targu, na stole handlarza staroci, oprawny komplet „Corriere dei Piccoli” z tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego roku. Kupił go bez namysłu, ale dotąd nie znalazł czasu, by do niego zajrzeć. No i wreszcie przysłała na to stosowna chwila – uznał. Ale się przeliczył.

– Panie komisarzu! Panie komisarzu!

To Carlo Memmi wołał do niego, biegnąc plaża w stronę werandy.

Montalbano wyszedł mu naprzeciw.

- Co takiego?
- Zabili Pippa! – wyjaśnił Memmi i zaczął rozpaczliwie płakać.
- Kto to Pippo? Przepraszam, że pytam.
- Mój pies myśliwski! – wykrztusił Carlo, szlochając.
- Zarznęli go, zastrzelili?
- Nie, podrzucili mu zatruty pulpet.

Carlo Memmi płakał i nie mógł się uspokoić. Zakłopotany Montalbano klepnął go dwukrotnie w plecy, żeby mu dodać otuchy.

- Skąd pan wie, że to była trucizna?
- Od weterynarza.

Montalbano przyjechał do komisariatu zły. Zaczął od tego, że bez sensu zwymyślał Fazia: ma przez niego zmarnowany dzień; Fazio nie musiał informować Carla Memmięgo, że on dziś został w domu. Potem wezwał Mimi Augella.

- Mimi, wiesz coś więcej o spalonym samochodzie?
- O którym samochodzie?
- O tym, co sam chodzi, jak wlejesz do niego benzyny.
- Chwileczkę, Salvo, nie wściekaj się. O którym samochodzie mówisz?

Montalbano się zreflektował.

- Wybacz, Mimi... Ile samochodów spalono u nas w ciągu ostatnich dwóch tygodni?
- Siedem.
- Rozumiem. Pytałem o toyotę Carla Memmięgo.
- Otworzyli garaż dorabianym kluczem, nie było śladów włamania,

odkręcili korek od wlewu, wsunęli do środka pończochę, i tyle.

– Jak powiedziałaś?

– A co powiedziałem?

– Pończochę? Damską oczywiście. Skąd to wiesz?

– Tak mi powiedział rzeczoznawca ubezpieczeniowy. Znalazł kawałeczek, który się nie spalił.

– Daj mi nazwisko i telefon tego rzeczoznawcy.

Zadzwoił do agencji ubezpieczeniowej, rozmawiał z rzeczoznawcą może dziesięć minut. Potem, nie tracąc czasu, wezwał do siebie Fazio.

– W ciągu najwyżej dwóch godzin chcę wiedzieć, czym kierował się Carlo Memmi, kiedy pozbywał się salonu fryzjerskiego. Na mieście muszą coś o tym wiedzieć.

– Minęły cztery lata, jeśli się nie mylę...

– Ani mnie to ziębi, ani grzeje. Mogę ci dać na to najwyżej trzy godziny.

Wystarczy ci?

Ale Fazio wrócił po półgodzinie.

– Już coś wiem, pewnie to panu wystarczy.

– Od kogo wiesz?

– Od fryzjera. Od tego pańskiego.

– Można? – spytał Carlo Memmi, stojąc już na werandzie.

– Idę do pana – powiedział Montalbano. – Napije się pan kawy?

– Chętnie.

Usiedli na ławce. Wiatr przewracał stronice „Corriere dei Piccoli” którego tom od rana leżał nietknięty na stoliku. Komisarz się uśmiechnął.

– Panie Memmi, czytywał pan w młodości ten tygodnik dla dzieci?

Memmi rzucił obojętnie okiem na oprawiony rocznik, dostrzegł tytuł.

– Nie. Ale o nim słyszałem.

– Wiatr nam teraz podsuwa stronę z historią Arcibalda i Petronilli. Widzi pan?

– Widzę. A kto to?

– Potem panu powiem. Teraz o czym innym. Byłem przed chwilą pod pańska willą. Wracalem z komisariatu, zatrzymałem się, a nawet wysiadłem z auta.

– Czemu pan nie zadzwonił? Wypiłby pan u nas kawę.

– Może bym zadzwonił, ale za ogrodzeniem był pies, który na mnie warczał.

– Bobo? Pies Anny? Nie mogę go znieść. Mogli jemu podrzucić ten zatruty pulpet, a nie mojemu Pippo.

Przewidując nowy wybuch płaczu, Montalbano pośpiesznie wyrzucił z siebie to, co miał do powiedzenia.

– Otóż to. O to mi właśnie chodzi.

Carlo Memmi popatrzył na niego zdezorientowany.

– Proszę mnie poprawiać, gdy będę się mylił – ciągnął dalej komisarz. – Dziś w nocy, kiedy pan wypłynął na ryby, ktoś wrzucił do pańskiego ogrodu, gdzie biegały dwa spuszczone z uwięzi psy, kawałek zatrutego mięsa. Tak było?

– Musiało tak właśnie być.

– A jak pan tłumaczy sobie to, że truciznę zjadł tylko pański pies, a nie tknął jej pies żony?

– Myślałem o tym, zastanawiałem się... – powiedział Memmi, nagle się ożywiając. – I znalazłem wytłumaczenie. Pippo był zwinniejszy, miał

szybszy refleks. Szkoda gadać! Zanim Bobo ruszył łapa, Pippo już dobiegł do tego pulpeta czy kotleta, czy co to takiego było. – Westchnął i dodał: – Niestety!

– Muszę pana o coś jeszcze zapytać. Dlaczego, zamiast podpalić samochód, z którego korzysta pan codziennie i który zostawia pan na noc zaparkowany pod willą, łatwo dostępny dla wszystkich, zadali sobie tyle trudu, żeby dostać się do garażu i spalić panu toyotę? Ryzykowali znacznie bardziej, nie sądzi pan?

– Na pewno. Kiedy teraz o tym myślę, przyznaję panu rację – wyrzucił z siebie Memmi. – A jak pan to wyjaśnia?

Montalbano pominął jego pytanie, ciągnął dalej, jakby głośno myślał.

– Założyłbym się, że po spaleniu toyoty następnym ostrzeżeniem będzie zniszczenie pańskiej łodzi, którą trzyma pan na plaży, parę metrów od willi. Nic łatwiejszego, wystarczy na to parę sekund. Założyłbym się, ale bym przegrał. Jednak woleli narazić się jeszcze bardziej i tuż pod samym pańskim nosem zabili panu psa. W dodatku musieli sterczeć pod ogrodzeniem, by mieć pewność, że truciznę potknął Pippo, nie Bobo. Ryzykowali, że zobaczy ich pańska żona; obudzona ujadaniem Boba, który może jest głupi, jak pan twierdzi, ale zrywa się na równe nogi, ledwo coś zaszeleści, choćby liść.

– Do czego pan zmierza, komisarzu?

– Do konkretnego wniosku. Dojdziemy do niego razem, może pan być pewien. Mogę jeszcze o coś pana spytać?

– O co pan tylko chce.

– Rano rozmawiałem z rzeczoznawcą ubezpieczeniowym, który wyjaśnił mi, jak podpalono pański samochód. Powiedział, że pana już wczoraj o tym poinformował.

– Tak, to prawda. Zatelefonował do mnie.

– I na pewno pana zdziwił. Mam rację, panie Memmi? Bo jakże to? Czy ktoś kiedyś słyszał, żeby podpalać samochód damską pończochą nasączoną acetonem do zmywania paznokci?

– Rzeczywiście...

Carlo Memmi był już całkiem zagubiony, nie patrzył na komisarza, wpatrywał się w muchę, która wpadła do lepkiej pustej filiżanki.

– Jeszcze pięć minut i doprowadzimy sprawę do końca. Ma pan ochotę na drugą kawę?

– Wolałbym szklankę wody.

Kiedy Montalbano wrócił z butelką i dwiema szklankami, zobaczył, że Carlo Memmi zdążył tymczasem wydostać z filiżanki muchę, która teraz nieporadnie kręciła się po stole, bo nie mogła się zerwać i odlecieć, mając skrzydełka sklezione cukrem. Nalał Memmiemu wody do szklanki, a ten zanurzył w niej palec i zrzucił kroplę na muchę. Potem uniósł głowę i popatrzył na komisarza.

– Chyba woda zmyje cukier. Nie mogę patrzeć na taką mękę. Cokolwiek by to było, mucha czy mrówka.

Jak większość myśliwych, niezmiernie przejmował się losem stworzeń na tej planecie.

– Chyba bardzo pan to przeżył, kiedy musiał pan zabić swego Pippa – powiedział półgłosem Montalbano, wpatrując się w morze, które lśniło tak mocno, że aż trzeba było mrużyć oczy.

Carlo Memmi nie zareagował tak, jak komisarz się spodziewał. Nie zaprzeczył, nie krzyknął, nie zaczął płakać. Spuścił tylko na muchę drugą kroplę wody.

– Wie pan, dlaczego musiałem odprzedać salon?

– Wiem. Dowiedziałem się dzisiaj rano. Bo pańska żona była zazdrosna

i z dnia na dzień robiło się coraz gorzej. Powiedziano mi, że czasami nawet urządziła panu sceny na oczach wszystkich, twierdziła, że nie przepuszcza pan pomocnikom, klientkom.

– Wie pan co, panie komisarzu? Nigdy, ale to nigdy jej nie zdradziłem. Sprzedałem salon w nadziei, że będzie miała mniej powodów do zadreczania się podejrzeniami. I przez jakiś czas rzeczywiście wszystko się układało, ale potem uroiła sobie, że na pewno ją zdradzam, kiedy wyjeżdżam za granicę na polowanie. Awantury zaczęły się od nowa. Trzy tygodnie temu znalazła w mojej kurtce myśliwskiej kartkę z Czech. Ale nic mi nie powiedziała.

– Przepraszam, kartka była od kobiety?

– Ależ skąd! Na kartce były trzy słowa: „Do zobaczenia niedługo”, i podpis „Tatra”. Mój przyjaciel, Czech, Jan Tatra, mój kolega z lasu. Żona wbiła sobie do głowy, że to imię kobiety. I dlatego wyszła w nocy z kluczem do garażu. Klucz trzymam w szufladzie biurka. Podniosła żaluzję i podpaliła samochód tym, co miała w zasięgu ręki, jedwabną pończochą i acetonem.

– I nie podejrzewał pan o to żony?

– Nic a nic! Nawet mi to nie zaświtało w głowie! Byłem przygnębiony i przerażony, że to jakieś mafijne ostrzeżenie. A wczoraj rano zadzwonił do mnie rzeczoznawca. I zaczęło się to wszystko składać do kupy. Już kiedyś zdarzyło się coś podobnego. Chciała podpalić włosy pomocnicy fryzjerskiej, którą uważała za jedną z moich wielu kochanek: połała jej głowę acetonem, a potem rzuciła się na nią z zapalniczką... To po tamtej hecy wyrzekłem się salonu. Pomocnicę musiałem dobrze wynagrodzić, żeby milczała. A wczoraj, tak ni stąd, ni zowąd, spytałem Annę przy stole, dlaczego podpaliła mi samochód. Nie odpowiedziała, tylko zaczęła coś wykrzykiwać i rzuciła się na mnie. Wyszła do sypialni i wróciła z tą znaną kartką. Próbowałem wyjaśnić, jak sprawa wygląda, ale nawet słuchać nie chciała. Trzymałem ją mocno za przeguby, a ona kopała mnie po nogach. W pewnej chwili oczy

stały jej w słup, osunęła się na podłogę, dostała konwulsji. Wezwałem karetkę i zawieźli ja do szpitala w Montelusie. A ja od razu zamknąłem w nocy Bobo w domu i dałem truciznę Pippowi.

– Dlaczego?

– Jak to dlaczego? Wszystkiego się pan domyślił, a nie rozumie pan dlaczego? Dlatego, że kiedy Anna za trzy, cztery dni wróci do domu, wreszcie uwierzy, że z polowaniami już raz na zawsze koniec. Przecież ja, tę moją żonę, bardzo kocham.

I w końcu zadał komisarzowi pytanie, które od początku go dręczyło.

– I co pan z tym zrobi, panie komisarzu?

– Co zrobi z tym pan, panie Memmi?

– Ja? Pojadę dzisiaj porozmawiać z Donatem Currerą, bo chcę mu wynagrodzić poniesione szkody i strach, jakiego musieli się najeść i on, i jego rodzina. Ale nie powiem o niczym Annie.

– Będzie to po mojej myśli – powiedział Montalbano.

Carlo Memmi westchnął z ulgą i wstał.

– Dziękuję. Ale... nie opowiedział mi pan tamtej historii... historii tych dwojga, jak im tam...

– Arcibaldo i Petronilla. Opowiem panu o nich innym razem. Dziś tylko wspomnę, że Petronilla była bardzo zazdrosna żona.

Uśmiechnęli się do siebie, uścisnęli sobie ręce. Spłoszona ich ruchami mucha wreszcie zerwała się i odfrunęła.

Being here...

Kiedy ten mężczyzna wszedł do gabinetu, Montalbano pomyślał, że ma halucynacje; ujrzał przed sobą wierną kopię Harry'ego Trumana, prezydenta Stanów Zjednoczonych, jakby żywcem przeniesiona ze starych fotografii i filmów. Był ubrany w taki sam sztywny dwurzędowy garnitur, miał taki sam jasny kapelusz, taki sam jaskrawy krawat i okulary w takiej samej oprawie. Ale wystarczyło mu się lepiej przyjrzeć i od razu wychodziły na jaw dwie różnice. Po pierwsze, mężczyzna zbliżał się do osiemdziesiątki, a może nawet ją przekroczył, chociaż na tak starego nie wyglądał. Po drugie, amerykański prezydent zawsze był uśmiechnięty, pewnie nawet w chwili, gdy podejmował decyzję o zruceniu bomby atomowej na Hiroszimę, a ten nie tylko się nie uśmiechał, ale wręcz tchnął melancholią, która się w nim na dobre zadomowiła.

– Proszę wybaczyć, że pana niepokoję. Nazywam się Charles Zuck. – Mówił po włosku językiem książkowym, nieskażonym żadnym dialektem. Miał tylko szczególny, wyraźnie wyczuwalny akcent.

– Pan jest Amerykaninem? – spytał komisarz, wskazując ręką krzesło przed swoim biurkiem.

– Istotnie, jestem obywatelem amerykańskim. Zależało mu na tym, żeby wydobyć tę subtelną różnicę, którą komisarz zrozumiał następująco: nie urodziłem się Amerykaninem, tylko się nim stałem.

– Proszę powiedzieć, w czym mogę panu pomóc.

Ten mężczyzna budził sympatię. Nie tylko tchnął melancholią, ale też wydawał się zagubiony, całkiem tu obcy.

– Przyjechałem do Vigaty trzy dni temu. Zaplanowałem sobie króciutką wizytę w tych stronach. Mam wykupiony bilet powrotny na pojutrze, z lotniska w Palermo do Chicago.

No i co z tego? Pewnie gdyby to mówił ktoś inny, Montalbano już dawno straciłby cierpliwość.

– Ma pan jakieś trudności?

– Burmistrz Vigaty jeszcze mnie nie przyjął.

Czego ten człowiek spodziewa się po burmistrzu?

– Proszę pana, jest pan cudzoziemcem i chociaż mówi pan doskonale po włosku, prawdopodobnie nie orientuje się pan, że komisariat policji nie zajmuje się...

– Dziękuję panu za komplement – powiedział Charles Zuck – lecz uczyłem włoskiego przez wiele lat w Stanach. Wiem doskonale, że nie może pan nakazać burmistrzowi, aby mnie przyjął. Ale zapewne może pan spróbować go do tego nakłonić.

Dlaczego wysłuchuje tego człowieka tak cierpliwie? Dlaczego on potrafił go zaciekawić?

– Mogę oczywiście spróbować – powiedział komisarz. Ale, chcąc usprawiedliwić w oczach cudzoziemca pierwszego obywatela Vigaty, dodał:

– Za trzy dni mamy tutaj wybory. Burmistrz kandyduje ponownie, jest zajęty. Jednak ma obowiązek pana przyjąć.

– Tym bardziej że jestem, a raczej byłem, vigatyjczykiem.

– Naprawdę? Pan się tu urodził? – zdziwił się Montalbano. Ale nie był tym zaskoczony. Ten człowiek urodził się, z grubsza biorąc, w latach dwudziestych, a wtedy port w Vigacie kwitł i cudzoziemcy, których był dzieckiem, mogli tu robić interesy lepsze niż gdzie indziej.

– Tak. Tu się urodziłem.

Charles Zuck umilkł, tchnienie melancholii zrobiło się naraz znacznie mocniejsze. Wodził oczami po ścianach gabinetu.

– I tutaj też umarłem – dodał.

Komisarz zareagował na te słowa nie tyle zdumieniem, ile złością. Złością na siebie. Mógł się od razu połapać, że ten człowiek jest nieszczęśliwym wariatem. Zrozumiał, że musi wezwać któregoś ze swoich agentów, żeby go wyprowadził z komisariatu. Wstał.

– Przepraszam na chwilę.

– Nie jestem wariatem – powiedział Amerykanin.

Wszystko się zgadza, tak musi być: wariaci zawsze twierdzą, że nie są wariatami, przestępcy zawsze kłamią, że są niewinni jak dzieci.

– Nie trzeba nikogo wzywać – dodał Zuck, wstając. – I proszę mi wybaczyć, że zabrałem panu tyle czasu. Do widzenia.

Przeszedł obok komisarza i skierował się do drzwi. Montalbanowi zrobiło się go żal. Teraz widać było po nim dokładnie brzemień lat, a nie było ich mało. Komisarz nie mógł tak bezdusznie wypuścić z gabinetu człowieka w tym wieku, bo jeśli nie był to wariat, to na pewno był to ktoś niezaradny i obcy tutaj. I z pewnością miał kłopoty.

– Proszę usiąść.

Charles Zuck od razu go posłuchał.

– Ma pan jakiś dowód tożsamości?

Mężczyzna bez słowa podsunął swój paszport.

Zgadzało się: nazywał się, jak mówił, i urodził się w Vigacie, szóstego września tysiąc dziewięćset dwudziestego roku. Komisarz zwrócił mu paszport. Popatrzyli na siebie.

– Dlaczego mówi pan, że pan tu umarł?

– To nie ja tak mówię. Tak jest napisane.

– Gdzie?

– Na pomniku poległych.

Pomnik poległych, który postawiono na placu przy głównej ulicy Vigaty, przedstawiał żołnierza z bagnetem wzniesionym w obronie kobiety z dzieckiem na rękach. Komisarz czasami zatrzymywał się przed monumentem i mu się przyglądał, bo odnosił wrażenie, że wyszedł on spod ręki dobrego rzeźbiarza. Stał na wysokim cokole, na którego froncie widniała tablica z nazwiskami poległych podczas wojny 1914-1918, którym pomnik początkowo był poświęcony. Potem, w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym, na prawym boku cokołu pojawiła się druga tablica, z nazwiskami tych, co nie wrócili z wojen w Abisynii i Hiszpanii. W tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym roku dodano na lewym boku trzecią tablicę poświęconą poległym w latach 1940-1945. Czwarty bok cokołu był chwilowo wolny.

Montalbano próbował odtworzyć w pamięci napisy na tablicach.

– Dałbym głowę, że nie ma tam pańskiego nazwiska – powiedział.

– Rzeczywiście, Charlesa Zucka tam nie ma. Jest za to Carlo Zuccotti, ale to przecież jestem ja.

Stary mężczyzna umiał opowiadać składowo, prosto i jasno. Na przedstawienie siedemdziesięciu siedmiu lat swojego życia potrzebował niewiele więcej niż dziesięć minut. Jego ojciec – mówił – nazywał się Evaristo, pochodził z Mediolanu, ale ożenił się bardzo młodo z dziewczyną z Lecco, Annaritą Vismarą. Pracował na kolei i wkrótce po ślubie został przeniesiony do Vigaty, która wtedy miała trzy stacje, a jedna z nich, przeznaczona wyłącznie do przeładunku towarów, usytuowana była na wprost bramy portowej. Carlo zatem urodził się w Vigacie i był pierwszym

i jedynym dzieckiem Evarista i Annarity. W Vigacie spędził pierwsze dwanaście lat życia, ucząc się najpierw w miejscowej szkole powszechnej, a potem w gimnazjum w Montelusie, dokąd dojeżdżał autobusem. Następnie ojciec otrzymał awans i rodzina przeprowadziła się do Orte, gdzie Carlo skończył liceum. Później zapisał się na uniwersytet we Florencji, gdyż tam z kolei przeniesiono ojca. Na rok przed dyplomem stracił matkę.

– Na jakim był pan wydziale? – spytał Montalbano. Nie wystarczyło mu to, co słyszy, chciał wiedzieć o tym człowieku jeszcze więcej.

– Na filologii włoskiej. Chodziłem na wykłady Giuseppe De Robertisa, pracę dyplomową pisałem na temat *Le Grazie* Uga Foscolo.

„Tylko pogratulować” – pomyślał komisarz, który przepadał za literaturą.

Tymczasem wybuchła wojna. Carlo został powołany do wojska i wysłany na front do Afryki Północnej. Po sześciu miesiącach nadszedł list od dyrekcji okręgowej we Florencji z wiadomością, że jego ojciec zginął podczas przypadkowej strzelaniny. Carlo został sam na świecie, krewnych ojca ani matki nie znał nawet z nazwiska. Amerykanie wzięli go do niewoli i umieścili w obozie internowanych w Teksasie. Ponieważ dobrze mówił po angielsku, został tłumaczem. Poznał wtedy Evelyn, córkę dyrektora administracyjnego obozu. Zwolniony po zakończeniu wojny, wziął z nią ślub. W tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym roku przystano mu z Florencji duplikat dyplomu. Włoski dyplom nie miał w Stanach mocy prawnej, ale Carlo złożył dodatkowe egzaminy i uzyskał prawo nauczania języka włoskiego. Otrzymał też obywatelstwo amerykańskie i zmienił nazwisko z Zuccotti na Zuck, gdyż tak Amerykanie już od dawna go nazywali.

– Dlaczego zdecydował się pan tu przyjechać?

– Na to pytanie najtrudniej odpowiedzieć, proszę pana – odparł stary mężczyzna.

Wydawało się przez chwilę, że zagubił się w labiryncie wspomnień. Montalbano milczał i czekał.

– Życie starych ludzi, panie komisarzu, takich jak ja, sprowadza się w pewnym momencie do liczenia zmarłych. I naraz wydaje się, że jest ich już tylu, iż człowiek czuje się jak na pustyni. Wtedy stara się rozpaczliwie w tym wszystkim połączyć, ale nie zawsze mu się to udaje.

– Pani Evelyn nie ma już na świecie?

– Mieliśmy syna, Jamesa. Jedynaka. Widocznie w mojej rodzinie muszą być sami jedynacy. Poległ w Wietnamie. Żona nigdy się z tym nie pogodziła. I poszła na spotkanie z synem osiem lat temu.

I tym razem Montalbano nie otworzył ust. Nie miał nic do powiedzenia.

A stary profesor w tym momencie uśmiechnął się. Ale ten uśmiech wyglądał tak, jakby niebo zaciągnęło się chmurami, a jednocześnie jakaś ręka zacisnęła się człowiekowi na sercu.

– Paskudna sprawa, panie komisarzu. Paskudna nawet w literackim sensie, coś między dramatami w guście Giacomettiego, jak ten o śmierci cywilnej, a pewnymi sytuacjami u Pirandella. Dlaczego zapragnąłem tu przyjechać, pyta pan? Przyjechałem spontanicznie. Przecież tutaj przeżyłem najlepszą część mego życia, naprawdę najlepszą, bo wtedy jeszcze nie wiedziałem, co to cierpienie. A to niemało, wie pan? W mojej chicagowskiej samotni Vigata zaczęła lśnić jak gwiazda. Okazała się mirażem. Z dawnych kolegów szkolnych nie znalazłem tu nikogo. Nawet domu, w którym mieszkałem, już nie ma; na jego miejscu stoi dziesięciopiętrowy blok. A z trzech stacji została tylko jedna i nawet na tej jednej nie ma żadnego ruchu. Jakby tego było mało, odkryłem, że umieścili mnie na tablicy pamiątkowej. Poszedłem do urzędu stanu cywilnego. Okazało się, że błąd popełniło dowództwo wojskowe, które uznało mnie za poległego.

– Proszę mi wybaczyć pytanie: kiedy przeczytał pan swoje nazwisko, co pan odczuł?

Stary trochę się namyślał, zanim odpowiedział.

– Żal – odparł w końcu niemal szeptem.

– Czego pan żałował?

– Tego, że sprawy nie potoczyły się tak, jak wynika z tablicy. Musiałem żyć dalej.

– Panie profesorze, z całą pewnością załatwię panu spotkanie z burmistrzem najdalej na jutro. Gdzie się pan zatrzymał?

– W hotelu „Trzy Pinie”. To pod Vigatą, za każdym razem, gdy tam wracam, muszę się rozglądać za taksówką. A skoro już o tym mówimy, mógłby mi pan jakąś wezwać?

Po południu nie udało się komisarzowi porozmawiać z burmistrzem, który najpierw był na wiecu wyborczym, a potem odwiedzał wyborców w domach. Przyjął Montalbana dopiero następnego dnia. Komisarz opowiedział mu o Carlu Zuccottim, zmarłym za życia. Burmistrza rozśmieszyło to do łez.

– Wie pan co, komisarzu? Nasz ziomek Pirandello nie musiał wiele fantazjować, kiedy wymyślał swoje historyjki. Wystarczyło, że spisywał tylko to, co rzeczywiście zdarza się w naszych stronach!

Montalbano, nie mogąc rzucić mu prosto w twarz, co o nim myśli, postanowił nie oddać na niego głosu.

– Ma pan, komisarzu, pojęcie, czego on może ode mnie chcieć?

– Przypuszczalnie zmiany tablicy.

– O Boże! – westchnął burmistrz. – Słono by to musiało kosztować!

– Panie profesorze, mówi komisarz Montalbano. Burmistrz przyjmie pana

w ratuszu dzisiaj po południu, o siedemnastej. Odpowiada to panu? Jutro zdąży pan spokojnie na samolot do Chicago.

W telefonie panowała zupełna cisza.

– Panie profesorze, słyszy mnie pan?

– Tak. Ale dzisiaj w nocy...

– Coś się stało w nocy?

– Nie mogłem spać. Ciągle myślałem o tej tablicy. Dziękuję panu za uprzejmość, ale już zdecydowałem się na coś innego. Chyba słusznie.

– To znaczy?

– *Being here...*

I odłożył słuchawkę.

Being here... Skoro już tu jestem...

Montalbano jednym susem zerwał się z krzesła, w korytarzu wpadł na Catarellę, odepchnął go na ścianę i pobiegł do samochodu. Dwa kilometry, jakie dzieliły Vigatę od hotelu, wlokły się w nieskończoność. Wbiegł do westybulu.

– Gdzie profesor Zuccotti?

– Żaden Zuccotti tu nie mieszka.

– Charles Zuck, gówniarzu!

– Pokój sto piętnaście, pierwsze piętro – wykrztusił z siebie wystraszony chłopiec z recepcji.

Winda była zajęta, komisarz pędził na piętro, przeskakując po dwa stopnie. Zdyszany zapukał do drzwi.

– Panie profesorze! Proszę otworzyć. Tu Montalbano.

– Chwileczkę – powiedział spokojnie stary mężczyzna.

Potem w pokoju rozległ się nagle głośny wystrzał.

A Salvo Montalbano już wiedział, że burmistrz Vigaty nie musi szukać pieniędzy na zmianę tablicy.

Pakt

Cała na czarno, na wysokich obcasach, w niemodnym kapeluszu i z torebką z błyszczącej skóry zawieszoną na prawym ramieniu, ta stara panna (bo wręcz rzucało się w oczy, że jest to stara panna, i to w dawnym stylu) szła skrajem szosy drobnym, lecz energicznym krokiem. Patrzyła pod nogi, nie zwracając uwagi na samochody, które z rzadka ją mijały.

Ta kobieta nawet w dzień zwróciłaby uwagę komisarza Montalbano dystyngowaną postawą i staroświecką elegancją, a cóż dopiero o wpół do trzeciej w nocy, na szosie, daleko za miastem! Montalbano wracał do domu w Marinelli po całym dniu mozolnej pracy w komisariacie. Czuł się zmęczony, nie spieszył się. Jechał z opuszczonymi szybami w oknach, przez które wpadały do auta zapachy majowej nocy: z prawej podmuchy jaśminu z ogrodów przy willach, z lewej słone powiewy morza. Przez chwilę posuwał się wolno za kobietą, ale zaraz przyspieszył, zrównał się z nią i wychylając przez boczny fotel, spytał:

– Nie potrzebuje pani pomocy?

Kobieta nawet nie podniosła głowy, nie zwróciła na niego uwagi, dalej szła prosto przed siebie.

Komisarz włączył długie światła, zatrzymał samochód, wysiadł, zaszedł jej drogę, tak że musiała przystanąć. I dopiero wtedy, nie okazując najmniejszego zakłopotania, zechciała na niego spojrzeć. Montalbano zobaczył w świetle reflektorów, że jest bardzo stara, ale jej oczy, w kolorze intensywnego, niemal fosforyzującego błękitu, mocno kontrastowały z twarzą, bo zachowały młodość. W uszach miała złote kolczyki, na szyi

wspaniałą kulię z pereł.

– Jestem komisarzem policji, nazywam się Montalbano – powiedział, żeby ją sobie zjednać, chociaż wcale nie była zaniepokojona.

– Bardzo mi miło. Ja nazywam się Angela Clemenza, jestem panną. – Te słowa mocniej zaakcentowała. – Ma pan coś do mnie?

Komisarz uśmiechnął się.

– Nie, nie mam nic do pani. Czy jednak pani zdaniem to normalne, że pani tak tu idzie, wystrojona, po nocy, całkiem sama? Ma pani szczęście, że nikt pani nie zepchnął do rowu, nie ogłuszył i nie okradł. Proszę wsiąść do auta, podwiozę panią.

– Nikogo się nie boję. I wcale nie jestem zmęczona.

Chyba istotnie nie była zmęczona, oddychała równo, na twarzy nie miała ani kropli potu i tylko mocno zakurzone buty świadczyły o tym, że panna Angela musiała już przejść pieszo spory kawał drogi.

Montalbano ujął ją delikatnie palcami za ramię i skierował w stronę samochodu.

Angela Clemenza jeszcze przez chwilę mu się przypatrywała, a błękit jej oczu zabarwił się mocniej, na fiołkowo, bo na pewno była zła. Nie odzywając się, wsiadła do auta.

W samochodzie położyła sobie torebkę na kolanach i lekko masowała prawe ramię. Komisarz zauważył, że torebka jest czymś wypchana i pewnie dość ciężka.

– Gdzie panią podwieźć?

– Na ulicę Gelso. Powiem, jak tam dojechać.

Komisarz odetchnął z ulgą. Ulica Gelso była nie tak daleko, na obrzeżu miasta, parę kilometrów od Marinelli. Miał ochotę spytać pannę Angelę, dlaczego znalazła się na szosie sama w nocy i szła do domu pieszo, ale

onieśmiała go jej powściągliwość i układność.

Panna Clemenza natomiast nabrała wody w usta i tylko z rzadka rzucała wskazówki, jak trafić do jej domu. Montalbano w końcu minął bramę z kutego żelaza, przejechał starannie utrzymaną alejką i zatrzymał się pod dziewiętnastowieczną małą willą, niedawno odnowioną, schludną, z drzwiami i okiennicami pomalowanymi na zielono. Oboje wysiedli.

– Bardzo pan uprzejmy. Dziękuję – powiedziała panna Angela. I podała mu na pożegnanie rękę. A Montalbano sam się zdziwił, że od razu się pochylił i tę rękę pocałował.

Panna Clemenza odwróciła się, poszukała w torebce kluczy, weszła do domu i nie oglądając się za siebie, zamknęła drzwi.

Jeszcze nie było siódmej, kiedy Montalbano zbudził telefon. Dzwonił jego zastępca, Mimi Augello.

– Nie wściekaj się, Salvo, że cię budzę o tej porze, ale mamy zabitego. Już jestem na miejscu. Wysłałem po ciebie samochód.

Komisarz zdążył się ogolić, i samochód już był pod domem.

– Wiesz, kogo zabili?

– Emerytowanego profesora, nazywał się Corrado Militello – powiedział siedzący za kierownicą agent. – Mieszkał za starą stacją.

Dom profesora Militello rzeczywiście stał za starą stacją, ale daleko od szosy, w szczerym polu. Montalbano nie zdążył nawet wejść do środka, gdy Mimi Augello, który tego dnia się uparł, żeby wypaść jak prymus klasowy, już go poinformował:

– Profesor miał osiemdziesiątkę z hakiem. Mieszkał sam, nigdy się nie ożenił. Od dziesięciu lat nie ruszał się z domu. Codziennie przyjeżdżała gospodyni, od trzydziestu lat ta sama, i to ona znalazła zabitego i dała nam

znać. Układ domu tak wygląda: na piętrze dwie wielkie sypialnie, dwie łazienki i pokój, na parterze salon, mała jadalnia, łazienka i gabinet. Właśnie w gabinecie Militello został zabity. Doktor Pasquano już się dobrał do zwłok.

W holu, na skraju krzesła, siedziała gospodyni, bezgłośnie płacząc i kiwając się w tę i z powrotem. Profesor Militello upadł twarzą na biurko w gabinecie. Pasquano, lekarz sądowy dokonywał oględzin denata.

– Sprawca – nie przerywał potoku słów Mimi Augello – chciał sadystycznie przerazić profesora, zanim go zabił. Przyjrzyj się: strzelał do lampy, do biblioteki, do tego obrazu... to chyba reprodukcja *Pocałunku* Velazqueza...

– Hayeza – poprawił go pedantycznie Montalbano.

– ...do okna i dopiero ostatnią kulę posłał w profesora. Strzelał z rewolweru, nigdzie nie ma łusek.

– Gładko nam idzie to zliczanie strzałów – wtrącił się doktor Pasquano. – Strzelano pięć razy, zgoda, ale może jedna z kul trafiła Wagnera, to popiersie z brązu, a potem się odbiła i trzepnęła profesora w sam środek czoła, co go, ma się rozumieć, zabito.

Augello nie zareagował na te kpiny.

W kominku leżała góra spalonych papierów. Montalbano zwrócił na to uwagę i popatrzył wymownie na swego zastępcę.

– Gospodyni mówiła mi, że od dwóch dni ciągle palił listy i fotografie – wyjaśnił Augello. – Trzymał je w tym kufrze, który teraz stoi tutaj pusty.

Najwyraźniej Mimi Augello miał dzisiaj jeden z tych dni, kiedy jak już raz zaczął mówić, nic nie mogło go powstrzymać. Nawet postawiony przed plutonem egzekucyjnym mówiłby dalej.

– Ofiara sama otworzyła zabójcy drzwi, nie ma żadnych śladów włamania. Znali się, profesor mu ufał. Pewnie był to stały bywalec. Przekonasz się,

Salvo: tylko patrzeć, a skądś nam wyskoczy jakiś siostrzeniec, który długo czekał na spadek, aż stracił cierpliwość i powiedział sobie: po kiego chuja mam czekać? Stary był bogaty, miał dom, tereny budowlane...

Montalbano już go nie słuchał, przeglądał w pamięci stare angielskie filmy kryminalne. I zrobił to, co widział kiedyś na jednym z nich: pochylił się nad kominkiem, wsunął rękę w popiół i zaczął szukać. Miał szczęście: znalazł. Pod palcami wyczuł kawałek grubszego kartonu. Była to resztką fotografii, niewiele większa od znaczka pocztowego. Popatrzył i sam sobie nie uwierzył. Zobaczył połowę kobiecej twarzy, ale jakże mógłby nie rozpoznać tamtych oczu?

– Coś znalazłeś? – spytał Augello.

– Nie, nic – odpowiedział Montalbano. – Wiesz co, Mimi, sam się tym zajmuj, ja mam co robić. Pozdrów ode mnie sędziego, kiedy się tu pokaże.

– Proszę wejść, proszę wejść – powiedziała panna Angela Clemenza, wyraźnie zadowolona, że znowu widzi komisarza. – Proszę tędy... Dom stał się dla mnie za wielki, odkąd zmarł mój brat, generał. Zostawiłam sobie tylko te trzy pokoje na dole, żeby nie wspinać się po schodach.

Z rana, o wpół do dziesiątej, była nienagannie ubrana. Komisarz przy niej wydał się sobie wręcz niechlujny.

– Zrobię panu kawę.

– Dziękuję, proszę się nie trudzić. Chciałem tylko o coś panią spytać. Znała pani profesora Corrada Militello?

– Od tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego roku, komisarzu. Miałam wtedy siedemnaście lat, on był o rok ode mnie starszy.

Montalbano uważnie jej się przyjrzał: nie dostrzegł ani śladu emocji. Oczy były jak jezioro w górach, gładkie i czyste.

– Mam dla pani niedobłą wiadomość. Mówię to z przykrością, proszę mi wierzyć.

– Ja już o tym wiem, panie komisarzu! To ja go zastrzeliłam!

Pod stopami Montalbana zafalowała posadzka, coś takiego już raz odczuł, kiedy w Belice zatrzęsła się ziemia. Opadł na krzesło, które na szczęście stało tuż za nim. Panna Clemenza też usiadła, wciąż stateczna i spokojna.

– Jak to?... Dlaczego? – wydusił z siebie komisarz.

– To stare dzieje, stara śpiewka... Pana to znudzi.

– Przeciwnie, zapewniam panią.

– Widzi pan, już od połowy zeszłego wieku moja rodzina, z powodów, których nie znam i nigdy nie chciałam poznać, skłóciła się z rodziną Corrada i jedni drugich znienawidzili. Nie obyło się bez zabójstw, bez ran i pojedynków. No, Capuleti i Montecchi, jak się pan domyśla. A my dwoje, zamiast się nienawidzić, zakochaliśmy się w sobie. Romeo i Julia, innymi słowy. Wobec tego nasze rody, w tej jedynej sprawie ze sobą zgodne, rozdzieliły nas: mnie oddano do zakonnicy, do szkoły, a on wylądował w kolegium. Moja matka jeszcze na łożu śmierci kazała mi przysiąc, że nigdy za Corrada nie wyjdę. A ja sobie powiedziałam: albo on, albo żaden. Corrado postanowił tak samo. Przez całe lata pisywaliśmy do siebie, telefonowaliśmy, staraliśmy się widywać. Kiedy już zostaliśmy sami, tylko my dwoje, kiedy wszyscy nam powymierali, ja miałam sześćdziesiąt dwa lata, a on sześćdziesiąt trzy. Powiedzieliśmy sobie, że w tym wieku śmieszne by było połączyć się węzłem małżeńskim.

– Tak, powiedzmy, że tak. Ale dlaczego?...

– Sześć miesięcy temu zatelefonował do mnie i rozmawialiśmy pół dnia. Powiedział, że już nie czuje się na siłach żyć sam. Chciał się ożenić z jakąś wdową, swoją daleką krewną. Jakże to, spytałam, kiedy miałeś sześćdziesiąt

lat, uznałeś to za śmieszne, a teraz, kiedy masz osiemdziesiąt, już w tym nic śmiesznego nie widzisz?

– I dlatego pani...?

– Chyba pan żartuje! Jeśli idzie o mnie, mógłby się żenić nawet sto razy! Nie w tym rzecz, tylko w tym, że przedwczoraj z samego rana znowu do mnie zadzwonił. Powiedział, że całą noc nie zmrużył oka. Wyznał, że mnie okłamał. Nie żeni się dlatego, że boi się samotności, tylko dlatego, że się w tej kobiecie naprawdę zakochał. No, skoro tak, to sam pan rozumie, że sprawa przybrała inny obrót.

– Już się w tym pogubiłem. Więc dlatego...

– Dlatego, że myśmy oboje do czegoś się zobowiązali, zawarliśmy pakt.

Wstała, sięgnęła do torebki, do tej samej, którą w nocy miała ze sobą i która teraz leżała na stoliku obok. Wyjęła z niej poślizgniętą kartkę i podała komisarzowi.

My, Angela Clemenza i Corrado Militello, przysięgamy przed Bogiem, co następuje: kto z nas zakocha się w innej osobie, zapłaci za taką zdradę życiem. To oboje potwierdzamy i podpisujemy

Angela Clemenza i Corrado Militello

Vigata, 10 stycznia 1936 roku

– Przeczytał pan? Już się wszystko zgadza, prawda?

– Ależ on o tym zapomniał! – powiedział czy raczej krzyknął Montalbano.

– A ja nie – odparła panna Angela, a jej oczy znowu przybrały niebezpieczny kolor ciemnego fioletu. – Jeszcze jedno muszę panu uprzytomnić: wczoraj rano zatelefonowałam do niego, bo chciałam się upewnić. „Co robisz?”, spytałam. „Palę swoje listy”, odpowiedział mi.

Dopiero wtedy wybrałam się do niego zgodnie z naszym paktem.

Montalbanowi zdawało się, że zaciska mu się na głowie żelazna obręcz.
Spocił się.

– Wyrzuciła pani broń?

– Nie.

Otworzyła torebkę, wyjęła z niej rewolwer „Smith & Wesson”, może stuletni, ogromny. Podała go komisarzowi.

– Było mi trudno w niego trafić, wie pan? Nigdy w życiu nie strzelałam.
Biedny Corrado okropnie się wystraszył.

Co teraz zrobić? Wstać i oświadczyć jej, że jest aresztowana?

Wciąż patrzył na rewolwer, nie umiał się zdecydować.

– Podoba się panu? – spytała z uśmiechem panna Angela Clemenza. –
Chętnie go panu podaruję. Mnie już jest niepotrzebny.

Opowiedział o tym Aulus Gellius

Ogrzewanie w samochodzie komisarza Montalbano zastrajkowało bez ostrzeżenia, podstępnie wykorzystując fakt, że właśnie wiała *tramontana*, ciągnąca pewnie aż od Skandynawii. Zimno wciskało się do środka przez niezliczone szczeliny i komisarz, mimo że czuł trochę ciepła od motoru i miał na sobie znienawidzona skórzaną kurtkę, powoli zamarzał. Wracał do domu z Montelusy po przykrej rozmowie z nowym kwestorem, nerwy miał rozstrojone, a zmiana pogody bynajmniej ich nie koła, toteż, chcąc sobie poprawić nastrój, wpadł na pomysł, żeby wstąpić do położonej przy drodze do Fiakki gospody, o której słyszał od jednego z kolegów wiele dobrego. Przy szosie, gdzieś na piętnastym kilometrze miał być kierunkowskaz, ale kiedy przejechał siedemnaście kilometrów i żadnego nie dostrzegł, przestał się rozglądać i stracił ochotę na kulinarną przygodę. Kto mógł mu zaręczyć, że do rozmowy z kwestorem i całego tego nieudanego wieczoru nie dojdzie jeszcze byle jakie jedzenie? Jak potem minie noc? Będzie się tylko przewracał w łóżku i nie uśnie nawet na chwilę, nie mogąc się otrząsnąć z podłego humoru. Miał już dać za wygraną i zawrócić, kiedy w słabym świetle reflektorów „Żeby chociaż jedna rzecz funkcjonowała w tym pieprzonym aucie jak należy!”) zobaczył wypatrywany wcześniej kierunkowskaz. Był to krzywo przybity do kija kawałek deski, na której koślawymi literami napisano: „U Filippa, gdzie można dobrze zjeść”. Skręcił w boczną drogę gruntową, która po stu metrach kończyła się placikiem przed parterowym domkiem. Ani przez drzwi wejściowe, ani przez żadną z zamkniętych okiennic nie przebijała choćby smuga światła. Może właśnie tego jednego dnia w tygodniu lokalu nie otwierano i niepotrzebnie tu

przyjechał? Otworzył drzwi samochodu i od razu do środka wtargnął wiatr i szum wzburzonego morza, które musiało się znajdować kilkanaście metrów stąd. Wsiadł z auta, podbiegł, nacisnął klamkę i drzwi się otworzyły. Montalbano wszedł i czym prędzej zamknął je za sobą. Stał w salce z pięcioma stolikami, gdzie nie było ani jednego gościa. Mężczyzna, który pewnie był Filippem, siedział przy jednym ze stolików i oglądał telewizję.

– Można coś zjeść? – spytał niepewnie komisarz.

Filippo nie odwrócił się, nie oderwał oczu od telewizora, tylko wymamrotał:

– Proszę siadać. Gdzie pan chce.

Montalbano zdjął kurtkę, wybrał stolik najbliżej pieca. Po pięciu minutach, widząc, że mężczyzna nie może oderwać się od filmu, wstał, podszedł do kredensu, wziął koszyczek z chlebem i butelkę wina, po czym wrócił na miejsce. Wreszcie po następnych dziesięciu minutach na ekranie telewizora pojawił się napis: „Koniec części pierwszej”, i Filippo z niemego posągu zmienił się w żywą osobę. Podszedł do stolika i spytał:

– Co pan zje?

– Słyszałem, że robi pan wspaniałą ośmiornicę po neapolitańsku.

– Dobrze pan słyszał.

– Chciałbym spróbować.

– Spróbować czy zjeść?

– Zjeść. Dodaje pan oliwki z Gaety?

Czarne oliwki z Gaety są do ośmiornicy po neapolitańsku nieodzowne.

Filippo popatrzył na niego, urażony pytaniem.

– Oczywiście. Dodaję też kaparki.

O, cholera! Ta nowość może okazać się zgubna – komisarz nigdy nie

słyszał, żeby ktoś do ośmiornicy po neapolitańsku dodawał kapary.

– Kaparki z Pantellerii – uściślił Filippo.

Niepokój Montalbana w połowie zniknął: kaparki z Pantellerii, kwaśne w smaku i bardzo pikantne, być może nadawały się doskonale do tego dania, a w najgorszym razie chyba nie mogły go zepsuć.

Zanim Filippo wszedł do kuchni, popatrzył komisarzowi prosto w oczy, a ten podjął rzuconą rękawicę. Było już jasne, że między nim a Filippem doszło do pojedynku. Kogoś, kto nie zna się na kuchni, mogłoby to zdziwić: cóż to takiego przyrządzić dwie ośmiorniczki po neapolitańsku? Czosnek, oliwa, pomidory, sól, pieprz, orzeszki pinii, czarne oliwki z Gaety, rodzynki sułtańskie, pietruszka, kromki przypieczonego chleba – i po wszystkim. No tak, ale w jakich proporcjach? Trzeba się tu kierować instynktem, żeby wiedzieć, jakiej ilości soli odpowiada konkretna ilość czosnku.

Polemikę z Filippem, jaką już w wyobraźni toczył Montalbano, przerwał nagły łomot otwartych na oścież drzwi, których skrzydło uderzyło o ścianę.

„Wiatr” – pomyślał Montalbano, ale nie zdążył nawet wstać, by jak najszybciej uchylone drzwi zamknąć.

Weszli dwaj mężczyźni, na twarzach mieli kominiarki, w ręku trzymali pistolety.

– Kto to? – spytał Filippo, wychodząc z kuchni z tłuczkiem w ręku.

– Stać, nie ruszać się! – zawołał jeden, mały i chudy. Drugi wyglądał jak prawdziwy kolos.

„Dwaj straceńcy, złakomili się na garstkę lirów” – pomyślał Montalbano.

Ale sprawa nie wyglądała tak zwyczajnie, bo mały spojrzął na komisarza i powiedział:

– Szukałem cię. I wreszcie dopadłem.

Najwyraźniej śledzili komisarza, jechali za nim i to miejsce, gdzie się

zatrzymał, wydało im się idealne do tego, czego się podjęli. A to, czego się podjęli, miało przypuszczalnie oznaczać koniec komisarza. Mówi się, że w chwili śmierci człowiek przebiega w myślach całe swoje życie, a może nawet ma przebłysk wizji zaświatów, jednak komisarzowi tylko to przyszło do głowy:

„Ci dwaj mnie teraz załatwią i żegnajcie, ośmiorniczki”.

Kiedy mały zbliżał się bez pośpiechu do niego, bo miał dużo czasu, jego olbrzymi kolega nie odrywał odeń wzroku, Montalbana bardziej niepokoiło to spojrzenie niż wymierzona w niego lufa.

Mały tymczasem doszedł do stolika i rzucił:

– Jak chcesz się pomodlić, to teraz!

I w tym momencie zdarzyło się coś niesłychanego. Poruszając się cicho i szybko, olbrzym przełożył sobie pistolet z prawej ręki do lewej, wyrwał skamieniałemu Filippowi tuczek, rzucił się do swego kolegi, który zamierzał strzelić do komisarza, i z całej siły zdzielił go tuczkiem po głowie. Cios ściał małego z nóg; bandyta upadł nieprzytomny na posadzkę, pistolet wypadł mu z ręki.

Wtedy olbrzym powiedział do Montalbana:

– Nie ruszaj się, nie chcę źle trafić.

Wycelował uważnie, strzelił. Kula utknęła w ścianie kilka centymetrów nad głową komisarza. Filippo krzyknął, lecz olbrzym jakby go nie usłyszał. Odwrócił się i strzelił po raz drugi, tym razem w ścianę, którą miał za plecami.

Filippo upadł na kolana i zaczął się głośno modlić, trzęsąc się przy tym jak w konwulsjach.

– Chybaśmy się zrozumieli? – spytał olbrzym komisarza.

Zainscenizował wymianę strzałów, nie było wątpliwości.

– Zrozumieliśmy się doskonale.

Usłyszawszy odpowiedź, olbrzym podniósł z posadzki pistolet kompana, włożył do kieszeni, po czym chwycił zemdlonego za kołnierz, pociągnął za sobą, otworzył drzwi i wyszedł z nim na zewnątrz.

Montalbano zerwał się z miejsca, podbiegł do Filippa, który wciąż histerycznie przewracał oczami, i wymierzywszy mu dwa policzki, doprowadził go do przytomności.

– Dość tego! Ośmiorniczki się przypała!

Choć ledwo żywy ze strachu, Filippo przyrządził danie jak Pan Bóg przykazał i Montalbano jadł, aż mu się uszy trzęsły. Zapłacił śmieszoną cenę (w dodatku musiał nalegać, żeby Filippo przyjął należność, bo ten już tylko chciał, by klient jak najszybciej sobie poszedł), wsiadł do samochodu i ruszył do domu w Marinelli. Podczas jazdy zastanawiał się nad tym, co się stało. Było oczywiste, że olbrzym chciał mu ocalić życie, a kiedy to postanowił, zwałił kolegę z nóg i na wszelki wypadek zapewnił sobie „alibi”, inscenizując strzelaninę. Będzie mógł powiedzieć, że to Filippo zdeptał kolegę tłuczkiem, a on zareagował, strzelając do Montalbana. A ponieważ komisarz także strzelił, musiał uciekać, wlokąc za sobą ogłuszonego przyjaciela. Zasadnicze pytanie pozostawało jednak bez odpowiedzi: dlaczego olbrzym chciał ocalić komisarza, chociaż narażał własne życie? Ci, którzy zlecili zabójstwo, mogą przecież nie uwierzyć w jego wersję wydarzeń.

W niedzielę komisarz zazwyczaj kupował gazetę handlową, która od razu przy kiosku wyrzucał do kosza na śmieci, ponieważ nic a nic nie znał się na sprawach rynku. Zatrzymywał sobie tylko dobrze zredagowany dodatek kulturalny, który wieczorem, przed zaśnięciem, czytał w łóżku.

Tego wieczoru, kiedy oczy już mu się kleiły i miał zgasić lampkę, dostrzegł długi artykuł o Aulusie Gelliusie, napisany z okazji wydania wyboru jego *Nocy attyckich*. Autor artykułu wyjaśniał, że Aulus Gellius, żyjący w II wieku naszej ery, napisał to dzieło w dwudziestu księgach dla zabicia czasu w długie zimowe noce, które spędzał w wiejskiej posiadłości w Attyce, a na koniec podsumowywał swoje sądy stwierdzeniem, że był to wykwintny pisarz, który mówił o rzeczach całkowicie nieistotnych, a został zapamiętany tylko dzięki anegdocie o Androklesie i lwie, którą zamieścił w swoich księgach.

W tym momencie komisarz, zamiast zamknąć oczy, otworzył je szeroko, a nawet, by tak rzec, wytrzeszczył. Androkles i lew! Przecież wyjaśnienie tego, co zdarzyło się przed czterema dniami w traktierni Filipa, chyba było współczesną i bardziej realistyczną wersją legendy przedstawionej przez Aulusa Gelliusa. Rzymski pisarz opowiedział, że pochodzący z Afryki niewolnik Androkles uciekł od swego pana, który go gnębił, i znalazł schronienie w jaskini, gdzie przebywał chory lew. Zamiast poszukać sobie bezpieczniejszej kryjówki, Androkles pozostał z lwem i leczył go, bo zwierzę cierpiało na ropne zapalenie łapy, w którą miało wbity wielki kolec. Wyleczony lew wrócił na pustynię, a Androkles po wielu barwnych przygodach przyjął wiarę chrześcijańską i znalazł się w Rzymie. Tam został uwięziony i razem z innymi chrześcijanami wydany lwom na pożarcie. Przeżegnawszy się, wszedł na arenę amfiteatru, gdzie natychmiast doskoczył do niego rozwścieczony drapieżnik, ale po chwili, ku zdumieniu widzów, przypadł mu do nóg i zaczął lizać jego ręce. Był to oczywiście ten sam lew, którego Androkles wyleczył w Afryce. A były niewolnik został, rzecz jasna, ułaskawiony. Dokładnie tak samo, jak został ułaskawiony komisarz. Tylko kim był jego lew?

Senność całkiem go opuściła. Wstał z łóżka, poszedł do kuchni, zaparzył

sobie kawę, wypił, stanął w łazience pod prysznicem, ubrał się jak co rano, włożył skórzaną kurtkę, której nie znosił, i wyszedł powłóczyć się po plaży. *Tramontana* trochę ucichła, ale morze wtargnęło na piasek i nie ustępowało.

Spacerował dwie godziny, paląc i starając się coś sobie przypomnieć.

Wspomnienia, jak wiadomo, są podobne do łańcucha, jedno ogniwo ciągnie za sobą drugie. Bywa i tak, że pojawiają się po sobie spontanicznie, niechciane i przykre, sprowadzając pamięć z głównej drogi na ciemne, błotniste ścieżki, gdzie w najlepszym razie człowiek będzie musiał wybrudzić sobie buty.

Około czwartej nad ranem, klucząc i rozważając różne możliwości, komisarz doszedł do wniosku, że mu się udało. Że ma lwa na celowniku.

Pewnego spokojnego popołudnia, gdzieś o czwartej, trzydziestoletni wówczas wicekomisarz Montalbano jedzie samochodem w sprawach służbowych do zabitej deskami wioski w Madoniach. Droga biegnie wzdłuż krawędzi urwiska, które spada stromo może dwadzieścia metrów w dół; rzadko spotyka się tu inne samochody. Montalbano chce właśnie wyprzedzić jadące przed nim auto, kiedy nagle orientuje się, że skręca ono w prawo, mija krawędź i wali się w przepaść. Wicekomisarz zatrzymuje się, wybiega z wozu, widzi jeszcze, jak tamto auto odbija się od skały i spada do wąwozu u podnóża urwiska. Nie namyślając się ani chwili, wicekomisarz zaczyna schodzić, chwytając się wyłomów skalnych i drobnych krzaków sorgo, drąc sobie spodnie i nawet gubiąc but. Nie wiadomo jakim cudem udaje mu się jednak dotrzeć na dno wąwozu, do przewróconego na bok auta. Od razu stwierdza, że mężczyzna za kierownicą nie żyje, ma rozbitą głowę. Obok niego siedzi chłopiec, mniej więcej piętnastoletni, z zamkniętymi oczami, zakrwawionym czołem, i cicho jęczy. Wicekomisarzowi udaje się wydobyć rannego z auta, choć kosztuje go to wiele trudu, niemal ponad jego siły, bo

chłopiec jest duży i ciężki. Montalbano kładzie go na trawie, a ten po chwili otwiera oczy, patrzy na niego i mówi:

– Pomóż mi, nie zostawiaj mnie tu.

– Nie zostawię cię – zapewnia go Montalbano i wyjmując pasek ze spodni. Zaciska go na lewym udzie chłopca, tamując krwotok z głębokiej rany na łydce.

– Nie zostawiaj mnie.

I wciąż te przerażone, wpatrzone w niego oczy.

Po chwili Montalbano podnosi wzrok i widzi, że obok jego auta na krawędzi szosy nad urwiskiem zatrzymało się drugie, a mężczyzna, który z niego wysiadł, spogląda w dół.

Wicekomisarz prostuje się, macha rękami, woła rozpaczliwie o pomoc, pokazuje na rannego chłopca. Mężczyzna w górze odwraca się i odjeżdża.

– O Boże, nie zostawiaj mnie tutaj!

– Uspokój się, nie zostawię cię.

Chłopiec traci przytomność. W kwadrans później przyjeżdża pomoc.

Po kilku miesiącach Montalbano otrzymał przeniesienie i stracił z oczu chłopca, który tymczasem całkowicie wyzdrowiał.

Ten lew, co zachował wdzięczną pamięć, nazywa się Salvatore Niscemi.

I co teraz robić? Wydać nakaz aresztowania? Na czym oparty? Na anegdocie z II wieku opowiedzianej przez pisarza, który nazywał się Aulus Gellius? Przecież to śmieszne.

Stary złodziej

Orazio Genco miał sześćdziesiąt pięć lat i był złodziejem okradającym mieszkania. Romildo Bufardecì miał sześćdziesiąt pięć lat i pracował w firmie ochroniarskiej. Orazio był młodszy od Romilda równo o tydzień. Orazia Genco znano w całej Vigacie i okolicy z dwóch powodów. O pierwszym już była mowa: włamywał się do mieszkań, które chwilowo stały puste. Drugim powodem była jego dobroć i nadzwyczaj uprzejme usposobienie: wszyscy wiedzieli, że nie skrzywdziłby nawet muchy. Romilda Bufardecì, kiedy jeszcze pełnił służbę, nazywano żelaznym sierżantem, bo odznaczał się twardością i nieustępliwością, zwłaszcza wobec tych, którzy jego zdaniem za nic sobie mieli „przepisy”. Orazio Genco rozpoczynał swoją działalność z początkiem października, a przerywał ją z końcem kwietnia: w tym zimowym okresie właściciele zamykali letnie domy przy szosie biegnącej wzdłuż morza i wracali do miasta. W tymże czasie obowiązki Romilda Bufardecì nabierały oczywiście największego znaczenia. Orazio Genco pracował w rejonie ciągnącym się od Marinelli do Scali dei Turchi – ten sam rejon kontrolował Romildo Bufardecì. Kiedy Orazio Genco został po raz pierwszy aresztowany za kradzież z włamaniem, miał dziewiętnaście lat (ale „karierę zawodową” zaczął w wieku lat piętnastu). Na posterunek karabinierów doprowadził go Romildo Bufardecì, dla którego był to pierwszy występ w roli stróża „przepisów”. Obaj byli tak przejęci, że na posterunku dano im wody z miętą, żeby się uspokoili.

W następnych latach Romildo miał okazję aresztować Orazia jeszcze trzy razy. Potem został wysłany na rentę, bo jakiś partacz, kradnąc samochód,

strzelił do niego i zmiażdżył mu biodro (a Orazio odwiedzał go w szpitalu). Genco miał odtąd lżejsze życie, bo strażnik, który zastąpił Romilda, nie odnosił się do „przepisów” z takim przesadnym respektem, a poza tym miał zadyszkę jak wielki podwórzowy pies i szło mu tylko o to, żeby jakoś ciągnąć dalej. Długie lata nocnego czuwania, kiedy inni wygodnie się wysypiali, pozostawiły Romildowi Bufardeciego rodzaj zawodowej skazy, która polegała na tym, że nie mógł zasnąć przed wschodem słońca. Spędzał więc noce na układaniu pasjansów, choć nigdy mu nie wychodziły, nawet kiedy próbował sam siebie oszukiwać, albo na oglądaniu telewizji.

Często w pogodne noce wsiadał na rower i jeździł drogami, które leżały na terenie jego dawnego nadzoru, od Marinelli po Scalę dei Turchi.

Ponieważ dopiero zaczął się październik, noc była ciepła, z niebem roziskrzonym od gwiazd; wydawało się, że trwa jeszcze lato. Romildo nie wytrzymał przy telewizorze, bo oglądał film amerykański i krew go zalewała, że policja i „przepisy” zupełnie się nie liczą, za to przestępcom wszystko uchodzi na sucho. Wyłączył telewizor, sprawdził, czy żona śpi, wyszedł z domu, wsiadł na rower i ruszył z Vigaty w stronę Marinelli.

Odcinek nadmorskiej szosy prowadzącej do Scali dei Turchi wydawał się całkiem wymarły. Nawet nie dlatego, że było po sezonie i nie kręciły się już samochody letników, ale dlatego, że łodzie rybackie i motorówki, wyciągnięte na brzeg i przykryte brezentem, wyglądały jak nagrobki na cmentarzu.

Jeździł trzy godziny tam i z powrotem. Zaczęło się już przejaśniać. Na wschodzie pojawiła się jasna szczelina, która poszerzała się i barwiła wszystko na fioletowo.

I w tym szczególnym świetle Romildo Bufardeciego dostrzegł sylwetkę mężczyzny, wymykającą się przez furtkę z ogrodu willi, której budowę ukończono przed trzema laty. Mężczyzna zachowywał się spokojnie,

zamknął za sobą furtkę jak ktoś, kto o świcie wychodzi do pracy, tyle że nie przekręcił klucza. Wyglądało na to, że nie zauważył Romilda Bufardeciego, który zatrzymał rower, oparł nogę o ziemię, żeby nie stracić równowagi, i uważnie mu się przypatrywał. Może zresztą tamten spostrzegł strażnika, ale się tym nie przejął.

Szedł powoli w stronę Vigaty, nie przyspieszał, jakby miał do dyspozycji mnóstwo czasu. Ale Bufardeciego był za starym lisem, żeby dać się nabrać na pozorny spokój. Po chwili wsiadł na rower i ruszył za tym mężczyzną.

Rozpoznał go bez trudu.

– Orazio Genco! – zawołał.

Genco na chwile przystanął, nie odwrócił się, a potem puścił się biegiem przed siebie. Najwyraźniej uciekał. Bufardeciego nie wiedział, co o tym myśleć. Ucieczka nie pasowała do Orazia; był zbyt inteligentny, żeby liczyć na cokolwiek, kiedy sprawa jest już przegrana. A może to nie Orazio, tylko właściciel willi, którego przestraszył niespodziewany, stanowczy okrzyk? Ale nie, to na pewno był Orazio. Więc Romildo zaczął go ścigać z jeszcze większym zapamiętaniem.

Mimo swoich sześćdziesięciu pięciu lat Genco był sprawny jak młody chłopiec, przeskakiwał przeszkody, które jadący rowerem Romildo musiał objeżdżać. Nie tracąc szybkości, minął Ponte di Ferro i dobiegł do Cannelle, gdzie zaczynały się pierwsze domy Vigaty. Tu opuściły go siły i przysiadł na obrzeżu suchej fontanny. Ciężko dyszał, trzymając rękę na sercu, żeby się uspokoiło.

– Po coś tak pędził? – spytał Romildo, kiedy już przy nim stanął.

Orazio Genco nic nie odpowiedział.

– Trochę sobie odpocznij – powiedział Bufardeciego. – Mamy czas, pójdziemy za chwilę.

- Dokąd?
- Jak to dokąd? Do komisariatu.
- A po co?
- Oddam cię policji, jesteś aresztowany.
- A kto mnie aresztował?
- Nie widzisz kto? Ja.
- Ty nie możesz mnie aresztować, jesteś na rencie.
- Co tu ma do rzeczy renta? Każdy obywatel, kiedy widzi, że gdzieś popełnia się przestępstwo, ma taki obowiązek.
- Po co mi opowiadasz te pierdoły, Romi? Jakie przestępstwo?
- Kradzież z włamaniem. Nie zaprzeczysz, że wychodziłeś przez furtkę niezamieszkaną willi?
- Po co miałbym zaprzeczać?
- No, to sam widzisz, że...
- Romi, tyś nie widział, że wychodzę drzwiami wejściowymi do willi, tylko przez furtkę do ogrodu.
- Jaka to różnica?
- A taka. Większa, niż myślisz.
- Ciekawe dlaczego?
- Dlatego, że nie wszedłem do willi. Wszedłem tylko do ogrodu, bo mnie przypiliło, a furtka była uchylona.
- Tak czy inaczej, idziemy na komisariat. Tam się tobą zajmą, tam im opowiesz, jak było.
- Wiesz co, Romi? Wcale nie mam pewności, że powinienem tam iść. A ty nawet na łańcuchu byś mnie nie zaciągnął. Ale pójdziemy. Tym razem sam ci mówię; idziemy. Ośmieszysz się przed gliniarzami jak nie wiem co.

Dyżur na komisariacie, miał agent Catarella, któremu komisarz Montalbano, nie chcąc się narażać na kłopoty, powierzał funkcje wartownika albo telefonisty. I Catarella skrupulatnie sporządził protokół:

Koło godziny piątej nad dzisiejszym ranem pan Buffoardeci Romilto, który jako że był stróżem nocnym, gdyż przejeżdżał tam i z powrotem pod willą obecnie niezamieszkałą, leżącą przy szosie do skali zwanej dei Turchi, zobaczył, że wychodzi z niej ukradkiem karany złodziej, który rzucił się do ucieczki na widok stróża, co na pewno jest oznaką, że na złodzieju czapka gore, czyli że ma nieczyste sumienie...

I tak dalej, wciąż w tym samym stylu.

– Panie komisarzu, mamy straszną hecę – oznajmił Fazio, kiedy o ósmej rano zobaczył wchodzącego do biura Montalbana. I opowiedział mu historię Orazia Genco i Romilda Bufardeci. – Catarella go zrewidował. Nie znalazł przy nim nic kradzonego. Genco miał w kieszeni tylko dowód osobisty, dziesięć tysięcy lirów, klucz do swojego domu i drugi klucz, nowiutki, nietknięty, który wygląda na dobrze podrobiony duplikat.

Podał go przełożonemu. Był to jeden z tych kluczy, które wszędzie reklamują, wmawiając, że nie da się ich podrobić. Ale przecież dla Orazia Genco przy całym jego doświadczeniu taka niedogodność nic nie znaczyła, przysporzyła mu tylko trochę więcej pracy. Miał zresztą dość czasu, nikt go nie popędzał, mógł brać odciski z zamka, ile razy chciał.

– Orazio dał się zrewidować?

– On? Genco? Panie komisarzu, on się zachowuje dziwnie. Coś się tu nie klei. Jego to chyba bardzo bawi, zrobił sobie z tego rozrywkę.

– Dlaczego tak myślisz?

– Od czasu do czasu wpatruje się w Bufardeciego i wybucha śmiechem.

– Bufardeciego jeszcze tu jest?

– Jest. Wczepił się w Orazia jak pijawka. Nie odstępował go na krok. Mówi, że chce zobaczyć na własne oczy, jak odwozimy Genca w kajdankach do więzienia.

– Dowiedziałeś się, kto jest właścicielem willi?

– Tak. Adwokat Francesco Caruana z San Biagio Platani. Mam numer jego telefonu.

– Zadzwoń i powiedz, że jego willa nad morzem została prawdopodobnie okradzona. Zawiadom go, że w południe czekamy tam na niego. Sami pojedziemy na miejsce pół godziny wcześniej, żeby się rozejrzeć.

Kiedy jechali w stronę Scali dei Turchi, leżącej na skalnym wzniesieniu z białego wapienia, ze stokiem opadającym pionowo do morza, Fazio powiedział komisarzowi, że rozmawiał przez telefon z panią Caruaną. Na spotkanie w willi przyjedzie ona, bo mąż jest w sprawach służbowych w Mediolanie.

– Chce pan coś wiedzieć, komisarzu? Ta kobieta może być zimna jak lód.

– Dlaczego tak myślisz?

– Kiedy ją zawiadomiłem, że chyba było włamanie do willi, nie powiedziała ani be, ani me, ani odpieprz się.

Jak przewidywali Montalbano i Fazio, znaleziony w kieszeni Orazia klucz bez trudu otwierał drzwi willi. Obaj nieraz widzieli, jaki bałagan zostawiają złodzieje w pokojach, w których buszowali, tu jednak wszystko było w jak największym porządku: żadnych wysuniętych szuflad, niczego wyrzuconego w pośpiechu na podłogę. Na piętrze znajdowały się dwie sypialnie i dwie

łazienki. Szafa w pokoju pani domu pełna była letnich ubrań męskich i damskich. Montalbano wciągnął nosem głębiej powietrze.

– Ja też to czuję – powiedział Fazio.

– Co takiego czujesz?

– To samo co pan: cygaro.

W sypialni czuć było świeży dym z cygara, nie mógł się tu zachować od zeszłego lata. Ale w dwóch popielniczkach przy szafkach nocnych nie było ani jednego niedopałka, ani odrobiny popiołu z cygara czy papierosów. Obie były dokładnie umyte. W łazience komisarz zobaczył wielki frotowy ręcznik rozciągnięty na metalowym wieszaku przy wannie. Zdjął ręcznik, dotknął nim policzka, poczuł na skórze resztki wilgoci, zawiesił go z powrotem.

Ktoś, chyba poprzedniego dnia, na pewno był w tej willi.

– Idziemy do ogrodu, zaczekamy na panią Caruanę. Zamknij drzwi na klucz. To ważne, Fazio: nie wygadaj się, że wchodziliśmy do środka.

Fazio poczuł się dotknięty.

– Tak pan mówi, jakbym był gówniarzem.

Stanęli przy furtce i czekali. Samochód pani Caruany podjechał z kilkuminutowym opóźnieniem. Za kierownicą siedział przystojny czterdziestolatek, wysoki, szczupły, elegancki, z błękitnymi oczami. Wyglądał jak amerykański aktor. Wyskoczył, rycerskim gestem otworzył drzwi z drugiej strony. A z auta wysiadła Betty Boop. Tak, ta kobieta była kopia postaci z dawnych kreskówek. Nawet włosy miała tak ścięte i ułożone jak tamta.

– Nazywam się Alberto Caruana, jestem inżynierem. Szwagierka nalegała, żebym jej towarzyszył.

– Byłam bardzo niespokojna! – powiedziała Betty Boop, wdzięcząc się

i trzepocząc rzęsami.

– Od jak dawna pani tu nie przyjeżdża? – spytał Montalbano.

– Zamknęliśmy willę ostatniego sierpnia.

– I od tego czasu już pani tu nie była?

– A po co?

Ruszyli przed siebie, otworzyli furtkę, przeszli przez ogród, zatrzymali się przed domem.

– Idź pierwszy, Alberto – powiedziała pani Caruana do szwagra. – Ja się boję.

I podała mu klucz.

Z uśmiechem Indiany Jonesa inżynier otworzył drzwi i rzucił komisarzowi:

– Nikt się nie włamywał!

– Chyba nikt – powiedział lakonicznie Montalbano.

Weszli. Pani Caruana zapaliła światło, rozejrzała się dookoła.

– Tutaj nikt niczego nie ruszał.

– Proszę uważnie sprawdzić.

Pani Caruana otwierała nerwowo serwantkę, szafki, szuflady, pudełka.

– Nie, nic.

– Idziemy na górę – powiedział Montalbano.

Rozejrzawszy się po pokojach na górze, Betty Boop wysunęła usteczka w formie serduszka.

– Jesteście panowie pewni, że tu byli złodzieje?

– Ktoś do nas zadzwonił. Widocznie się pomylił. Tym lepiej, prawda?

Ta chwila rozstrzygnęła o wszystkim: Betty Boop i ten kabotyński amerykański aktor wymienili ze sobą krótkie spojrzenia. Jakby odetchnęli

z ulgą.

Montalbano przeprosił, że naraził ich na stratę czasu, a pani Caruana i jej szwagier, inżynier Alberto, łaskawie te przeprosiny przyjęli.

Żeby zniknęły resztki wątpliwości, jakie komisarz i Fazio mogli jeszcze mieć, inżynier, kiedy już usiedli w samochodzie, zanim zapuścił motor, zapalił grube cygaro.

– Wywal stad Bufardeciego. Potraktuj go opryskliwie, powiedz mu, że zmarnowałem przez niego cały ranek, i dodaj, żeby mi więcej nie zawracał dupy.

– Mam też zwolnić z aresztu Orazia Genco?

– Nie. Przyślij mi go do biura. Porozmawiam z nim.

Orazio wszedł do gabinetu komisarza, a oczy lśniły mu z radości, bo uważał, że wystawił Bufardeciego na pośmiewisko, tak jak mu to obiecał.

– Co mi pan, panie komisarzu, chce powiedzieć?

– Że jesteś skurwysynem, i to wielkim, Genco.

Wyjął z kieszeni podrobiony klucz i pokazał go staremu złodziejowi.

– Tym się otwiera drzwi do willi. Bufardeciego miał rację. Ty do tej willi wszedłeś, ale nabrałeś się, bo ktoś w niej był, myślałeś, że stoi pusta. Powiem ci jeszcze jedno, posłuchaj uważnie. Kusi mnie, żeby cię pod byle pretekstem od razu wpakować do więzienia.

Orazio Genco nie wyglądał na człowieka, na którym te pogrożki robią wrażenie.

– Co mam zrobić, żeby panu przeszła na to ochota?

– Opowiedz mi, jak było.

Uśmiechnęli się do siebie, od dawna czuli wzajemną sympatię.

– Zawiezie mnie pan do willi, panie komisarzu?

– Byłem pewien na sto, na dwieście procent, że w willi nie ma żywej duszy. Kiedy przyszedłem, ani pod ogrodzeniem, ani nigdzie w pobliżu nie zauważyłem zaparkowanego samochodu, Pokręciłem się, wyczekałem pół godziny i wszedłem. Było pusto, cicho, nawet liście się nie ruszały. Drzwi otworzyłem z łatwością. Zaświeciłem latarkę, zobaczyłem, że w szafce za szkłem stoją jakieś figurki, może coś warte, ale jak i gdzie takie opchnąć? Poszedłem do kuchni, ściągnąłem ze stołu wielki obrus, chciałem do niego zapakować wszystko, co uzbieram. Kiedy już otworzyłem szafkę, usłyszałem na górze krzyk kobiety. Krzyczała strasznie: „Nie! Nie! O Boże! Umieram!” i to mnie na chwilę zmroziło. Potem bez namysłu popędziłem na górę, żeby tej biednej kobiecie pomóc. Drogi komisarzu, co ja tam zobaczyłem w sypialni! Oboje byli goli, pieprzyli się! Stałem jak słup soli. Mężczyzna mnie spostrzegł i rzucił się na mnie.

– W jaki sposób? Jeżeli właśnie...

– Widzi pan, komisarzu – powiedział Orazio Genco, czerwieniąc się, bo był człowiekiem wstydliwym – on był na dole, a ona na nim, jakby dosiadała konia. Kiedy mnie zobaczył, wyslizgnął się spod niej, skoczył do mnie i chwycił za gardło. „Wykończę cię! Wykończę!” Może dlatego był taki wściekły, że przerwałem mu zabawę w najlepszym momencie. Kobieta szybko pozbiierała się i krzyknęła, żeby zostawił mnie w spokoju. Że jest to kochanek, a nie mąż, łatwo się domyśliłem, bo powiedziała: „Alberto, na litość boską! Skończy się skandalem, nie ruszaj go!” I on mnie puścił.

– A potem dogadaliście się.

– Ubrali się, on zapalił cygaro, i porozmawialiśmy. Kiedy już zrozumieli, o co mi chodzi, ostrzegłem ich, że koło willi kręci się były strażnik Bufardecchi. Jest czepliwy, bo zawsze taki był. Jak zobaczy, że wychodzą

z willi, na pewno ich zaczepi i zacznie wypytywać – więc do skandalu i tak dojdzie.

– Chwileczkę, muszę to zrozumieć, Orazio. Zobaczyłeś Bufardeciego i mimo to wziąłeś się do kradzieży?

– Komisarzu, wcale nie widziałem, że Bufardecini tam się kręci! Wymyśliłem go, żeby podbić cenę! Dodali parę lirów, a ja podjąłem się go odciągnąć, ażeby mogli spokojnie dojść do samochodu, który zaparkowali daleko od willi. A wyszło tak, że musiałem naprawdę uciekać przed Bufardecim, bo on tam rzeczywiście był.

Dojechali pod willę. Montalbano zatrzymał samochód, Orazio wysiadł.

– Poczekaj pan na mnie? Tylko chwilę.

Otworzył furtkę i niemal natychmiast wrócił. W ręku trzymał paczkę banknotów. Wsiadł do auta.

– Musiałem to wpakować pod bluszcz. Ale byłem niespokojny. Jakże tak je tam trzymać? Dwa miliony, więcej nie chcieli dać.

– Podrzucić cię do Vigaty? – spytał Montalbano.

– Jeśli pan tak dobry – odpowiedział Orazio Genco, opierając się wygodnie. Był w zgodzie ze sobą i z całym światem.

Jasnowidząca

W Carlosimo Salvo Montalbano spędził jedną z najsmutniejszych zim w swoim młodym życiu. Miał wówczas trzydzieści dwa lata i traktowano go jak komiwojażera; z każdą nową porą roku przerzucano z jednego miasteczka do drugiego. Albo kogoś zastępował, albo za kogoś odrabiał zaległości, albo komuś pomagał w nagłej potrzebie. Ale cztery miesiące w Carlosimo były najgorsze ze wszystkich. Miasteczko leżało na szczycie wzgórza i na dobrą sprawę nie powinno w nim być tak zimno, jak było. Ale zagadkowe przemieszanie zjawisk meteorologicznych powodowało, że w Carlosimo nigdy nie zdejmowało się grubego płaszcza i szalika, a czasami nawet kładło się w nich spać. Mieszkańcy w liczbie może siedmiu tysięcy byli raczej pogodni, ale nikomu nie ufali, niechętnie pozdrawiali się na ulicy i woleli milczeć niż mówić. Jedynym człowiekiem w mieście, który zdecydowanie różnił się od innych, był aptekarz. Nazywał się Rizzitano, zawsze się uśmiechał, sypał błyskotliwymi dowcipami i chętnie klepał innych po ramieniu. *Hyaena ridens* – nazywał go Montalbano, bo aptekarz przypominał mu stary kawał o dwóch przyjaciółach, którzy wybrali się do ogrodu zoologicznego. Jeden czyta tabliczkę na klatce z hieną: „*Hyaena ridens*, czyli «śmiejąca się». Żyje na pustyni, wychodzi na łowy wyłącznie w nocy, żywi się padliną, rozmnaża raz do roku”. Zdumiony pyta drugiego: „To co ją tak śmiesz?”

O ósmej wieczorem wszyscy już siedzieli w domach, ulice pustoszały, wiatr toczył po nich puste puszkę i wzbijał w powietrze sterty śmieci. Nie było kina, w księgarni sprzedawali tylko zeszyty. Jakby tego było mało, na

obu istniejących wówczas kanałach telewizyjnych, pewnie na skutek tych samych anomalii (czy raczej prześladowań) meteorologicznych, można było oglądać tylko jakieś widmowe zjawy.

Dla wicekomisarza Montalbano, odpowiedzialnego za porządek publiczny, miasteczko było rajem, człowiekowi Montalbano ten nieziemski, martwy spokój podsuwał samobójcze myśli albo zachęcał go do gry w karty. Ale w miejscowym klubie nawet „przyzwoici ludzie” zgrywali się do ostatniej koszuli lub wręcz ostatniej nitki i dlatego wicekomisarz, który zresztą nie lubił kart, trzymał się od klubu z daleka. Jedyne ratunkiem była lektura, przeczytał więc tamtej zimy całego Prousta, Musila i Melville’a. Tak, że ostatecznie tamta zima wyszła mu na dobre.

Rano, trzeciego lutego, w drodze do biura, Montalbano zobaczył, że jakiś człowiek próbuje przykleić do przemarzniętej ściany obok wejścia do „Gran Caffè Italia” kolorowy afisz, który oznajmiał, że wieczorem tegoż dnia na placu Liberta da swój pierwszy występ „Cyrk Rodziny Passerini”.

Wieczorem, gdy wracał do siebie, to znaczy do jedyne go hotelu w mieście, przeciął plac Liberta i zobaczył, że cyrk rozbił już namiot, który był mały i nieprzyzwoicie brudny. W słabo oświetlonej kasie dwie czy trzy osoby kupowały bilety.

Przyływ melancholii, smętna fala, wysoka jak na Pacyfiku, dopadła tego wieczoru wicekomisarza. Nawet opuścił go apetyt, który zazwyczaj mu dopisywał. Montalbano od razu wyładował w pokoju, gdzie piecyk elektryczny – który z narażeniem życia całą noc trzymał zapalony – chronił go przed zamrożeniem, i po raz szósty przeczytał opowiadanie Melville’a *Benito Cereno*.

Następnego ranka, po wejściu do biura, usłyszał dobiegające zza ściany

podniesione głosy. Poszedł zobaczyć, w czym rzecz. Palmisano i Ingarriga, dwaj jego agenci, podnieceni i zaciętrzewieni, skakali sobie do oczu z polanami w rękę. Poniosła go złość, wylała się z niego nie tyle na widok tej żalosalnej scenki, ile wskutek smutku, który wczorajszego wieczoru w nim się nagromadził. Wicekomisarz rzucił się między rozjuszonych agentów i zawstydził ich, nie przebierając w słowach.

Kiedy wrócił do swego pokoju, trzasnął drzwiami tak mocno, że odpadł kawałek tynku.

W pięć minut później Palmisano i Ingarriga weszli do jego gabinetu z przeprosinami. Niepytani, wyjaśnili mu przyczynę kłótni.

To przez cyrk.

Opowiedzieli komisarzowi, że kłown nikogo nie rozbawił, kobieta chodząca po linie spadła i skrzyła nogę w kostce, a prestidigitatorowi nie wychodziły sztuczki z kartami. Słowem, złość i jeszcze raz złość. Już postanowili wyjść, zwłaszcza że spektakl i tak dobiegał końca, kiedy pokazała się ta kobieta.

– Jaka kobieta? Kto? – spytał szorstko wicekomisarz.

– Jasnowidzka – wyjaśnił uprzejmie Ingarriga, który niezbyt poprawnie się wyrażał.

Palmisano przyjął wobec kolegi postawę wyższości.

– I co ta jasnowidząca robiła?

– Ach, komisarzu! Kto tego nie widział, nie uwierzy. Ona wszystko odgadywała! Dosłownie wszystko!

– Bo oszukiwała – dorzucił z zimną krwią Palmisano.

– Jakże tyś tam widział oszustwo? No, jakże? To prawdziwa wróżka! – krzyknął Ingarriga, gotów na nowo wdać się w awanturę.

Pogłoski, że w cyrku jest niezwykła jasnowidząca, która nigdy się nie myli, szybko rozeszły się po mieście i następnego dnia, w sobotę, pod kasą stała już długa kolejka. Montalbano z ciekawości, a jeszcze bardziej z nudów, stanął razem z innymi po bilet, zostawiając Benita Cereno samego w hotelowym pokoju.

Tego wieczoru wszystkie ławki na widowni były zajęte, więc trupa cyrkowa, zelektryzowana tak liczną publicznością. Spisała się jak należy: kłown wzbudził trochę śmiechu, ekwilibrystka utrzymała się na linie, choć wiele razy zanosilo się na to, że spadnie, a prestidigitator robił sztuczki z cylindrem tak sprawnie, że nawet Montalbano był nimi zdumiony. Woltyżerka popisywała się na koniu, jakby była w transie. A potem światła na małej arenie wygaszono. W ciemności rozległo się bicie w bębny. Zapalił się reflektor i oświetlił samotną kobietę, która siedziała pośrodku na wyplatany krześle.

Mogła mieć siedemdziesiąt lat, na tyle w każdym razie wyglądała i nie robiła nic, żeby wyglądać na mniej. Mała, biednie ubrana, wiązała siwe włosy w kok z tyłu głowy. Siedziała bez ruchu, patrzyła pod nogi. A w cyrku od razu zapadła tak gęsta cisza, że można ją było krajać nożem. W krąg reflektora wszedł pięćdziesięcioletni mężczyzna we fraku. Uchylił cylindra, uklonił się do samej ziemi i powiedział:

– Panie i panowie, oto Eva Richter.

Mówił to bez emfazy, cichym głosem, niemal z uszanowaniem. Kobieta na krześle nie poruszyła się. Montalbano wyczuł, że coś zmieniło nagle aureę tego nędznego cyrku, jakby na arenie skończyła się zabawa i popisy, a w ich miejsce pojawiła się chwila bezlitosnej prawdy.

Mężczyzna we fraku zwrócił się do widzów.

– Pani Eva Richter nie odpowiada na żadne pytania. Ani ja, ani nikt z publiczności nie otrzyma odpowiedzi. Kiedy ktoś z obecnych poda mi jakiś

osobisty przedmiot, pani Eva Richter przez chwilę potrzyma go w ręku, po czym zwróci właścicielowi. I dopiero wtedy oznajmi mu coś, co go dotyczy.

Dodam, że odpowiedź zostanie udzielona pełnym głosem, jeśli zatem ktoś nie chce, aby o jego osobistych sprawach dowiedzieli się wszyscy tu zebrani, niech się powstrzyma przed uczestnictwem w seansie.

Umilkł, przez chwilę wpatrywał się w pogrążoną w ciemności widownię, po czym dodał:

– Proszę o jakiś przedmiot.

Rozległy się stłumione, nerwowe szepty, ktoś kogoś namawiał, ktoś coś komentował. Wreszcie z najbliższych ławek do mężczyzny we fraku dotarł krawat. Wybuchł śmiech, który mężczyzna uciał władczym gestem.

Eva Richter, nie podnosząc głowy, wzięła do ręki krawat, zwinęła go w kulę i przez chwilę trzymała zamknięty w dłoniach. Potem go oddała i krawat, podawany z rąk do rąk, odbył powrotną drogę.

Mężczyzna we fraku spytał:

– Czy właściciel otrzymał już swój przedmiot?

– Tak – odpowiedział anonimowy głos.

Mężczyzna we fraku zaczął się wpatrywać w kobietę siedzącą na środku areny.

Eva Richter odezwała się cichym głosem, niemal mamrotała. Mówiła z cudzoziemskim akcentem.

– Pan, który mi podał swój krawat, jest bardzo młody. To jego pierwszy krawat w życiu, dostał go w prezencie od siostry.

Z wysokich ławek rozległy się oklaski, podjęła je cała widownia. Mężczyzna we fraku uniósł rękę i znowu zrobiło się cicho.

– Zeszłego roku właściciel krawata spadł ze skutera. Złamał lewą nogę w kostce.

Ludzie na najwyższych ławkach wstali z miejsc i bili brawo, a chłopiec, który przesłał krawat, zawołał zdumiony:

– To prawda! Tak było! Przysięgam! To wszystko prawda!

Kiedy oklaski ucichły, mężczyzna we fraku raz jeszcze przemówił:

– Pani Eva Richter jest dzisiaj zmęczona. Dokona tylko trzech prób jasnowidzenia. Proszę o nowy przedmiot.

Na jego gest zapaliły się słabe światła pod kopułą namiotu, jakby teraz publiczność miała tworzyć widowisko.

– Kto jeszcze chce wziąć udział?

– Ja.

Wszyscy odwrócili się, żeby popatrzeć na panią, która się zgłosiła, na Elvirę Testę. Montalbano także na nią spojrział, nie mógł sobie tego odmówić. Trzydziestoletnia Elvira Testa była śliczna. Wyszła za męża za najbogatszego kupca w mieście, a właściwie lichwiarza, Filippa Mancuso, mężczyznę krępego i łysiego, który miał ponad pięćdziesiąt lat.

Tym razem z rąk do rąk podano sobie złoty łańcuszek. Dotarł do Evy Richter i po chwili wrócił do właścicielki.

– Osoba, która mi podała ten przedmiot, odwiedziła niedawno Nowy Jork. Zatrzymała się tam u przyjaciółki.

Do oklasków Elviry Testy dołączył się rzęsy aplauz widowni.

A Eva Richter ciągnęła dalej:

– Osoba, która podała mi ten przedmiot, była ostatnio w żałobie. Bardzo przeżyła swoją stratę.

Nie było mowy o oklaskach, zapadła martwa cisza. Mężczyzna we fraku był tym zdumiony i zaniepokojony. Nawet Eva Richter uniosła na chwilę głowę.

– Nieprawda, nieprawda! – krzyknął, wstając z miejsca, pobladły Filippo Mancuso.

Stojąca obok niego Elvira Testa zmieniła się w purpurowy słup ognia. Wszyscy w mieście, z Montalbanem włącznie, wiedzieli, że kochanek Elviry Testy dwa miesiące temu stracił życie w wypadku samochodowym.

– Kto następny! Bardzo proszę, kto następny!

– Ja! Ja! Ja!

Z pierwszego rzędu wymachiwał chusteczką aptekarz Rizzitano. Towarzyszyli mu przyjaciele: doktor Spalić, triesteńczyk, który od czterdziestu lat ordynował w Carlosimo, i burmistrz Di Rosa. Z pewnością po to, żeby rozładować napięcie, Rizzitano śmiał się, robił zabawne miny, potrząsał ręką.

Mężczyzna we fraku podszedł do niego, wziął chusteczkę i podał jasnowidzącej. Chusteczka także została zmięta w kulę, ale Eva Richter nie podawała jej z powrotem, ciągle trzymała ją w dłoniach. Konferansjer stał obok z wyciągniętą ręką i był najwyraźniej zaskoczony i zdetonowany. A potem zdarzyło się coś, czego nikt nie mógł przewidzieć.

Eva Richter rzuciła chusteczkę na ziemię i krzyknęła tak głośno, jakby ten cienki kawałek płótna sparzył z żywym ogniem. Wstała, była śmiertelnie blada, cofała się w stronę ściany namiotu i lewą ręką zaciskała mocno usta, żeby powstrzymać kolejny krzyk. Kiedy poczuła za plecami brezent, uniosła prawą rękę, wyciągnęła palec w stronę aptekarza i wyrzuciła z siebie:

– Morderca! To ty jesteś mordercą!

Wypowiedziała te słowa ciszej niż zwykle, ale wszyscy je usłyszeli, bo już od dawna panowała taka cisza, jakby w cyrku nie było żywej duszy. Jak tylko wyszła, nastąpiło zamieszanie. Jakieś kobiety zaczęły krzyczeć, jakby to teraz, na ich oczach, aptekarz kogoś zabił, a pani Elvira Testa, którą tego

wieczoru spotkała przykrość, omdlała i została troskliwie wyniesiona na zewnątrz przez męża, kupca i lichwiarza, a odtąd także publicznego rogacza. Aptekarzowi, chociaż był zaskoczony i zdumiony, nie zniknął z twarzy uśmiech.

– Co ona plecie? Zwariowała? – pytał wszystkich dookoła.

Burmistrz zawołał do siebie Montalbana, kiedy publiczność już tłoczyła się do wyjścia.

– Komisarzu, musi pan coś z tym zrobić!

– A co? – spytał spokojnie wicekomisarz.

– Nie wiem. Coś... nie wiem co... Ta kobieta rzuca kalumnie... Nie można jej pozwolić...

– Zobaczę. Zrobię, co się da – powiedział Montalbano.

Następnego dnia rano cyrku już nie było na placu Liberta. I nie było już ani w Carlosimo, ani nigdzie na tym świecie doktora Spalica, który około trzeciej nad ranem, po bezsennej nocy, spędzonej na nieustannym chodzeniu z kąta w kąt, jak zeznał mieszkający pod nim pan Lauricella, sięgnął po sznur i powiesił się na belce u sufitu.

Na biurku Montalbana znalazła się napisana ołówkiem kartka. Parę prostych słów: „Byłem za młody, nie rozumiałem, że wyrządzam zło. Wybaczcie mi”.

„Przecież jasnowidząca powiedziała, że mordercą jest aptekarz Rizzitano, więc dlaczego zabił się doktor Spalic?” – zadawało sobie pytanie zdumione miasto.

W niedzielę apteka Rizzitana była otwarta tylko rano. Montalbano przyszedł około jedenastej, kiedy klienci, którzy kupowali głównie coś na

przeziębienie i grypę, już się przerzedzili. Rizzitano wykorzystał chwilę, kiedy w środku nie było nikogo, i zamknął drzwi na klucz.

– Widziałem, co pan wczoraj zrobił – powiedział Montalbano.

Aptekarz nie uśmiechnął się na to, przeciwnie, zmarszczył czoło.

– Co pan widział?

– Widziałem, że włożył pan rękę do lewej kieszeni płaszcza doktora Spalica i wyciągnął z niej chusteczkę, pewnie wiedząc, że doktor zawsze ją tam trzyma. Chusteczka nie była pańska. Chciał pan sobie zażartować.

– To prawda – powiedział z goryczą Rizzitano.

– I Eva Richter nie wskazała palcem na pana, tylko na doktora. A ponieważ zachciało się panu tego żartu z chusteczką, wszyscy byli pewni, że chodzi jej o pana.

– To prawda – powtórzył Rizzitano.

– Coś jeszcze zauważyłem – ciągnął wicekomisarz.

– Co takiego?

– Eva Richter powiedziała: „To ty jesteś mordercą!” Wie pan, o co mi chodzi. Nie mówiła ogólnie, że to chusteczka mordercy.

– No tak.

– Dlatego tu jestem. Chcę zapytać; co pan wie o doktorze.

Aptekarz poprawił okulary na nosie, popatrzył na jakąś receptę, którą miał przed sobą na ladzie. Pukano do drzwi, ale ani Rizzitano, ani wicekomisarz na to nie reagowali.

– Widzi pan – zaczął w końcu mówić aptekarz – gdyby biedny doktor jeszcze żył, nie powiedziałbym panu o tym ani słowa, nawet obcęgami nie wyrwałby pan tego ze mnie. Doktor Spalic – miał na imię Vinco – przyjechał do Carlosimo chyba w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim czy rok

później, już dobrze nie pamiętam. Studia ukończył w Neapolu. Ale urodził się w Trieście i tam spędził młodość. Nigdy nie mówił nic o sobie, nie przychodziły do niego listy, wyglądało na to, że nie ma w Trieście ani przyjaciół, ani krewnych. Z początku wszystkich ciekawił, potem stał się jednym z nas. Był dobrym lekarzem, miał wielu pacjentów.

Przerwał, poszedł na zaplecze, wypił szklanekę wody, wrócił.

– Vinco – ciągnął dalej – był zapamiętałym abstynentem. Ale pewnego razu, kiedy wydało mi się, że zanadto uległ melancholii, zaprosiłem go do siebie na kolację i namówiłem na pół kieliszka wina. Tyle wystarczyło, żeby się upił, musiałem go odprowadzić do domu. Po drodze nie robił nic innego, tylko płakał, ale wiedziałem, że nie płacze przez wino. Wszedłem z nim do mieszkania, chciałem go położyć do łóżka, bałem się o niego. Nalegałem, żeby wszedł do łazienki i umył sobie twarz. I wtedy wyrwały mu się słowa, które od razu były dla mnie jasne: „Dziś rocznica”. Spytałem, jaka rocznica, a on mi odpowiedział: „Zabójstwa. Czterdzieści jeden lat temu zabiłem młodego chłopca w Trieście. Należałem do SS”. I zaraz znowu zaczął płakać. Pamięta pan, że w czterdziestym czwartym Triest był jak gdyby niemieckim protektoratem?

– Tak – powiedział Montalbano. – Wracał potem do tego?

– Nie, nigdy. Więcej o tym nie rozmawialiśmy.

Montalbano wstał, podziękował aptekarzowi, ten otworzył drzwi, weszli dwaj klienci.

Rizzitano jeszcze spytał szeptem:

– Ale kto to taki ta Eva Richter?

Montalbano odszukał Artura Passerini, właściciela i dyrektora cyrku, już w drodze, kiedy z trzema wozami cyrkowymi jechał w stronę pobliskiego

miasta. Dyrektor powiedział mu, że Eva Richter zjawiała się u niego przed dwoma miesiącami. Cyrk stał wtedy w małym miasteczku pod Mesyną. Popisała się wspaniale swoimi zdolnościami i poprosiła, by ją zaangażowano. Mogła pracować za minimalną pensję, miała tylko jedno życzenie: znaleźć się jak najszybciej w Carlosimo. Dzisiaj nad ranem, kiedy rozeszła się wiadomość, że jeden z widzów z poprzedniego wieczoru powiesił się, dyrektor postanowił zwinąć namiot i wyjechać z miasta. Kiedy wsiadali do wozu, zorientowali się, że pani Richter zniknęła, została po niej tylko walizka.

Montalbano otworzył walizkę. W środku była sukienka, bielizna i poślizka gazeta z listopada 1945 roku. W krótkiej notatce pisano, że zbrodniarz nazistowski, Vinco Spalic, winny między innymi zabójstwa z zimną krwią młodego Gianiego Richtera, raz jeszcze zdołał się wymknąć i uniknąć aresztowania. W walizce był też wielki, zawinięty w kawałek płótna i załadowany rewolwer.

Eva Richter, która potrzebowała aż czterdziestu lat, żeby odnaleźć zabójcę swego brata, nie musiała już z niego skorzystać.

Policjanci i złodzieje

Tanine, żona dziennikarza telewizyjnego Nicolò Zito, jednego z nielicznych przyjaciół komisarza Montalbano, gotowała tak, jak jej podpowiadała fantazja, to znaczy nie naginała swoich dań do ścisłych przepisów kulinarnych, tylko zdawała się na improwizacje posłuszne impulsom jej zmiennego charakteru.

– Chętnie zaprosiłbym cię do nas na kolację – mówił czasami Nicolò do Montalbano – ale niestety wszystko wskazuje na to, że dzisiaj góra może urodzić mysz.

Miało to znaczyć, że Tanine ma muchy w nosie, więc pewnie makaron będzie rozgotowany (albo na wpół surowy), mięso bez soli (albo okropnie przesolone), a sos taki, że łatwiej zniosłoby się trzy lata w celi, w tym rok w izolatce. Ale kiedy Tanine humor dopisywał, kiedy wszystko szło po jej myśli, przy stole otwierały się anielskie wrota raju!

Była piękną kobietą, miała trzydzieści lat, a ciało tak jędrne i pełne, że to podsuwało mężczyznom nie tyle rajskie, co nieprzystojnie ziemskie myśli. Kiedy jednak pewnego dnia zaprosiła komisarza do pomocy w kuchni, gdzie nigdy nie chciała nikogo widzieć, zobaczył zdumiony, że ta kobieta doprawiająca sos do makaronu utraciła ziemski ciężar i zmieniła się w zwiewną baletnicę, pochłoniętą swoim zadaniem i fruującą od jednego garnka do drugiego. To wtedy, gdy na nią patrzył, po raz pierwszy i ostatni przyszedł mu na myśl anioły.

„Spodziewam się, że Tanine nie popsuje mi tego pięknego dnia” – powtarzał sobie komisarz, jadąc do Canaletto. Na kapryсах humoru znał się

doskonale, bo sam im ulegał. Co rano po przebudzeniu podchodził do okna, by popatrzeć na niebo i morze: jeśli miały kolory żywe i jasne, taki też był w tym dniu jego nastrój, jeśli było inaczej, nie wróżyło to niczego dobrego nie tylko jemu, ale także tym wszystkim, którzy znaleźli się w zasięgu jego wzroku.

Co roku, w druga niedzielę kwietnia, Nicolo, Tanine i ich siedmioletni syn Francesco rozpoczynali uroczyście letni sezon w swoim wiejskim domu w Canaletto, odziedziczonym po ojcu Nicolo. Stało się tradycją, że ich pierwszym gościem był Salvo Montalbano.

Żeby tam dotrzeć, komisarz, zamiast jechać szeroka, wygodna szosą biegnąca o dwa kilometry od Canaletto, wybierał boczne szlaki, polne trakty dla mułów i zakurzone drogi, na których samochód pokrywał się białym pyłem. Wykorzystywał jednak okazję do rzucenia okiem na tę Sycylię, której wciąż ubywało, na rozprażoną w słońcu równinę, chropawą i surową, koloru żółtej słomy, poznaczoną rozsypanymi jasnymi kostkami chłopskich domów. Ziemia w Canaletto była jałowa; cokolwiek próbowało się na niej zasiać czy posadzić, nie chciało rosnąć, i tylko zarośla sorgo, dzikich arbuźów i kaparów tworzyły nieliczne kępy zieleni. Takie tereny to naturalne obszary polowań i czasami zza krzaków wyrzywały się wypłoszone zajęce. Komisarz dotarł na miejsce późno, prosto do stołu. W powietrzu wokół całego domu unosił się aromat dwunastu wielkich *cannelloni*, co po części już z góry zaspokajało apetyt.

Rodzina Zito stała w komplecie na progu: uśmiechnięty Nicolo, niecierpliwy Francesco i Tanine z lśniącoymi z radości oczami. Montalbano rozpogodził się, a nawet rozczulił: tak dobrze zaczynający się dzień na pewno zasługiwał na to, żeby go przeżyć.

Jeszcze nie zdołał cały wysiąść z samochodu, gdy Francesco go dopadł i zawołał:

– Bawimy się w policjantów i złodziei?

Nicolo uciszał syna.

– Nie męcz Salva. Pobawicie się po obiedzie.

Tym razem Tanine chciała popisać się sławetnym daniem, które nie wiadomo dlaczego nazywano chorobą miłosną. Nie wiadomo dlaczego, bo przecież po tej zupie na wieprzowinie (z kawałkami płucek, wątróbki, śledziony i chudego mięsa), podawanej z kromkami przyrumienionego chleba, nie można było rozchorować się z miłości, a co najwyżej z przejedzenia.

Zjedli w zupełnej ciszy. Nawet Francesco, z natury dość żywy, nie podskakiwał na krześle, tylko zapamiętał się w tej rajskiej uczcie przyrządzonej przez matkę.

– Bawimy się w policjantów i złodziei?

Pytanie wyrwało mu się znowu, było w nim, nie umiał się go wyrzec. I tak dobrze, że pozwolił dorosłym dopić kawę.

Montalbano popatrzył na Nicolo i poprosił wzrokiem o pomoc. Kiedy jak kiedy, ale po takim obiedzie nie czuł się na siłach biegać za małym.

– Posłuchaj, wujek Salvo musi się zdrzemnąć. Pobawicie się później.

– Wiesz co – powiedział Montalbano, widząc, że chłopiec posmutniał – urządzimy to tak, że za godzinę, ale równo co do minuty, przyjdiesz i sam mnie zbudzisz. Czasu na zabawę nikt nam nie odbierze.

Ktoś zatelefonował i okazało się, że Zito musi wracać do Montelusy na jakiś pilny wywiad telewizyjny, a Montalbano, zanim poszedł spać do gościnnego pokoju, zapewnił przyjaciela, że odwiezie do miasta Tanine z synem.

Jeszcze się nie rozebrał, a już opadły mu powieki. Natychmiast zapadł w kamienny sen.

Wydawało się, że dopiero co zamknął oczy, a tymczasem Francesco szarpał go za ramię i przypominał:

– Wujku Salvo, minęła równo godzina. Przyniosłem ci kawę.

Nicolo odjechał, Tanine posprzątała po obiedzie i przeglądała kobiece magazyny w wygodnym fotelu na biegunach. Francesco zniknął, pobiegł ukryć się gdzieś z dala od domu.

Montalbano poszedł do samochodu, wyjął stary prochowiec, który trzymał na wszelki wypadek w bagażniku, włożył na siebie, zapiął pas, podniósł kołnierz, a kiedy już na pewno przypominał detektywa z amerykańskich filmów, ruszył na poszukiwanie chłopca. Francesco zazwyczaj wynajdywał bardzo ciekawe kryjówki, cieszyło go, że udaje złodzieja, którego tropi prawdziwy komisarz.

Dom Nicolo stał na dwuhektarowym nieuprawnym terenie, którego widok wpędzał Montalbana w melancholię. Choćby dlatego, że usytuowany na granicy własności zrujnowany domek z na wpół zawalonym dachem jaskrawo uwydatniał wieloletnie zaniedbania. Widocznie chłopskie korzenie komisarza buntowały się przeciwko takiemu pozostawieniu ziemi odłogiem.

Montalbano szukał Francesca przez pół godziny i poczuł się zmęczony: zupa wieprzowa i dwa wielkie cannelloni jeszcze mu ciążyły. Był pewien, że chłopiec leży płasko za którymś krzakiem i śledzi jego kroki z przejęciem i uwagą. Diabelski talent małego do wynajdywania kryjówek nie wróżył nic dobrego. Komisarz mógł go tak szukać do późnej nocy.

Postanowił się poddać. Oznajmił to głośno chłopcu, przekonany, że Francesco wyskoczy z jakiegoś zakamarka i zażąda zapłaty za wygraną, która zwykle polegała na tym, że komisarz opowiadał mu o jednym ze swoich dochodzeń, stosownie je ubarwiając. Montalbano naturalnie wiedział, że opowieści zmyślane na poczekaniu, pełne zabitych, rannych i groźnej strzelaniny, najbardziej chłopca fascynują.

Kiedy już oznajmił, że przegrał, a Francesco się nie pojawił, przyszło mu do głowy, że mały mógł się zaszyć w jakiś kat zrujnowanego domku, mimo że Tanine i Nicolo surowo zabraniali mu tam chodzić.

Podbiegł do domku i stanął zdyszany pod drzwiami, które były tylko przymknięte. Otworzył je na oścież efektownym kopnięciem, wpadł do środka i włożywszy prawe rękę do kieszeni płaszcza, wysuwając przy tym wskazujący palec, zawołał grubym, ochrypłym głosem, który miał zabrzmieć stanowczo i groźnie (ten głos najbardziej Francesca zachwycił):

– Jestem komisarzem, nazywam się Montalbano. Liczę do trzech. Albo wyjdiesz, albo strzelam. Raz...

Coś zamajaczyło w głębi domku i zdumionym oczom komisarza ukazał się mężczyzna z podniesionymi rękami.

– Nie strzelajcie, panie.

– Masz broń? – spytał Montalbano, pogodziwszy się od razu z tą niespodzianką.

– Mam – odpowiedział nieznajomy i zaczął opuszczać ramię, żeby sięgnąć po pistolet, który trzymał w prawej kieszeni marynarki.

Komisarz już zdążył dostrzec, że ta kieszeń jest mocno wypchana.

– Nie ruszaj się, bo cię wykończę! – zawołał Montalbano, wysuwając mocniej tkwiący w kieszeni palec.

Mężczyzna podniósł ręce do góry.

Nieznajomy miał wzrok zbitego psa. Zarośnięty, zaniedbany, w brudnym, wytartym ubraniu, sprawiał wrażenie człowieka gotowego na wszystko. Musiał być niebezpieczny, to pewne. Ale kim był?

– Naprzód! Idziemy w stronę tamtego domu!

Mężczyzna ruszył przed siebie, Montalbano szedł za nim.

Kiedy zbliżyli się do zaparkowanego samochodu, komisarz zobaczył, że zza auta wychyla się Francesco i patrzy jak zhipnotyzowany na tę groźną scenę.

– Mamo! Mamo! – zawołał.

Tanine pojawiła się w drzwiach, zaniepokojona zmienionym głosem chłopca. Wzrokiem porozumiała się z komisarzem, wiedziała, co ma zrobić. Weszła szybko do domu i wróciła z dubeltówką wycelowaną w obcego. Broń należała kiedyś do ojca Nicolo, a teraz zdobiła ścianę w przedpokoju. Nabojów do niej nikt od dawna nie widział. Nicolo nigdy nie zabił żywego stworzenia. Tanine rozповідаła, że nie chce leczyć grypy, żeby nie zabijać wirusów.

Spocony komisarz otworzył drzwi samochodu i ze schowka koło kierownicy wyjął pistolet i kajdanki. Odetchnął głęboko i przyjrzał się scenie, która miał przed sobą. Mężczyzna stał bez ruchu przed mierzącą w niego Tanine, a ona, śliczna, jasna, z rozwianymi na wietrze ciemnymi włosami, wyglądała tak, jakby naprawdę była bohaterką westernu.

Ręka artysty

Dzwonek telefonu nie brzmiał jak dzwonek telefonu, tylko jak jazgot wiertarki zwariowanego dentysty, który chce się dowiercić do mózgu. Montalbano niechętnie otworzył oczy, popatrzył na budzik i zobaczył, że jest dopiero wpół do szóstej. Na pewno dzwonił ktoś z komisariatu w jakiejś ważnej sprawie. Tak wcześnie nie mógł go potrzebować nikt inny.

Wyskoczył z łóżka, poszedł do jadalni, podniósł słuchawkę.

– Salvo, znasz Potockiego?

Rozpoznał głos przyjaciela, Nicolo Zito, dziennikarza Retelibery, jednej z dwóch prywatnych stacji telewizyjnych w Montelusie, które można było odbierać w Vigacie. Po Nicolo nie spodziewał się kiepskich żarcików i chyba tylko dlatego nie poniosła go złość.

– Kogo mam znać?

– Potockiego. Jana Potockiego.

– To Polak?

– Pewnie Polak, sądząc z nazwiska. Autor książki. Wypytałem o niego, kogo mogłem, ale nikt nie umiał mi nic powiedzieć. Jeśli i ty nic o nim nie wiesz, to kłapa na całej linii.

I nagle *fiat lux*. Komisarza olśniło. Trochę jednak potrafi przyjacielowi pomóc.

– Czy ta książka nie nazywa się przypadkiem *Rękopis znaleziony w Saragossie*?

– Właśnie o nią chodzi! A niech cię, Salvo, jesteś wspaniały! Czytałeś tę

książkę?

– Czytałem. Wiele lat temu.

– Powiesz mi, o czym to?

– Czemu to cię tak interesuje?

– Alberto Larussa, którego i ty dobrze znałeś, popełnił samobójstwo.

O czwartej nad ranem znaleźli zwłoki i zerwali mnie z łóżka.

Komisarzowi zrobiło się smutno. Nie przyjaźnił się blisko z Larussą, ale czasami odwiedzał go w Ragonie i korzystając z okazji, pożyczał jakąś książkę z jego wielkiej biblioteki.

– Zastrzelił się?

– Larussa? Czy on mógł się rozstać ze światem w tak banalny sposób?

– A jak tego dokonał?

– Przerobił wózek inwalidzki na krzesło elektryczne. Jakby wydał na siebie wyrok i sam go wykonał.

– A ta książka? Co tu ma do rzeczy?

– Leżała przy tym krześle, na taborecie. Pewnie czytał ją przed śmiercią.

– Rozmawiałem z nim kiedyś o *Rękopisie*. Bardzo mu się podobał.

– Wiesz coś o tym Potockim?

– Niewiele. Urodził się w drugiej połowie osiemnastego wieku w rodzinie szlacheckiej. Był historykiem i podróżnikiem, przejechał chyba pół świata, od Maroka po Mongolię. Car mianował go swoim doradcą. Publikował studia z dziedziny etnografii. Jakiś archipelag, leżący nie wiem gdzie, nosi jego imię. Powieść, o którą pytasz, napisał po francusku. To tyle.

– A dlaczego Larussa tak tę książkę wyróżniał?

– Już ci mówiłem, Nicolo: podobała mu się. Często do niej wracał. Chyba uważał Potockiego za bratnią duszę.

- Chociaż sam nie podróżował, nie ruszał się na krok z domu?
- Ale duszę miał niepospolitą, oryginalną, jak tamten. Który zresztą też popełnił samobójstwo.
- W jaki sposób?
- Zastrzelił się.
- Czy to oryginalne? Larussa go prześcignął.

Ponieważ Alberta Larusę wszyscy znali, wiadomość o jego śmierci podał w porannym dzienniku Nicolo Zito, który zazwyczaj pojawiał się osobiście tylko w dziennikach wieczornych. Najpierw powiedział, jak doszło do odnalezienia zwłok i jak Larussa popełnił samobójstwo. Myśliwy Martino Zicari przechodził o wpół do czwartej nad ranem obok willi Larussy i zobaczył, że z okna sutereny buchają kłęby dymu. Wiedział jednak, że Larussa ma tam pracownię, i w pierwszej chwili wcale go to nie zdziwiło. Dopiero kiedy wiatr przyniósł zapach tego dymu, uznał, że trzeba wezwać karabinierów. Przyjechali szybko, przez jakiś czas daremnie się dobijali, wreszcie wyważyli drzwi. W suterenie znaleźli na wpół zwęglone ciało. Alberto Larussa w amatorski sposób przerobił swój wózek inwalidzki na prawdziwe krzesło elektryczne. Po włączeniu prądu musiało nastąpić krótkie spięcie i wybuchł pożar, który zniszczył część pracowni. Nie objął taboretu z powieścią Jana Potockiego. W dalszej części dziennika Nicolo Zito wykorzystał informacje uzyskane od komisarza. A na koniec przeprosił widzów, że mógł im pokazać tylko zewnętrzny obraz domu, w którym mieszkał Larussa, gdyż sierżant karabinierów zabronił filmowania wnętrza. Po wiadomościach przedstawił telewizjom sylwetkę samobójcy. Larussa miał około pięćdziesiątki, był zamożny. Przed trzydziestu laty, po upadku z konia, został sparaliżowany i odtąd nie ruszał się ze swej rodzinnej Ragony. Nigdy się nie ożenił, nie miał krewnych prócz młodszego brata, który

mieszkał w Palermo. Namiętnie czytał książki, zgromadził bibliotekę liczącą ponad dziesięć tysięcy woluminów. Po wypadku odkrył, całkiem przypadkowo, swoją największą pasję: projektowanie i wyrób biżuterii. Ale była to biżuteria szczególna. Wykorzystywał w niej tylko proste materiały: drut, miedź, kolorowe paciorki. Ta skromna biżuteria odznaczała się jednak pełną inwencją i elegancką formą; spod jego rąk wychodziły prawdziwe dzieła sztuki. Larussa nie sprzedawał swoich wyrobów, rozdawał je, ale tylko przyjaciołom i przypadkowo poznanym ludziom, których polubił. Żeby stworzyć sobie możliwie najlepsze warunki do pracy, przekształcił suterene swojej willi w świetnie wyposażoną pracownię. Właśnie w niej się zabił, nie pozostawiając żadnego wyjaśnienia.

Montalbano wyłączył telewizor i zatelefonował do Boccadasse pod Genuą, spodziewając się, że Livia nie wyszła jeszcze do pracy. Powiedział jej co się stało. Znała Larusę, przypadli sobie do gustu. Co roku na gwiazdkę przysyłał jej w prezencie jakąś ozdobę. Livia nigdy nie była skora do płaczu, ale komisarz wyczuł, że głos jej się załamał.

– Dlaczego to zrobił? Nie sprawiał wrażenia człowieka, który zdecyduje się na coś takiego.

O trzeciej po południu Montalbano zatelefonował do Nicolo.

– Masz coś nowego?

– Mam, i to dużo. Larussa miał w pracowni instalację elektryczną, trójfazową, trzysta osiemdziesiąt woltów. Rozebrał się do naga, założył sobie na przeguby i kostki u nóg druciane opaski, szeroką taśmą metalową owinął tors, a na skroniach umieścił coś w rodzaju słuchawek z blachy. Żeby prąd mocniej go poraził, stopy zanurzył w misce z wodą. Chciał mieć pewność. Te wszystkie urządzenia zrobił naturalnie sam, cierpliwości mu nie brakowało.

– Jak włączył prąd? O ile zrozumiałem, przywiązał się do wózka.

– Oficer straży powiedział mi, że nastawił połączony z instalacją budzik. Genialne, przyznasz. Aha, przed śmiercią wypił całą butelkę whisky.

– A był abstynentem. Wiedziałaś o tym?

– Nie wiedziałem.

– Posłuchaj, powiem ci, co mi przyszło do głowy, kiedy wymieniałeś te wszystkie urządzenia. Nie dziwi mnie, że położył obok siebie powieść Potockiego.

– W tej nieszczęsnej książce jest jakieś wyjaśnienie?

– W książce nie ma, jest w samym autorze.

– Co masz na myśli?

– Przypomniałem sobie, jak Potocki się zabił.

– Już mi mówiłeś! Zastrzelił się.

– Zastrzelił się. Ale wtedy do pistoletów ładowało się przez lufę tylko jedną kulę.

– I co z tego?

– Zanim odszedł z tego świata, odkręcił z przykrywy srebrnej cukiernicy dużą kulę. Przez trzy lata, kiedy tylko przyszła mu ochota, od czasu do czasu ją opiłowywał. Aż w końcu pasowała do otworu lufy. Kulę kazał księdzu poświęcić. A potem załadował pistolet i skończył ze sobą.

– Mój Boże! A ja rano powiedziałem w dzienniku, że Larussa okazał się bardziej pomysłowy niż Potocki! Tymczasem on mu tylko dorównał. Możemy więc uznać tę książkę za przesłanie: zabiłem się w tak ekstrawagancki sposób jak mój mistrz Potocki.

– Tak, sens tego gestu mógł być właśnie taki.

– Dlaczego mówisz „mógł być”, a nie „był”?

– Dlaczego? Sam nie wiem dlaczego.

Następnego dnia Nicolo od rana szukał komisarza. Samobójstwo Larussy wciąż wszystkich interesowało, zwłaszcza ten wymyślny sposób, w jaki dokonał na sobie egzekucji. A dziennikarz zdobył nowe informacje i chciał zapoznać z nimi komisarza. Montalbano pojechał do siedziby Retelibery w Montelusie. Otóż Nicolo przeprowadził wywiad z Giuseppe Zaccarią, który zarządzał majątkiem. Larussy, i z porucznikiem karabinierów Olcese, prowadzącym dochodzenie.

Zaccaria mieszkał w Palermo, był nieuprzejmym, zjeżonym biznesmenem.

– Nie muszę odpowiadać na pańskie pytania.

– Pewnie, że pan nie musi. Chcę pana jednak uprzejmie prosić...

– Odczepcie się ode mnie, pan i pańska telewizja!

Zaccaria odwrócił się, zamierzając odejść.

– Czy to prawda, że majątek Larussy ocenia się na pięćdziesiąt miliardów?

Był to oczywiście blef Nicolo Zito, ale Zaccaria dał się złapać. Nagle przybliżył się i wyrzucił z siebie:

– Kto panu naplótł takich bzdur?

– Z moich informacji wynika...

– Proszę pana! Biedny Larussa miał rozmaite tytuły własności, akcje i dobra, ale ich wartość nie była tak horrendalna, jak panu wmawiają.

– Kto będzie po nim dziedziczył?

– Nie wie pan, że miał młodszego brata?

Co do porucznika Olcese, to ten wyglądał jak słup. Miał ponad metr dziewięćdziesiąt. Odpowiadał grzecznie, ale był jak bryła lodu.

– Te nieliczne nowe dane, które wyszły na jaw, wskazują nieomylnie... powtarzam: nieomylnie... na samobójstwo. Dokonane, to prawda, w sposób niecodzienny, ale samobójstwo. Również brat denata...

I tu porucznik Olcese raptownie umilkł.

– To wszystko, co mam do powiedzenia – dodał.

– Mówił pan, że brat...

– Do widzenia.

Montalbano popatrzył na przyjaciela.

– Po co kazałeś mi przyjeżdżać? Nie dopatrzyłem się w tych wywiadach niczego nadzwyczajnego.

– Zamierzam informować cię o wszystkim na bieżąco. Nie zmylisz mnie, Salvo. Coś ci się w tym samobójstwie nie podoba, prawda?

– Nie tyle mi się nie podoba, ile sprawia przykrość.

– Powiedz, co?

– Powiem, jeśli chcesz. Nie ja się tym śledztwem zajmuję, mogę mówić prywatnie. Ale musisz obiecać, że tego, co ci powiem, nie wykorzystasz w swoich wiadomościach.

– Nie wykorzystam. Masz moje słowo.

– Livia powiedziała mi przez telefon, że jej zdaniem Larussa nie należał do takich, co się zabijają. A ja ufam intuicji Livii.

– Daj spokój, Salvo! Przecież ta cała maszyna, to krzesło elektryczne po prostu nosi podpis takiego oryginała, jakim był Larussa. Przybił na tym, powiedziałbym, swoją pieczęć!

– No i właśnie to sprawia mi przykrość. To akcentowanie swojej osoby. Może tego nie wiesz, ale odkąd zaczęło być głośno o jego wyrobach artystycznych, nigdy nie zgodził się na wywiad dla żadnego magazynu mody, chociaż go błagano.

– Nie zgodził się nawet na wywiad dla naszej telewizji, gdy o to poprosiłem. Był uparty jak osioł.

– Może był uparty jak osioł, nie przeczę. Kiedy burmistrz Ragony chciał urządzić wystawę jego prac i przeznaczyć dochód na cele dobroczynne, także odmówił. Ale posłał burmistrzowi czek na dwadzieścia milionów.

– Wiem o tym.

– W grę wchodzi jeszcze sprawa tej powieści Potockiego. Miała się rzucać w oczy, a to przecież natrętna ostentacja. To nie w jego stylu. Nie, Zito, coś się tu nie zgadza. Nie ma to nic wspólnego z jego sposobem bycia.

Popatrzyli na siebie w milczeniu.

– Mógłbyś zrobić wywiad z tym jego młodszym bratem – odezwał się Montalbano,

W dzienniku telewizyjnym o ósmej Nicolo Zito zamieścił oba wywiady, które wcześniej pokazał komisarzowi. Kiedy skończył się dziennik Retelibery, Montalbano zaczął oglądać wiadomości Telegaty – drugiej prywatnej stacji telewizyjnej – które zaczynały się o ósmej trzydzieści. Pierwsza wiadomość dotyczyła naturalnie samobójstwa Larussy. Dziennikarz Simone Prestia, szwagier agenta Galluzzo, także przeprowadził wywiad z porucznikiem Olcese.

– Nieliczne nowe dane, które wyszły na jaw – oświadczył porucznik, posługując się tymi samymi słowami, których użył w wywiadzie dla Nicolo Zito – wskazują nieomylnie... powtarzam: nieomylnie... na samobójstwo. Dokonane, to prawda, w sposób niecodzienny, ale samobójstwo.

„Kto by przypuszczał, że ten porucznik ma tyle fantazji!” – pomyślał zjadliwie komisarz. A Olcese ciągnął dalej:

– Również brat denata...

I nagle zamilkł.

– To wszystko, co mam do powiedzenia – dorzucił.

– Mówił pan, że również jego brat...

– Do widzenia! – rzucił porucznik Olcese. I odszedł, sztywno wyprostowany.

Montalbano nie mógł się pozbierać. A ponieważ porucznika i Prestię wprawdzie widać było na ekranie, ale ich głosy dochodziły zza kadru, przyszło mu do głowy, że może Zito odstąpił swój wywiad Prestii, bo czasami dziennikarze tak sobie pomagali.

– Podarowałeś wywiad z Olcesem Prestii?

– Zwariowałeś?

Odłożył słuchawkę. To przedstawienie musiało coś znaczyć. Może ten dwumetrowy Olcese wcale nie był takim drewnianym słupem, jakim się wydawał?

Więc o co mu szło w tej scenie?

Mógł mieć na celu tylko jedno: skłonić dziennikarzy, żeby zajęli się bratem samobójcy. Co chciał dzięki temu osiągnąć? Jedno w każdym razie było pewne: porucznik wywęszył, że za tym samobójstwem coś się kryje.

W Palermo Nicolo, Prestia i inni dziennikarze uganiali się przez trzy dni za bratem Larussy, Giacomem. Nie mogli go dopaść. Stali jak na warcie przed jego domem, pod liceum, gdzie uczył łaciny, i nic, jakby włożył czapkę niewidkę. Wreszcie po naleganiach dyrektor liceum oznajmił, że profesor Larussa wziął sobie dziesięć dni urlopu. Nie pokazał się nawet na nabożeństwie żałobnym za brata (które odprawiono w kościele, gdyż samobójców bogaczy uznaje się za niespełna rozumu, a zatem odpuszcza się im ten grzech, bo wymusiła go na nich choroba). Pogrzeb był taki jak inne, lecz sprawił, że w komisarzu ożyło pewne mgliste wspomnienie.

Zadzwonił do Livii.

– Przypomniałem sobie... chyba się nie mylę?...że Alberto Larussa kiedyś

ci powiedział, jaki chciałby mieć pogrzeb.

– Nie mylisz się. Żartował na ten temat, ale dość smutno. Zaprowadził mnie nawet do pracowni i pokazał rysunki.

– Jakie rysunki?

– Swojego pogrzebu – Nie uwierzyłybyś, jak miał wyglądać karawan! Płaczące anioły wysokie na dwa metry, amorki, kupidyny, cała taka menażeria. Wszystko w mahoniu i złocie. Powiedział, że w stosownym czasie każe taki pojazd wykonać. Zaprojektował nawet mundury dla tych, co poniosą wieńce. O trumnie nawet nie wspominam, szkoda gadać, może tylko faraonowie takie mieli.

– To bardzo dziwne.

– Co cię tak dziwi?

– To, że ktoś taki jak on, samotny, zaszyty w swojej norze, marzy o pogrzebie godnym faraona. Gdyby lubił pchać się na pierwszy plan, to co innego.

– Mnie to także zdziwiło. I nie kryłam tego. Ale odpowiedział mi, że śmierć jest zbyt drastycznym przełomem. I że może warto okazać się po śmierci kimś całkiem innym, niż było się za życia.

W tydzień później Nicolo Zito pokazał w telewizji nowości prawdziwie sensacyjne. Udało mu się sfilmować przyrządy, które Alberto Larussa własnoręcznie skonstruował z myślą o samobójstwie: cztery druciane opaski, dwie na kostki, dwie na przeguby, szeroką co najmniej na dłoń taśmę, którą obwiązał sobie tors, i rodzaj słuchawek, z prostokątnymi metalowymi płytkami do zamocowania na skroniach. Montalbano zobaczył te przedmioty w dzienniku nadanym o północy. Od razu zatelefonował do Nicolo i poprosił o kopię kasety. Zito obiecał dostarczyć ją nazajutrz rano.

– Czemu tak cię to interesuje?

– Nicolo, przyjrzałeś się dobrze tym przedmiotom? Coś takiego moglibyśmy równie dobrze zrobić sobie i ty, i ja, chociaż nie mamy pojęcia, jak się do tego zabrać. To przyrządy tak prymitywne, że nawet Marokańczycy nie odważyliby się sprzedawać takich na plaży. Alberto Larussa był artystą; nigdy, ale to nigdy nie posłużyłby się podobnymi. Wstydziłby się, że po śmierci zobaczą na nim takie partactwo.

– I co by to znaczyło twoim zdaniem?

– To by znaczyło moim zdaniem, że Alberto Larussa nie popełnił samobójstwa. Został zamordowany. A ten, kto to zrobił tak całą rzecz obmyślił, żeby sposób zejścia z tego świata przystawał do dziwactw i oryginalności Larussy.

– Może trzeba zwrócić na to uwagę porucznika Olcese?

– Chcesz coś wiedzieć?

– Owszem, chcę.

– Porucznik Olcese wie o tym wszystkim więcej niż ja i ty razem wzięci.

Porucznik Olcese wiedział o tym znacznie więcej. W dwadzieścia dni po śmierci Alberta Larussy aresztował jego brata Giacoma. Tego wieczoru w programie Retelibery pojawił się zastępca prokuratora Giampaolo Boscarino, któremu głównie zależało na tym, żeby na ekranie wydać się eleganckim mężczyzną.

– Doktorze Boscarino, o co jest oskarżony profesor Giacomo Larussa? – zadał pytanie Nicolo Zito, który natychmiast popędził do Palermo.

Boscarino, zanim odpowiedział, przyglądał jasne wąsy, dotknął węzła krawata i przeciągnął dłonią po wyłogach marynarki.

– O bestialskie zamordowanie brata, Alberta, któremu to morderstwu

chciał nadać pozory samobójstwa, aranżując makabryczną inscenizację.

– Jak doszliście do tego wniosku?

– Przykro mi, ale to tajemnica śledztwa.

– I nic więcej nie może nam pan powiedzieć?

Boscarino znowu przeciągnął dłonią po wyłogach marynarki, dotknął węzła krawata, przygładził jasne wąsy.

– Giacomo Larussa pogubił się w swoich sprzecznych zeznaniach. A śledztwo, znakomicie przeprowadzone przez porucznika Olcese, wydobyło na światło dzienne pewne elementy, które pogorszyły położenie profesora.

Przygładził jasne wąsy, dotknął węzła krawata – i obraz się zmienił. Na ekranie pojawiła się twarz Nicolo Zito.

– Udało nam się przeprowadzić wywiad z panem Filippo Alaimo z Ragony, który ma siedemdziesiąt pięć lat i jest emerytem. Jego zeznania stały się podstawą oskarżenia.

Ukazała się wysoka sylwetka chudego chłopca, z wielkim psem leżącym u jego stóp.

– Nazywam się Alaimo Filippo. Panie dziennikarzu, musi pan wiedzieć, że dokucza mi bezsenność. Nie śpię i tyle. Nazywam się Alaimo Filippo...

– To już pan powiedział – odezwał się zza kadru Zito.

– Co takiego powiedziałem, proszę pana? No tak. Kiedy już mi trudno usiedzieć w domu, to która by była godzina w nocy, odwiązuję psa i idę się przejść. Wtedy, proszę pana, mój pies, który nazywa się Piri, rusza z domu naburmuszony.

– I co robi? – spytał, wciąż zza kadru, Nicolo.

– Chciałbym zobaczyć pana, panie dziennikarzu, gdyby ktoś zerwał pana w nocy i dalejże, przechadzaj się pan dwie godziny! Nie byłby pan wściekły? Pies też jest wściekły. To dlatego Piri, kiedy zobaczy, że coś się rusza,

cokolwiek, czy to człowiek, zwierzę czy samochód, rzuca się na to, co się rusza.

– I tak było również tamtej nocy z trzynastego na czternasty, prawda? – Nicolo zdecydował się interweniować, bo bał się, że widzowie niedługo przestaną rozumieć, co mówi Alaimo Filippo. – Przechodził pan obok willi pana Larussy i właśnie z bramy wyjeżdżał szybko jakiś samochód...

– Tak, proszę pana. Dokładnie tak było, jak pan mówi. Samochód wyjechał, Piri popędził za tym łajdakiem, co kierował, a ten sukinsyn przejechał mi psa. Szlag by go trafił, panie dziennikarzu!

Alaimo Filippo pochylił się, chwycił psa za obrozę i podniósł do góry, a wtedy okazało się, że pies leżał, bo miał złamane tylne łapy.

– Która to była godzina, panie Alaimo?

– Mogło być wpół do trzeciej, może trzecia.

– I co pan zrobił?

– Zacząłem wrzeszczeć za samochodem, w którym siedział ten drań. I odpisałem jego tablice.

Na ekranie ukazała się twarz Nicolo Zito.

– Według wiarygodnych źródeł numer rejestracyjny zanotowany przez pana Alaimo jest taki sam jak numer tablicy profesora Giacoma Larussy. Pojawia się wobec tego proste pytanie: co Giacomo Larussa robił tak późno w nocy w domu swojego brata? Tym bardziej że powszechnie wiadomo, iż bracia nie żyli ze sobą dobrze. Zadamy to pytanie mecenasowi Gaspare Palillo, który podjął się obrony podejrzanego.

Gruby, czerwony na twarzy adwokat Palillo wyglądał zupełnie jak Disneyowska świnka.

– Zanim odpowiem na pańskie pytanie, chciałbym ze swej strony także pana o coś zapytać. Mogę?

– Proszę bardzo.

– Kto doradził tak zwanemu świadkowi Alaimowi Filippo, żeby do wywiadu z panem zdjął okulary, które stale nosi? Ten siedemdziesięcioletni emeryt jest krótkowidzem, jego szkła mają osiem dioptrii, zatem ma bardzo ograniczone pole widzenia. Mimo to o wpół do trzeciej w nocy, w słabym świetle reflektorów, zdołał odczytać tablicę rejestracyjną szybko jadącego samochodu. No cóż, nie wracajmy do tego. Teraz jestem gotów odpowiedzieć na pańskie pytanie. Muszę jeszcze uściślić, że w ostatnim okresie stosunki między braćmi poprawiły się tak dalece, że mój klient w tym miesiącu trzykrotnie jeździł odwiedzić swego brata w Ragonie. Sprecyzuję, że inicjatywa zbliżenia wyszła od samobójcy, który wiele razy oświadczał memu klientowi, że ciąży mu samotność, czuje się przybity i chce odnowić rodzinną więź. To prawda, mój klient udał się trzynastego do Ragony, zatrzymał u brata parę godzin i wrócił do Palermo w porze kolacji, około dwudziestej. O samobójstwie dowiedział się nazajutrz rano z lokalnego radia.

W kolejnych dniach nastąpiły wydarzenia, jakie zazwyczaj mają miejsce w podobnych okolicznościach.

Michele Ruoppollo, mieszkaniec Palermo, który czternastego wracał do domu o czwartej nad ranem, zeznał, że widział nadjeżdżający samochód Giacoma Larussy. Na przejazd z Ragony do Palermo potrzeba najwyżej dwóch godzin. Wobec tego, jeśli profesor opuścił dom brata o dwudziestej, dlaczego potrzebował aż ośmiu godzin, żeby dojechać do Palermo?

Adwokat Palillo wyjaśniał, że profesor wrócił do domu o dwudziestej drugiej, ale nie mógł zasnąć, zmartwiony stanem zdrowia brata. Więc około trzeciej nad ranem wsiadł do samochodu i pojechał na spacer nad morze.

Arcangelo Bonocore wielokrotnie zapewniał, że trzynastego o szóstej wieczorem, kiedy przechodził obok willi Alberta Larussy, słyszał dochodzące

ze środka krzyki i odgłosy gwałtownej bójki.

Adwokat Palillo oświadczył, że jego klient doskonale pamięta to wydarzenie. Nie było żadnej bójki. W pewnej chwili Alberto Larussa włączył telewizor, bo chciał obejrzeć serial *Marshall*, który go interesował. W ostatnim odcinku doszło istotnie do hałaśliwej awantury między dwoma protagonistami. Adwokat Palillo gotów był dostarczyć wideokasetę z epizodem prezentowanym tamtego dnia. Zeznania pana Bonocore wypadły w tym świetle dość mizernie.

W ten sposób sprawy wlokły się przez tydzień, dopóki porucznik Olcese nie wyciągnął asa z rękawa, jak to wcześniej zapowiedział prokurator Boscarino. Kiedy odkryto zwłoki, porucznik rozpoczął przeszukanie mieszkania Larussy, chcąc odnaleźć coś, co wyjaśniałoby motywy tego okrutnego czynu. Nie odnaleziono nic, gdyż Alberto Larussa nie miał nic do wyjaśniania, skoro nawet nie przyszło mu do głowy popełnić samobójstwo. Znalaziono natomiast w prawej górnej szufladzie biurka – niezamkniętej na klucz, co wciąż podkreślał Olcese – leżącą na wierzchu kopertę z napisem: „Otworzyć po mojej śmierci”. A ponieważ pan Larussa już nie żył, jak to uściślił z nieodpartą logiką porucznik, kopertę otwarto. Na kartce było kilka słów: „Pozostawiam wszystko, co posiadam w tytułach własności, akcjach, ziemi, domach i innych dobrach, mojemu kochanemu młodszemu bratu Giacomo”. Pod tym figurował podpis Larussy, ale nie było daty. I właśnie brak daty wzbudził podejrzenia porucznika, który przekazał testament do podwójnej ekspertyzy: chemicznej i grafologicznej. Ekspertyza chemiczna wykazała, że notatka została sporządzona najwyżej miesiąc wcześniej, o czym świadczył stan specjalnego rodzaju atramentu, jakiego zazwyczaj używał Alberto Larussa. Ekspertyza grafologiczna, powierzona rzeczoznawcy sądowemu z Palermo, dała wynik niepodważalny: pismo

Alberta Larussy zostało bardzo sprawnie podrobione.

Kwestii sfalszowania testamentu adwokat Palillo nie mógł przełknąć.

– Dobrze wiem, co sobie wbiła do głowy ekipa prowadząca dochodzenie. Mój klient jedzie w odwiedziny do brata, pozbawia go w jakiś sposób przytomności, pisze testament, wyjmuje z auta przyrządy do egzekucji, które ktoś w Palermo wykonał na zamówienie, przenosi nieprzytomnego do pracowni (którą dobrze zna, czego nie krył, bo Alberto często go w niej przyjmował) i urządza tę makabryczną inscenizację. Ja jednak muszę zadać pytanie: po co miał pisać fałszywy testament, skoro istnieje już jeden, potwierdzony notarialnie, w którym zostało powiedziane to samo? Wyjaśnij bliżej: testament Angela Larussy, ojca Alberta i Giacoma, mówi tak: zostawiam swoje dobra ruchome i nieruchome memu pierworodnemu synowi Albertowi. Po jego śmierci wszystkie dobra przejdą na mego młodszego syna Giacoma. Powtarzam więc: *cui prodest?* Komu miał służyć ten zbędny drugi testament?

To, co powiedzieli Olcese i mecenas Palillo, Montalbano usłyszał w dzienniku telewizyjnym o północy, kiedy już był w bieliźnie i zamierzał iść spać. Poruszyło go to mocno, przeszła mu ochota na sen. Noc była nadzwyczaj łagodna, więc tak jak stał, w podkoszulku i bokserkach, wyszedł spacerować się nad morzem. Drugi testament dawał wiele do myślenia. Coś się tu nie zgadzało. W stylistyce tego zapisu było coś nienaturalnego. Wszystko zresztą wydawało się w tej sprawie dziwne. Ale ten fałszywy testament był już jak jaskrawa plama na szarym obrazie. *Cui prodest?* – spytał adwokat Palillo. Przyszła mu na myśl naturalna i nieomylna odpowiedź. Odniósł wrażenie, że ujrzał oślepiający błysk, jakby jakiś fotograf użył mocnego flesza. I poczuł, że nogi ma jak z waty. Usiadł na mokrym piasku, żeby odpocząć.

– Nicolo? Tu Montalbano. Co teraz robisz?

– O tej porze chodzę spać, jak się domyślasz. Słyszałeś Olcesego? Miałaś rację, zawsze masz rację: Giacomo Larussa jest nie tylko morderca, ale też monstrualnym potworem.

– Posłuchaj, możesz coś zanotować?

– Przyniosę kartkę i długopis. Chwileczkę. Mów, słucham.

– Przestrzegam cię, Nicolo, że to sprawy delikatne, nie mogę ich zlecić moim agentom, bo gdyby to wykryli prowadzący śledztwo, marnie bym skończył. Słowem, moje nazwisko nie może się w tej sprawie pojawić. To chyba jasne?

– Jasne. Uznajmy, że to moja inicjatywa.

– Otóż to. Po pierwsze, muszę wiedzieć, dlaczego Alberto Larussa całymi latami nie chciał brata znać.

– Spróbuję się dowiedzieć.

– A po drugie, jutro musisz jechać do Palermo i spotkać się z grafologiem, który wykonał ekspertyzę. Zadasz mu tylko jedno pytanie, dokładnie je sobie zapisz: czy to możliwe, żeby ktoś mógł podrobić swoje pismo? Tyle na razie nam wystarczy.

Nicolo Zito był bystry. W sekundę zrozumiał, do czego prowadzi pytanie, które miał zadać rzeczoznawcy.

– Kto by pomyślał! – zawołał.

„Monstrualny potwór” znalazł się na pierwszych stronach. Ponieważ sprawa Larussy nabrała rozgłosu, wszystkie włoskie dzienniki zajęły się osobowością profesora Giacomo Larussy, zdaniem dyrektora, kolegów i uczniów – nienagannego nauczyciela, a jednocześnie przebiegłego mordercy, który podstępnie wykorzystał chwilową psychiczną słabość brata, by pozyskać jego zaufanie, a potem zabić go w okrutny sposób dla brudnych

materialnych korzyści. Środki przekazu już wydały wyrok, oczekiwany proces mógł być tylko zbędną formalnością.

Komisarz skręcał się ze złości, czytając artykuły bezapelacyjnie skazujące podejrzanego, ale nie miał jeszcze w ręku nic, co pozwoliłoby mu ujawnić niesłychaną prawdę, którą uświadomił sobie w nocy na plaży.

Późnym wieczorem Nicolo Zito wreszcie zadzwonił.

– Przed chwilą wróciłem. Mam coś.

– Chętnie posłucham.

– Więc po kolei. Adwokat Palillo wie, dlaczego bracia się nienawidzili, bo to naprawdę była nienawiść. Dowiedział się o tym od swego klienta, jak lubi go nazywać. Otóż Alberto Larussa trzydzieści jeden lat temu wcale nie spadł z żadnego konia, o czym byli przekonani wszyscy w mieście. Te pogłoski rozpuszczał ich ojciec, Angelo, aby ukryć prawdę. Pewnego razu, podczas gwałtownej sprzeczki, bracia wzięli się za łby i Alberto spadł ze schodów, uszkadzając sobie kręgosłup. Uważał, że to Giacomo go popchnął. A Giacomo twierdzi, że spadł sam, bo źle postawił nogę. Angelo starał się zataić przyczynę wypadku, ale ukarał Giacoma w testamencie, podporządkowując go niejako Albertowi. Wygląda mi to na prawdę.

– Mnie także. A co mówi rzeczoznawca?

– Rzeczoznawca, do którego z trudem dotarłem, całkiem się pogubił, kiedy usłyszał moje pytanie. Był zaskoczony i zdenerwowany, zaczął coś bełkotać. Ale w końcu uznał, że owszem, na tak postawione pytanie można odpowiedzieć twierdząco.

Dodał też coś bardzo interesującego: gdyby nawet ktoś, chcąc zniekształcić własne pismo, wysiłał się do granic możliwości, staranna ekspertyza i tak ujawni oszustwo. Zapytałem go wtedy, czy akurat tę ekspertyzę robił wyjątkowo starannie. Odpowiedział szczerze, że nie. A wiesz dlaczego?

Dlatego, że zadanie, jakie mu wyznaczył prokurator, polegało na ustaleniu, czy pismo Alberta Larussy zostało przez kogoś podrobione. A nie czy Alberto Larussa sam je podrobił. Znamienna różnica – co ty na to?

Montalbano nic nie odpowiedział. Myślał już o nowej misji, jaką chciał powierzyć przyjacielowi.

– Wiesz co, musisz się koniecznie dowiedzieć, którego dnia Alberto spadł ze schodów.

– Po co? To ważne?

– Chyba ważne. Przynajmniej tak mi się wydaje.

– Jeśli to jest ważne, to od razu ci powiem: trzynastego kwietnia...

Nagle zamilkł, a Montalbano zorientował się, że z trudem łapie oddech.

– O Boże! – wymamrotał.

– No to już wiesz, o co chodzi – powiedział Montalbano. – Wypadek miał miejsce trzynastego kwietnia trzydzieści jeden lat temu. Alberto Larussa schodzi z tego świata, zabity przez siebie lub przez kogoś, trzynastego kwietnia trzydzieści jeden lat później, a „trzydzieści jeden” to odwrócone „trzydzieści”.

– Larussa położył książkę Potockiego obok krzesła, aby rzucić wyzwanie. A nuż ktoś się domyśli? Dawał nam szansę – powiedział Montalbano.

Siedział z Nicolò w gospodzie „San Calogero” i rozkoszował się świeżo złowioną barweną w smakowitym sosie.

– Domyślić się czego? – spytał Nicolò.

– Zastanów się. Kiedy Potocki zabrał się do obrabiania kuli oderwanej od cukiernicy, wyznaczył sobie z premedytacją czas; opiłowywał ją, kiedy chciał, ale tylko dopóki nie mieściła się w lufie pistoletu. Alberto Larussa chciał dokonać zemsty na bracie dokładnie w trzydzieści jeden lat po

wypadku, w rocznicę – trzynastego kwietnia. Podobnie jak Potocki, wyznaczył sobie, jak długo ma żyć. Widzę, że mi nie wierzysz. Czemu?

– Dlatego – powiedział Nicolo – że jednak coś nowego przyszło mi do głowy. Dlaczego Alberto Larussa nie dokonał zemsty równo w trzynaście lat po wypadku?

– Też zadawałem sobie to pytanie. Może coś mu przeszkodziło, może ojciec jeszcze żył i zorientowałyby się, w czym rzecz. Nie umiem ci na to odpowiedzieć. Możemy i na to wpaść, możemy wypytywać, jeśli chcesz. Ale to nieważne. Tu liczy się tylko to, że musiał czekać tyle lat.

– Co teraz?

– Co masz na myśli?

– Jak to co mam na myśli? Opowiadamy sobie te piękne historyjki, a Giacomo Larussa dalej siedzi w więzieniu.

– Wiesz, jak temu zaradzić?

– Może... Nie wiem... Chyba trzeba pójść do porucznika Olcese i wszystko mu opowiedzieć. Pewnie jest człowiekiem przyzwoitym.

– Wyśmieje cię.

– Tak powiadasz?

– Wyśmieje cię, bo mamy tylko gładkie słowa, zamki na lodzie, puste gadanie. Kto nie sieje, nie zbierze. Tu są potrzebne dowody, które można przedstawić w sądzie, a my takich skarbów nie mamy. Nie zaprzeczysz.

– Więc co robimy?

– Będę myślał. Mam na to całą noc.

W swoim stałym stroju telewidza, czyli w podkoszulku i bokserkach, z bosymi stopami, włożył do odtwarzacza kasetę, którą kilka dni temu dostał od Nicolo, zapalił papierosa, usadowił się wygodnie w fotelu i puścił taśmę.

Kiedy obejrzał kasetę do końca, cofnął taśmę i puścił ponownie. Powtórzył to jeszcze trzy razy, wpatrując się w przedmioty, które posłużyły do zamiany wózka inwalidzkiego w krzesło elektryczne. Powieki już mu zaczęły ciążyć ze zmęczenia. Zgasił telewizor, wstał, poszedł do sypialni, otworzył górną szufladę w nocnej szafce, wyjął pudełko, wrócił na fotel. W pudełku miał wspaniałą szpilkę do krawata, którą dostał w prezencie od biednego Alberta Larussy. Długo się jej przyglądał, a potem, wciąż trzymając ją w ręku, raz jeszcze puścił kasetę. W pewnej chwili wyłączył odtwarzacz, odniósł pudełko do sypialni, popatrzył na zegarek. Była trzecia nad ranem. Wystarczyło mu dwadzieścia sekund, żeby wyzbyć się skrupułów. Podniósł słuchawkę, wykręcił numer.

– Ściskam cię. Mówi Salvo.

– Boże, coś się stało? Salvo, co z tobą? – spytała schrypniętym od snu głosem zaniepokojona Livia.

– Kochanie, musisz mi pomóc. Wybacz, ale to dla mnie ważne. Co ci podarował Alberto Larussa?

– Pierścionek, dwie broszki, bransoletkę, dwie pary kolczyków. Wszystko przepiękne. Wyjęłam to z szuflady tamtego dnia, kiedy mi powiedziałaś, że zmarł. Mój Boże, jakie to straszne! Kiedy w taki okrutny sposób zabija cię własny brat!

– Może sprawy wcale nie tak wyglądały, Livio. Nie tak, jak nam wmawiają.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Wyjaśnię ci później. Teraz chciałbym, żebyś mi opisała te ozdoby, które masz u siebie, nie tyle jak wyglądają, ile z czego zostały zrobione. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Nie.

– Boże, Livio, przecież to jasne! Na przykład jak gruby jest drut, czy jest z miedzi, czy z czegoś innego...

Nie było jeszcze siódmej rano, kiedy u Montalbana zadzwonił telefon.

– Salvo, co wymyśliłeś? Co robimy?

– Posłuchaj, Nicolo, nie mamy wyjścia, możemy iść tylko w jednym kierunku, choć to jak spacer po linie.

– Albo jak grzędawisko. Wpakowaliśmy się.

– To prawda, ugrzęźliśmy. Ale bagno sięga nam na razie do piersi. Zanim się całkiem pogrążymy, mamy przynajmniej jeszcze jeden ruch. Jeden jedyny. Człowiekiem, który może nam coś powiedzieć na temat tego, co podejrzewamy, jest nie kto inny, tylko Giacomo Larussa. Musisz zadzwonić do jego adwokata. Każesz sobie szczegółowo zrelacjonować, co działo się podczas tych trzech odwiedzin Giacoma u Alberta. Wszystko, ale to wszystko, bardzo drobiazgowo. Nawet czy przelatowały przez pokój jakieś muchy. Do których pokoi wchodził, co jedli, o czym rozmawiali. Wszystkie błahostki, nawet to, co wydaje się bezsensowne. Pamiętaj, że to ważne. Wysił mózg, potrafisz, nie bój się, że głowa ci pęknie.

„Szanowny Panie doktorze Zito – tak zaczynał się list adwokata Palillo do Nicolo. – Przesyłam Panu wiernie przekazaną relację z trzech wizyt, które mój klient złożył swemu bratu w dniach 2, 8 i 13 kwietnia bieżącego roku”.

Pomimo wyglądu, który upodabniał go do jednej z trzech Disneyowskich świnek, adwokat był człowiekiem skrupulatnym i precyzyjnym.

W czasie pierwszej wizyty, drugiego, Alberto tylko bił się w piersi i przeproszał brata za to, że tak uporczywie trzymał się z dala od niego. Nie warto już było rozpamiętywać nieszczęścia, przecież to dziś nieważne, czy sam źle postawił nogę, czy Giacomo go popchnął. Połóżmy na to krzyżyk,

powiedział. Choćby dlatego, dodał, że został rzeczywiście sam jak palec i zaczyna go to męczyć. Przychodzą w dodatku dni, choć dawniej nigdy się to nie zdarzało, że dopada go depresja. Siedzi wtedy na wózku i nie chce mu się ruszyć ręką. Czasami nawet zamyka okiennice i zaczyna rozmyślać. „O czym?” – spytał go wtedy Giacomo. „O moim nieudanym życiu” – odpowiedział Alberto. Potem zabrał brata do pracowni, pokazał ozdoby, które ostatnio wykonał, i podarował mu piękny łańcuszek do zegarka. Giacomo spędził z nim trzy godziny, od piętnastej do osiemnastej.

W czasie drugich odwiedzin, ósmego, wszystko przebiegało tak, jakby było kopią pierwszego spotkania. Giacomo tym razem dostał w prezencie spinkę do krawata. Ale depresja Alberta była wyraźna, chyba się pogłębiła, a Giacomo w pewnej chwili nawet odniósł wrażenie, że brat z trudem powstrzymuje łzy. Odwiedziny trwały dwie i pół godziny, od szesnastej do osiemnastej trzydzieści. Rozstając się, ustalili, że Giacomo przyjedzie znowu trzynastego, w porze obiadu, i zatrzyma się co najmniej do dwudziestej.

Opowieść o ostatniej wizycie, trzynastego, już się różniła od poprzednich. Giacomo przyjechał trochę wcześniej i zastał brata w złym nastroju, bardzo przygnębionego. Wyżywał się w kuchni na gospodyni i aby sobie ulżyć, cisnął nawet patelnię o posadzkę. Mamrotał coś do siebie, do Giacoma nie odezwał się chyba ani razu. Potem, przed dwunastą, ktoś zadzwonił do furtki i Alberto zwymyślał gospodynię, że nie biegnie jak na skrzydłach. Giacomo poszedł otworzyć. Dzwonił posłaniec z firmy spedycyjnej, miał dla Alberta wielką paczkę. Giacomo podpisał za brata pokwitowanie i zdążył przeczytać na naklejce adres nadawcy. Alberto wyrwał mu paczkę z rąk i przycisnął do piersi, jakby była bezcennym darem. Giacomo spytał, co w niej jest takiego ważnego, ale Alberto nie odpowiedział, wspomniał tylko, że już stracił nadzieję, iż paczka dojdzie na czas. Na czas. Na jaki czas? Żeby jeszcze tego dnia mógł coś wykonać – brzmiała odpowiedź. Zaraz zjechał do pracowni,

żeby tam zostawić paczkę, ale nie prosił brata, by mu towarzyszył. Giacomo wciąż podkreślał, że tego dnia nie był w pracowni. Od chwili dostarczenia paczki zachowanie Alberta całkiem się odmieniło. Odzyskał dobry humor, wylewnie przeprosił brata i gospodynię, która właśnie podała do stołu. Potem kobieta zebrała naczynia, zrobiła porządek w kuchni i około piętnastej wyszła. Do obiadu nie wypili nawet kropli wina. Giacomo kładł na to nacisk, bo obaj byli abstynentami, co wciąż powtarzał. Alberto namówił brata, żeby po obiedzie położył się na godzinkę i wypoczął. Osobiście pościelił mu w pokoju gościnnym. Giacomo wstał około szesnastej trzydzieści, poszedł do kuchni i tam zastał Alberta parzącego kawę. Spostrzegł, że brat jest bardzo serdeczny, ale jakby daleki myślami. Ani razu nie wspomniał jednak o tamtym nieszczęściu sprzed trzydziestu jeden lat, czego Giacomo się obawiał. Spędzili razem przyjemne popołudnie, rozmawiali o przeszłości, rodzicach, krewnych. Alberto zawsze trzymał się od wszystkich z daleka, a Giacomo przeciwnie – wciąż kontaktował się z rodziną, głównie ze starszą siostrą matki, ciotką Ernestiną. Alberto bardzo zainteresował się ciotką, o której istnieniu po prostu zapomniał. Spytał, co robi, czy dopisuje jej zdrowie, i zaproponował, że prześle staruszce jakieś wsparcie. Tak spędzili czas do dwudziestej, po czym Giacomo wsiadł do auta i wrócił do Palermo. Kiedy się rozstawali, umówili się na spotkanie dwudziestego piątego kwietnia. Co do nadawcy paczki, Giacomo wprawdzie wysilał pamięć, żeby coś więcej sobie przypomnieć, ale nic z tego nie wychodziło. Mogła to być firma Roberti (a może Goberti albo Foberti, albo Romerti czy Roserti) z Seveso. Że paczka nadeszła z Seveso, był prawie pewien: w pierwszych latach pracy w szkole przyjaźnił się z chłopcem, który mieszkał właśnie w Seveso.

Montalbano obawiał się, że wiadomości o jego równoległym śledztwie

mogą wyjść na jaw, i dlatego poszedł osobiście do urzędu pocztowego, gdzie mieli wszystkie książki telefoniczne. Roberti Fausto był dentystą, Roberti Giovanni dermatologiem, natomiast Ruberti S.p.A. była jakąś firmą. Spróbował zadzwonić.

Usłyszał melodyjny kobiecy głos.

– Ruberti. Słucham.

– Dzwonię z Vigaty, nazywam się Montalbano, jestem komisarzem policji. Potrzebuję pewnej informacji. „Ruberti S.p.A.” co to takiego?

Dziewczyna wahała się przez chwilę.

– Chce pan wiedzieć, co produkujemy?

– O to mi właśnie chodzi.

– Przewody elektryczne.

Montalbano nadstawił ucha, może dobrze trafił.

– Połączy mnie pani z dyrektorem działu sprzedaży?

– Ruberti to mała firma, panie komisarzu. Połączę pana z inżynierem Tani, on zajmuje się również sprzedażą.

– Halo, pan komisarz? Tu Tani. Słucham.

– Chciałbym wiedzieć, czy otrzymaliście zamówienie na wasz towar od pana...

– Chwileczkę – przerwał mu inżynier Tani. – Ma pan na myśli osobę prywatną?

– Tak.

– Pytam, panie komisarzu, bo z reguły nie sprzedajemy osobom prywatnym. Nasza produkcja nie jest przeznaczona do sklepów elektrycznych, ponieważ nie nadaje się do domowego użytku. Jak nazywa się ten pan, o którym pan mówił?

– Larussa. Alberto Larussa z Ragony.

– Ach! – zawołał inżynier Tani.

Montalbano nie spieszył się z dalszymi pytaniami, czekając, aż rozmówca się otrząśnie.

– Wiem o wszystkim z gazet i telewizji – powiedział inżynier. – Jakież to niesłychane i straszne! Tak, pan Larussa zadzwonił do nas. Chciał nabyć xeron-pięćdziesiąt, o którym przeczytał w jakimś piśmie.

– Przepraszam, nie rozumiem. Co to takiego xeron-pięćdziesiąt?

– To wyjątkowy przewód elektryczny, nasz zastrzeżony wynalazek. Po prostu wzmacniacz napięcia. Bardzo kosztowny. Pan Larussa nalegał, mówił, że jest artystą, więc w końcu posłałem mu pięćdziesiąt metrów, bo tylko o tyle prosił, a sam pan rozumie, jaka to śmieszna ilość. Ale przesyłka do niego nie doszła.

Montalbano zdziwił się.

– Przesyłka nie doszła?

– Za pierwszym razem nie doszła. Telefonował do nas wiele razy, prosił o sprawdzenie, co się stało. W końcu przysłał mi śliczne kolczyki dla żony. Więc wysłałem mu xeron po raz drugi, pięćdziesiąt metrów, kurierem ekspresowym. I ta przesyłka, niestety, już na pewno dotarła.

– Skąd ta pewność?

– Widziałem w telewizji makabryczne zdjęcia tego wszystkiego, co sobie sporządził, żeby krzesło elektryczne go nie zawiodło. Mam na myśli opaski na kostki i przeguby, taśmę na pierś. Wystarczyło mi rzucić okiem. Wykorzystał nasz xeron-pięćdziesiąt

Poszedł do biura, przekazał zastępstwo wicekomisarzowi Mimi Augello, wrócił do domu, do Marinelli, rozebrał się, został w „stroju telewizza”,

włożył kasetę, którą już tyle razy oglądał, usadowił się w fotelu z długopisem i kratkowaną kartką papieru, włączył odtwarzacz. Wykonanie planowanego zadania zajęło mu dwie godziny, ponieważ natrafiał na trudności obiektywne, ale również dlatego, że nigdy nie miał głowy do rachunków. Ustalił, ile metrów xeronu potrzebował Larussa na opaski, na taśmę, którą owinął pierś, i na słuchawki z płytkami. Zliczał, pocił się, skreślał, przeliczał na nowo, znów przekreślał, ale w końcu skalkulował, że Alberto Larussa zużył około trzydziestu metrów xeronu-pięćdziesiąt.

Teraz mógł wstać z fotela i zadzwonić do Nicolo Zito.

– Posłuchaj, Nicolo, ten specjalny przewód był mu koniecznie potrzebny z dwóch powodów. Po pierwsze, dlatego że nie miał drutu o dużym przekroju, bo do swej biżuterii używał drucika cienkiego jak pajęczyna, więc każdy, kto go znał, musiał dojść do wniosku, że nie mógł skonstruować krzesła elektrycznego sam. To urządzenie było zbyt prymitywne jak na niego, a materiał zbyt solidny. Ja także dałem się na to nabrać. Po drugie, potrzebował tego xeronu, bo chciał na krześle elektrycznym zginać, pragnął mieć co do tego pewność, bał się, że zostanie tylko porażony lub poparzony. Musiał się więc zabezpieczyć. To dlatego brat zastał go w podłym humorze, kiedy przyjechał trzynastego rano: paczki wciąż nie było. A bez xeronu nie odważyłby się uruchomić krzesła. Kiedy Giacomo odjechał, około ósmej wieczorem, Alberto zaczął pracować jak szalony, aby przygotować całe to maniackie przedstawienie. I mogę zaręczyć, że zdążył zabić się przed północą.

– Co robimy? Idę do Olcesego i mówię mu o wszystkim.

– Teraz już możesz iść. Powiedz mu, co wiesz. Powiedz też, że zgodnie z twoimi... tu się nie pomył: z twoimi, nie moimi... obliczeniami Alberto Larussa wykorzystał jakieś trzydzieści metrów xeronu-pięćdziesiąt. Wobec

tego w jego pracowni powinno się znajdować jeszcze około dwudziestu metrów. Może drut jest osmalony ogniem, to nieważne. Przypominam ci: nie może paść moje nazwisko, ja z tym nie mam nic wspólnego, ja nie istnieję.

– Salvo? Tu Nicolo. Udało się. Kiedy się z tobą rozłączyłem, zatelefonowałem do Ragony. Olcese chciał mnie spławić, oświadczył, że dziennikarzom nie ma nic nowego do zakomunikowania. Odpowiedziałem, że chcę się z nim spotkać w sprawie prywatnej. Na to się zgodził. Po godzinie byłem w Ragonie. Powiem ci na wstępie, że na pewno przyjemniej rozmawia się z górą lodową. Opowiedziałem mu wszystko, poradziłem, żeby pojechał do pracowni i poszukał tych dwudziestu metrów przewodu. Obiecał, że to sprawdzi. Nie zawiadomiłem cię od razu o tej pierwszej rozmowie, bobyś się wkurwił.

– Powiedziałeś mu o mnie?

– Chyba żartujesz! Trochę już żyję na tym świecie. No dobrze, dziś po południu, zaraz po czwartej, zadzwonił do mnie z Ragony. Najpierw powiedział mi, nie okazując przy tym żadnego zakłopotania, chociaż to, co mówił, dowodziło, że całkiem spartaczył dochodzenie, że istotnie w pracowni Alberta Larussa znalazł dwadzieścia metrów xeronu-pięćdziesiąt. Ani słowa więcej, ani słowa mniej. Podziękował mi tak gorąco, jakbym mu powiedział, która godzina. I wyciągnął do mnie rękę. A kiedy zegnaliśmy się, dorzucił: „Nigdy nie miał pan ochoty wstąpić do policji?” Mnie na chwile zatkało i spytałem: „Nie, a dlaczego?” I wiesz, co mi na to odpowiedział? „Dlatego, że pański przyjaciel Montalbano byłby tym na pewno uszczęśliwiony”. Taki kawał skurwysyna!

Giacomo Larussa został zwolniony, porucznika Olcese obsypano pochwałami, Nicolo Zito zaskoczył telewidzów sensacyjnymi

wiadomościami, a Salvo Montalbano uczcił całe to zdarzenie wspaniałą kolacją, po której przez dwa dni nie mógł dojść do siebie.

Człowiek, który chodził na pogrzeby

Coco Alletto został kaleką, kiedy lina cumująca napięła się pod naporem wysokiej fali i ucięła mu jak nożem lewą nogę. Musiał się pożegnać z zawodem, nie mógł kierować załadunkiem, bo proteza nie pozwalała mu sprawnie się przemieszczać po pochylniach i pokładach okrętowych.

Umiał żyć, jak powiadają, „o suchym chlebie”; jadł mało, zawsze był chudy i nie miał na głowie żony ani dzieci. Emerytura, jaką otrzymywał od państwa, wystarczała, żeby godnie znosić biedę, a ksiądz Jacopo, któremu wiodło się trochę lepiej niż jemu, kupował mu nowe buty i ubrania, kiedy to było niezbędne. Coco nie miał nawet czterdziestu lat, gdy zdarzyło się nieszczęście. Pogodził się jednak z losem i nabrał zwyczaju wysiadania całymi dniami w porcie, na pachołku do cumowania. Obserwował, co się dzieje, a ponieważ trwało to wiele lat, zauważył, że z roku na rok coraz mniej statków wypływa i cumuje, że coraz mniej towarów załadowywano i wyładowywano, aż doszło do tego, że do portu wpływała tylko łódź pocztowa z Lampedusy, co oznaczało, że port nieodwracalnie zakończył swój chwalebny żywot. Wielkie statki przewożące kontenery czy też ogromne tankowce z ropą można było zobaczyć tylko na horyzoncie.

Wobec tego Coco rozstał się na zawsze z portem i przeniósł na główną ulicę Vigaty, na stary słupek milowy pod ratuszem. Pewnego dnia ujrzał uroczysty pogrzeb, z orkiestrą na czele i dziesiątkami wieńców. Z niezrozumiałych dla niego samego powodów coś poderwało go wtedy z miejsca i kazało mu przyłączyć się do konduktu. Ruszył tym swoim kalekim, rozkołysanym krokiem i wspiał się za karawanem aż na wzgórze, na

którym leżał cmentarz.

Od tego dnia chodzenie na pogrzeby stało się jego nałogiem. Nie przepuszczał żadnej okazji; mogło lać, wichura zwałała z nóg, a on szedł za trumną. Nie sprawiało mu różnicy, czy chowają mężczyznę czy kobietę, starego czy młodego.

Ale pewnego dnia, kiedy Wszechmocny wezwał do siebie Totuccia Sferre („widocznie Wszechmocny potrzebował kogoś, kto dobrze gra w *tresette i briscola*” – powtarzano sobie z przekąsem – bo Totuccio nie robił w życiu nic innego, tylko grał w karty), wszyscy zauważyli, że Coco nie dołączył do jego konduktu, i głowili się, jak to sobie wytłumaczyć. Simone Sferra, cieszący się powszechnym szacunkiem brat zmarłego, uznał to za obrazę, za osobistą zniewagę. Opuścił kondukt w połowie drogi, poszedł pod dom Coco i zapukał, żeby spytać go, co się stało i co to znaczy. Nikt jednak nie otwierał. Już miał odejść, kiedy wydało mu się, że w środku ktoś cicho jęczy. Nie namyślając się długo, wyłamał drzwi i zobaczył Coco leżącego w kałuży krwi. Potknął się biedak i upadając, fatalnie rozbił sobie głowę. Od razu zaczęto rozpowiadać, że uratowali mu życie zmarli w podzięce za to, że ich odprowadzał na cmentarz.

Kiedy nie było pogrzebów, Coco tracił dobry humor. Siedział na słupku i czekał. I zawsze ktoś litościwy przynosił mu aktualne wiadomości.

– Chyba do Ciecia Butery poszedł proboszcz z ostatnim namaszczeniem. Nie pociągnie długo.

– Syn don Cosima Laurentana rozbił ferrari i pewnie już po nim.

Coco wstawał wcześnie, jeszcze po ciemku, i czekał na otwarcie kawiarni „Castiglione”, a potem siadał przy stoliku i czekał na pierwsze rożki prosto z pieca. Zjadał dwa, maczając je w szklance z zimną lemoniadą. Po śniadaniu szedł popatrzeć, jakie afisze rozklejają. Nie było dnia, żeby między miejskimi obwieszczeniami i plakatami reklamowymi nie pojawił się nekrolog

w czarnej obwódce. W lepsze dni mogło ich być dwa lub trzy. Coco musiał wtedy notować sobie godziny nabożeństw żałobnych, a przede wszystkim kościoły, których w Vigacie było dużo. W roku złośliwej epidemii grypy, która zmiatała starych i młodych, omal sam nie wyzionął ducha, ganiając od rana do wieczora z jednego końca miasta na drugi. Ale jakoś sobie z tym radził i żaden pogrzeb nie odbył się bez niego.

Komisarz Montalbano, który znał Coco od dnia, kiedy objął służbę w Vigacie, początkowo myślał, że się przesłyszał.

– Co takiego się stało? – spytał, żeby się upewnić.

– Ktoś strzelił do Coco Alletta – powtórzył Mimi Augello, jego zastępca.

– Zabił go?

– I to jednym strzałem. Strzelił mu prosto w twarz. Coco siedział na słupku, było wcześniej, czekał na otwarcie kawiarni.

– Są świadkowie?

– Pies z kulawą nogą – odpowiedział lapidarnie Augello.

– Zreferujesz mi wszystko – zdecydował komisarz. A to znaczyło, że całe dochodzenie ma wziąć na swoje wątle barki Mimi Augello.

W cztery dni później na pogrzeb Coco Alletta przyszło całe miasto. Nikt się nie wykręcał: nie brakło kobiet w ciąży, które mogły urodzić w kondukcje, ani starców podtrzymywanych przez dzieci i wnuki, ani rady miejskiej w komplecie. Żeby oddać hołd zmarłemu, pojawił się nawet chudy jak szkielet Gege Nicotra, śmiertelnie chory, chociaż nie miał jeszcze pięćdziesiątki. Jego obecność na pogrzebie zrobiła wielkie wrażenie, ludzie nie wiedzieli, czy bardziej im żal zmarłego, czy tego jeszcze żywego, a już nieodwracalnie skazanego.

W komisariacie szybko się zorientowano, że dochodzenie na nic się nie zda. Pewne było tylko to, że do Coco strzelił ktoś (mierząc prosto w twarz, jakby chciał zatrzeć jego rysy), kto stanął przed nim albo wycelował do niego z auta. Ale kto i dlaczego? Coco nigdy nikomu nie wyrządził krzywdy i żaden wróg nie wchodził w grę. Więc kto? Może gdy Coco szedł za pogrzebem, zobaczył coś, czego nie powinien był widzieć? Ale idąc tym swoim rozkołysanym krokiem, zawsze miał głowę schyloną, jakby się bał, że może źle postawić nogę. A jeśli nawet coś zobaczył, to komu o tym powiedział? Czasami wykrztusił z siebie w ciągu dnia trzy słowa, i to już było niezwykle. Mało powiedzieć, że był milczkiem – milczał jak grób.

Pierwszym pogrzebem, w którym Coco nie mógł wziąć udziału, skoro od trzech dni nie żył, był pogrzeb biednego Gege Nicotry. Odprowadziwszy Coco na cmentarz, wrócił do domu i wykorzystując chwilę, kiedy żona wyszła na zakupy, napisał parę słów i strzelił sobie w serce.

Proszę o wybaczenie, jestem w rozpacz, nie wytrzymuję już tej choroby.

Kiedy Montalbano chciał się skupić nad jakąś sprawą albo po prostu zaczerpnąć świeżego powietrza, kupował sobie torebkę prażonych orzeszków i pestek dyni i szedł na długi spacer aż do latarni morskiej, na wschodnie molo. Usta i mózg całą drogę miały co robić.

I właśnie podczas jednego z takich spacerów musiał zażegnać kłótnie i rozdzielić dwóch rybaków, którzy skakali sobie do gardła. Nie wystarczyły im wyzwiska, pogróżki i przekleństwa, gotowi byli przejść do rękoczynów. Komisarz uznał, że nie może zaniedbać swojego obowiązku, chociaż nie miał na to ochoty: oświadczył, kim jest, i wszedł pomiędzy awanturników. Jednego przytrzymał za ramię, a drugiemu kazał odejść. Ten jednak, kiedy

już się oddalił parę kroków, odwrócił się do swego adwersarza i zawołał:

– Ty na mój na pewno nie przyjdiesz!

Mężczyzna, którego Montalbano trzymał za ramię, zareagował na to, jakby go prąd poraził. Tylko zagryzł wargi, ale się nie odezwał. Komisarz puścił jego ramię i przestrzegł, żeby nie wpadł na genialny pomysł i nie próbował zaczynać awantury od nowa.

Doszedł do latarni, usiadł na skałce, wziął się do torebki z orzeszkami.

„Ty na mój na pewno nie przyjdiesz!”

Zdanie, które przed chwila usłyszał, wciąż mu brzmiało w uszach.

„Ty na mój na pewno nie przyjdiesz!”

Komuś, kto nie jest Sycylijczykiem, te słowa pewnie wydałyby się mętne i niezrozumiałe, ale Montalbano dobrze wiedział, co się za nimi kryje, dla niego były przejrzyste jak źródłana woda. Miały znaczyć: ty nie przyjdiesz na mój pogrzeb, tylko ja przyjdę na twój, bo wcześniej cię zabiję.

Komisarza olśniło. Zerwał się, pobiegł do miasta, bo widział już sceny tak realistycznie i wyraźnie, jakby oglądał film w kinie.

Człowiek, który już wie, że choroba skazała go na śmierć i że zostało mu w najlepszym razie parę dni życia, przewraca się w łóżku i nie może zasnąć. Obok niego śpi żona, a śpi tylko dlatego, że nałykała się pigułek nasennych i utworzyła sobie malutką oazę niepamięci na codziennej, przerażającej pustyni, którą musi przemierzać. Mężczyzna zapala lampkę i przez chwilę wpatruje się w budzik na nocnej szafce: każda mijająca sekunda przybliża go do śmierci. W słabym świetle świtu, który jest najgorszą porą dla ludzi o złych zamiarach, do mężczyzny dociera, że już wyczerpał wszystkie swoje siły i nie potrafi stawić czoła tym kilku dniom, jakie mu jeszcze pozostały. Nie potrafi zmierzyć się nie tylko ze śmiercią, ale nawet ze świadomością, że

musi umrzeć i że w górnym zbiorniczku klepsydry pozostała już tylko odrobinka piasku. Wstaje cicho z łóżka, nie chce zakłócić snu żonie. Ubiera się, wkłada do kieszeni rewolwer i wychodzi, żeby zrobić to, co postanowił, z dala od domu. Chce oszczędzić żonie (którą odgłos strzału wyrwałby ze snu) widoku męża rżęzącego na prześcieradle zalanym krwią.

Doszedłszy do głównej miejskiej alei, widzi Coco Alletta opartego o słupek milowy. Przecież on tu sterczy jak złowróżbny puszczyk. Stoi i czeka.

„Czeka, żeby przyjść na mój pogrzeb” – myśli mężczyzna.

Podchodzi i zatrzymuje się przed Coco, który z pewnością na niego patrzy. Wyciąga z kieszeni rewolwer i bez namysłu strzela mu w twarz. Jednak to nie Coco patrzył mężczyźnie prosto w oczy, tylko śmierć, to jej spojrzenie trzeba było unicestwić. Ale w tej samej chwili uprzytamnia sobie, że śmierci nie można zabić strzałem z rewolweru. Zdaje sobie sprawę, że dokonał czynu daremnego, absurdalnego. Nie dość na tym: to niepotrzebne zabójstwo całkiem go wycieńczyło, ma tuż ledwo tyle siły, żeby wrócić do domu, do nieświadomej niczego żony.

Kiedy znalazł się w komisariacie, zatelefonował do Jacomuzziego, kierownika ekipy sądowej kwestury w Montelusie. Usłyszał, że doktor Jacomuzzi jest na zebraniu, że powtórzą mu wiadomość o telefonie z Vigaty, a on zadzwoni do komisarza, kiedy tylko będzie mógł.

W sądownie mieli zarówno kulę, która zabiła Coco Alletta, jak i tę wydobytą z serca Gege Nicotry. Mieli też jego rewolwer. Gdyby się okazało, że obie kule zostały wystrzelone właśnie z tego rewolweru, jego domysły uzyskałyby niepodważalne potwierdzenie. Byłoby tak, jakby Gege złożył podpis pod swoim zabójstwem.

Komisarz uśmiechnął się do siebie z zadowoleniem.

Ale co dalej?

To pytanie nagle przyszło mu do głowy i tam pozostało. Ożywienie i zadowolenie zaczęły się ulatniać. Co dalej?

Miał potwierdzić, że winnym zabójstwa jest zmarły, który leży o kilka kroków od grobu swojej ofiary? Jaki by to, na Boga, miało sens?

Ma pogрузić wdowę w bezmiarze nowego i niespodziewanego cierpienia? Po co? Dla osobistej satysfakcji?

Zadzwoił telefon.

– Chciałeś czegoś? – spytał Jacomuzzi.

– Nie, nic nie chciałem – odpowiedział komisarz Montalbano.

Delikatna sprawa

Profesor Pasquale Loreto, dyrektor miejskiego przedszkola imienia Luigiego Pirandella (wszystko w Montelusie i okolicach pyszniło się swoim sławnym ziomkiem, poczynając od hoteli, poprzez cukiernie, po nadmorskie kąpieliska), był łysym pięćdziesięciolatkiem, zadbanym i małomównym. Za tą ostatnią cechą Montalbano wręcz przepadał, ale zakłopotanie, jakie opanowało dyrektora, zmieniło wrodzoną mu lapidarność mowy w niespójne mamrotanie, a to wyczerpało cierpliwość komisarza. Toteż w pewnym momencie uznał, że musi wziąć sprawę w swoje ręce, bo inaczej rozmowa będzie się wlokła do późnej nocy. A była dopiero dziesiąta rano.

– Panie dyrektorze, jeśli dobrze zrozumiałem, pojawiły się podejrzenia, że jeden z wychowawców w pańskim przedszkolu wykazuje, by tak rzec, szczególną atencję wobec pięcioletniej dziewczynki. Czy istotnie coś takiego ma miejsce?

– I tak, i nie – powiedział Pasquale Loreto, świecąc spoconym czołem i wykręcając sobie palce.

– Proszę mi to bliżej wyjaśnić.

– Należałoby uściślić, że to nie ja nabrałem takich podejrzeń, tylko matka dziewczynki. Przyszła do mnie na rozmowę w tej sprawie.

– Inaczej mówiąc, matka dziewczynki chciała złożyć doniesienie i zwróciła się do pana jako dyrektora.

– I tak, i nie – powtórzył dyrektor swoją kwestię. Wykręcał sobie palce tak zawzięcie, że w pewnej chwili nie mógł ich rozplatać.

– Proszę mi to wytłumaczyć jeszcze bliżej – powiedział Montalbano, także

powtarzając swoją kwestię. Odnosił wrażenie, że znalazł się w teatrze na próbie komedii. Sprawa jednak była poważna.

– Dobrze. Matka dziewczynki nie przyszła złożyć formalnego doniesienia, bo w takim wypadku zachowałbym się całkiem inaczej. Chyba nie ma pan wątpliwości?

– I tak, i nie – powiedział kąśliwie Montalbano, wyjmując dyrektorowi z ust jego fragment tekstu.

Pasquale Loreta zbiło to z tropu. Musiał się uciec do doraźnej improwizacji. I jakoś sobie z tym poradził.

– W jakim sensie? Wybacz pan, że pytam.

– W takim, że zanim złożą pan doniesienie na nauczyciela do kompetentnych władz, musiałby pan mieć w ręku obciążające go dowody. Powinien pan przeprowadzić dochodzenie, by tak rzec, lokalne, na terenie przedszkola.

– Nigdy bym się do tego nie posunął!

– Dlaczego?

– Jak pan to sobie wyobraża? Przecież wszyscy w przedszkolu w ciągu pół godziny dowiedzieliby się, że indaguje ich na temat wychowawcy Nicotry. Już i tak mówią, co im ślina na język przyniesie, nie mając do tego żadnych podstaw. A co by się działo, gdybym dał im choćby najmniejszy pretekst! Gotów jestem działać tylko wtedy, kiedy będę miał niezbitą pewność.

– A ja nie jestem gotów działać, dopóki ktoś nie złoży doniesienia.

– Ale, widzi pan, ko... panie komisarzu, ma... matka ma, ma... wiele skru... skrupułów, żeby...

– Zróbmy tak – przerwał Montalbano, widząc, że dyrektor zaczął się jąkać.

– Zna pan panią Clementinę Vasile Cozzo?

– Znam. Znam doskonale – odpowiedział dyrektor, rozpogadzając się. –

Była moją nauczycielką! Ale co ona ma z tym wspólnego?

– Pomoże nam znaleźć właściwe rozwiązanie. Jeśli spotkam się z matką dziecka u pani Vasile Cozzo, porozmawiamy o wszystkim prywatnie, sprawa nie nabierze rozgłosu i nie wywoła plotek. Byłoby gorzej, gdybym rozmowę z matką odbył tutaj, w przedszkolu.

– Świetny pomysł. Matka ma przyprowadzić dziewczynkę?

– Uważam, że na razie nie jest to konieczne.

– Nazywa się Laura Tripodi.

– Kto? Matka czy córka?

– Matka. Dziewczynka ma na imię Anna. Ania.

– Najdalej za godzinę zatelefonuję do pana. Najpierw muszę porozmawiać z panią Clementiną i zapytać, kiedy znajdzie dla nas czas.

– Komisarzu, po co pan o to pyta? Może pan przyjść do mnie z kim pan chce i kiedy chce.

– Nie przeszkodzę pani, jeśli zjawię się jutro rano, o dziesiątej? Pani Tripodi wcześniej odprowadzi dziewczynkę do przedszkola i prosto stamtąd wstąpi do pani. Postaram się nie męczyć pani długo.

– Może mnie pan męczyć do obiadu, z obiadem włącznie. Zjemy coś, co na pewno będzie panu smakowało.

– Pani jest aniołem, pani Clementino.

Odłożył słuchawkę i wezwał Fazia.

– Znasz kogoś w przedszkolu Pirandella?

– Nie znam, komisarz Ale mogę wypytać o co trzeba. Moja siostrzenica Zina posyła tam synka, ma na imię Tanino. Co pan chce wiedzieć?

Pani Clementina, krążąc sprawnie po salonie na wózku inwalidzkim,

podawała kawę, a potem dyskretnie wyjechała do holu. Nawet zamknęła za sobą drzwi. Laura Tripodi wyglądała całkiem inaczej, niż komisarz sobie wyobrażał. Miała jakieś trzydzieści lat, w każdym razie warta była grzechu. Nie rzucało się to w oczy, przeciwnie, skromny kostium, który miała na sobie, nie podkreślał jej kształtów. Panowała nad swoją zmysłowością, która schodziła na dalszy plan, ale przebijała ze spojrzeń, gestów, ze sposobu, w jaki zakładała nogę na nogę.

– Sprawa, którą mi przedstawił dyrektor Loreto, jest bardzo delikatna – zaczął Montalbano. – Jeśli zatem mam interweniować, muszę wiedzieć trochę więcej o tym, jak wygląda sytuacja.

– Po to tu jestem – zapewniła Laura Tripodi.

– To Ania... bo wiem, że tak ma na imię córka... opowiedziała pani o tych szczególnych względach, jakie okazuje jej wychowawca?

– Tak.

– A co dokładnie pani powiedziała?

– Że wychowawca lubi ją bardziej niż inne dziewczynki, że zawsze podbiega, aby jej zdejmować i wkładać płaszcz, że częstuje ją cukierkami. I że kryje się z tym przed wszystkimi.

– To jeszcze nie wydaje mi się...

– Mnie także się nie wydawało, z początku. Oczywiście nie podobało mi się, że córka czuje się wybranką, i chciałam porozmawiać z panem Nicotrą. Ale wcześniej zdarzyło się coś...

Umilkła i zarumieniała się.

– Proszę pani, dobrze rozumiem, że niełatwo pani rozmawiać ze mną o tych przykrych sprawach, ale musi mi pani pomóc.

– Poszłam po córkę jak zwykle, bo najczęściej zabieram ją z przedszkola sama... kiedy nie mogę, chodzi po nią teściowa... i zobaczyłam, że wybiega

do mnie zanadto, powiedziałabym, rozpalona. Spytałam, czy biegła przez korytarz. Odpowiedziała, że nie. Ale dodała, że bardzo się cieszy, bo wychowawca ją pocałował.

– Gdzie?

– W buzię.

Komisarzowi przyszło na myśl, że gdyby teraz zbliżył zapalną do twarzy pani Laury, to na pewno by zapłonęła.

– A gdzie to było?

– Na korytarzu. Pomagał jej wkładać nieprzemakalny płaszcz, bo padało.

– Byli sami?

– Chyba nie. O tej porze wszystkie dzieci wychodzą z klas. Montalbano pomyślał, że sam tyle razy całował dzieci, a ich matki nigdy nie dopatrywały się w tym złych intencji. Ale ostatnio istotnie nabrały rozgłosu, i tutaj, i wszędzie, podejrzane afery z pedofilami.

– Zdarzyło się coś więcej?

– Tak. Długo ją głaskał.

– Jak ja głaskał?

– Nie chciałam Ani o to wypytywać.

– Gdzie to się działo?

– W łazience.

Niedobrze! Łazienka to nie korytarz.

– Jak ją namówił na pójście do łazienki?

– Nie, panie komisarzu, to nie było tak, jak pan myśli Ania skaleczyła się w palec i zaczęła płakać, a wtedy wychowawca...

– Rozumiem – powiedział Montalbano.

Prawdę mówiąc, niewiele rozumiał.

– Proszę pani, jeśli zachowanie wychowawcy ograniczało się...

– Wiem o tym, panie komisarzu. Mogły to być przejawy szczerzej czułości, bez żadnych ukrytych intencji. A jeśli jest inaczej? Jeśli pewnego dnia ten człowiek pozwoli sobie na coś gorszego? Stąd mój niepokój, niepokój matki. Serce matki...

Wpadła w melodramatyczny ton, przycisnęła dłoń do serca, zaczęła głośniej oddychać. Podążając wzrokiem za ręką pani Laury, Montalbano nie o sercu jednak myślał, tylko o tym zmysłowym miejscu, za którym się ono kryje.

– ...mówi mi, że nie mogę ufać intencjom tego człowieka. Co mam robić? Nie chcę składać doniesienia, może to pomyłka, nieporozumienie. Mogłabym przekreślić jego karierę. I dlatego poszłam porozmawiać z dyrektorem: chyba mógłby go dyskretnie przenieść do innego przedszkola.

Dyskretnie? Przecież to gorsze niż wyrok sądowy. W sadzie mógłby się bronić, a zdany na szept i pomówienia, na wrogie opinie, może tylko strzelić sobie w łeb. Niewykluczone, że dziewczynka jest rzeczywiście na coś narażona, ale w sytuacji nie do pozazdroszczenia znalazł się na pewno wychowawca Nicotra.

– Rozmawiała pani o tym z mężem?

Laura Tripodi zareagowała gardłowym śmiechem. Jakby zagruchał gołąb. Cokolwiek ta kobieta robiła, nawet coś najzwyklejszego, w wyobraźni Montalbana zaraz pojawiała się wymięta pościel, a w niej dwa nagie ciała.

– Mój mąż? Ja, panie komisarzu, jakbym była wdową.

– Mówi pani „jakbym”. Nie rozumiem.

– Mój mąż jest technikiem w Eni. Pracuje w Arabii Saudyjskiej. Przedtem mieszkaliśmy w Feli, teraz przenieśliśmy się do Vigaty, bo tutaj mieszka jego

matka i może mi pomóc w opiece nad dzieckiem. Mąż przyjeżdża do Vigaty dwa razy w roku na dwa tygodnie. Ale dobrze zarabia i tym muszę się zadowolić.

To „zadowalanie się” pani Laury przeniosło komisarza nad przepaść wypełnioną po brzegi domysłami, ale jego wyobraźnia zatrzymała się z żalem na skraju.

– Jest pani z dziewczynką sama?

– No, nie całkiem. Nie mam tu wielu przyjaciół, ale dwa lub trzy razy w tygodniu chodzimy nocować do teściowej, bo ona jest naprawdę samotna. Dotrzymujemy sobie nawzajem towarzystwa. Teściowa marzy o tym, żebyśmy się do niej przeniosły na stałe. I może tak zrobimy.

– Leonardo Nicotra, urodzony w Minichillo, prowincja Ragusa, siódmego maja tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku; rodzice: Giacomo i Anita z domu Colangelo; nie podlega służbie wojskowej.

I wreszcie mamy coś nowego! „Nie podlega służbie wojskowej”. Montalbana zawsze złościła pedanteria Fazia, godna urzędnika stanu cywilnego, i nie rozumiał, dlaczego zwykł on faszerować przełożonego bezużytecznymi szczegółami. Podniósł wzrok znad biurka i popatrzył na podoficera. Ich spojrzenia spotkały się i Montalbano nagle zrozumiał, że Fazio robi to specjalnie, żeby sprowokować jego reakcję. Postanowił nie dać mu tym razem satysfakcji.

– Jedziemy dalej.

Trochę rozszalony, Fazio ciągnął dalej.

– Od dwóch lat mieszka w Vigacie, ulica Edisona, numer dwadzieścia pięć. Jest wychowawcą w przedszkolu imienia Luigiego Pirandella. Nie ma nałogów, nie utrzymuje związków z kobietami. Nie zajmuje się polityką.

Fazio złożył kartkę z notatką, schował do kieszeni i popatrzył na komisarza.

– Co jeszcze? Nie skończyłeś? O co ci chodzi?

– Mógł mnie pan uprzedzić... – zaczął urażonym tonem Fazio.

– O czym miałbym cię uprzedzić?

– Że o Nicotrze krążą jakieś pogłoski.

Komisarz poczuł, że drętwieje. Pewnie wiadomo coś o innych przypadkach. Więc nie jest to tylko fantazjowanie kobiety, której mąż przebywa zbyt długo poza domem?

– Czego się dowiedziałeś?

– Moja siostrzenica Zina mówi, że od tygodnia szepcze się po kątach, że wychowawca Nicotra przyciska do siebie dziewczynki. Dawniej wszyscy nosili go na rękach, nie mógł się nachwalić. Był tylko dobry i uprzejmy. Teraz niektóre matki zastanawiają się, czy nie przenieść dzieci gdzie indziej.

– Bo coś się wydarzyło?

– Nic się nie wydarzyło, nic konkretnego. To tylko pogłoski. Jeszcze jedno, byłbym zapomniak: siostrzenica twierdzi, że zgubiła go rycerskość.

– Tego nie rozumiem.

– Wychowawca był po rycersku opiekuńczy wobec jednej małej z Vigaty i nie trzeba było długo czekać, żeby się to rozniosło.

– Mówię z dyrektorem Loreto? Tu Montalbano. Wygląda na to, że sytuacja się pogorszyła.

– To... to... już... powiedzieli mi...

– Panie dyrektorze, jutro o wpół do jedenastej przyjdę do przedszkola. Proszę mi umożliwić spotkanie z dziewczynką z Anią. Skorzystam z tylnego wejścia, nie chcę, żeby ktoś mnie zobaczył. I proszę nic nie mówić matce, bo

jej obecność tylko by przeszkadzała. Mała nie czułaby się swobodnie.

Siedział w biurze, zajmował się bieżącymi zadaniami, ale jedna myśl nie dawała mu spokoju. Chodziło o to, że dopóki matka lub dyrektor nie złożą formalnego doniesienia, nie wolno mu ruszyć sprawy z miejsca. Z natury raczej nie zwykł się przejmować tym, co mu wolno, a czego nie wolno, jednak teraz sprawa dotyczyła małej dziewczynki. Na sama myśl, jak delikatnie i ostrożnie będzie musiał z nią rozmawiać, żeby nie urazić jej niewinności, oblewał go zimny pot. Lepiej jednak, żeby pani Laura Tripodi nie czekała ze złożeniem zażalenia. Miał jej numer telefonu, dała mu go dzisiaj rano. Ale w telefonie odezwała się automatyczna sekretarka.

„Jestem chwilowo poza domem. Proszę zostawić wiadomość albo zadzwonić pod numer pięćdziesiąt trzy – pięćdziesiąt dwa – sześćdziesiąt siedem”.

Pewnie to numer teściowej. Wystukał go, ale się zawahał. Może lepiej panią Laurę zaskoczyć? Pojedzie do niej sam, nie uprzedzając jej wcześniej.

– Fazio?

– Słucham. Do usług!

– Wyszukaj mi adres właściciela numeru pięćdziesiąt trzy – pięćdziesiąt dwa – sześćdziesiąt siedem.

Po minucie Fazio był już z powrotem z kartką w ręku.

– To numer Teresy Barbagallo, ulica Edisona dwadzieścia pięć.

– Fazio, zobaczymy się jutro. Teraz jadę do tej pani, a stamtąd prosto do domu, do Marinelli.

Wyszedł z komisariatu, zrobił parę kroków i – przystanął. Oparł się o ścianę, bo nagły błysk w głowie omal go nie oślepił.

– Źle się pan poczuł, komisarzu? – spytał przechodzący obok mężczyzna.

Montalbano nic nie odpowiedział, wrócił pospiesznie do komisariatu.

– Fazio!

– Co się stało, komisarzu?

– Gdzie ta karteczka?

– Jaka karteczka?

– Ta, z której czytałeś mi dane wychowawcy Nicotry.

Fazio włożył rękę do kieszeni, wyjął kawałek papieru, podał komisarzowi.

– Sam mi przeczytaj. Gdzie mieszka wychowawca?

– Na ulicy Edisona, pod numerem dwadzieścia pięć. No tak! To niesłychane! Przecież właśnie tam się pan wybiera.

– Już się nie wybieram, rozmyśliłem się. Wracam prosto do domu, Na Edisona pojedziesz ty.

– Po co?

– Zobaczysz, jak ten dom wygląda, na którym piątze mieszka pani Barbagallo, na którym wychowawca Nicotra. Potem zadzwonisz do mnie. I jeszcze jedno: dowiedz się, o ile potrafisz, czy pani Barbagallo jest teściową młodej kobiety, która nazywa się Tripodi i ma małe dziecko. Ale nie rób szumu, zechciej to zrobić dyskretnie.

– Może pan spać spokojnie! Nie zawlokę ze sobą całej miejskiej orkiestry – powiedział Fazio, który tego dnia był wyjątkowo drażliwy.

Fazio zatelefonował, kiedy właśnie kończył się film kryminalny, od którego Montalbano nie mógł się oderwać, chociaż widział go co najmniej pięć razy: *M jak morderca* Hitchcocka. Jest tak, jak należało się spodziewać: Teresa Barbagallo to istotnie teściowa Laury Tripodi, mieszka na drugim piętze. Nad nią, na trzecim i ostatnim, mieszka wychowawca Nicotra. Kamienica ma taki rozkład, że na każdym piętze jest tylko jedno mieszkanie. Pani Tripodi często przyjeżdża z dziewczynką i śpi u teściowej. Na pierwszym piętze mieszka ktoś, kto nazywa się... Pierwsze piętro nieważne?

Tym lepiej, dobranoc.

Dobra noc. Mało powiedziane. Dla komisarza ta noc była wspaniała; przespał sześć godzin kamiennym snem. Teraz kiedy już wiedział, jak ma postępować, zupełnie nie odczuwał skrępowania, że będzie musiał przesłuchiwać małą.

Tylko drobne plamki atramentu na palcach świadczyły o tym, że Ania jest żywą dziewczynką, bo różowa zwiewna sukienka, kokardy w jasnych lokach, wielkie błękitne oczy, krągłe usta i lekko zadarty nosek sugerowały lalkę naturalnej wielkości.

Kiedy komisarz nerwowo zastanawiał się, jak zacząć z nią rozmowę, Ania odezwała się pierwsza.

– Kto ty jesteś?

Montalbano przez chwilę obawiał się, że dostanie ataku dymorfizmofofii, a dymorfizmofofia, jak mu wyjaśnił zaprzyjaźniony psycholog, to lęk przed dwupostaciowością. Człowiekowi wydaje się, że nie rozpoznaje siebie w lustrze. Dziewczynka naturalnie nie była lustrem, lecz domagała się, żeby określił swoją tożsamość, a tej komisarz bynajmniej nie był pewien.

– Jestem kolegą twojego taty – usłyszał. Usłyszał siebie samego, bo tak odpowiadał samowolnie jego głos. Coś w nim poszło na skróty.

– Tata wróci za miesiąc – powiedziała mała. – Zawsze przywozi mi prezenty.

– Przeze mnie także coś ci przysłał.

I położył przed Anią pakuneczek, który ta natychmiast rozwinęła. Było to plastikowe, kolorowe pudełko w kształcie serca; po otwarciu ukazało się w nim malutkie, umeblowane mieszkanko.

– Dziękuję.

– Chcesz czekoladkę? – spytał komisarz, podsuwając małej pudełko.

– Chcę, ale nie mów mamie. Ona mi zabiera czekoladki. Mówi, że mnie rozboli brzusek.

– Ale twój wychowawca daje ci czekoladki, kiedy jesteś dla niego miła?

No i odezwał się w komisarzu ten perfidny robak! Zaczai się wgryzać w jabłuszko w ślicznym, bezgrzesznym rajku.

– Nie, on mi dawał cukierki.

– Dawał ci, a teraz nic ci nie daje?

– Nie, teraz nic od niego nie biorę. Zrobił się niedobry.

– Co ty mówisz? A twoja mama opowiadała mi, że bardzo cię lubi, że cię głaszcze, całuje...

Robak już się wgryzł w jabłuszko. Od tej chwili jabłuszko zacznie gnić.

– Zawsze mnie lubi, ale ja już tego nie chcę.

– Dlaczego?

– Dlatego, że zrobił się niedobry.

W pokoju zadzwonił telefon, zaterkotał głośniejsz niż seria z karabinu maszynowego. Montalbana ogłuszyło. Zerwał się, podniósł słuchawkę, wysyczał: „Tutaj wszyscy wymarli”, i położył słuchawkę z powrotem. A potem ją zdjął i odłożył na bok.

Dziewczynka roześmiała się.

– Ale jesteś śmieszny!

– Chcesz drugą czekoladkę?

– Tak.

Jedz, ile chcesz. A jak cię trochę rozboli brzusek, to nic wielkiego.

– Powiedz mi, o co pokłóciłaś się z wychowawcą?

– Ja się wcale nie pokłóciłam.

- Skrzyczał cię?
- Nie.
- Kazał ci robić coś, czego nie chciałaś?
- Tak.

Montalbano poczuł się bardzo zawiedziony. Nie wyczuł, jak się sprawy mają. Jednak wszystko wygląda tak, jak mu przedstawiła matka małej.

- A co to było?
- Pomagał mi włożyć płaszczyk, a ja go kopnęłam w nogę.
- Jeśli tak było, jak mówisz, to ty jesteś niedobra, a nie on.
- Nie. On.

Komisarz zaczerpnął głęboko powietrza, jakby miał się zanurzyć pod wodę. I zanurzył się.

– Założę się, że wiem, dlaczego wychowawca zrobił się niedobry. Założysz się ze mną?

- Nie wiesz, to sekret. Tylko ja jedna wiem dlaczego.
- Ja też wiem. Bo jestem czarodziejem. Powiem ci: dlatego, że dokucza mamie.

Dziewczynka szeroko otworzyła oczy i buzię.

– Jesteś naprawdę czarodziejem! Tak, dlatego. Mama przez niego płakała. On już jej nie lubi. Powiedział, żeby mama do niego nie przychodziła, kiedy wszyscy zasną. I mama płakała. Ja nie spałam i wszystko słyszałam. A babcia nic nie słyszała, bo ona nigdy nic nie słyszy. Łyka pigułkę, a potem śpi jak zabita.

- Powiedziałaś mamie, że wszystko słyszałaś?
- Nie. To mój sekret. Powiem tacie, kiedy wróci. Powiem mu, że mama płakała przez pana wychowawcę, i tata go wyboksuje. Możesz mi dać jeszcze

jedną czekoladkę?

– Dam ci, ile chcesz. Posłuchaj, Aniu, jesteś grzeczną dziewczynką. Kiedy tata wróci, nic mu nie mów. Nie martw się o mamę. Mama już dobrze wie, co ma zrobić, żeby teraz pan wychowawca trochę przez nią popłakał.

„Jak”

W pierwszej licealnej nauczycielka przyrody, Ersilia Castagnola, dosłownie czarowała uczniów, kiedy opowiadała im o zwierzętach. Byli urzeczeni, zwłaszcza fauną wysokich gór, bo klasa składała się głównie z synów rybaków lub ludzi, którzy w ten czy inny sposób byli związani z morzem. Profesor Castagnola była, mówiąc górnolotnie, złotousta, więc chłopcy, kiedy słuchali jej opowieści, puszczaali wodze fantazji. Salvo Montalbano – czy raczej, jak chciał dziennik klasowy, Montalbano Salvo – i jego koledzy urządzali na szkolnym korytarzu wielkie łowy z nagonką, czyli polowania na markorę, dziką kozę pakistańskiego Beludżystanu, albo na argalię, o której pierwszy pisał nie kto inny, tylko Marco Polo.

Najbardziej jednak fascynowało wszystkich zwierzę, które nazywało się „jak”, bo już sama jego nazwa budziła sympatie.

– Jak – wyjaśniła pewnego dnia profesor Ersilia Castagnola – bywa także nazywany chrząkającym bawołem. Żyje w najzimniejszych rejonach Tybetu i nie można go w żadnym wypadku przenosić w inne rejony. Tym bardziej nie wolno go trzymać w niewoli: w krajach o klimacie umiarkowanym ciągle choruje, traci siły i ginie.

Po tych słowach profesor Castagnoli dwadzieścia cztery głowy, natchnione tą samą myślą, odwróciły się w stronę ostatniej ławki, gdzie siedział dwudziesty piąty uczeń, Toto Aguglia. Krępy, z mocnym zarostem, długimi ramionami i gęstwina kręcących się włosów, zaczynającą się tuż nad brwiami. Toto albo coś mamrotał, albo chrząkał, lecz rzadko wyrzucał z siebie jakiś artykułowany dźwięk, który można by nazwać monosylabą.

Połowa klasy nie miała wątpliwości: Toto z całą pewnością był jakim. Druga połowa poparła na dużej przerwie zdanie Tana Cumelli.

– W klasyfikacji gatunków nie wolno popełniać tak grubych błędów – przestrzegali Tano. – Toto Aguglia jest jedynym na świecie jeszcze żyjącym przedstawicielem gatunku *Homo sapiens* (tak to określono na wyrost). Poza tym odpowiada mu klimat upalny: lubi, kiedy robi się gorąco. Nie widzicie, że zawsze pierwszy bierze się do bicia? Pierwszy szarpie innych, wali pięścią, kopie?

– Nieprawda – wtrącił się Nene Locicero, który uchodził za poetę, bo pisał wiersze. – Nie patrzyliście na niego, kiedy profesorka wymówiła słowo „jak”. Toto ma oczy czarne jak węgiel, a na dźwięk tego słowa zrobiły mu się tak jasnoblękitne, że prawie białe.

– I co by to miało znaczyć? – spytał zaczepnie Tano Cumella.

– To znaczy, że on w tamtej chwili zobaczył wielki lodowy płaskowyż w Tybecie, swój kraj rodzinny.

– A jednocześnie lubi gorący klimat. Jak to pogodzić?

– Pogodzimy to bez trudu. Popieprzyły ci się przenośnie i mylisz jego agresywność z klimatem. Czy niedźwiedzie polarne, kiedy zobaczą człowieka, zaraz go obejmują i głaszczą? Czy tak jest twoim zdaniem?

Ten argument trafił do przekonania wszystkich. Tego dnia Toto Aguglia został zgodnie uznany za jaka. Kiedy się o tym dowiedział, zachrzękał z radości.

Do drugiej licealnej „Jak” już nie chodził. Jego ojciec sierżant straży pożarnej, został przeniesiony do Augusty. Salvo Montalbano nic więc już nie wiedział o chrząkającym bawole.

W 1968 roku przyszedł komisarz miał osiemnaście lat. Z zapalem oddawał

się temu wszystkiemu, czym w tamtym roku zajmowali się młodzieńcy w jego wieku: manifestował, okupował, proklamował, nie przepuszczał dziewczynom, palił marihuanę i bił się z przeciwnikami. To znaczy z policją. Podczas jednego starcia, wyjątkowo brutalnego, znalazł się na ulicy obok towarzysza w kominiarce na twarzy, który chichotał i chrząkał, zapalając lont koktajlu Mołotowa. Miał wrażenie że ten nieznajomy obok jest mu skądś znany.

– „Jak”! – zaryzykował.

Tamten przystanął na chwilę, z butelką w lewej ręce i zapalniczką w prawej, zapalił lont, rzucił butelkę i objął Salva, chrząkając coś w rodzaju: „Cieszę się”. I zaraz zniknął.

Czy cieszył się, że znajduje się w samym środku tego pasjonującego burdelu, czy też z tego, że spotkał dawno niewidzianego kolegę ze szkoły? Pewnie z jednego i drugiego.

Dwadzieścia lat później – jak w powieści Dumasa – Montalbano przypadkiem spotkał w Palermo Nene Locicera, który już nie pisał wierszy, tylko był przedsiębiorczym konstruktorem budowlanym, ale którego doraźne okoliczności „zmusiły” do pobytu w miejskim więzieniu w Ucciardone. Został oskarżony o korupcję, paserstwo i związki z mafią.

Objęli się szczerze, po bratersku.

– Salvu!

– Nene!

Komisarz wielkodusznie udał, że wcale go nie dziwi, iż Nene przebywa w Ucciardone. Równie wielkodusznie Nene nie zaczął się uskarżać na tę chwilową niedogodność.

– Jak ci idzie?

– Nie mogę narzekać, Salvu.

– Ciągłe coś piszesz?

Smuga melancholii pojawiła się w spojrzeniu dawnego poety.

– Nie, już nie daję rady. Ale dużo czytam, nie myśl sobie. Odkryłem dwóch prawie zapomnianych poetów, Gatta i Sinisgallego. Byłoby o czym mówić! Przy nich z tych dzisiejszych musisz się pokładać ze śmiechu.

Zaczęli wspominać dawnych kolegów szkolnych, Alongiego, który został księdzem, Alaima, od niedawna wiceministra...

– A co z Totó Aguglią? – spytał komisarz.

Nene popatrzył zdziwiony.

– Nic nie wiesz?

– Nie wiem, naprawdę.

– Coś ty! Pisały o nim gazety. W tygodnikach były wywiady.

W ten sposób Montalbano dowiedział się, że kiedy tylko zaczynała się jakaś wojna w Afryce – nieważne, kto z kim walczył ani jaka frakcja ścierała się z jaką – któraś ze stron zawsze wzywała do siebie słynnego najemnika, znanego pod pseudonimem „Jak”, i robiła go przywódcą garstki okrutnych i bezwzględnych desperatów. Jakiś dziennikarz, bardziej śmiały od innych, spotkał się z „Jakiem” w tropikalnej dżungli i przeprowadził z nim wywiad. „Jak”, kiedy już wyjaśnił, że nazywa się Salvatore Aguglia i jest Sycylijczykiem, dorzucił zdanie, którego dziennikarz za bardzo nie zrozumiał, ale które wiernie przytoczył: „Przy okazji serdecznie pozdrawiani profesor Ersilię Castagnolę, jeśli jeszcze żyje”.

Dziennikarz napisał, że to zdanie niekoniecznie musiało brzmieć dokładnie tak, ponieważ długie lata przebywania w Afryce sprawiły, że wymowa Salvatore Aguglii wyraźnie się zmieniła, nabierając – jak przypuszczał – przegłosu typowego dla narzecza plemienia z Burundi albo Burkina Faso.

Montalbano objął komisariat w Vigacie przed miesiącem i niechętnie się z niego ruszał; pewnego dnia zadzwonił wicekwesor Valente i zaprosił go do siebie, do Mazara del Vallo. Komisarz przytomnie przyjął postawę obronną, zaczął się wykręcać, twierdząc, że nie jest pewien, czy znajdzie wolny dzień. A to dlatego, że w domu Valentego źle się jadało. To co wyrabiała jego żona, karmiąc gości, niewiele się różniło od zabójstwa z premedytacją.

– Jestem sam – dodał Valente. – Żona pojechała na parę dni do rodziców. Wybierzemy się na obiad do jakiejś gospody w okolicy, na pewno znasz tu niejedną...

– Jutro z rana, a najdalej w południe, jestem u ciebie – zakończył rozmowę ucieszony komisarz.

Kiedy przyjechał do Mazara del Vallo i wszedł do biura kolegi, już na progu zorientował się, że chyba nie był to najlepiej wybrany dzień na spotkanie. Słysząc było ożywione głosy, po korytarzu biegali agenci, służbowy samochód z czterema uzbrojonymi ludźmi ruszył na sygnale spod urzędu.

– Coś się stało?

– Drogi Montalbano, stało się. Trafiłeś nie w porę. Na razie muszę jechać z nimi na miejsce. Zaczekaj tutaj, rozgość się, zaraz wrócę...

– Ani mi się śni – powiedział Montalbano. – Jadę z wami.

W samochodzie Valente opowiedział mu, tyle ile wiedział, o tym, co się wydarzyło. Jakiś typ, którego nazwiska jeszcze nie znał, zabarykadował się w willi na dalekim przedmieściu, prawie na wsi, i bez sensownego powodu strzela do wszystkich, którzy pojawią się w zasięgu jego wzroku. Valente wysłał samochód z czterema agentami, ale poprosili o wsparcie: szalenic ma ręczne granaty i karabin maszynowy.

– Zabił już kogoś? – spytał Montalbano.

– Nie. Postrzelił w nogę listonosza, który przejeżdżał tamtędy na rowerze.

Kiedy przyjechali na miejsce i znaleźli się obok piętrowej willi, Montalbano pomyślał, że uczestniczy w kręceniu filmu. Prócz samochodu policji były tu jeszcze dwa auta karabinierów. Wszyscy kryli się, gdzie mogli, z bronią gotowa do strzału. Przyjazd Valente i Montalbana szalenciec przywitał długą serią z karabinu maszynowego, która zmusiła ich do rzucenia się na ziemię. Po chwili Valente, skacząc jak kangur, dotarł do swoich ludzi, żeby się dowiedzieć, jak się przedstawia sytuacja. Montalbano przyczołgał się do sierżanta karabinierów.

– Komisarz Montalbano.

– Bardzo mi przyjemnie. Nazywam się Todaro.

– Sierżancie, zna pan tego, co strzela?

– I to jak! Ten człowiek mieszka tu już dwa lata, ale nie pochodzi stąd. Przejeżdżał przez Mazareę, zobaczył dziewczynę, zakochał się i ożenił. Nie minęły dwa tygodnie, a już ją bił i bił.

– Zdradzała go?

– Skądże! Jest jak święta, zaręczam! Może pamięta pan taki film Felliniego, gdzie młoda dziewczyna nad morzem tylko się uśmiecha. Sama niewinność.

– Valeria Ciangottini?

– Tak, tak, ona. Więc żona tego wariata i ta aktorka są do siebie podobne jak dwie krople wody.

– Wiadomo przynajmniej, dlaczego ją bije?

– Kiedyś sąsiedzi dali mi znać, że odwieźli ją do szpitala. Ona mówiła, że upadła. Kazałem mężowi stawić się u nas, powiedziałem mu, co trzeba, a potem spytałem, dlaczego tak traktuje tę biedną kobietę.

Musieli jednak przerwać rozmowę, bo szalenciec zaczął strzelać na oślep, a policja odpowiedziała ogniem. Nawet sierżant dwukrotnie strzelił z pistoletu, bez przekonania, w stronę willi.

– I wie pan, co mi odpowiedział? – ciągnął sierżant Todaro. – Że jest jakim. Nie rozumiałem, o co mu chodzi. „Jakim jakim?” spytałem. Coś mi tłumaczył, ale nic z tego nie pojąłem.

Ale komisarz od razu pojął wszystko.

– Nie nazywa się przypadkiem Salvatore Aguglia?

– Tak – odpowiedział zdumiony sierżant. – Pan go zna?

Komisarz umilkł. Odruchowo przypomniał sobie słowa profesor Ersilii Castagnoli: „...nie można go w żadnym wypadku przenosić w inne rejony... nie wolno go trzymać w niewoli...” Do niewoli Toto Aguglia wpakował się z miłości, ale szybko zrozumiał, że popełnił błąd, więc rozpaczliwie, jak zwierzę, próbował wymknąć się z pułapki, którą sam na siebie zastawił. Mógł oczywiście porzucić dom, zniknąć, wrócić do swego naturalnego otoczenia, bić się w jakiejś bezsensownej wojnie w jeszcze bardziej bezsensownym kraju. Ale już nie umiał żyć z dala od swojej kobiety, od tej swojej pułapki. Biedny „Jak”!

– Żona jest tam razem z nim? – spytał sierżanta.

– Nie ma jej, komisarzu! A on dlatego zaczął ten raban! Żona nie miała siły dłużej go znosić i wczoraj po piekielnej awanturze uciekła od niego. Tak mówią sąsiedzi.

Montalbano nagle zerwał się na równe nogi.

– Jezu! Padnij pan! – zawołał sierżant Todaro, ciągnąc go za kurtkę.

Komisarz wyrwał się i pobiegł w stronę willi, zupełnie się nie kryjąc.

– Salvo! Zwariowałeś? Na ziemię! – krzyczał za nim Valente.

Montalbano podniósł obie ręce i zaczął nimi wymachiwać, chciał być

dobrze widoczny.

– „Jak”! Totó! Pamiętasz mnie?

Czas się zatrzymał. Uzbrojeni mężczyźni znieruchomieli, zamienili się w posągi. Potem ze środka willi dobiegło gardłowe pytanie;

– Salvuzzo, to ty?

– To ja. Chodź tu, „Jak”!

Drzwi otwarły się powoli i wyszedł z nich „Jak”. Był taki, jakiego Montalbano zapamiętał ze szkoły, tyle że włosy miał teraz całkiem siwe. W ręku trzymał pistolet.

– Rzuć to, „Jak”! – powiedział Montalbano, podchodząc bliżej.

I wtedy zobaczył, że oczy Toto zmieniają kolor, stają się jasnoblękitne, prawie białe. „Jak” widział wielkie lodowcowe płaskowyże, jak to ujął Nene Locicero, kiedy jeszcze pisał wiersze. Był w Tybecie, nie tutaj. W tej samej chwili jakiś kretyń strzelił do niego.

Dwóch filozofów i pojęcie czasu

Wczesnym świtem tankowiec o nazwie „Nostradamus”, który pływał po morzu dopiero dwa lata i był uznawany za cud techniki komputerowej, rzucił kotwicę na wysokości portu w Vigacie. O wejściu do portu nie było mowy: wcisnęłaby się tu tylko jedna czwarta statku, a trzy czwarte wystawałoby w morze. Kapitan już w nocy zawiadomił przez radio kapitanat. Że z powodu awarii muszą stać na redzie co najmniej cztery dni.

Około piątej po południu wielki gumowy ponton motorowy przewiózł na ląd sześciu marynarzy w eleganckich garniturach i krawatach. Nie sprawiali wrażenia ludzi obytych z morzem, do jakich vigatyjczycy byli przyzwyczajeni. Wyglądali na urzędników bankowych, którzy wyszli na lunch: byli na pewno wykształceni, uprzejmi i dyskretni. Stanowili niemal połowę załogi: tym ciężkim bydlęciem kierowała już elektronika, a nie ludzie z krwi i kości.

Ta szóstka nie tylko nie miała na sobie marynarskich mundurów, ale też nie zachowywała się jak marynarze. Czterech poszło do kina, a mając do wyboru dwa filmy *Gorące usta królowych plaży* i *Powinowactwa z wyboru*, zdecydowało się na ten drugi. Piąty wszedł do sklepu papierniczego, gdzie sprzedawano również książki, wybrał kilka powieści kryminalnych i jedną zaczął natychmiast czytać przy stoliku w kawiarni „Castiglione”, zamawiając jedno po drugim gorące cappuccino, bo dzień był chłodny. Szósty kupił chyba setkę kart telefonicznych, wszedł do kabiny, wkładał je po kolei do aparatu i czuł się jak u siebie w domu.

O wpół do ósmej spotkali się w sześciu i poszli do gospody „San

Calogero” coś zjeść i czegoś umiarkowanie się napić, a w godzinę później byli z powrotem na pontonie, który odwiózł ich na tankowiec.

Trzy jawne miejskie prostytutki, Mariella, Graziella i Lorella, widząc okręt w porcie, spodziewały się naturalnie wzmożonych dochodów. Nic więc dziwnego, że były zawiedzione i rozgoryczone. Porozumiały się przez telefon i zgodnie doszły do wniosku, że ci panicze nie tylko nie są marynarzami, ale też nie są mężczyznami.

Może winę trzeba zrzucić na ropę naftową, którą przewozili i której opary najwyraźniej źle wpływały na organy pozwalające mężczyźnie być mężczyzną? Wyrozumiałe kobiety mogły tylko współczuć tym „błaznom bez jaj”.

O dziesiątej wieczorem ponton wrócił do portu i przywiózł dwóch innych członków załogi. Jakby pływali na innym statku. Byli marynarzami starej daty, co natychmiast udowodnili. Jeden, Gino, zaraz poszedł do tawerny Pipii i wypił, nie zwracając sobie głowy jedzeniem, dwa litry wina, a potem wypytał o adres i udał się do Lorelli. Jego kolega, Ilario, obrał kierunek odwrotny: zaczął od Marielli i Grazielli, bo wolał to hurtem mieć za sobą, a skończył w tawernie Pipii.

Tutaj, za kwadrans jedenasta, przyszedł do niego Gino. Wyglądało na to – jak twierdzili klienci, niestety nieliczni, bo jak na Vigatę była to już późna pora – że jest zdenerwowany i zły. Nie chciał wypić ostatniej szklanki, jaką postawił mu Ilario. Wyszli z tawerny, nie przerywając ożywionej rozmowy, ale trudno było się zorientować, o co chodzi. Bez wątpienia skierowali się na nabrzeże, gdzie był zacumowany ponton.

Przed północą Lorella, słysząc pukanie do drzwi, poszła otworzyć i zobaczyła przed sobą zamaskowanego mężczyznę, który bez słowa wepchnął ją do środka i tak mocno uderzył w twarz, że zemdląła. Kiedy po jakimś czasie odzyskała przytomność, stwierdziła, że nieznajomy nie tylko

ukradł jej dwa łańcuszki, złotą bransoletkę, zegareczek, czterysta lirów i przenośne radio, ale jeszcze na dodatek ją zgwałcił.

Popędziła od razu do komisariatu złożyć doniesienie. Twierdziła, że mężczyzna, który ją wykorzystał, miał wprawdzie twarz zasłoniętą golfem, zaciągniętym po nos, i marynarską czapkę ściągniętą na oczy, ale był podobny do jej ostatniego klienta, tego Gina z „Nostradamusa”.

– Opowiedz mi teraz po kolei i dokładnie, jak wczoraj wieczorem wyglądały twoje zabawy z marynarzem – powiedział do Lorelli komisarz następnego dnia rano. – Mów jak należy, bo to w twoim interesie.

– Marnie wyglądały, komisarzu.

– Nie kręć, Lore.

Lorella chciała się uśmiechnąć, ale tylko skrzywiła się z bólu. Miała rozcięte wargi, siny i spuchnięty nos.

– Zaraz panu opowiem, dlaczego tak to wyglądało, jak mówię. Kiedy ten marynarz wpadł do mnie, był jak wygłodniały pies i żartował, że już od miesiąca chciał się dorwać do kobiety. Rozebraliśmy się, poszliśmy do łóżka – i nic. Nie dawał rady. Namęczyłam się z nim, robiłam, co mogłam. Wszystko psu na budę. Jakby go nie było. Kiedy zrozumiał że nic z tego, ubrał się. Powiedziałam, że ma mi zapłacić, a on odpowiedział, żebym się pocałowała. Wrzeszczał, że to z mojej winy nic mu nie wychodzi, jak powinno. W końcu zapłacił ale mi groził.

– Co ci powiedział?

– Przechwalał się, że sobie z tym poradzi, że nie takie rzeczy stawiał sztorcem. I że nawet zrobi to ze mną, ale w inny sposób. A co zapowiedział, to zrobił, sukinsyn.

– Wytłumacz mi to jaśniej.

– Co tu tłumaczyć? Mało to jest podobnych? Taki musi się wyżyć, tłuc na odlew jak rozbójnik i dopiero jak zobaczy krew, to jako tako mu idzie. Chyba to jasne?

– Całkiem jasne. Jesteś pewna, że to był ten sam?

– Nie, komisarzu, nie mogę być pewna. Widziałam go przez chwilę, a głowę miał zasłoniętą. Ale był tej samej postury...

– Dobrze, Lore, możesz iść.

Skoro Lorella nie upierała się, że na sto procent rozpoznała napastnika, pewnie mówiła prawdę. Montalbano instynktownie nie ufał tym, co zaklinają się, że wszystko z absolutną pewnością widzieli, i gotowi są za swoją prawdę włożyć rękę w ogień. Kończą najczęściej jak Mucjusz Scewola: wyjmują rękę zwęgloną. Wszystko mówiło komisarzowi, że prawdziwe świadectwo musi kryć w sobie ziarno niepewności, sprzeczności, wątplenia.

Zwrócił się o pomoc do kapitanatu portu i posłał na tankowiec swoich agentów, żeby aresztowali marynarza Gina Rocchiego. Kiedy wrócili, Fazio opowiedział mu, że kapitan „Nostradamusa” długo się nie zgadzał na wydanie podwładnego. Rewizja w kajucie, którą Rocchi dzielił z trzema innymi członkami załogi, nie dała rezultatu. Marynarz miał dostatecznie dużo czasu, żeby dobrze ukryć skradzione przedmioty. Upierał się, że jest niewinny, że wszedł na ponton razem z kolegą i ruszyli prosto na statek przed wpół do dwunastej. Wartownik na tankowcu zaklinał się, że obaj weszli na pokład około wpół do dwunastej lub najdalej za kwadrans dwunasta, nie wcześniej i nie później. Taki ktoś, aby pomóc koledze, zaklinałby się zawsze jak trzeba, kiedy trzeba i na co trzeba.

– O co panu chodzi?

– O prawdę – odpowiedział szorstko Montalbano.

Mężczyzna, który siedział naprzeciw jego biurka, uśmiechnął się z wyższością.

Miał może pięćdziesiąt lat, wyglądał jak typowy marynarz, to znaczy jak statysta w drugorzędnym filmie przebrany za marynarza. A nawet gorzej, bo jak skrzyżowanie pirata „Drewniana Noga” z korsarzem „Żelazna Ręka”.

Był przysadzisty, miał strzyżoną bródkę jak Cavour, nosił czarne, rozszerzane dołem spodnie, koszulkę w poprzeczne czerwone i białe pasy i drewniane sandały. Żeby ten kostium wypadł jeszcze bardziej teatralnie, z lewego ucha zwisało mu duże złote kółko.

Komisarz chciał go spytać, dlaczego na „Nostradamusie” część załogi ubiera się jak księgowi, a druga część jak piraci. Rozmyślił się jednak i powiedział:

– Czemu pan się uśmiecha?

Ten marynarz od pierwszej chwili wydał się komisarzowi antypatyczny; Montalbano musiał się pilnować, żeby go nie potraktować źle.

– Do jakiej prawdy pan się odwołuje, panie komisarzu? Chyba nie do tej absolutnej, bo ta nie istnieje. Prawda jest jak pryzmat, musimy się zadowolić tylko tą jej stroną, która dane nam jest oglądać.

Na domiar złego ten pirat okazał się domorosłym filozofem! Komisarza to tak rozdrażniło, że nie przypilnował się i popełnił błąd.

– Jak się pan nazywa, proszę pana?

– Ilario Burlando.

Co z grubsza biorąc znaczy: Wesoły Kpiarz.

– I myśli pan, że można brać poważnie wywody kogoś, kto nosi takie nazwisko?

Komisarzowi wyrwała się ta złośliwość niemal bezwiednie i od razu tego pożałował.

– A gdybym się nazywał, dajmy na to, Onorio Del Vero, zabrzmiałoby to panu jak Honorowy Prawdomówny i natychmiast by mi pan uwierzył? Przykro mi, panie komisarzu, że nie mogę podzielać pańskiego banalnego konformizmu.

Sam tego chciał. Więc przełknął to i nie zripostował.

– Przyszedł pan tu po to, żeby nas zapewnić...

– Przyszedłem spontanicznie. To, że pańscy ludzie mnie nie przesłuchali, musi oznaczać, że z góry przesądzi o winie Gina.

– ...żeby nas zapewnić, że pan i pański kolega za kwadrans dwunasta byliście już na statku. A ponieważ napaść miała miejsce dokładnie o tej godzinie, nie mógł jej dokonać Gino Rocchi.

– Właśnie o tym zapewniam.

– Odłóżmy to. Najpierw proszę mi powtórzyć, co opowiadał pański przyjaciel, kiedy przyszedł do tawerny Pipii. Podobno był zdenerwowany.

– Mam na to odpowiedź precyzyjną i nieomylną. Gino był wściekły, bo nie powiodło mu się z kurwą. Przysięgał mi, że wina leży po jej stronie, bo była zimna jak bryła lodu.

Montalbano nie spodziewał się takiej odpowiedzi, zaczął więc słuchać uważniej.

– I nie zapowiedział, że chce się na niej zemścić?

– Tylko o tym mówił. Był całkiem zalany. Ale potrafiłem go uspokoić i nakłonić do powrotu na ponton.

– Jak więc tłumaczy pan to, że wypadki potoczyły się dokładnie tak, jak chciał Rocchi?

Ilario Burlando skupił się jak prawdziwy myśliciel.

– Mam na ten temat dwie hipotezy.

– Proszę mi je przedstawić.

– Pierwsza powiada, że zaszła tu na odległość konkretyzacja pragnienia, właściwa woli na tyle silnej, że...

– Niech mi pan nie zawraca dupy. Żegnam pana – wycedził bezlitośnie Montalbano,

– Przyszedłem, żeby uchronić podejrzanego przed aresztowaniem – oświadczył komisarzowi profesor Guglielmo La Rosa, mężczyzna po siedemdziesiątce, który był kiedyś docentem teorii filozofii na jakimś uniwersytecie. – Ale wcześniej – dodał – chciałbym, żeby mi pan odpowiedział na kilka pytań.

Wyciągnął z kieszeni karteczkę i rzucił na nią okiem. Zmarszczył czoło, złożył karteczkę, schował z powrotem. Najwyraźniej nie o tę mu chodziło.

Wyjął inną, skrzywił się, ta także była niewłaściwa.

Montalbano patrzył na niego nieżyczliwie. Miał awersję do profesorów filozofii, paraliżowali go, a zaczęło się to jeszcze w liceum, kiedy profesor Javarone, nieprzystępny i surowy, wycisnął z niego siódme poty pytaniami o poglądy Kanta.

– Nie znajduję swoich notatek – powiedział La Rosa. – Rezygnuję, zadam panu tylko jedno pytanie.

Komisarz poczuł, że oblewa go zimny pot. „Przepadłem, nie przejdę do następnej klasy” – przemknęło mu przez myśl. Najwyraźniej byt znowu w szkolnej ławce,

– O której godzinie... dokładnie o której... nastąpiło tamto zdarzenie?

Montalbano odetchnął z ulgą. Na to pytanie był przygotowany, poradzi sobie.

– Przed północą. Tak zeznała ta...

Kurwa? Jak ją nazwać, by nie urazić jego ucha? Przecież jest profesorem filozofii. Dziewczyna? Gdyby nie miała czterdziestki, jak ma...

– Ofiara – pomógł mu profesor.

– Właśnie: ofiara – powtórzył za nim komisarz, jeszcze niepewny i zmieszany.

– Jeśli zatem sprawa tak się przedstawia, marynarz w niczym nie zawinił – oświadczył kategorycznie profesor.

Montalbano wciąż jeszcze siedział w ławce szkolnej, wykręcał sobie palce.

– Proszę mi wybaczyć. Skąd pan to wie?

– Wiem, bo wczoraj wieczorem, około jedenastej dziesięć, byłem na nabrzeżu i widziałem dwóch marynarzy, którzy szli do gumowej łodzi.

– Przepraszam, panie profesorze. Co pan robił o tej porze na nabrzeżu?

– Rozmyślałem. Drogi komisarzu, chłód służy myślom, klaruje je. Mniejsza o to. W każdym razie wprost z nabrzeża poszedłem do apteki, do tej jedynej, która miała nocny dyżur. Wdałem się w rozmowę z właścicielem i trwało to do północy. Mogę się mylić o minutę, nie więcej, nie mniej. Mam pewność, bo zanim wszedłem do środka, sprawdziłem godzinę. Była jedenasta trzydzieści. Kiedy wracałem do domu, szedłem nabrzeżem i łodzi już nie było. Łatwo o wniosek.

Ma na myśli wniosek niewątpliwy. Ten jeden: lapidarny i pewny. Koniec.

Montalbano rozłożył ręce, rozczarowany i pogodzony.

Kiedy wyszedł profesor La Rosa, wezwał Fazia i kazał mu zwolnić z aresztu marynarza Gina Rocchiego.

Swoim brakiem wątpliwości – swoim wahaniem o amplitudzie minuty, nie więcej, nie mniej – profesor Guglielmo La Rosa skomplikował mu dochodzenie, które wydawało się nadzwyczaj proste.

Poczuł, że za chwilę wpadnie w kwaśny humor i tak już pozostanie do

końca dnia. Obronić przed tym mogła go tylko gospoda i dobry obiad. Popatrzył na zegarek i stwierdził, że nie chodzi. Zapomniał go nakręcić. Przyszło mu nagle do głowy: a jeżeli zegarek profesora też wskazywał niewłaściwy czas?

Zerwał się, pobiegł za profesorem, dogonił go parę kroków od komisariatu.

– Panie profesorze, przepraszam, można rzucić okiem na zegarek?

– Na jaki zegarek?

– Na pański.

– Nie mam zegarka. Nigdy nic takiego nie noszę. Nie cierpię zegarków, gardzę nimi, zbyt mechanicznie przybliżają nas do naszego kresu.

Banalne to, gorzej niż banalne! Wreszcie komisarz pozbył się na dobre lęku przed profesorem filozofii.

– Jak w takim razie mógł pan widzieć, że było wpół do dwunastej, kiedy pan wchodził do apteki? Nie więcej i nie mniej niż minuta, jak pan powiedział.

– Proszę pozwolić ze mną.

Montalbano zrównał się z nim, profesor mimo swego wieku szedł szybkim krokiem.

– Sam się pan przekona – powiedział Guglielmo La Rosa, wskazując na sklep zegarmistrza Scibetty, znajdujący się naprzeciw apteki.

Reklamę sklepu stanowił ogromny zegar z rzymskimi cyframi, który wisiał na żelaznej sztabie nad wejściem. Z tego zegara miasto było dumne, bo nigdy nie zawodził. Montalbano zrozumiał, że nie udało mu się podważyć zeznań profesora. Ten zegar był od środka podświetlony, godzinę na nim widziało się w dzień i w nocy.

– Chciałbym pana przeprosić... – zaczął. I nagle umilkł, zobaczywszy zdumioną twarz Guglielma La Rosy.

– Co się stało, panie profesorze?

– Jak mogłem tak się pomylić! – rzucił retoryczne pytanie profesor. Mówił szeptem, do samego siebie. Ale Montalbano to usłyszał.

– Chciałbym wiedzieć coś więcej.

La Rosa bez słowa wskazał na zegar, na którym była dwunasta trzydzieści.

– I co z tego? – spytał komisarz, tracąc już cierpliwość.

– Dopiero w tej chwili zrozumiałem, że wczoraj wieczorem...

– Na Boga, proszę dokończyć!

Komisarz wyzwolił się już ze szkolnej ławki. Przepadła, była daleko, gdzieś za mgłą.

– Wczoraj wieczorem nie patrzyłem na ten zegar, tylko na jego odbicie w witrynie. Zmyliło mnie położenie wskazówek!

Montalbano odwrócił się i popatrzył.

Odbity w witrynie apteki zegar wskazywał jedenasta trzydzieści. Wszystko to, o czym mówił profesor, trzeba zatem przesunąć w czasie, wszystko działa się o godzinę później. Jego alibi zmieniło się w obciążające oskarżenie.

A ponieważ Montalbano nie mógł wpakować do więzienia za fałszywe zeznania profesora Guglielma La Rosy, filozofa znakomitego, kazał aresztować, oprócz Gina Rocchiego, także jego współnika, Ilaria Burlando, filozofa pośledniego.

Pięćdziesiąt par podkutych butów

Kiedy w 1943 roku Amerykanie wylądowali na Sycylii, rozpowszechnił się zwyczaj noszenia wysokich butów na gumowej podeszwie, w jakie była wyposażona ich armia, a tym samym wyszły z użycia buty podbite gwoździami, jakie nosiła nasza piechota i miejscowi chłopci. Michele Borruso, właściciel stada kóz w Castro, wykorzystał zamęt wywołany lądowaniem wojsk alianckich i wyniósł z włoskiego magazynu wojskowego, porzuconego w pośpiechu, pięćdziesiąt par tych ciężkich butów. Mogły wystarczyć dla całej rodzinnej dynastii. Kiedy zmarł, syn Gaetano odziedziczył kozy, pastwiska i czterdzieści osiem par butów. W kilka lat później Gaetanowi ukradziono stado kóz, jednak wyglądało na to, że sprawa rozejdzie się po kościach, bo poszkodowany nie tylko nie złożył doniesienia, ale nawet nie rozpowiadał, że zemści się na złodziejach. Dlatego złodzieje, przekonani, że druga kradzież ujdzie im na sucho tak jak pierwsza, i widząc, że Gaetanowi Borruso i tak świetnie się wiedzie, odważyli się tym razem przywłaszczyć sobie setkę kóz. W dwa tygodnie po drugiej kradzieży, na brzegu strumienia Billotta, znaleziono Casia Alletto, człowieka bezwzględnego, którego wszyscy w mieście mieli za przywódcę bandy kradnącej bezkarnie wszystko, co chodzi na czterech nogach. Został zmasakrowany kamieniami, pałą, kopniakami i pięściami. Zabrano go do szpitala w Villalcie, ale zmarł po drodze. Było dla wszystkich oczywiste, że przyłożył do tego rękę Gaetano Borruso: wskazywały na to ślady podkutych butów na twarzy Casia Alletto.

Dwa dni po tamtym zdarzeniu kwesor z Villalty został zawiadomiony, że

komisarz De Rosa, oddelegowany do Castro, miał wypadek; spadł na polowaniu z konia. Nie mógł się wobec tego zająć sprawą. Kwestor posłał na miejsce Salva Montalbano, w tamtym czasie trzydziestoletniego, żeby pomógł miejscowemu brygadierowi Bille, na którego barki spadł cały ciężar dochodzenia, tylko na pozór bardzo prostego.

Jeżeli dochodzenie uważano za proste i łatwe, nie można było tego powiedzieć o wspinaczce na wzgórze, która rankiem podjęli Montalbano i Bille. Mieli dojść na szczyt, gdzie Borruso zbudował prosty parterowy dom z kamienia niełączzonego zaprawą i gdzie mieszkał na stałe. Mając nieźle pieniądze, na pewne mógł sobie pozwolić na większy i wygodniejszy dom, ale to nie wchodziło w grę: kłóciłoby się ze zwyczajami członków rodziny Borruso, którzy byli nie tylko pasterzami kóz, ale też chcieli za takich uchodzić. Montalbano i Bille przejechali z Castro cztery kilometry samochodem, a potem musieli go zaparkować i rozpocząć żmudną wspinaczkę. Bille szedł przodem, Montalbano za nim, a ścieżka w górę była tak niewygodna, że pewnie nawet kozy niechętnie z niej korzystały. Brygadier Bille, pod którego policyjnym mundurem na pewno kryło się ciało górskiego fauna skakał zręcznie z kamienia na kamień, za to Montalbano potykał się, sapał i dyszał. Pierwszy kwadrans wspinaczki wykorzystał na ustalenie z grubsza linii przesłuchania Borrusa (po kwadransie już trudno mu było zebrać myśli). Postanowił, że musi go podejść subtelnie i taktownie. W ciągu drugiego kwadransa te chwalebne zamiary jednak się załamały, więc postanowił: kiedy ten łajdak zacznie sam sobie przeczyć, natychmiast go aresztuję. Nie mógł się łudzić, że gdzieś w domu Borrusa znajdzie podkute buty zaplamione krwią – pasterz miał przecież czterdzieści siedem zapasowych par i już dawno zmienił tamte na inne.

Ranek był jasny i przejrzysty jak świeżo umyta szyba. Błękitne niebo

oznajmiało całemu światu, że w tych górach jest dwa razy bardziej błękitne niż gdzie indziej, a drzewa i krzewy z całą mocą konkurowały z niebem swoją zielenią, która tutaj także wydawała się bardziej zielona. Trzeba było przymknąć powieki, bo jaskrawe kolory raziły oczy, a nozdrza wchłaniały tymczasem ostre powietrze. Po półgodzinnej wspinaczce Montalbano uznał, że musi odpocząć. Ze wstydem powiedział o tym brygadierowi. Ten jednak oznajmił mu, że w połowie drogi leży dom znajomego chłopca i tam się zatrzymają.

Kiedy doszli na miejsce, zastali dwóch mężczyzn i kobietę siedzących przy starym drewnianym stole. Przed nimi leżała wielka sterta ziarna, które czyścili. Niemal nie zwrócili uwagi na przybycie dwóch obcych. Podbiegł do nich nieporadnie tylko trzyletni chłopczyk, stawiając nogi niepewnie jak dopiero co urodzone cielątko.

Rękami ubrudzonymi marmoladą wczepił się w spodnie Montalbana. Kobieta, z pewnością jego matka, zerwała się, podbiegła i wzięła dziecko na ręce.

– Wszędzie go pełno! Nie upilnujesz, nie zgadniesz, co wymyśli. Jakby go diabeł gonił!

– Dzień dobry, brygadierze – powiedział jeden z mężczyzn, wstając.

Drugi nie ruszył się z miejsca, podniósł tylko dwa palce do daszka kaszketu.

– Wybacz, Peppi, że wam przeszkadzamy – powiedział brygadier. – Ale szliśmy tędy z komisarzem Montalbano, no to jak nie wstąpić? Dałbyś szklanek wody?

– Wody? W wodzie ludzie się topią! Siadajcie, przyniosę wina, na zmęczenie lepsze wino – powiedział Peppi, wchodząc do domu.

Kobieta z dzieckiem na ręku poszła za nim.

– Nie gniewajcie się! – krzyknął za nimi Montalbano. – Wolę wodę, naprawdę. – A chcąc się usprawiedliwić, dodał: – Nigdy nie piję na pusty żołądek.

– Na to łatwo zaradzić, coś dla was znajdę.

– Nie, nie, dziękuję. Chciałbym tylko szklanę wody.

Usiedli przy stole. Mężczyzna w kaszkiecie nie przerywał pracy.

– Jak ci teraz, Toto? – zagadnął go brygadier.

– Lepiej – odpowiedział sucho mężczyzna.

– Chorował pan? – spytał uprzejmie Montalbano. Jednocześnie spostrzegł, że Bille się zmieszał.

– Tak, chorowałem – odpowiedział Toto i nagle spojrzął komisarzowi prosto w oczy. – Jak pana zdaniem, a pan jest uczony, ma się nie rozchorować człowiek, który siedzi sześć miesięcy w więzieniu, choć wie, że jest niewinny?

– Karabinierzy wpakowali Toto do więzienia – wyjaśnił Bille – bo pomylili go z kimś innym. Szło o...

– Jest i woda, i wino – przerwał mu Peppi, nadchodząc.

Nie przyniósł szklanki z wodą, tylko wielki gliniany dzban. Zroszony, co świadczyło o tym, że trzymano go we właściwym miejscu. Montalbano przytknął usta do krawędzi i pociągnął duży łyk świeżej wody. Tymczasem Bille wypił szklanę wina. Kiedy wstali, żeby ruszyć dalej, mężczyzna w kaszkiecie podniósł się, uścisnął komisarzowi rękę i jeszcze raz popatrzył mu głęboko w oczy.

– Niech pan pamięta, żeby nie urządzić Gaetana Borruso tak, jak mnie urządzili – powiedział.

– Co on miał na myśli? – spytał Montalbano, kiedy znowu zaczęli się

wspinać w górę.

Brygadier przystanął, odwrócił się i wyjaśnił:

– Miał na myśli to, co pan usłyszał. Nie wierzy, że to Tano Borruso zabił Casia Alletto.

– Skąd on to może wiedzieć?

– Tutaj wszyscy tak myślą.

– Pan też, brygadierze?

– Ja też – potwierdził rzeczowo Bille.

Montalbano pomilczał chwilę, zanim się odezwał.

– Wy tłumaczy mi pan dlaczego?

Brygadier znowu zatrzymał się i odwrócił.

– Mogę pana o coś spytać, panie komisarzu?

– Proszę bardzo.

– Widzi pan, komisarz De Rosa nakazałby mi pójść po Borrusa i przyprowadzić go do komisariatu. A kiedy pana spytałem, czy mam go przyprowadzić, odpowiedział mi pan, że woli pójść razem ze mną. Nawet jeśli będzie to taka mordęga jak ta. Dlaczego pan tak wołał?

– Wie pan co, brygadierze? Pewnie dlatego, że wolę zobaczyć osobę, którą mam się zająć, w jej codziennym otoczeniu. Może się mylę, ale chyba dzięki temu rozumiem lepiej, z kim mam do czynienia.

– I tutaj właśnie o to chodzi, panie komisarzu. Wszyscy w mieście dobrze rozumiemy, jaki jest Tano Borruso.

– A jaki jest?

– Taki, że nie skrzywdziłby chwastu ani pokrzywy. A miałby zabić człowieka?

Uśmiechnął się i nie odrywając oczu od Montalbana, powiedział:

– Nie weźmie pan za złe komuś, kto ma za sobą trzydzieści lat służby i idzie już na emeryturę, jeżeli panu coś powie?

– Naturalnie. Proszę powiedzieć.

– Kiedy byłem młody, bardzo chciałem pracować u kogoś takiego jak pan.

Cały dom Gaetana Borruso składał się z jednego dużego pomieszczenia. Za domem ciągnął się wielki plac, z którego dochodziło głośnie beczenie. Przed domem była platforma z ubitej ziemi, a wzdłuż niej długa pergola porośnięta winoroślą. Komisarza zdumiało, że pod pergolą stoi chyba ze dwadzieścia prymitywnych stołków zbitych z gałęzi. Na trzech siedzieli mężczyźni, zapamiętale ze sobą dyskutując. Przycichli, zobaczywszy na ścieżce brygadiera i Montalbana. Najstarszy uniósł rękę w przepaszającym geście, dając do zrozumienia, że chwilowo jest zajęty. Bille pojął, o co chodzi, wyniósł spod pergoli dwa stołki i ustawił je w pewnej odległości w cieniu.

Usiedli. Montalbano wyjął paczkę papierosów, poczęstował brygadiera.

Kiedy palili, komisarz nie mógł się powstrzymać i od czasu do czasu rzucał okiem w stronę tamtych trzech, którzy wciąż z pasją rozmawiali. Bille to spostrzegł i wyjaśnił:

– Widocznie porządkuje, co trzeba.

– Ci dwaj pracują u niego przy kozach?

– Nie, Borruso ma ośmiu ludzi, którzy dbają o kozy, robią ser i wszystko inne. Ale ci dwaj u niego nie pracują.

– To dlaczego pan powiedział, że coś z nimi porządkuje? O jaki porządek chodzi?

– O sprawiedliwość.

Montalbano popatrzył na niego zdumiony. A brygadier łagodnie

i wyrozumiale, tonem, jakim należy zwracać się do dzieci albo do ludzi niezbyt sprawnych umysłowo, wytłumaczył:

– Panie komisarzu, wszyscy wiedzą, że Gaetano Borruso to człowiek mądry i doświadczony. Zawsze jest gotów pomagać innym, dla każdego ma dobre słowo. Dlatego kiedy między ludźmi coś się pogmatwa i zanosi się na awanturę, przychodzą tutaj i rozmawiają z nim. Takie tu zwyczaje.

– I potem robią tak, jak im doradza?

– Robią, komisarzu. Zawsze tak robią.

– A jeśli najdzie ich ochota zrobić inaczej?

– Kiedy znajdą rozwiązanie bardziej sprawiedliwe, Borruso się pod nim podpisuje. Bo jak się myli, zawsze się do tego przyznaje. Ale jeżeli nie umieją się powstrzymać i przechodzą od słów do czynów, Borruso nie chce ich więcej widzieć. A człowiek, którego Borruso nie chce widzieć, staje się kimś, z kim nikt nie chce mieć do czynienia. Najlepiej wtedy, aby się stąd wyniósł. A mówiąc „stąd” nie mam na myśli tylko Castro.

– Typowy przykład stosunków mafijnych – powiedział Montalbano. Nie mógł sobie odmówić takiego komentarza.

Twarz brygadiera, ta twarz smagłego fauna, stężała.

– Jeśli pan tak rozumie mafię, panie komisarzu, to proszę mi wybaczyć, ale nie ma pan pojęcia, co to takiego. Czy do kieszeni Borrusa coś wpada dzięki temu, że robi to, co robi?

– Coś wpada. Władza.

– Odpowiem na to jako gliniarz – odezwał się po chwili namysłu brygadier. – Sprawdziliśmy, że Borruso używa swojej władzy tylko w jednym celu: żeby zapobiec rozlewowi krwi. Znał pan komisarza Mistrettę, który zginął w strzelaninie sześć lat temu?

– Nie, nie znałem.

– Pan mi go przypomina. On tu przychodził odwiedzać Borrusa, którego przypadkiem gdzieś poznał. I coś mi powiedział. Wie pan co? Że Borruso to król pasterzy. Jakby przetrwał z pradawnych czasów. I wyjaśnił mi, kim byli królowie pasterzy.

Montalbano znowu zaczął spoglądać w stronę pergoli. Tamci już wstali, pili kolejno wino z flaszki, którą wcześniej Borruso trzymał na ziemi przy swoim stołku. Nie było to zwyczajne picie. Ich powolne gesty, spojrzenia, jakie ze sobą wymieniali po każdym łyku, wyglądały jak dopełnianie rytuału. Każdy pociągnął trzy łyki, a na koniec uścisnęli sobie ręce. Dwaj, którzy rozmawiali z Tanem, odeszli, żegnając bez słowa, tylko wzrokiem, Bille i Montalbana.

– Proszę, proszę tutaj – powiedział Borruso, zapraszając ich gestem ręki pod pergolę.

– Doktor Montalbano i ja – wyjaśnił Bille – przyszliśmy w sprawie zabójstwa Casia Alletto.

– Czekalem na was. Chcecie mnie aresztować?

– Nie – zaprzeczył Montalbano.

– Chcecie mnie przesłuchać?

– Nie.

– A czego chcecie?

– Porozmawiać z panem.

Montalbano natychmiast zauważył zmianę w stojącym przed nim mężczyźnie. Wcześniej zadawał pytania z rezygnacją i obojętnością, teraz patrzył już na nich uważnie. Komisarz sam się zdumiał swoim spostrzeżeniem. Przecież kiedy się tu wspinał, obiecywał sobie aresztować Borrusa pod byle pretekstem. A teraz chciał z nim dłużej obcować.

Usiedli. I Montalbano zobaczył tę scenę, jakby patrzył na nią obcymi

oczami. Siedzieli z brygadierem na tych samych stołkach, na których wcześniej siedzieli chłopci, jakby znaleźli się w ich sytuacji i oczekiwali sprawiedliwego sądu Borrusa. A przecież to oni dwaj reprezentowali tutaj sprawiedliwość. Borruso zaś, jeśli nawet nie był oskarżonym, to był co najmniej podejrzanym. Ale Gaetano siedział na swoim stołku z naturalną prostotą i powagą prawdziwego sędziego.

– Napijcie się, panowie, wina? – spytał, wskazując butelkę.

Bille kiwnął głową i pociągnął spory łyk, Montalbano odmówił uprzejmym gestem ręki.

– To nie ja zabiłem Casia Alletto – powiedział cicho, spokojnie Borruso. – Gdybym go zabił, zgłosiłbym się do komisariatu.

Każde wypowiedane przez niego słowo brzmiało w szczególny sposób, gdyż tak właśnie brzmią słowa prawdy.

– Dlaczego myślicie, że to moja robota?

– Bo wszyscy wiedzieli, że to Alletto ukradł panu kozy – powiedział Montalbano.

– Nie odebrałbym życia drugiemu, nawet gdyby mi ukradł wszystko, co mam.

– Chodzi jeszcze o te podkute buty. Takie same jak te, które ma pan teraz na nogach.

Gaetano Borruso popatrzył na nie, jakby je oglądał po raz pierwszy.

– Te noszę od pięciu lat – powiedział. – To buty przyzwoite, solidne. Tamte, które przydzielali naszym żołnierzom w Rosji podczas ostatniej wojny, miały, jak mówią, podeszwy z tektury. Te mają skórzane, jak należy. Ojciec do końca życia zużył tylko jedną parę. Miał je na nogach, kiedy umarł na polu; kopał w nich ziemię. Jak ubierałem go do trumny, włożyłem mu na nogi nową parę. Zostało wtedy jeszcze czterdzieści osiem par.

– I tyle ma pan teraz?

Gaetano Borruso zmrużył jasne oczy.

– To druga para, jaką noszę. Dopiero od roku. Zostałoby mi w takim razie jeszcze czterdzieści sześć. Ale pięć par podarowałem biedakom, którzy byli w potrzebie.

Zauważył jakąś zmianę w oczach Montalbana.

– Niech pan źle nie myśli, komisarzu. Ludzie, którym dałem te buty, żyją i ciągle w nich chodzą, ale z zabiciem Alletta nie mają nic wspólnego. Nie zwalam winy na nich. W razie czego może pan to sprawdzić.

– Ma pan więc czterdzieści jeden par.

– Tyle powinienem mieć. Ale przeliczyłem je i mam tylko czterdzieści.

– Brakuje jednej pary?

– Brakuje, komisarzu. Kiedy dowiedziałem się, że na twarzy Casia Alletto były ślady gwoździ, poszedłem sprawdzić, bo o czymś sobie pomyślałem.

– O czym?

– O tym, że ktoś mi jedną parę ukradł i użył jej tak, by się wydawało, że to moja robota. Chodźcie za mną.

Wstali i weszli do domu, do tego jedyne, wielkiego pomieszczenia. Składane łóżko z szafką po lewej, stół i cztery krzesła pośrodku, kuchnia i wielki kredens pod ścianą naprzeciw wejścia. W ścianie po prawej widać było dwoje drzwi. Jedne prowadziły do ustępu. Borruso podszedł do drugich, nacisnął klamkę, zapalił światło. Znaleźli się w dużej komórce przeznaczonej na spiżarnię i magazyn.

– Buty są tutaj – powiedział Borruso, wskazując stare półki. Montalbana mdliło i nie wiedział, jak sobie z tym poradzić.

Odkąd tu weszli, mocny zapach zjełczałego tłuszczu zaklejał mu nozdrza.

Buty stały rzędem na czterech półkach, każda para była owinięta w gazetę. Borruso zdjął jedną parę, odpakował, pokazał komisarzowi. Montalbano zrozumiał, skąd bierze się ten smród: na butach była centymetrowa warstwa tłuszczu.

– Posmarowałem je sadłem nie tak dawno – powiedział Borruso. – Ciągłe będą jak nowe.

Brygadier zaczął liczyć buty, a Montalbano sprawdzał daty na gazetach. Wszystkie były stare, na jednej z półek leżała sterta nietkniętych egzemplarzy.

– Dał mi je kioskarz w Castro – wytłumaczył Borruso, domyślając się wątpliwości Montalbana.

– ...i czterdzieści – zakończył brygadier. – Przeliczyłem dwa razy, nie pomyliłem się.

– Wychodzimy – powiedział Montalbano.

Na świeżym powietrzu mdłości zaraz minęły, odetchnął głębiej, kichnął.

– Na zdrowie.

Usiedli ponownie pod pergola.

– Jak ten złodziej, pańskim zdaniem, mógł wejść, gdy pana nie było w domu?

– Przez drzwi – odpowiedział Borruso z cieniem ironii w głosie. I dodał: – Zawsze zostawiam drzwi otwarte. Nie zamykam na klucz.

Kiedy wrócili do Villalty, Montalbano popędził zaraz do lekarza sadowego, człowieka starego i uprzejmego.

– Panie doktorze, muszę koniecznie uzyskać od pana pewną informację dotyczącą zwłok Casia Alletto.

– Jeszcze nie ukończyłem sprawozdania, ale proszę, niech pan pyta.

– Na twarzy zabitego, prócz śladów gwoździ, były też ślady tłuszczu do skóry?

– Ślady? Było tego z pół kwintala – powiedział doktor.

Następnego ranka Montalbano przyjechał do Castro późno, bo po drodze przebił koło, a sam nie umiał go zmienić, nawet nie wiedział, gdzie ma lewarek. Wszedł do komisariatu i zobaczył uśmiechniętego Bille.

– Myślę, że Borruso nie ma z tą sprawą naprawdę nic wspólnego. Rzeczy tak wyglądały, jak nam powiedział: ukradli mu buty, bo chcieli skierować na niego podejrzenie, wiedząc, że ma powody do porachunków z Casiem Alletto. Trzeba zacząć dochodzenie od nowa.

Ale Bille wciąż się uśmiechał.

– O co panu chodzi, brygadierze?

– O to, panie komisarzu, że przed kwadransiem aresztowałem zabójcę. Już się przyznał. Chciałem dać panu o tym znać, telefonowałem na kwesturę, ale mi powiedzieli, że pan już tutaj jedzie.

– I kto jest tym zabójca?

– Coco Sampietro, jeden z bandy Casia Alletto, trochę niedorozwinięty.

– Jak pan na to wpadł?

– Rano o siódmej pojawił się na targu jakiś chłop i sprzedawał bób. Przyjechał na mule. Zobaczyłem, jakie ma buty, i olśniło mnie. Ale nie robiłem hałasu, odciągnąłem go na bok i spytałem, gdzie zdobył te buty. Powiedział, niczego nie podejrzewając, że sprzedał mu je Coco Sampietro. Zaczailiśmy się i kiedy Sampietro wyszedł z domu, założyliśmy mu kajdanki. Od razu puścił farbę. Powiedział, że banda miała dość Casia Alletto, że się zbuntowała, bo nie dotrzymał obietnic.

– Ale jeśli on jest niedorozwinięty, jak pan mówi, to jakim cudem

wymyślił, żeby zrzucić winę na Borrusa?

– Nie jego głowa tak się spisała. Cały plan ułożył Stefano Botta, prawa ręka Casia.

– Gratuluję sukcesu.

– Dziękuję, panie komisarzu. Pojedzie pan z nami? Trzeba jeszcze aresztować pięć osób.

Montalbano zastanawiał się, ale tylko przez chwilę.

– Nie, nie pojadę, jedźcie sami. Wybiorę się do króla pasterzy. Będzie zadowolony, gdy się dowie, że sprawa się zakończyła.

Zabita mysz

Był piękny dzień na początku maja. O dziesiątej rano komisarz Montalbano, odkrywszy, że nie ma nic pilnego do roboty w biurze, i widząc, że jego zastępca Mimi Augello wygląda na natchnionego i zamierza poważnie pracować, wybrał się na długą przechadzkę do latarni morskiej. Uznał, że nic lepszego nie wymyśli. Po drodze wstąpił do kiosku po dużą torebkę prażonych orzeszków i pestek dyni i ruszył na wschodnie molo.

Dochodząc do ulubionej skałki pod samą latarnią, musiał nagle zejść na bok, bo inaczej postawiłby nogę na dużej martwej myszy. Do myszy Montalbano czuł obrzydzenie jak kobieta: wolał odwrócić wzrok. Poszedł dalej, ale po trzech krokach się zatrzymał.

Zaniepokoiło go coś, czego nie umiał sobie wytłumaczyć i dla czego nie znajdował żadnego uzasadnienia. Instynkt urodzonego policjanta sprawiał, że wyławiał po omacku, znikąd, na wyczucie, różne anomalie i drobne, niepasujące do siebie szczegóły, dostrzegał najmniejsze zakłócenia zwykłego, spodziewanego porządku. Zrobił kilka kroków do skałki na końcu mola i usiadł. Otworzył torebkę z orzeszkami i pestkami, ale ręka utknęła mu w środku. Nie mógł udawać, że nic się nie stało. W zasięgu jego wzroku coś zakłócało ład, wyłamywało się z normy. „Trudno – wymamrotał do siebie. – Trzeba się rozejrzeć”.

Parę metrów przed nim stała zakotwiczona rufą do przodu wielka łódź rybacka do połowów dalekomorskich. Jej gumowy ponton był przywiązany do pachołka na brzegu. Nazywała się „Święty Piotr Rybak” i była z Mazara del Vallo. Stała bez ruchu na morzu gładkim jak stół. Na pokładzie chyba nie

było żywej duszy. Trochę dalej, w kierunku miasta, siedział mężczyzna z wędką. Ponieważ siadywał tutaj stale, komisarz znał go i czasami podchodził, żeby się z nim przywitać.

I tyle. I nic więcej. Dlaczego zatem w dalszym ciągu wyraźnie odczuwał jakiś niepokój? Odruchowo rzucił okiem na martwą mysz, na której omal nie postawił nogi, i wewnętrzne napięcie gwałtownie się nasiliło. Czy przyczyną jego złego samopoczucia może być zdechła mysz? Ileż to myszy widział już, żywych i zdechłych, w dzień i w nocy, na terenie portu! Czy w tej myszy było coś szczególnego? Postawił torebkę z orzeszkami na skałce, wstał, podszedł do myszy, pochylił się, żeby lepiej się jej przyjrzeć. A jednak! Dobrze wyczuł: było w niej coś dziwnego. Rozejrzał się, zobaczył kawałek gumy i pokonując wstręt, przewrócił nim mysz na drugą stronę. Jak zazwyczaj zabija się myszy? Trucizną, rzadziej kijem czy kamieniem. Ta wyglądała na nietkniętą, tylko jakimś cienkim ostrzem rozcięto jej brzuch – jak sprawionej rybce. Tej operacji dokonano chyba niedawno, bo krew była jeszcze czerwona, tylko częściowo zakrzepła. Kto wpada na to, żeby zabijać mysz, rozcinając jej brzuch? Poczuł na plecach dreszcz jakby lekki wstrząs. Rozgoryczony wrócił na skałkę, wysypał orzeszki i pestki z torebki do kieszeni kurtki, a do plastiku włożył mysz, pomagając sobie ciągle kawałkiem gumy. Torebkę zawinął w końcu w kupioną po drodze gazetę, żeby w mieście nie rozpowiadano, że komisarzowi Montalbano już się mąci w głowie, bo spaceruje ze zdechłą myszą w ręku. Ale gdy przez gazetę dotknął miękkiego ciała zwierzęcia, zebrało mu się na wymioty. I wymiotował.

– Czego pan ode mnie chce? Nie mam żadnego pańskiego trupa już od dwóch tygodni, o co panu chodzi? – dopytywał się doktor Pasquano, lekarz sądowy, wprowadzając komisarza do swego gabinetu. Jeśli umiało się go

podejść, Pasquano stawał się człowiekiem dobrym, miłym, ale charakter miał nieznośny.

Montalbano poczuł, że się poci: najgorsze było dopiero przed nim. Nie wiedział, jak zacząć.

– Chciałem pana prosić o przysługę.

– Myślałby kto! No, dalej, komisarzu! Wykrztuś pan to z siebie, mam mało czasu.

– Już mówię. Ale musi mi pan obiecać, że nie będzie się pan na mnie złościł. Inaczej nic nie powiem.

– Jakże mógłbym się nie złościć? Cudu się panu zachciewa? Złoszczę się od rana do nocy. A po takiej przedmowie zezłoszczę się podwójnie.

– Jeżeli tak...

Montalbano wstał z krzesła. Chciał naprawdę odejść bez słowa, bo pertraktacje z Pasquanem nigdy nie były przyjemne, o czym wiedział od dawna.

– O nie, panie komisarzu! To by było za łatwe! Skoro już pan tu przyszedł, musi się pan wyzbyć tego, co pana gryzie – zatrzymał go energicznie doktor.

Komisarz w milczeniu wyjął paczuszkę, która wypychała mu kieszeń kurtki, i położył na biurku. Pasquano przysunął ją do siebie, odpakował, popatrzył i zzieleniał. Montalbano spodziewał się napadu furii, ale doktor pohamował się, wstał, podszedł do niego i położył mu po ojcowski rękę na ramieniu.

– Mam tam kolegę, jest dobrym specjalistą. Umie być dyskretny, milczy jak grób. Jeśli pan chce, pójdziemy razem.

– To weterynarz? – spytał komisarz.

– Jaki tam weterynarz! Co panu chodzi po głowie? – powiedział Pasquano, coraz bardziej przekonany, że z komisarzem nie wszystko jest w porządku. –

Psychiatra. Zajmuje się czymś takim: stres, fobie, wyczerpanie nerwowe...

Komisarz nie miał już wątpliwości. Oburzył się.

– Ma mnie pan za wariata!

– Skądże! Nic takiego – odpowiedział wyrozumiale doktor.

Podejście doktora prawdziwie rozgoryczyło komisarza. Walnął pięścią w biurko.

– Spokojnie, wszystko się jakoś ułoży – powiedział łagodnie doktor.

Montalbano zrozumiał, że jeśli tego nie przerwie, wyjdzie stąd w kaftanie bezpieczeństwa. Usiadł, przetarł chustką czoło.

– Nie mam żadnych kłopotów nerwowych, nie odbiło mi. To moja wina, że nabrał pan podejrzeń, proszę wybaczyć. Najpierw opowiem panu, dlaczego tę mysz do pana przywiozłem, a potem pan zdecyduje, czy trzeba wołać pielęgniarzy.

Telefon zadzwonił w połowie filmu szpiegowskiego z Michaeliem Caine'em, z którego komisarz rozpaczliwie starał się coś zrozumieć. Odruchowo popatrzył na zegarek, zanim podniósł słuchawkę: była jedenasta w nocy.

– Tu Pasquano. Jest pan w domu sam?

Miał głos konspiratora.

– Tak.

– Zrobiłem to.

– I co pan wykrył?

– Bardzo to dziwne. Zagazowali ją.

– Nie rozumiałem, przepraszam.

– Żeby ja zabić, musieli użyć gazu lub czegoś podobnego. A potem otworzyli jej jamę brzuszną. Zrobili laparotomię.

Montalbano był oszołomiony.

– To chyba dość zawiły sposób na pozbycie się...

– Ciszej!

– Co się z panem dzieje? Dlaczego pan tak kręci i nie mówi mi jasno, że zrobił pan sekcję tej...

– Nie umie się pan ugryźć w język? Nie wie pan, że w dzisiejszych czasach nasze telefony mogą być na podsłuchu?

– A po co?

– Gównu mnie to obchodzi po co. Niech pan spyta ich!

– To znaczy kogo?

– Ich, ich!

Może wyczerpanie nerwowe przytrafiło się doktorowi Pasquano, może to on potrzebuje pomocy, może to jego trzeba zaprowadzić do kolegi psychiatry?.

– Proszę posłuchać, panie doktorze, zastanówmy się przez chwilę. Jeżeli ktoś nas podsłuchuje i słyszy, że właśnie rozmawiamy o...

– Chce mnie pan wykończyć? Nie rozumie pan, że jeśli będziemy mówić jasno o tym... o czym pan wie, to tamci bynajmniej nie uwierzą w to, co słyszą, i uznają, że przekazujemy sobie jakieś zaszyfrowane dane. I jak potem coś im pan wytłumaczy?

Komisarz zrozumiał, że lepiej zmienić temat.

– Potrzeba mi jeszcze innych informacji, panie doktorze. Ciało wrzucone do morza wypływa na powierzchnię. Po jakim czasie?

– Po czterdziestu ośmiu godzinach, z grubsza licząc. Ale powiem panu bez ogródek, panie komisarzu: jeżeli przyniesie mi pan drugą, to obie razem natychmiast wyrzucę przez okno.

Nie mógł usnąć.

O szóstej rano, już ogolony i ubrany, zatelefonował do swego zastępcy, Mimi Augella.

– Mimi, tu Montalbano.

– Co jest? Co się dzieje? O takiej zaszanej godzinie... Która to?

– Mimi, nie pytaj mnie. Jeżeli jeszcze raz spytasz o coś takiego, to pożegnasz się z zębami, kiedy się spotkamy. Zrozumiałeś?

– To nietrudno zrozumieć.

– Chodzisz czasem na ryby?

– Naturalnie.

– Masz siatkę, mógłbyś mi pożyczyć?

Po drugiej stronie zapanowało całkowite milczenie. Ale połączenie nie zostało przerwane, bo komisarz słyszał wyraźnie oddech Augella.

– Czemu nie odpowiadasz, kutasie?

– Bo musiałbym cię naprzód o coś spytać.

– Pytaj, trudno. Ale tylko raz.

– Nie zrozumiałem, co masz na myśli, mówiąc o siatce. Chodzi ci o torbę na ryby?

– Siatkę, koszyk, podrywkę, nie wiem, jak wy, wędkarze, to nazywacie. Masz?

– Aha! Nie mam niczego takiego, nie używam sieci. To znaczy... coś podobnego mam.

– Masz czy nie masz?

– Mam, ale to zabawka, dobra dla dziecka. Zostawił ją u mnie siostrzeniec, kiedy był tu na wakacjach.

– Nieważne, co to. Pożycz mi. Za pół godziny jestem pod swoim domem.

Nie dawała mu spokoju myśl, że ktoś może go zobaczyć, jak z podrywką na ryby i teatralną lornetką w ręku wpatruje się z końca mola nie w horyzont, tylko w skały na dole. Na szczęście nie było w pobliżu nikogo, a „Święty Piotr Rybak” odpłynął. Wkrótce zrozumiał, że coś tu jest nie tak, jak trzeba, i że te jego obserwacje są całkiem bezużyteczne. Postanowił zrobić próbę. Znalazł w kieszeni kurtki bilet kolejowy, który leżał w niej od niepamiętnych czasów, i wrzucił go do wody. Kartonik powoli, ale wyraźnie odpływał od skały nadbrzeżnej w stronę portu. Prądy były więc powrotne, wszystko, co by wypłynęło na powierzchnię wcześniej rano, do tego czasu zabrałyby już ze sobą. Czy mógł wracać do miasta jak gdyby nigdy nic, z dziecięcą podrywką w ręku? Wymyślił, że ukryje ją w szczelinie skalnej, a potem powie, aby Mimi po nią przyjechał. Schodził ostrożnie po skale w dół, żeby się nie poślizgnąć i nie wpaść do wody. Kiedy na dole pochylił się, by znaleźć stosowne miejsce na postawienie nogi, zobaczył mysz, która uwięzła między dwoma skalnymi występami. Używając podrywki, jakoś ją stamtąd wydobył, choć męczył się z pół godziny. Dokładnie obejrzał martwe zwierzątko; temu także ktoś zrobił laparotomię. Wyrzucił mysz do morza, nie chciał jej zabierać do Pasquana i znowu się narażał na jego uszczypliwości.

Było jeszcze za wcześnie, żeby iść do komisariatu, usiadł więc na skałce i zaczął się zastanawiać. Na dziewięćdziesiąt dziewięć przecinek dziewięćdziesiąt dziewięć procent ta druga mysz także była zagazowana. „Dlaczego ktoś używa gazu do tępienia myszy?” – zadał sobie pytanie. Odpowiedź znalazł natychmiast: dlatego, że gaz nie zawodzi. Jeśliby użył kija lub kamienia, nic nie byłoby pewne, mysz mogłaby uciec, nawet gdyby ją zranił. Z tego samego powodu nie posłużył się trutką na myszy, bo mysz, połknąwszy truciznę, starałaby się uciec, żeby zdechnąć gdzieś na osobności. A ktoś, kto zabijał myszy, musiał je mieć wszystkie w ręku. Po co? Na to

również z łatwością sobie odpowiedział. Po to, żeby rozciąć brzuch i wydostać to, co dał im do zjedzenia. Ale jak zmusił myszy, żeby wszystkie zebrały się w jednym miejscu? Posłużył się fletem jak szczurołap z Hameln, by za dźwiękiem instrumentu szły, dokąd chciał?

Nie ciągnął tych rozmyślań dalej, bo zobaczył, że wędkarz zajmuje swoje stanowisko i przygotowuje się do łowienia. Wstał, podszedł do niego.

– Dzień dobry, komisarzu.

– Dzień dobry, panie Abate.

Był to emerytowany woźny. Teraz patrzył na niego zdziwiony, bo nigdy dotąd nie posuwali się poza zwykłą wymianę grzeczności.

– Miałbym do pana prośbę.

– Proszę, o co chodzi?

– Pewnie widział pan tu wczoraj łódź motorową z Mazary.

– „Świętego Piotra Rybaka”? Tak, stała tu.

– Często przy pływa do Vigaty?

– Może dwa razy w miesiącu. Coś panu powiem – mogę?

– Oczywiście.

– Mówili mi, że jest pan dobrym policjantem. A teraz daje pan dowód, że to prawda.

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Dlatego, że już pan wykrył, co robi załoga tej łodzi.

W komisarzu odezwały się dwa sprzeczne uczucia: zadowolenie, że wyczuł coś niejasnego, i rozczarowanie, że tak łatwo odgadł, co to jest.

Nie spytał jednak o nic więcej, uśmiechnął się chytrze i zrobił taki ruch ręką, jakby chciał powiedzieć, że jeszcze się taki nie urodził, co potrafiłby go podejść.

– Te skurwysyny z łodzi – wyjaśnił Abate – naciągają jak mogą swoich kolegów ze spółdzielni rybackiej. Mają obowiązek wyładować połów w Mazarze i dołączyć go do tego, co złowili inni ze spółdzielni. Jeden łowi mniej, drugi więcej, ale to nieważne, bo i tak wszystko rozliczają wspólnie. Wie pan, co mam na myśli?

– Doskonale.

– Ale ci tutaj, zanim popłyną do Mazary, sprzedają w Vigacie połowę swojego ładunku jakimś spryciarzom, którzy tu przyjeżdżają furgonetką chłodnią. I zarabiają podwójnie: tu za ryby dostają swoje, a w Mazarze reszta połowu idzie na wspólny utarg i wypada im ryba drożej, bo inni łowią więcej. Muszą to być łajdaki nie z tej ziemi, szkoda gadać.

Komisarz przyznał mu rację.

– To stara sztuczka – powiedział. – Nazywa się: wystawiaj zawsze kolegę do wiatru.

Obaj się zaśmiali.

Osiem dni później, jeszcze przed świtem, „Święty Piotr Rybak” dobił do mola w Vigacie. Czekala na niego anonimowa furgonetka chłodnia, która nie miała żadnych napisów i nie wiadomo było, do jakiej firmy należy. Załadowano ją po brzegi skrzynkami z rybą i odjechała. Pół godziny później łódź odbiła i wypłynęła w morze. Na szosie do Caltanissetty furgonetkę zatrzymał patrol straży finansowej. Z początku wyglądało to na rutynową kontrolę.

Kierowcą furgonetki był, jak wynikało z prawa jazdy, niejaki Filippo Ribeca, karany. Jednak dokumenty miał w porządku. W porządku był też list przewozowy.

– No to jak? Mogę jechać? – spytał z uśmiechem Filippo Ribeca, spuszczaając ręczny hamulec.

– Nie – powiedział dowódca patrolu – zjedź pan na bok i poczekaj.

Ribeca, klnąc, posłuchał polecenia, a tymczasem straż kontrolowała inną furgonetkę, przewożąca warzywa. Ta druga kontrola była długa i szczegółowa, tak że Ribeca wysiadł z kabiny i zapalił papierosa. Był wyraźnie w złym humorze.

– No, to mogę jechać czy nie?

– Nie.

– Dlaczego?

– Dlatego, że tak mi się podoba – powiedział dowódca patrolu, spełniając dokładnie polecenie porucznika.

Ribeca dał się na to złapać.

– A mnie się podoba, żebyś mnie pocałował w dupę! – wrzasnął. I, agresywny z natury, rzucił się na dowódcę i uderzył go pięścią w pierś. Został natychmiast aresztowany za obrazę władzy i stawianie oporu.

Podczas rewizji znaleziono w kieszeni jego spodni aksamitny woreczek. W woreczku były diamenty warte setki milionów. Porucznik straży finansowej zaraz zatelefonował do komisarza Montalbano.

– Gratuluję, komisarzu. Dobrze pan odgadł. Oryginalny sposób transportu. Jedziemy teraz do Mazary zgarnąć tych ze „Świętego Piotra”. Chce pan jechać z nami?

Sztuczka była nadzwyczaj prosta. „Święty Piotr Rybak” wypływał z Mazara del Vallo z klatką, w której było dwadzieścia wygłodzonych myszy. Na pełnym morzu klatkę przystawiano do otworu w ocynkowanym pojemniku podzielonym na dwie części i zostawiano myszy w pierwszej, gdzie z głodu gryzły się ze sobą. Potem, na wodach libijskich, do łodzi dopływała wielka motorówka i upoważniona osoba wręczała dowódcy łodzi

aksamitny woreczek z diamentami. Każdy diament wciskano w kulkę zjełczałego sera. Kulki wrzucano do drugiego przedziału klatki przez otwór w pokrywie. Wtedy wystarczyło podnieść metalową przegrodę między przedziałami i wygłodniałe myszy połykały wszystko. Kiedy już zjadły ser (w niedużej ilości, to też wchodziło w zakres sztuczki), zostawiano im swobodę. Przez dwa dni połowów mogły robić, co chciały, a na pewno nie chciały wskoczyć do morza. Częste kontrole patroli straży finansowej na morzu nie wykrywały nic podejrzanego. Przed skierowaniem się do Vigaty napełniano serem drugi przedział i podczas gdy przywabione myszy jadły, truto je gazem z przymocowanej do pojemnika butli. Zanim łódź dobiła do portu, zdechłe już myszy rozcinano, a odzyskane diamenty przekazywano dalej.

Cała historia skończyła się tym, że Montalbano przez miesiąc nie mógł przełknąć owczego sera. Ile razy brał kawałek do ust, przypominały mu się myszy i żołądek odmawiał posłuszeństwa.

Rajski zakątek

– Jaki to rajski zakątek! – powiedziała Livia, wysiadając z łódki i pomagając komisarzowi wciągnąć ją na plażę.

Kiedy wynieśli ubrania i wielką turystyczną lodówkę z kanapkami i butelkami piwa, Montalbano rzucił się na piasek, zadając sobie pytanie, kto mu kazał porwać się na taki wyczyn. Tydzień wcześniej ten idiota Mimi Augello, kiedy jedli razem kolację w restauracji, zaczął się przechwalać swoim odkryciem: trzy kilometry od latarni morskiej na przylądku Russello natrafił na malutką plażę, samotną, nikomu nieznaną, dostępną tylko od strony morza. Mimi mówił o niej tak entuzjastycznie, że Livię to oszołomiło. Wyobraziła ją sobie jak wyspę Robinsona i od tego dnia Montalbano już nie miał spokoju.

– Kiedy zawieziesz mnie na plażę? – rozlegało się monotennie jak refren piosenki, a Livia tę piosenkę śpiewała dziesięć razy dziennie.

Po dwóch tygodniach sierpniowych wakacji Livii w Vigacie, kiedy tylko dwie doby dzieliły ją od powrotu do Boccadasse pod Genuą, Montalbano postanowił zrobić jej przyjemność, przełykając w milczeniu złość i życząc wszystkiego najgorszego temu złamanemu kutasowi Mimi, który go w to wpakował. O siódmej rano wyjechali z Vigaty do Marina di Montereale, tam wynajęli łódkę wiosłową od rybaka, który musiał mieć w żyłach arabską krew, bo zaśpiewał za to taką cenę, że Livia rzuciła się na niego jak sęp, ujawniając przy tym naturę znanych ze skąpstwa genueńczyków. Rybakowi zalśniły oczy: zrozumiał, że natrafił na godnego siebie przeciwnika. Pojedynek ciągnął się długo, miał różne fazy, nawroty i zastoje, ale w końcu

przypieczętowano zgodę kawą w barze, którego właściciele nie mieli zielonego pojęcia, czym różni się kofeina od ekstraktu cykorii. Humor Montalbana ulatniał się z szybkością rakiety międzyplanetarnej. W końcu komisarz wylądował się, wiosłując trzy godziny, podczas gdy Livia w bikini opalała się i nucila coś z zamkniętymi oczami. Wolałby nigdy nie dopłynąć na miejsce: dosłownie ścinała go z nóg perspektywa, że będzie musiał zadowolić się kanapkami, co było dla niego czymś bardzo smutnym, wręcz ponurym. Nie znajdował dobrego słowa dla rozkosznej idei pikniku (sarkastycznie nazywał go często posepnikiem). Kiedy w młodości, aby nie psuć kolegom wycieczki, wyjątkowo zdecydował się w czymś takim uczestniczyć, tak się objadł chlebem, serem i mrówkami, że do dziś czuł ich smak w ustach.

– Jaki to rajski...

Livia, pokonana przez senność, przerwała znajomą śpiewkę i znieruchomiała. Milcząca, ułożona na brzuchu, z rozrzuconymi szeroko ramionami, wyglądała jak krucyfiks oglądany od tyłu. Zawsze tak się układała w stanie największego zadowolenia; czasami w łóżku Montalbano mówił do niej pół godziny, zanim zrozumiał, że Livia już podróżuje po swoim *the country sleep*, jak brzmiał tytuł wiersza Dylana Thomasa, który oboje bardzo lubili.

Zapalił papierosa, rozejrzał się dookoła. Trzydzieści metrów złotego piasku, sypkiego jak talk, sięgającego w głąb może na dwadzieścia metrów, a wokół zwarte skały z wąskim przesmykiem, dostępnym dla małych łódek w dniach całkowitej ciszy morskiej. Skały – strome, gładkie i puste, za żadną cenę nie znalazłoby się na nich nawet kępki trawy. Po lewej stronie rosły, jakby doklejone do skalnej ściany, cierniste krzewy, całkiem wyschnięte, po prawej – morze obmywało wielką stertę starych sieci rybackich. Może był to rajski zakątek, może nie, ale na pewno miał swój urok i Montalbano odnosił

wrażenie, że są jedynymi mieszkańcami Ziemi, tak wielka panowała tu cisza. Słońce prażyło, komisarz ostrożnie wstał, żeby nie zbudzić Livii, i poszedł na sam brzeg morza. Na mokrym piasku zobaczył mnóstwo malutkich kopułek. Zdziwił się. Czy to możliwe, żeby skrywały się pod nimi morskie kraby? Nie widywał ich od dzieciństwa. Pochylił się i wetknął przy kopułce dwa palce. Podniósł ostrożnie, jak łopatką, piasek i odsłonił malutkiego kraba, który natychmiast pobiegł w bok, by wygrzebać sobie nowe schronienie.

Woda nie była ciepła jak zupa, czego się obawiał; jakieś prądy z głębi morza trochę ją chłodziły. Pływał długo i wolno, sprawiał mu przyjemność każdy ruch ramion. Dopłynął do przegrody skalnej, a potem z trudem wdrapał się na ścianę śliską od zielonego porostu. Na skale znalazł małą półkę, na której mógł się położyć. Jakiś czas leżał, wygrzewając się jak jaszczurka, a szum pulsującego w dole morza odpędzał przykre myśli, które czasem się pojawiały. Złościło go na przykład że będzie musiał przyznać rację Mimi Augellowi, kiedy ten spyta, czy to miejsce im się spodobało, Co więcej, Mimi spyta o to tylko Livię, za którą przepada, i to z wzajemnością. A Livia mu zaszczebiocze: „Jaki to rajski zakątek!”

Komisarz wtedy wkurwi się podwójnie: po pierwsze – dlatego że poczuje przypływ pospolitej zazdrości, kiedy zobaczy, jak ci dwoje uśmiechają się do siebie, po drugie – ponieważ wyświechtane frazesy sprawiały mu prawdziwa przykrość, a Livia często i chętnie się nimi posługiwała. Przypomniał sobie, że kiedy jeszcze był chłopcem, znalazł się w Turynie i zobaczył przy wejściu do dużej kamienicy wielką wywieszkę z koślawo wypisanym obwieszczeniem: „Zabrania się korzystać z dostępnych wszystkim komunałów”. Był tak naiwny, że wszedł i złożył portierowi gratulacje, bo też źle myślał o komunałach. Zmieszany portier odpowiedział, że wywiesił ten zakaz, bo lokatorzy zostawiają w miejscach komunalnych czyli wszystkim dostępnym, jak brama wejściowa i schody różne wózki, rowery, skutery, a to

utrudnia przejście. Bardzo go wtedy rozczarowało nieuctwo portiera.

Otworzył oczy i sprawdzwszy położenie słońca, stwierdził że zdrzemnął się chyba jakieś pół godziny. Usiadł i zorientował się, że z tej półki dobrze widać całą plażę. Livia spała, ciągle w tej samej pozycji. Ale kiedy przesunął wzrok na prawo drgnął z przerażenia, jakby go przeszył prąd elektryczny. Nie mógł łudzić inny kąt widzenia: sterta sieci, która wcześniej leżała z dala od Livii, wyraźnie przysunęła się w jej stronę, była teraz na środku plaży. Morze przecież nie mogło przesunąć sieci. A zatem co? Pewnie pod sieciami kryje się ktoś, kto tu przyplłynął, schował się przed wzrokiem komisarza i może zamierza skrzywdzić Livię. Robinsonowi Crusoe, kiedy zobaczył na piasku ślady stóp, na pewno cały świat dookoła wydał się inny. Dla Montalbana też się zmienił, tyle że na gorsze. Rzucił się do wody, jak szalony popłynął w stronę plaży. Wyszedłszy na brzeg, zadyszany, podbiegł do sieci. Sterta jakby się zmniejszyła, a pod nią wyraźnie rysowała się ludzka postać. Cicho jęczała. Komisarz ukląkł na piasku i mozolnie wyplatał bezwładne ciało z sieci. Ukazała się naga dziewczyna, może piętnastoletnia, o naturalnie ciemnej karnacji. Nie mogła utrzymać się na nogach. Sińce i rany pokrywały całe jej ciało, na twarzy miała zakrzepłą krew. Okropnie cuchnęła. Kiedy komisarz w końcu postawił ją na nogi, oblepiające ciało ekskrementy zaczęły odpadać. Przewycięzając obrzydzenie, Montalbano wziął ją na ręce. Była drobna i lekka. Zaniósł dziewczynę na brzeg, położył na piasku i dokładnie oczyścił, a potem, ostrożnie podtrzymując, zaprowadził na głębszą wodę i pomógł jej się umyć. Jednak strużka krwi ciągle ściekała po udzie. Umieścił nieznaną w łodzi, a sam pobiegł po chustę plażową Livii, po jej ręcznik i bluzkę, którą czasami wkładała po pływaniu. Dał dziewczynie do zrozumienia, raczej gestami niż słowami, bo ta prawie nie radziła sobie z włoskim, żeby włożyła bluzkę, owinęła głowę mokrą chustą, a między uda wsunęła ręcznik. Zepchnął łódź na wodę i zaczął wiosłować

w stronę wielkiej plaży, wiedząc jedynie tyle, że leży ona niedaleko tej, na której spała Livia.

Na łodzi dziewczyna trochę się pozbierała i, jak umiała, opowiedziała komisarzowi o sobie. Pochodziła z Zielonego Przylądka, nazywała się Libania, miała szesnaście lat i służyła u rodziny Burruano w Fiakce, u przyzwoitych ludzi, którzy odnosili się do niej bardzo dobrze. Tego dnia dostała wolne i wcześniej rano pojechała autobusem nad morze. Wysiadła w Seccagrande, dokąd teraz płynęli. Na plaży podeszli do niej dwaj chłopcy, powiedzieli, że są Szwajcarami. Wyglądali na porządnych, przyjechali kamperem. Kupili lody i zaczęli ją namawiać, żeby wypłynęła z nimi wykapać się na pełnym morzu. Powiedziała, że nie umie pływać, ale zgodziła się, bo lubi przejażdżki po morzu. Popłynęli wynajętą łodzią. Po jakimś czasie chłopcy zobaczyli ścianę skalną, za którą jest ten mały skrawek plaży, gdzie Montalbano ją znalazł. Znaleźli w skałach szczelinę, przez którą wpłynęli, i wytłumaczyli Libanii na migi, że tam jest płytko, więc i ona będzie mogła się wykapać. Kiedy dobili do plaży, ich zachowanie nagle się zmieniło: wywlekli ją z łodzi na brzeg, chociaż się opierała i krzyczała, zaciągnęli w krzaki, zdarli z niej kostium kąpielowy i na zmianę gwałcili, każdy po dwa razy. Próbowała się im wyrwać i uciec, ale to było niemożliwe, dopadli ją przy stercie sieci zbili do krwi, a kiedy już leżała na ziemi, obaj się na nią załatwili. Nim zemdlą, zauważyła tylko, że nakrywają ją sieciami; pewnie myśleli, że nie żyje. Odchodząc, jeszcze głośno się śmiali. Montalbano nie odzywał się, a ślepą wściekłość, jaka się w nim nagromadziła, wyładował w szybkim wiosłowaniu.

Kiedy dopływali do plaży w Seccagrande i byli już tak blisko, że rozpoznawali twarze ludzi, Libania, pokazując ręką na brzeg, cicho krzyknęła:

– Boże drogi! To oni!

Komisarz kazał jej opuścić rękę. Nie chciał, by tamci się zorientowali, jaką niespodziankę im szykuje. Mogli nabrać podejrzeń. Kamper stał przy nadmorskiej szosie, a dwaj chłopcy, wysocy blondyni w ciemnych okularach, opalali się tuż obok. Chociaż było pewne, że nie mogą rozpoznać dziewczyny w bluzce Livii, z twarzą na wpół zasłoniętą chustą, komisarz powiedział, żeby położyła się na dnie łodzi. Posłuchała, jęcząc: każdy ruch sprawiał jej ból.

Na plaży zauważył wielką budę na kołach, w której sprzedawano napoje i lody. Podeszedł do lady, zamówił zimne piwo. Barman uśmiechnął się, podając mu kufel.

– Co pan robi w naszych stronach?

– Zna mnie pan?

– Kto by pana nie znał? Mieszkam w Vigacie, pan jest komisarzem Montalbano.

Komisarz odetchnął z ulgą; sam nie byłby w stanie aresztować dwóch rośłych Szwajcarów, silnych jak byki.

– Będę miał do pana prośbę – powiedział, dając barmanowi znak, by opuścił swoje stanowisko.

– Jestem do pańskiej dyspozycji.

Mężczyzna zostawił w barze żonę, która myła kieliszki, i odszedł na bok z komisarzem.

– Widzi pan tych dwóch, tych jasnowłosych Nibelungów, co się tam opalają jak w raj?

– Widzę. Przyjechali kamperem. Rano byli u mnie, kupowali lody. Była z nimi dziewczyna z Zielonego Przylądka, tak przynajmniej im mówiła.

– Ci wspaniali mężczyźni naprzód ją zgwałcili, a potem chcieli zabić.

Barman skoczył przed siebie i na pewno rzuciłby się na tamtych, gdyby go

Montalbano nie przytrzymał.

– Spokojnie. Nie możemy pozwolić, żeby nam uciekli. Może ktoś ma tu telefon komórkowy?

– Takich tu pełno.

I właśnie w tym momencie jakiś mężczyzna, zamawiając lody kremowo-czekoladowe, położył komórkę na ladzie.

– Pozwoli pan... – powiedział Montalbano, biorąc telefon do ręki.

– Tego jeszcze nie było! Byle bałwan...

Barman natychmiast się wtrącił.

– Pan jest komisarzem policji. To pilne.

Mężczyzna od razu zmienił ton.

– Naturalnie! Proszę bardzo, niech pan załatwi co trzeba.

Montalbano zatelefonował do Fazia, wyjaśnił mu, gdzie jest, nakazał, żeby przyjechali najdalej za kwadrans. Galio może czuć się za kierownicą jak na torze wyścigowym, ma na to służbowe pozwolenie. Potrzebna będzie także karetka pogotowia. Potem razem z właścicielem baru ułożyli plan działania. Wszystko muszą załatwić dyskretnie, ale pewnie. Barman pociął gruby sznur na cztery części, dwa kawałki wręczył komisarzowi, dwa zatrzymał sobie. Zwrócił się do człowieka wynajmującego łódzie i pożyczył od niego dwa ciężkie wiosła. I wreszcie z wiosłami na ramionach, bez pośpiechu, podeszli do Szwajcarów. Kiedy znaleźli się na wysokości nóg opalających się młodzieńców, Montalbano nagle się odwrócił i przekreconym na sztorc wiosłem mocno zdzielił jednego między nogi. Barman zrobił to samo z drugim. Tamci zwinęli się z bólu, ale nawet nie zdążyli jęknąć, a już leżeli twarzami do piasku, ze związanymi rękami i nogami. Najzabawniejsze było to, że nikt na plaży niczego nie zauważył.

– Proszę zaczekać przy nich – powiedział komisarz do barmana, który

dumnie rozglądał się dookoła, trzymając nogę na ujętym Szwajcarze jak myśliwy na upolowanym lwie.

Montalbano poprosił w barze o papierowy kubek i butelkę wody mineralnej i pobiegł do łodzi. Mała Libania trzęsa się, czoło miała rozpalone, dostała gorączki, jęczała. Komisarz nalał jej wody do kubka, ale ona zaczęła pić prosto z butelki – nie mogła się doczekać.

– Zaraz przyjedzie karetka, zawiozą cię do szpitala.

Libania ujęła jego rękę i pocałowała.

Powrót na plażę zajął mu o wiele więcej czasu niż dopłynięcie do Seccagrande. Ramiona miał zmęczone, czuł, że wiosłuje resztkami sił. Dostrzegł już plażę za skałkami, kiedy do łodzi podpłynęła Livia.

– Gdzie się podziewałeś?

– Pływałem – odpowiedział: ponuro Montalbano.

Livia sprawnie wdrapała się na łódź.

– Boże, jak tu spokojnie! Jaka cisza! Mimi mógł nam powiedzieć o tym zakątku wcześniej.

Znowu wyciągnęli łódkę na brzeg. Livia oczywiście nie zauważyła, że nie ma jej ręcznika, chusty i bluzki. Zajęła się lodówką, otworzyła ją, coś przy tym nucąc. Piknik! Posępnik! Już się jej spieszyło do jedzenia! Montalbano zamknął oczy, żeby, jak długo się da, nie patrzeć na ten smutny obrządek.

Był już rozłożony obrusik w kratę, stały plastikowe kubki, butelki piwa, leżały serwetki i cztery przygotowane w domu kanapki.

Zmęczony Montalbano usiadł posłusznie przy obrusie. Trzeba było wypić ten kielich goryczy do ostatniej kropli! Ale w tym momencie Bóg wielki i miłosierny zlitował się nad nim i wziął sprawy w swoje ręce. Nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia, nie wiadomo skąd, przeciągnął nad plażą

podmuchał wiatru. Jeden jedyny, ale to wystarczyło: uniósł obrusik z całym nakryciem i rozsypał wszystko na plaży. Kanapki potoczyły się i rozpadły. Jajka, ser, szynkę pokryła cienka, złota warstewka piasku. Trzy kanapki ostatecznie zabrało morze.

– Musimy wracać – powiedziała niepocieszona Livia.

– Nie masz pojęcia, jak mi przykro – odparł Montalbano.

Powitanie Nowego Roku

Boże Narodzenie Montalbano spędził z Livią w Boccadasse. Dwudziestego siódmego rano oboje pojechali do Genui na lotnisko Colombo: komisarz wracał do Vigaty, a Livia odlatywała do Wiednia, aby tam powitać Nowy Rok z przyjaciółmi z biura. Chociaż należała, by komisarz przyłączył się do ich wycieczki nie uległ; szło nie tyle o to, że wśród bliskich kolegów Livii czułby się obco, ile o to, że nie znosił konwencjonalnych spotkań świątecznych. Noc sylwestrowa w hotelowym salonie, w tłumie nieznanym, z udawaniem wesołego nastroju podczas kolacji i balu, na pewno wpędziłaby go w chorobę. Ale choroba i tak go dopadła: jadąc z palermiańskiego lotniska Punta Raisi do Vigaty, poczuł, że ma gorączkę. W domu, w Marinelli, zmierzył temperaturę: trzydzieści siedem i pół – nie było czym się przejmować. Poszedł więc do komisariatu, żeby się dowiedzieć, co nowego zaszło podczas jego tygodniowej nieobecności. Ale kiedy pojawił się w biurze trzydziestego pierwszego rano, Fazio długo mu się przyglądał.

– Coś panu jest, komisarzu?

– Dlaczego? Nic mi nie jest.

– Znadto pan zaróżowiony jak na pana. Oczy panu błyszczą. Ma pan na pewno gorączkę.

W biurze wytrzymał pół dnia. Potem miał dość. Nie rozumiał, co do niego mówią; gdy wstawał, kręciło mu się w głowie. W domu zastał Adelinę, swoją gosposię i kucharkę.

– Niech mi pani nic nie szykuje. Nie jestem głodny.

– Matko Przenajświętsza! Czemu to? – spytała zaniepokojona kobieta.

– Mam gorączkę.

– Zrobię panu tylko lekką zupkę.

Sprawdził na termometrze: czterdzieści. Nie można się było wykręcić. Adelina kazała mu natychmiast iść do łóżka i komisarz musiał posłuchać. Gospośia nie tolerowała sprzeciwu, także u swoich dwóch synów, którzy byli przestępcami. Młodszy właśnie odsiadywał wyrok. Aresztował go nie kto inny, tylko Montalbano.

Adelina okryła komisarza kocem, przełączyła telefon do gniazdka przy łóżku i oznajmiła swoją diagnozę:

– To ta grypa, która się wszędzie panoszy. Pół miasta ją złapało.

Wyszła, wróciła z aspiryną i szklanką wody. Uniosła komisarzowi głowę, żeby połknął pigułkę, opuściła żaluzje.

– Po co to? Nie chce mi się spać.

– A musi pan. Ja będę obok, w kuchni. Zawoła mnie pan w razie potrzeby.

O piątej po południu przyjechał Mimi Augello z lekarzem, który oczywiście potwierdził diagnozy Adeliny i przepisał antybiotyk. Mimi poszedł do apteki, przyniósł lekarstwo, ale nie miał sumienia zostawić przyjaciela i przełożonego samego.

– Spędzić tę ostatnią noc w roku samotnie! W dodatku chorując!

– Mimi, to prawdziwe szczęście – oświadczył spokojnie Montalbano.

Kiedy wreszcie zostawili go w spokoju, wstał, włożył spodnie i koszulę, usiadł w fotelu i zaczął oglądać telewizję. Ale zaraz zasnął. O dziewiątej wieczorem obudził go telefon Fazia, który chciał wiedzieć, co się z nim dzieje. Komisarz odgrzał sobie lekką zupę Adeliny, ale jadł ją bez apetytu, nie czuł żadnego smaku. Kręcił się godzinę po domu, powłócząc nogami, kartkował książki albo je przestawiał. O jedenastej, między jednym

dziennikiem telewizyjnym a drugim, zjawił się Nicolo Zito. Był bardzo zmartwiony: komisarz miał witać Nowy Rok u niego w domu. Również o północy, kiedy były dzwony i wybuchały petardy, Montalbano wyjął drugą pigułkę antybiotyku („co sześć godzin, proszę pamiętać” – powiedział lekarz) i wyrzucił ją do ubikacji, tak jak to wcześniej zrobił z pierwszą.

W godzinę później zadzwoniła Livia z Wiednia.

– Wszystkiego najlepszego, kochany Salvo – powiedziała. – Dopiero teraz mnie połączyli.

– A ja dopiero teraz wróciłem – skłamał Montalbano.

– A gdzie byłeś?

– U Nicolo. Baw się dobrze, kochana. Całuję.

Zasnął nad ranem, wcześniej tylko przewracał się w łóżku, spocony i niespokojny.

O siódmej zadzwonił telefon.

– Halo, panie komisarzu Montalbano. To pan osobiście?

– Tak, Catarella, to ja we własnej osobie. Popieprzyło ci się w głowie, że dzwonicz o tej porze?

– Na początek złożę panu serdeczne życzenia. Wiele szczęścia i pomyślności życzę panu, panie komisarzu! A teraz powiem, że mamy przejazdem nieżywego.

– To niech sobie jedzie dalej.

Chciał się wyłączyć, ale poczucie obowiązku wzięło górę nad poirytowaniem.

– Co to znaczy „przejazdem”?

– To znaczy, że przejeżdżał, bo go znaleźli w hotelu „Reginella” w tym, co stoi za Marinellą, niedaleko pana, gdzie pan mieszka w domu.

– Dobrze, ale skąd wiesz, że był tu przejazdem?

– Panie komisarzu, mnie pan o to pyta? Pan tak samo to wie. Jak ktoś nocuje w hotelu, to właśnie jest w podróży.

– Catarella, nie wiesz, że mam gorączkę?

– Wiem, panie komisarzu, i proszę mi za to wybaczyć. Taki mam nałóg, że jak coś, to dzwonię do pana. Znowu było coś. Ale zadzwonię do komisarza Augello.

O dziesiątej zaczęły się telefony z życzeniami, jeden po drugim. Przed południem pokazała się Adelina, chociaż się jej nie spodziewał.

– Święto świętem, ale nie mogę zostawić pana samego. Przyszłam zrobić swoje.

Prześcieliła łóżko, posprzątała w łazience.

– Dzisiaj zrobię panu zupkę już nie tak lekką jak wczoraj.

Około pierwszej przyjechał Mimi Augello.

– Jak się czujesz? Brałeś pigułki?

– Brałem, jak trzeba. I pewnie mi pomogły. Rano miałem tylko trzydzieści dziewięć.

Oczywiście pigułki, które powinien wziąć o szóstej i dwunastej, skończyły tam, gdzie dwie pierwsze.

– Mimi, o co chodzi w tej historii z podróżnym?

– Z jakim podróżnym?

– Z tym, co zmarł w podróży, w pobliskim hotelu. Rano dzwonił do mnie Catarella.

– A, o tym mówisz.

Montalbano popatrzył swemu zastępcy prosto w oczy: jak aktor Augello całkiem sobie nie radził.

- Mimi, znam cię na wylot. Chcesz wykorzystać okazję
- To znaczy co?
- To, że choruję. Chcesz, żebym ci się nie mieszał do dochodzenia. Nic z tego. Opowiedz, co się stało, i to dokładnie. Jak zmarł ten człowiek?
- Zastrzelili go. I nie był w podróży. To mąż pani Liotu właścicielki hotelu.

Rosina Liotta była ładną, trzydziestoletnią kobietą z wielkimi, wyrazistymi oczami. Komisarz znał ją z widzenia, ale nic nie wiedział o jej mężu, a nawet był przekonany, że Rosina jest skromną starą panną albo wdową. Mimi Augello wyjaśnił mu jak się sprawy mają. W wieku szesnastu lat Rosina, dziewczyna z Katanii, była pokojową w hotelu „Italia”, gdzie zwykle zatrzymywał się komandor Ignazio Catalisano, kiedy przyjeżdżał w interesach z Vigaty. Catalisano był samotnikiem, nigdy się nie ożenił, miał tylko brata, z którym nie utrzymywał żadnych stosunków. Rozkoszna Rosina, która starała się, jak mogła, by wydać mu się świeża i czysta jak baranek wielkanocny, poruszyła serce i całą resztę samotnika, który wtedy już dawno przekroczył sześćdziesiątkę. Skończyło się to tak, że po trzech latach coraz częstszych wyjazdów do Katanii komandor zmarł na zawał serca w swoim hotelowym pokoju, w łóżku, z którego wyskoczyła przestraszona Rosina. W jakiś czas po śmierci Catalisana wezwał Rosinę notariusz z Vigaty. Była bystra dziewczyną i od razu skojarzyła to wezwanie z odejściem swego amanta. Zwolniła się z hotelu, zadbawszy o odprawę, i nie tłumacząc się rodzicom ani braciom, którzy zresztą mieli ją gdzieś, pojechała do Vigaty. Tu dowiedziała się, że komandor, chcąc uniknąć awantur i ewentualnego zaskarżenia testamentu, zapisał wszystko bratu, z wyjątkiem willi w Marinelli i stu milionów w gotówce, które potraktował jako upominek dziękczynny. Wróciła do Katanii, gdzie była zameldowana na stałe,

i zamieszkała w tanim hoteliku. Pieniądze, które otrzymała, za poradą notariusza umieściła w miejscowym banku. Kiedy poszła tam po raz pierwszy, by odebrać książeczkę czekową, poznała księgowego Saveria Provenzano, który był od niej dziesięć lat starszy. Nie była to miłość od pierwszego wejrzenia, księgowy udzielał jej na początku tylko dobrych rad – jak inwestować pieniądze – a Rosina odwdzięczała mu się za to na swój sposób. Kiedy ukończyła dwadzieścia sześć lat, wyraziła życzenie, aby księgowy się z nią ożenił. W trzy lata później Provenzano zwolnił się z banku. Za pieniądze z jego odprawy i kapitał Rosiny postanowili przerobić trzypiętrową willę w Marinelli na mały, elegancki hotel o nazwie „Reginella”. Interes od początku szedł dobrze.

W niecały rok po otwarciu hotelu Provenzano otrzymał od swego klienta lukratywną propozycję. Miał jechać do Moskwy jako przedstawiciel pewnej firmy importowo-eksportowej. Rosina nie chciała, żeby mąż przyjął tę propozycję, i nawet się o to posprzecjali. Ale on postawił na swoim. W ciągu trzech lat pracy w Moskwie Provenzano przyjeżdżał do Vigaty dziesiątki razy i nigdy nie opuścił nocy sylwestrowej. Tym razem pojawił się spóźniony, dopiero trzydziestego pierwszego rano, ponieważ strajkowała służba naziemna na lotnisku.

W tym miejscu Mimi Augello przerwał opowieść.

– Widzę, że jesteś blady i zmęczony. Resztę opowiem ci kiedy indziej.

Wstał, kierując się do wyjścia. Montalbano chwycił go za ramię, kazał mu usiąść z powrotem,

– Nie wykręcisz się. Nie ruszysz się stąd.

– Cały hotel w tym roku wynajął doktor Panseca, który zawsze ostatnią noc spędza z przyjaciółmi w „Reginelli”. Pani Rosina zostawiła jednak jeden pokój wolny dla męża, umieściła go prowizorycznie pod dwudziestym drugim, gdzie...

– Zaczekaj – powiedział komisarz. – A ona, Rosina, gdzie zazwyczaj śpi?

– Ma w hotelu osobny pokój.

– To mąż nie mógł spać razem z nią?

– Wygląda na to, że nie mógł.

– Co to znaczy „wygląda na to”?

– Wiesz co, Salvo, ja z panią Rosiną nie mogłem zamienić nawet pół słowa. Kiedy przyjechałem, miała atak hysterii. Wezwali lekarza, a on dał jej jakiś mocny środek. Jak tam wrócić spytam ją i o to.

– A tych innych rzeczy od kogo się dowiedziałeś?

– Od personelu. Głównie od recepcjonisty, który Rosinę zna od czasów, kiedy była pokojową w „Italii” w Katanii, a potem został przez nią zatrudniony tutaj.

– Wal dalej! Dlaczego powiedziała, że umieściła męża pod dwudziestym drugim prowizorycznie?

– Tego także nie umiem ci wyjaśnić. Było tak, że pół godziny po północy inżynier Cocchiara z żoną, goście doktora Panseki, zwolnili pokój dwadzieścia osiem, z którego korzystali jako garderoby, ale już go nie potrzebowali, bo musieli jechać do innych przyjaciół. Pani Rosina zaraz posłała pokojową, żeby posprzątała pokój i przeniosła bagaże męża spod dwudziestkidwójki, która jest po przeciwnej stronie korytarza. Około drugiej Provenzano, który odczuwał zmęczenie podróży, pożegnał się z Pansecą i jego przyjaciółmi i poszedł na górę do swego pokoju. Żona została w salonie, poszła spać dopiero o czwartej, już po wszystkim. Dzisiaj rano, o wpół do siódmej, jeden z gości doktora Panseki, który miał pokój numer dwadzieścia, zamówił kawę, bo musiał wcześniej wyjechać. Pokojowa, idąc do niego, zauważyła, że drzwi od dwudziestkidwójki są uchylone. Zaczęła coś podejrzywać i...

– Chwileczkę, Mimi! Mylisz numery. Poplątała ci się dwudziestkadwójka z dwudziestkąósemką!

– Nic takiego! Provenzano został znaleziony martwy, czy raczej zastrzelony, w pokoju dwadzieścia dwa, gdzie wcale nie powinno go być. Jego bagaże przeniesiono już do dwudziestkiósemki. Może coś pomylił, może był zmęczony i zapomniał, że zmienił pokój...

– Jak go zabili?

– Z karabinu. Trafili prosto w czoło. Musisz wiedzieć, że naprzeciw hotelu stawiają, oczywiście nielegalnie, wielki budynek mieszkalny. I to stamtąd do niego strzelali. Ale nikt nie usłyszał strzału, goście Panseki strasznie hałasowali.

– Co mówi Pasquano? Kiedy nastąpił zgon?

– Dobrze wiesz, jaki jest nasz lekarz sądowy. Kiedy nie ma stuprocentowej pewności, nic nie mówi. W każdym razie, ponieważ okno było otwarte i w pokoju panowało zimno, jakieś swoje wnioski z tego wyciąga. Mówi, że Provenzano został pewnie zabity około drugiej. Moim zdaniem strzelili do niego, kiedy tylko zapalił światło; nie miał nawet czasu zamknąć drzwi.

– Jak był ubrany?

– Zabity?

– Nie, nasz kochany lekarz sądowy!

– Salvo, potrafisz być okropny, kiedy się postarasz! Był w koszuli i spodniach, a marynarka...

Przerwał, popatrzył pokornie na Montalbana.

– No tak, nie mógł pomylić pokoi. Marynarkę znaleźliśmy pod dwudziestym ósmym.

– A jego rzeczy przeniesione pod dwudziesty ósmy gdzie były?

– Wszystko już zdążył rozwiesić porządnie w szafie.

– Światło w łazience było zapalone?

– Tak.

Montalbano zastanawiał się chwilę.

– Mimi – powiedział – jak tylko wrócisz do „Reginelli”, wezwiesz pokojową i każesz jej przenieść wszystko, co należało do Provenzana, pod dwudziesty drugi. A potem na nowo pod dwudziesty ósmy.

– A po co?

– Tak sobie. Żeby jej się nie nudziło – odpowiedział niegrzecznie komisarz. – A potem wszystko mi zreferujesz przez telefon. Pokoje dwadzieścia dwa i dwadzieścia osiem na pewno opieczętowałeś?

Mimi nie tylko kazał je opieczętować, ale też postawił przy nich na straży Galia i Galluzza.

Ledwo Augello wyszedł, Montalbano zażył dwie aspiryny, wypił szklanekę podgrzanego niemal do wrzenia wina, do którego wlał też whisky. Wyjął z szafy dwa grube wełniane koce, położył się na łóżku, okręcił się z głową prześcieradłem i kocami.

Miał zamiar jak najszybciej pozbyć się gorączki. Nie mieściło mu się w głowie, że Mimi Augello będzie się tym dochodzeniem zajmował sam; zdawało mu się, że spotyka go krzywda.

Obudził się, kiedy zadzwonił telefon. Był zlany potem, jakby tkwił w prześcieradle zmoczonym w gorącej wodzie. Wyciągnął ostrożnie rękę, podniósł słuchawkę.

– Salvo? Kazałem zrobić pokojowej, co powiedziałaś. Więc w pokoju dwadzieścia dwa Provenzano tylko otworzył walizkę. Przebrał się. Ale wcześniej był w łazience, poszedł pod prysznic i ogolił się. Kiedy pokojowa przeniosła bagaże pod dwudziesty ósmy, zabrała rzeczy, które Provenzano

zostawił na umywalce i których używał, zanim zszedł na dół. I tu jest coś, czego pokojowa nie rozumie.

– Co takiego?

– Mówi, że na półeczce nad umywalką leżał pakiecik zawinięty w papier i zaklejony taśmą. Jest pewna, że przeniosła go pod dwudziesty ósmy i tak samo położyła nad umywalką.

– A co się tu nie zgadza?

– No, nie ma tego pakiecika. Pod dwudziestym ósmym go nie ma. Ani na półeczce nad umywalką, gdzie pokojowa go położyła, jak się zaklina, ani nigdzie indziej. Przeszukaliśmy dwudziesty ósmy trzy razy.

– Rozmawiałeś z panią Rosiną?

– Rozmawiałem. Kazałem sobie wyjaśnić, o co szło z tą zmianą pokoju. Provenzano miał chorobliwie wrażliwy słuch. Sypiali oddzielnie, bo wystarczyło, że żona trochę głębiej odetchnęła, a on zaraz się budził i nie mógł już zasnąć z powrotem. W pokoju dwadzieścia dwa, z oknami wychodzącymi na plac przed głównym wejściem, przeszkadzałyby mu hałasy gości, którzy płatali się wszędzie przez całą noc, i odgłosy samochodów, które przyjeżdżały i wyjeżdżały. Pokój dwadzieścia osiem jest o wiele spokojniejszy, bo jego okna wychodzą na tyły hotelu.

– Nie ruszasz się stamtąd?

– Nie zamierzam.

– Bądź tak dobry, Mimi, i spytaj kogoś w hotelu, czy Provenzano wczoraj po południu jeździł do Vigaty. Zadzwoń, jak będziesz wiedział.

Czekając na odpowiedź, zmierzył sobie temperaturę. Miał trzydzieści sześć i siedem. Udało się! Odwinął koce i wstał z łóżka, ale wszystko wokół niego wirowało.

– Halo, Salvo? O piątej po południu Saverio Provenzano pojechał do

Vigaty samochodem żony, ale nie mówił jej po co. Żona pamięta, że wrócił mniej więcej po dwóch godzinach. Jak się czujesz, Salvo?

– Źle. Dość źle. Dzwoni, mów mi o wszystkim, nie zapominaj.

– Możesz na mnie liczyć. Lecz się!

Powoli usiadł. Po pierwsze, wypić pół szklanki whisky bez lodu. Po drugie, wyrzucić do kosza na śmieci pudełko po antybiotykach. Wziął je do ręki i zatrzymał się; w głowie poczuł koło młyńskie, które obracało się z wielką szybkością.

– Fazio? Tu Montalbano.

– Komisarzu, co z panem? Może panu w czymś pomóc?

– Za pięć minut chcę wiedzieć, jakie apteki były wczoraj otwarte. Jeżeli dziś nie mają dyżuru, daj mi domowy telefon aptekarza.

Poszedł do łazienki, bo czuł na sobie ostry zapach potu. Umył się i zaraz zrobiło mu się lepiej.

– Tu Fazio, komisarzu. Wczoraj dyżur miały dwie apteki: „Dimora” i „Sucato”. „Dimora” jest otwarta także dziś, „Sucato” nie, ale mam telefon aptekarza.

Zadzwoił najpierw do „Dimory”. Dobrze trafił.

– Znałem oczywiście biednego Provenzana! Kupił wczoraj u mnie pudełko zatyczek do uszu i tabletki nasenne, mocne, nie sprzedaje się ich bez recepty.

– Ktoś mu jednak receptę wystawił?

Aptekarz Dimora zawahał się, po czym odpowiedział ogólnikowo:

– Widzi pan, komisarzu, byliśmy z biednym Provenzanem przyjaciółmi od niepamiętnych czasów, odkąd zamieszkał w Vigacie. Nie było dnia, żeby...

– Rozumiem – przerwał mu Montalbano. – Nie miał recepty.

– Mam się zacząć tym martwić?

– Powiem szczerze; jeszcze nie wiem.

Brama wejściowa do „Reginelli” była uchylona, na lewym skrzydle wisiała wielka czarna wstęga z napisem: „Zamknięte z powodu żałoby”. Komisarz, wchodząc, nie spotkał żywej duszy. Skierował się do salonu, skąd dobiegały głosy. Mimi Augello, który rozmawiał z jakimś wysokim, eleganckim czterdziestolatkiem, osłupiał na jego widok.

– Jezu! Co ty? Zwariowałaś? Z taką gorączką!

Montalbano nie odpowiedział, tylko tak na niego spojrział, że Mimi od razu wszystko zrozumiał.

– Ten pan to Gaspare Arnone, jest w hotelu recepcjonistą.

Montalbano przyjrzał mu się. Wyobrażał sobie, nie wiadomo dlaczego, że będzie to mężczyzna stary i zaniedbany.

– Powiedziano mi, że zna pan od dawna panią Rosine Provenzano.

– Od zamierzchłych czasów – odpowiedział Arnone, pokazując w uśmiechu zęby godne amerykańskiego aktora. – Ona miała szesnaście lat, ja dwadzieścia sześć. Pracowaliśmy razem w hotelu w Katanii. Potem pani Provenzano poszczęściło się, a potem była tak dobra i przyjęła mnie do pracy.

– Chciałbym z tobą pomówić – powiedział Montalbano do Mimi.

Recepcjonista uklonił się i odszedł.

– Jesteś blady jak śmierć – powiedział Augello. – Wiesz, ile ryzykujesz? Możesz się poważnie rozchorować.

– Pomówmy o rzeczach naprawdę poważnych, Mimi. Potwierdziła się pewna myśl, która przyszła mi do głowy. Wiesz co było w tej paczusce, której nie można znaleźć? Zatyczki do uszu i środki nasenne.

– Skąd to wiesz?

– To moja słodka tajemnica. A znaczy to tylko jedno: Provenzano udaje się pod dwudziesty ósmy, rozpakowuje walizkę, idzie do łazienki i widzi, że paczuszki nic ma. Nie została przeniesiona. A bez niej sobie nie poradzi. Nie może wyrzec się zatyczek do uszu i nie zażyć tabletki, skoro w hotelu jest taki burdel. Nie zmrużyłby oka. Przypuszcza, że pokojowa zapomniała o paczuszce. Wraca po nią pod dwudziesty drugi. Zapala światło i nawet nie ma czasu mrugnąć okiem, a już jest po nim.

– Okno było otwarte – dodał Mimi. – Tak je zostawiła pokojowa, żeby przewietrzyć pokój.

– Mam jeszcze jedno pytanie – ciągnął Montalbano. – Gdzie znalazłeś klucz od dwudziestkidwójki?

– Na podłodze, przy zabitym.

– Pani Rosina jakoś to wyjaśnia, dlaczego wykończono jej męża?

– Owszem. Twierdzi, że wie dlaczego. Kiedy mąż ostatnim razem przyjechał do Vigaty, powiedział, że ma kłopoty i ciągle się martwi.

– Czym?

– Grozili mu w Moskwie. Chyba... tak twierdzi żona... naraził się rosyjskiej mafii.

– Plecie głupstwa! Gdyby rosyjska mafia chciała go zabić, po co przyjeżdżałaby za nim tutaj? Nie, Mimi, to zrobił ktoś, kto wiedział, że Provenzano ma zmienić pokój, i ten ktoś przygotował pułapkę. Pokojowa na pewno przeniosła pakiecik pod dwudziesty ósmy, ale nieznana nam osoba go stamtąd zwinęła, żeby Provenzano musiał wrócić pod dwudziesty drugi. Tyle że potem ta osoba nie miała już czasu czy okazji, żeby dla porządku zanieść pakiecik na miejsce. Bo brak pakiecika mówi jasno, że posłużył on za przynętę. Znasz się na kobietach, Mimi. Powiedz mi coś o pani Rosinie. Co to za typ?

– Na chodzie – odpowiedział Mimi Augello. – Mimo żałoby odsłania dekolt, o który warto walczyć pierś w pierś. Myślisz, że to ona?

– Czy ja wiem? – powiedział komisarz. – Mąż w gruncie rzeczy jej nie zawadzał, pokazywał się w Vigacie dwa, trzy razy w roku na parę dni. Tak wygodnego męża nikt nie zabija.

– Jesteś spocony, Salvo. Jedź do domu, nie przesadzaj. Mogłem ci to wszystko opowiedzieć u ciebie. Bez potrzeby męczysz się i ryzykujesz.

– Tak myślisz? Provenzano miał ze sobą jakieś dokumenty?

– Tak, całą teczkę.

– Rzuciłeś okiem?

– Nie zdążyłem.

– Idź i rzuć. I spytaj z łaski swojej recepcjonistę, czy mogę dostać whisky bez lodu.

Montalbano, osłabiony, czuł, że już wypił za dużo. Ale whisky nie mąciła mu myśli, przeciwnie.

Elegancki recepcjonista pojawił się z pustą szklanką i pełną butelką, którą otworzył przy komisarzu.

– Proszę sobie nalać, ile pan lubi. Mogę jeszcze czymś służyć?

– Tak, informacjami. To pan miał służbę dzisiejszej nocy?

– Naturalnie. Hotel był pełen gości, potem dodatkowo przyjechali na kolację przyjaciele doktora Panseki.

– Proszę mi dokładnie opowiedzieć, jak się odbyło przeniesienie rzeczy pana Provenzano z pokoju dwadzieścia dwa do pokoju dwadzieścia osiem.

– Nie było w tym niczego nadzwyczajnego, panie komisarzu. Między wpiół do pierwszej a pierwszą inżynier Cocchiara z żoną zwolnili dwudziestkęósemkę. Oddali mi klucz, który powiesiłem na miejscu, po czym

dałem znać pokojowej, że może posprzątać i przenieść rzeczy naszego gospodarza spod dwudziestkidwójki.

– Dał jej pan klucz?

Portier uśmiechnął się, demonstrując trzysta zębów, które zaświeciły nagle niczym żyrandol z Murano.

– Pokojowe mają swoje klucze. Pół godziny później Pina, pokojowa, powiedziała mi, że pokój jest gotowy, Poszedłem do salonu, odszukałem gospodarza i zawiadomiłem go o tym. Był zmęczony podróżą, chciał się już położyć. Przyniosłem mu klucz do dwudziestkiósemki.

– Prócz tego dał mu pan klucz do dwudziestkidwójki?

Gaspare Arnone na moment się pogubił.

– Nie rozumiem.

– Drogi przyjacielu, czego tu można nie zrozumieć? Provenzano został zabity w pokoju dwadzieścia dwa, klucz leżał przy nim. Przed chwila powiedział mi pan, że po wyjeździe inżyniera Cocchiary jego klucz zawiesił pan na miejscu. Moje pytanie nie kłóci się zatem z najprostszą logiką.

– Mnie o klucz nie prosił – powiedział Arnone po chwili przerwy.

– Nie twierdził pan, że całą noc pełnił pan służbę?

– Tak, ale to nie znaczy, że cały czas sterczałem za ladą recepcji. Klienci życzą sobie różnych rzeczy. Dlatego zdarzało się, że musiałem wyjść z lady na jakieś pięć minut.

– Rozumiem. Wobec tego kto mu dał klucz od dwudziestkidwójki?

– Nikt. Sam sobie wziął. Wiedział, gdzie wiszą klucze, są zresztą widoczne dla wszystkich. Poza tym był tu gospodarzem.

Wszedł Mimi Augello z teczką wypchaną papierami. Recepcjonista wrócił do siebie. Montalbano raz jeszcze nalał sobie szklanekę whisky. Podzielili papiery na dwie sterty, każdy zajął się swoją, czytali z uwagą. Same listy

handlowe, rachunki, kosztorysy, sprawozdania. Montalbano walczył z sennością i już mu opadały powieki, kiedy Mimi powiedział:

– Popatrz na to.

I podsunął mu jakieś pismo. Był to list z Italian Export-Import zaadresowany do Saveria Provenzano w Moskwie i podpisany przez dyrektora naczelnego firmy, Artura Guidottiego. Mówiło się w nim jasno, że biorąc pod uwagę powtarzające się nalegania i zrozumiałe przyczyny osobiste, firma z przykrością zgadza się przyjąć dymisję swego pracownika, Saveria Provenzano, z dniem piętnastego lutego przyszłego roku.

Montalbano poczuł się uszczęśliwiony. Wychylił trzecią szklanekę whisky.

– Idziemy porozmawiać z panią Rosiną.

Wstając, zatoczył się, Mimi go podtrzymał.

Recepcjonista wyjaśniał komuś przez telefon, że hotel nie przyjmuje klientów.

Montalbano zaczekał, aż odłoży słuchawkę, i uśmiechnął się do niego.

Gaspere Arnone także się uśmiechnął. Komisarz nie odezwał się. Arnone także nie otworzył ust. Tylko patrzyli na siebie i uśmiechali się. Augellowi ta sytuacja wydała się kłopotliwa.

– Idziemy? – spytał komisarza.

Montalbano zignorował jego pytanie.

– Pani Provenzano zatrudniła pana w „Reginelli” kiedy pan Provenzano wyjechał do Rosji, prawda?

– Tak. Zależało jej na tym, żeby mieć przy sobie kogoś, komu ufa.

– Dziękuję – powiedział Montalbano.

To, że był trochę podпиты, powodowało, że stał się bystry i uprzejmy.

– Ciekawi mnie jeszcze jedno. W pokojach nie ma dzwoneczków, żeby

przywołać pokojową?

– Nie ma. Goście muszą telefonować tutaj, do recepcji, kiedy czegoś potrzebują.

– Dziękuję – powtórzył Montalbano, a nawet lekko się skłonił.

Pokój właścicielki „Reginelli” mieścił się na drugim piętrze. Już na pierwszym podeście nogi komisarza stały się jak z gumy. Usiadł na stopniu, a Augello stanął przy nim.

– Mogę wiedzieć, co ci chodzi po głowie?

– Już ci mówię. Pani Rosina i recepcjonista zmówili się i zabili Provenzana.

– Masz na to dowody?

– Nie mam. Ty je znajdziesz. Ja ci tylko opowiem, jak się to odbyło. Czternaście lat temu w hotelu w Katanii, gdzie oboje pracują, Rosina i recepcjonista zabawiają się od czasu do czasu w łóżku. Ona ma starego amanta i, jak się domyślasz, czasami ma ochotę na coś lepszego. Dobrze. Kiedy mąż Rosiny jedzie do Rosji, żona przypomina sobie o swoim przyjacielu z Katanii i zatrudnia go u siebie. Odnawiają swoje zabawy. Żadna tam wielka miłość, żadna namiętność czy co tam jeszcze byś chciał. Sytuacja jest spokojna, mąż ciągle przebywa daleko. Ale zapowiada się zmiana. Provenzano pisze albo telefonuje do żony, że już mu się znudziło siedzieć w Moskwie. Poprosił o zwolnienie. Przyjedzie do Vigaty na Nowy Rok, potem wróci jeszcze do Moskwy, żeby przekazać sprawy swemu następcy, i z końcem lutego już ostatecznie osiadzie tutaj. Nasi kochankowie tracą głowę, postanawiają go sprzątnąć. Plan jest niepewny, ale jeśli się powiedzie, będzie to zabójstwo doskonałe. Zanim recepcjonista poszedł zawiadomić Provenzana, że dwudziestkaósemka jest gotowa, wszedł do pokoju i wyniósł pakiecik ze środkami nasennymi. O tym, że Provenzano pojechał do apteki,

Arnone dowiedział się od swojej ukochanej, która kłamie jak z nut, mówiąc nam, że nie wie, dlaczego mąż potrzebował jej samochodu. Provenzano chce już iść spać, ale widzi, że w pokoju nie ma pakiecika. Telefonuje na dół do recepcji, skąd nikt mu nie odpowiada, bo recepcjonista już sterczy na budowie naprzeciwko i bierze go na cel. Provenzano, widząc, że nie da się nawet przywołać pokojowej, decyduje się załatwić sprawę sam. Schodzi do recepcji, bierze klucz od dwudziestkidwójki, otwiera drzwi, żeby zabrać pakiecik, zapala światło, a recepcjonista strzela do niego i trafia. Ale potem popełnia błąd. Trzeba było za wszelką cenę zanieść z powrotem pakiecik pod dwudziesty ósmy. No to co, idziemy?

Piętnaście stopni, jakie dzieliły ich od drugiego piętra, komisarz pokonał, zataczając się to w prawo, to w lewo. Mimi starał się utrzymać przełożonego w pozycji pionowej, podpierając go pod pachami. Stanęli pod drzwiami. Augello lekko zapukał.

– Kto tam?

– To ja, Augello, proszę pani.

Mimi przepuścił przodem komisarza. Ten otworzył drzwi, stanął na progu, z prawą ręką wspartą na kłamce.

– Dobry wieczór. Witam wszystkich – powiedział wesoło. Świeża wdowa zdziwiła się. Wszystkich? W pokoju była tylko ona. A ten mężczyzna wyglądał na pijanego.

– O co panu chodzi?

– Jedno pytanie. Proste jak drut. Wiedziała pani, że mąż zwolnił się z firmy, żeby wrócić na stałe do Vigaty?

Pani Rosina siedziała na łóżku, z chusteczką w ręku. Nie odpowiedziała od razu. Najwyraźniej rozważała siłę ciosu i sposób jego odparowania. Ale jej biały dekolt, ten dekolt wart walki pierś w pierś, jakaś złośliwa istota nagle

powlekła czerwienią.

– Nie – odpowiedziała wdowa.

– Zła odpowiedź – ucieszył się Montalbano.

Lepiej by się spisywał w telewizji niż Mike Bongiorno.

– Zamknij ją – powiedział lakonicznie do Augella.

– Nie! Nie! – zawołała pani Rosina, zrywając się gwałtownie z łóżka. – To nie ja! Przysięgam! To robota Gaspare, który...

Umilkła, Potem wydała z siebie pisk niespodziewany i dojmujący, od którego zadrżały szyby. Komisarzowi Montalbano ten pisk wpadł do uszu, owinał się dwukrotnie wokół mózgu, zszedł gardłem w dół, ominął brzuch i spłynął do nóg.

– Zamknij też recepcjonistę – wyartykułował jeszcze, zanim upadł plackiem na podłogę i stracił przytomność.

Do domu odwiózł komisarza Fazio, który go rozebrał, położył do łóżka i wsadził mu pod pachę termometr. Ponad czterdzieści.

– Dzisiejszej nocy nie ruszę się stąd – powiedział Fazio. – Pościelę sobie na kanapie.

Komisarz zapadł w kamienny sen.

Około ósmej rano otworzył oczy, czuł się lepiej. Fazio stał nad nim z kawą w ręku.

– Dzwonił w nocy komisarz Augello, chciał wiedzieć, co z panem. Prosił, żeby panu powtórzyć, że było tak, jak pan się domyślił. Oboje się przyznali, on nawet pokazał, gdzie schował karabin z lunetą.

– Czemuś mnie nie zbudził?

– Żartuje pan? Przecież pan spał jak anioł.

Napastnik

Kiedy kwestor, nie mając pod ręką nikogo, kto mógłby reprezentować kwesturę w Montelusie na jakimś kongresie czy zjeździe, posyłał komisarza Montalbano, ten traktował to jak karę albo osobistą obrazę. Od wysłuchiwania pustych słów, powitalnych życzeń, głosów pochwalnych i oskarżycielskich, często zapowiadających wręcz nieuchronną apokalipsę, mąciło mu się w głowie. Dlatego od pierwszej chwili na zadawane przez kolegów pytania zawsze odpowiadał mamrotaniem i oderwanymi monosylabami. A jego oficjalne wystąpienie w ogólnej dyskusji sprowadzało się do kilku wykrztuszonych z trudem, źle zbudowanych zdań. Na kongresie w Palermo, trzeciego dnia o dziesiątej trzydzieści miał przedstawić swoje uwagi o nowych przepisach dla straży granicznej, ale już na początku obrad był zdruzgotany i zadawał sobie pytanie, jak wytrzyma jeszcze dwa dni. Zamieszkał w hotelu „Centrale”, sprawdziwszy wcześniej, że większość uczestników kongresu z Włoch i z zagranicy wybrała inne hotele. Jedynym promykiem światła w tym posepnym mroku miała być kolacja, na którą zaprosił go do swego domu Giovanni Catalisano, kolega ze szkoły powszechnej i liceum, hurtownik tkanin, ojciec dwóch synów. Ich matka, Assuntina Didio, odziedziczyła po ojcu Antoniu, legendarnym *monzu*, czyli kucharzu książęcych domów palermiańskich, co najmniej dziesięć procent kulinarnych talentów. Ale te dziesięć procent wystarczyło aż nadto: komisarz był pewien, że jedzenie u pani Assuntiny będzie pamiętał nawet w godzinie śmierci, co jego przejściu na tamtą stronę doda więcej goryczy. Pod koniec drugiego dnia obrad, kiedy już przemówili przedstawiciele Anglii, Niemiec i Holandii, oczywiście po angielsku, niemiecku i holendersku, Montalbano

poczuł, że ma głowę rozdętą jak balon. Dlatego radośnie wskoczył do samochodu drogiego Catalisana, który przyjechał po niego pod halę kongresową. Kolacja przeszła najśmielsze oczekiwania, a rozmowa także była bardzo przyjemna: pani Assuntina mówiła wprawdzie niewiele, za to jej mąż sypał nieprzerwanie błyskotliwymi żartami. Kiedy komisarz w pewnej chwili rzucił okiem na zegarek, stwierdził, że jest już prawie pierwsza. Zerwał się na równe nogi, pożegnał serdecznie z małżonkami Catalisano, włożył skórzaną kurtkę i wyszedł, nie pozwalając, by przyjaciel odwiózł go do hotelu.

– To tak blisko! Dwie minuty spaceru dobrze mi zrobi, nie fatyguj się!

Po wyjściu z bramy spotkała go przykra niespodzianka: mocno padało, a zimno wykrzywiało mu twarz. Postanowił wracać do hotelu na skróty, bocznymi uliczkami, bo był pewien, że to przejście dobrze zna. Miał w ręce walizeczkę, którą dostał na kongresie, i doszedł do wniosku, że najlepiej będzie trzymać ją nad głową, co chociaż trochę osłoni go przed ulewnym deszczem. Szedł uliczkami krętymi i wąskimi, pustymi i źle oświetlonymi, spodnie miał przemoczone i już wiedział, że pomylił drogę. Zrobił głupstwo. Gdyby dał się odwieźć, już by siedział w ciepłe, w swoim pokoju hotelowym. Kiedy przystanął na środku kolejnego zaułka i zastanawiał się, czy lepiej schować się w jakiejś bramie i przeczekać ulewę, czy odwrotnie, iść dalej i czym prędzej znaleźć się w hotelu, usłyszał warkot motocykla nadjeżdżającego z tyłu. Skręcił pod ścianę, żeby zejść mu z drogi, i nagle ogłuszył go potężny ryk, bo motocyklista niespodziewanie dodał gazu. A chwilę później, wykorzystując oszołomienie komisarza, szarpnął walizeczkę, którą ten ciągle trzymał nad głową. To szarpnięcie obróciło komisarza wokół własnej osi. Znalazł się tuż przy motocykliście, starając się mu wyrwać trzymany mocno skarb. Przez chwilę obaj szarpali energicznie i bezsensownie. Bezsensownie, bo choć walizeczka była wypełniona

bezwartościowymi biuletynami kongresowymi, w oczach napastnika nabierała wartości właśnie dlatego, że Montalbano tak zapamiętał jej broń. Komisarz miał zawsze szybki refleks, który nie zawiódł go i tym razem, podpowiadając, by przeszedł do kontrataku. Kopnął z całej siły motocykl, co dodatkowo zakłóciło niestabilną równowagę napastnika. Ten wołał zrezygnować ze zdobyczy, dodał gazu i odjechał. Ale niedaleko. Na końcu zaułka zawrócił, zatrzymał motocykl pod latarnią, zdjął nogę z gazu i czekał. Był ubrany od stóp do głów w czarny kombinezon, głowę miał osłoniętą wielkim kaskiem. Wydawało się, że jest osobnikiem niebezpiecznym, że rzuca komisarzowi wyzwanie i chce go zmusić do następnego kroku.

„Chuj wie, co robić?” – pomyślał Montalbano, poprawiając na sobie kurtkę. Walizeczki nie trzymał już nad głową, był i tak kompletnie przemoczony, deszcz ściekał mu za kołnierz, po plecach, wypływał ze spodni, wlewał się do butów. Odwrócić się i uciekać? Nawet mu to nie zaświtało w głowie. Nie tylko by się ośmieszył, ale też niczego nie osiągnął, bo motocyklista bez trudu by go dopędził i się z nim rozprawił. Można było tylko iść dalej. Montalbano powoli, wciąż z walizeczką w ręce, ruszył przed siebie jak na spacer w słoneczny dzień. Motocyklista w bezruchu patrzył na zbliżającego się komisarza. Wyglądał jak ponury pomnik. Komisarz szedł prosto na motocykl, zatrzymał się tuż przy przednim kole.

– Coś ci pokażę – powiedział.

Otworzył walizeczkę, odwrócił do góry dnem, biuletyny z kongresu spadły na bruk, do kałuży, w błoto. Komisarz już walizeczki nie zamknął, rzucił pustą na ziemię.

– Gdybyś wyrwał emeryturę jakiejś staruszce, lepiej byś na tym wyszedł.

– Nie ruszam kobiet, ani staruszek, ani młodych – odezwał się urażonym tonem napastnik. Jego głos brzmiał dudniąco, niewyraźnie, był przytłumiony i zniekształcony przez kask.

Komisarzowi, nie wiedzieć czemu, zachciało się jeszcze trochę poprowokować przeciwnika.

Włożył rękę do wewnętrznej kieszeni, wyjął portfel, otworzył, znalazł sto tysięcy lirów w jednym banknocie i podał banknot napastnikowi.

– Wystarczy ci na jedną działkę?

– Nie biorę jałmużny – powiedział motocyklista, odtrącając brutalnie rękę Montalbana.

– No to dobranoc. Powiedz mi jeszcze, gdzie mam skręcić, żeby dojść do hotelu „Centrale”.

– Prosto, ciągle prosto, a potem druga w lewo – odparł rzeczowo napastnik.

Referat komisarza Montalbano, rozpoczęty punktualnie o dziesiątej trzydzięci, miał się skończyć o dziesiątej czterdzięci pięć; następne piętnaście minut przeznaczono na dyskusję. Jednak napady kaszlu, odchrząkiwanie, wycieranie nosa i kichanie sprawiły, że wygłaszanie referatu ciągnęło się do jedenastej. Tłumacze symultaniczni przeżyli najgorsze chwile w swoim życiu. Komisarz nie tylko dukał, co zdarzało mu się zawsze, gdy musiał przemawiać publicznie, ale też mamrotał, bo ludzie z zatkanym nosem z reguły mówią niewyraźnie. Nikt nic nie rozumiał. Przewodniczący obrad po chwili wahania wpadł na genialny pomysł i przesunął dyskusję na popołudnie. Komisarz mógł więc zaraz opuścić salę obrad i pójść, jak postanowił, do kvestury. Przypomniawszy sobie, że przed rokiem ówczesny kwestor zorganizował specjalną brygadę policyjną do zwalczania ulicznych napadów w Palermo. O tej brygadzie wiele mówiono w telewizji i pisano w lokalnej prasie. Na fotografiach i w reportażach ukazujących poczynania brygady widać było agentów po cywilnemu, którzy na rolkach albo na lśniących, nowiutkich skuterach pędzili za napastnikami. Ujmowali ich

i odzyskiwali skradzione rzeczy. Dowódcą brygady został wtedy wicekomisarz Tarantino. Potem o tej specjalnej działalności już nic nie było słyhać.

– Taranti, wyplenieś już te napady uliczne?

– Po to przyszedłeś, żeby sobie ze mnie kpić? Brygada została rozwiązana po dwóch miesiącach. Łatwo się domyślisz dlaczego: dziesięciu ludzi na pół etatu miało sobie poradzić z setką napadów każdego dnia.

– Chciałem się dowiedzieć...

– Wiesz co? Nie ma sensu, żebyśmy o tym rozmawiali. Ja tylko podpisywałem raporty. Nawet nie miałem kiedy ich przeczytać.

Podniósł słuchawkę, rzucił parę słów. Niemal w tej samej chwili zapukano do drzwi i stanął w nich trzydziestolatek o sympatycznym wyglądzie.

– To jest inspektor Palmisano. Komisarz Montalbano chce cię o coś zapytać.

– Proszę bardzo.

– Tylko o coś takiego: czy słyszał pan o napadach dokonywanych na staroświeckim motocyklu?

– Co pan rozumie przez „staroświecki”?

– Czy ja wiem? Jakiś laverda, harley-davidson, norton...

Tarantino zaczął się śmiać.

– Co ci chodzi po głowie? To tak, jakbyś okradał dziecko z cukierków na bentleyu!

Palmisano jednak potraktował pytanie komisarza poważnie.

– Nie, o nikim takim nie słyszałem. W czym jeszcze mogę panu pomóc?

Montalbano porozmawiał chwilę z kolegą komisarzem, pożegnał się i poszukał inspektora Palmisano.

– Nie wyjdzie pan ze mną na kawę?

– Dziś mam mało czasu.

– Wystarczy nam pięć minut.

Opuścili kwesturę, weszli do najbliższego baru.

– Chce panu opowiedzieć, co mi się przydarzyło wczoraj wieczorem.

I opowiedział inspektorowi o starciu z napastnikiem na motocyklu.

– Chciałby pan, żebyśmy go ujęli? Chyba nic panu nie ukradł? – powiedział Palmisano.

– Nie. Chciałbym go tylko poznać.

– Ja też – powiedział cicho inspektor.

– To był motor „Norton 750” – dodał komisarz. – Mogę za to ręczyć.

– No tak – rzekł Palmisano. – A mężczyzna był w kombinezonie i miał na głowie wielki kask.

– Istotnie. Nie odczytałem tablicy rejestracyjnej, bo zasłonił ją kawałkiem czarnego plastiku. Coś to panu mówi?

– Byłem dopiero drugi miesiąc w służbie w brygadzie specjalnej. Brakowało paru minut do zamknięcia banku. Dyżurowałem przed Bankiem Handlowym, kiedy wyszedł z niego mężczyzna z torbą w ręku i jakiś osobnik na czarnym nortonie 750 mu ją wyrwał. Puściłem się za nim, miałem pięknego nowego guzzi. Ale mowy nie było, żeby go dopaść.

– Był szybszy?

– Nie, komisarzu, sprawniejszy. Na szczęście nie było ruchu. Dojechaliśmy – on pierwszy, ja za nim – do zakrętu na Ennę. On wjechał w polną drogę. Skręciłem za nim. Widać było, że ma ochotę na jazdę terenową. A mój motor nie trzymał się dobrze podłoża, na większym zakręcie wyleciałem. Uratował mnie kask, ale krew lała się z lewej nogi, rana bolała.

Kiedy się podniosłem, zobaczyłem go tuż obok. Zatrzymał się, zawrócił, odniosłem wrażenie, że gdybym nie stanął na nogi, zsiadłby z motoru, żeby się mną zająć. W każdym razie kiedy podchodziłem do mego guzzi, nie odrywając wzroku od złodzieja, zrobił coś, czego się nie spodziewałem. Podniósł wyrwaną pod bankiem torbę i mi ją pokazał. A potem otworzył, zajrzał do środka, zamknął i odrzucił na bok. Zawrócił i odjechał. Kulejąc, poszedłem po torbę. Było w niej sto milionów w banknotach po sto tysięcy. Wróciłem do kwestury i napisałem w raporcie, że odzyskałem ukradzioną sumę po szarpaninie z napastnikiem, który niestety zdołał uciec. Nawet nie wymieniałem marki motocykla.

– Rozumiem – powiedział Montalbano.

– Jemu wcale nie chodziło o pieniądze – rzekł Palmisano po chwili milczenia, jakby podsumowując swoje opowiadanie.

– A o co? Jak pan myśli?

– Czy ja wiem? Z pewnością o coś innego niż pieniądze.

Ten Palmisano był naprawdę bystrym człowiekiem.

– Słyszał pan o jeszcze innych przypadkach tego rodzaju?

– Owszem, słyszałem. W trzy miesiące po mojej przygodzie coś podobnego przydarzyło się koledze. Nie możemy go dziś o to zapytać, został przeniesiony. Ale i on odzyskał łup, bo napastnik sam mu go oddał. On także nie zamieścił w raporcie danych, które umożliwiłyby identyfikację napastnika.

– Mamy tu chyba do czynienia z zawodowcem, który już przywykł czasami dawać o sobie znać.

Palmisano pokręcił przecząco głową.

– Nie, komisarzu, on do tego nie „przywykł”, jak pan mówi. On to robi tylko wtedy, gdy nie może się powstrzymać i musi rzucić wyzwanie.

Chciałby pan jeszcze o coś zapytać?

Przeziębienie nie pozwalało cieszyć się smakiem potraw, więc jedzenie traciło sens. Obrady kongresu wznawiano o piętnastej trzydzieści, a rezygnując z obiadu, Montalbano mógł poleżeć przynajmniej dwie godziny w ciepłym hotelowym łóżku. Poprosił, żeby przyniesiono mu do pokoju aspirynę i książkę telefoniczną Palermo. Doszedł do wniosku, że dla wszystkich rodzajów hobby, od hodowli jedwabników po konstrukcję bomby atomowej domowym sposobem, istnieją wszędzie jakieś stowarzyszenia i stosowne kluby, gdzie członkowie wymieniają informacje i trudne do zdobycia części zamienne, a od czasu do czasu organizują wspólne wycieczki. Znalazł w książce „Motocar”, ale nie wiedział, co to takiego, a zaraz po nim był „Motoclub” i ten numer wybrał. Odpowiedział mu uprzejmy męski głos. Komisarz zawile tłumaczył, że został niedawno przeniesiony do Palermo i chciałby zapytać, co ma zrobić, żeby ewentualnie zostać członkiem klubu. Usłyszał, że nie ma z tym żadnych trudności. Potem mężczyzna, ścisząc głos, zapytał konspiracyjnym tonem:

– Pan jest harleyowcem?

– Nie, nie jestem – odparł natychmiast komisarz.

– A jaki ma pan motor?

– Nortona.

– Aha. To chyba będzie lepiej, jeśli zgłosi się pan wprost do Nor-clubu, który jest naszą filią. Podam panu numer telefonu. Po dwudziestej na pewno kogoś pan tam zastanie.

Komisarz spróbował zadzwonić od razu, ale nikt nie odpowiadał. Mógł się zatem godzinkę przespać, zanim pójdzie na zamknięcie kongresu.

Kiedy się zbudził, czuł się dobrze, przeziębienie prawie całkiem minęło.

Popatrzył na zegarek i zmroziło go: siódma. Nie miał po co pokazywać się na kongresie. Mógł się już nie spieszyć. O ósmej z holu zadzwonił do klubu. Odpowiedział mu pogodny głos młodej dziewczyny. Dwadzieścia minut później znalazł się w siedzibie klubu, na parterze eleganckiej kamienicy. Nie zastał nikogo prócz dziewczyny, która od ósmej do dziesiątej pełniła tu bezpłatnie dyżur. Robili to na zmianę wszyscy młodzi członkowie klubu. Dziewczyna była tak miła, że komisarzowi sprawiłoby przykrość okłamywanie jej i powtarzanie zmyślonej historyjki o przeniesionym do Palermo nortonowcu. Powiedział, że jest komisarzem policji, a dziewczyny wcale to nie zaniepokoiło.

– Dlaczego pan do nas przyszedł?

– Widzi pani, dostaliśmy zarządzenie, żeby zrobić wykaz wszystkich stowarzyszeń i klubów sportowych i niesportowych. Domyśla się pani dlaczego?

– Nie – odpowiedziała dziewczyna. – Ale proszę powiedzieć, o co panu chodzi, a spróbuję pomóc. Nasz klub nie jest tajna organizacja.

– Wszyscy jesteście młodzi?

– Nie. Na przykład mecenas Rambaudo już dawno przekroczył sześćdziesiątkę.

– Ma pani jakieś wasze grupowe zdjęcie?

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Chodzi panu o nazwiska czy o twarze?

Wskazała ścianę za jego plecami.

– To fotografia sprzed dwóch miesięcy, jesteśmy na niej wszyscy.

Członkowie klubu sfotografowali się w plenerze. Zdjęcie było duże i ostre. Ponad trzydzieści osób, wszyscy w czarnych kombinezonach i butach z cholewami. Komisarz kolejno, z uwagą wpatrywał się w twarze, a kiedy

doszedł do trzeciej w drugim rzędzie, olśniło go. Nie umiał wyjaśnić dlaczego, ale był pewien, że ten atletyczny trzydziestolatek, który uśmiechał się do niego ze zdjęcia, to „jego” napastnik.

– Macie duży klub – powiedział.

– Proszę wziąć pod uwagę, że nasz klub obejmuje nie tylko Palermo, ale całą prowincję.

– No tak! Z pewnością macie kartotekę członków.

Oczywiście mieli. Kartoteka była skrupulatnie prowadzona. Zdjęcie, imię i nazwisko, zawód, adres i telefon. Tablica rejestracyjna motocykla, jego cechy ogólne i szczególne. Wpis semestralnej składki członkowskiej. Różne uwagi. Przejrzał kartotekę bez potrzeby, coś sobie notował na odwrocie koperty, którą znalazł w kieszeni. Na koniec uśmiechnął się do dziewczyny, która właśnie rozmawiała z kimś przez telefon, i wyszedł. Tłukły mu się po głowie trzy nazwiska i trzy adresy. Miał je zapisane. Ale tylko jedno wypisał sobie drukowanymi literami: adwokat Nicoló Nuccio, ulica Liberta 32, Bagheria, telefon 091232756.

Wolał nie zwlekać. W pierwszej napotkanej kabinie telefonicznej wybrał zapisany numer. Odpowiedział mu mały chłopiec.

– Halo, halo. Kto ty jesteś? Czego chcesz?

Mógł mieć najwyżej cztery lata.

– Jest tatuś?

– Ci go zawołam.

Oglądali telewizję, słychać było znajomy głos. Kto jest na ekranie? Nie zdążył sobie na to odpowiedzieć.

– Słucham, z kim mówię?

Chociaż ten głos, gdy komisarz usłyszał go po raz pierwszy, był stłumiony

i zniekształcony, teraz bez trudu go rozpoznał.

- Nazywam się Montalbano, jestem komisarzem policji.
- Już o panu słyszałem.
- Ja o panu też.

Adwokat nic na to nie odpowiedział, nie zadał żadnego pytania. Do uszu Montalbana docierał tylko jego głęboki oddech. W tle wciąż przebijał głos z telewizora. No tak, to tokował niezawodny Mike Bongiorno.

- Myślę, że spotkaliśmy się tej nocy.
- Tak pan sądzi?
- Tak, mecenasie. Chętnie spotkałbym się z panem jeszcze raz.
- W tym samym miejscu co wczoraj?

Wcale nie zaniepokoiło go to, że został rozpoznany. Co więcej, zdobył się na dowcip.

- Nie, to niewygodne miejsce. Czekam na pana w hotelu „Centrale”. Już pan zresztą wie, gdzie mieszkam. Jutro, o dziesiątej rano.
- Przyjdę na pewno.

Zjadł wspaniałą kolację w portowej gospodzie, wrócił do hotelu około jedenastej, dwie godziny czytał powieść Simenona, jedną z tych niekryminalnych. Około pierwszej zgasił światło i usnął. O siódmej rano zadzwonił na portiernię, żeby mu przynieśli podwójną kawę i „Giornale di Sicilia”. Wiadomość, która nim wstrząsnęła, zamieszczona była na pierwszej stronie i wydrukowana tłustą czcionką; widocznie otrzymano ją w ostatniej chwili, ale mimo to znalazło się na nią miejsce. Notatka informowała, że o dwudziestej drugiej trzydzieści, w pobliżu dworca, napastnik próbował wyrwać przedstawicielowi firmy jubilerskiej walizeczkę z wzornikiem biżuterii ze złota. Napadnięty zareagował przytomnie i użył broni, zabijając

złodzieja.

Ku powszechnemu zaskoczeniu napastnikiem zidentyfikowanym przez policję okazał się adwokat Nicolo Nuccio, lat trzydzieści dwa, zamożny, zamieszkały w Bagherii. W komentarzu dodano, że Nuccio bynajmniej nie utrzymywał się z kradzieży, sam motocykl, którym się posłużył, dokonując napaści, czarny norton, wart był kilkadziesiąt milionów. O co zatem szło? Rozdwojenie osobowości? Żart czy zakład, który się tragicznie skończył? A może absurdalna ekstrawagancja?

Montalbano rzucił gazetę na łóżko i zaczął się w pośpiechu ubierać. Nicolo Nuccio spotkał to, czego szukał. A on, komisarz, nie ma na co czekać. Zdąży jeszcze złapać pociąg do Montelusy o ósmej trzydzieści, Z dworca zadzwoni do komisariatu w Vigacie, Ktoś po niego przyjedzie.

Obosieczna poszlaka

Attilio Gambardella za życia nie był pięknym mężczyzną. Chodził o kulach, jednym okiem patrzył w prawo, drugim w lewo, miał wielkie odstające uszy, ręce karła, nogi kłowna, a usta tak dziwnie wykrzywione, że nie można było się domyślić, czy płacze, czy się śmieje. Jednak teraz, gdy leżał na posadzce w kuchni, zamordowany trzydziestoma ciosami noża w twarz, pierś, brzuch i pachwinę, wyglądał, jakby śmierć chciała usunąć jego fizyczną brzydotę. W kuchni nie można było stąpnąć, żeby nie poplamzić się krwią. Nawet na ekranie włączonego telewizora, z przesuwanymi się obrazami porannego dziennika, były ślady krwi. Narzędzie zbrodni, nóż do papieru z rączką z kości słoniowej, leżało w umywalce. Na ostrzu były jeszcze resztki krwi, bo tylko uchwyt starannie umyto, żeby zetrzeć odciski palców.

– No to co? – spytał Montalbano lekarza sądowego, doktora Pasquano.

– Jakie znowu „co”? – obruszył się Pasquano. – Chce pan wiedzieć, dlaczego nie żyje? Niestrawność. Przejadł się figami.

Montalbano tego ranka nie miał ochoty szukać zwady z doktorem.

– Chciałem po prostu znać...

– Godzinę śmierci? Mogę się pomylić o parę minut czy muszę być ścisły co do sekundy?

Niepocieszony komisarz rozłożył ręce. A lekarzowi, gdy zobaczył, że Montalbano jest taki potulny i ustępliwy, przeszła chęć na zaczepki.

– Niech stracę. Zmarł między ósmą a jedenastą wieczorem. Pierwszy cios otrzymał w plecy i miał jeszcze tyle sił, żeby się odwrócić. Drugi cios

poszedł już prosto w pierś. Facet upadł i wygląda na to, że już nie żył. Następne ciosy zadano mu, kiedy leżał na posadzce. Morderca chciał mieć pewność, że zabił, albo musiał się wyżyć. To panu wystarczy?

Podszedł Fazio, który wcześniej rozglądał się po domu.

– Chyba nie szło tu o rabunek. Wydaje się, że nikt stąd niczego nie wyniósł. W szufladce nocnej szafki leżą dwa miliony w gotówce. W szkatułce na etażerze są pierścionki, kolczyki, bransoletki.

– Złodziej, okradając go, nie musiał tyle razy kłuć. Po co miałyby sobie nadweręzać mięśnie? – wtrącił się Pasquano.

Do kuchni wszedł Galluzzo.

– Byłem u Filippa, syna Gambardelli. Jego żona powiedziała, że tej nocy nie spał w domu.

– To go poszukaj.

Piętrowy dom, w którym doszło do zbrodni, stał na obrzeżach miasta. Gambardella był jego właścicielem. Parter wynajął na dwa składy – hurtownię warzyw i magazyn artykułów żelaznych; na piętrze były dwa mieszkania, jedno zajmował denat, drugie wynajmowała pani Gesuina Pratico, wdowa po panu Tumminello. To ona odkryła zbrodnię – wyjaśnił Fazio komisarzowi – i tak to nią wstrząsnęło, że zdążyła tylko zawołać z balkonu o pomoc i zemdląca. Montalbano już wiedział, że musi rozmawiać z nią delikatnie; była poważnie chora na serce, o czym powiedział mu hurtownik w magazynie z warzywami. Dlatego palec komisarza dotknął dzwonek jej mieszkania leciutko jak motyl lądujący na kwiatku. Drzwi otworzył ksiądz. Jego twarz miała wyraz stosowny do okoliczności. W dzisiejszych czasach ksiądz w sutannie robi jednak wrażenie. Na ogół księża ubierają się jak urzędnicy bankowi albo jak punki. Ale obecność księdza w mieszkaniu chorej, w dodatku z takim wyrazem twarzy, nasunęła

komisarzowi podejrzenie, że przybył do domu pani Pratico z ostatnim namaszczeniem.

– Stan jest ciężki? – spytał szeptem.

– Czyj?

– Wdowy Tumminello.

– Skąd ten pomysł? Przyszedłem tu, żeby jej udzielić duchowego wsparcia. Mocno to wszystko przeżyła. Proszę wejść. Pan jest komisarzem Montalbano, prawda? Znam pana, znam. Ja nazywam się don Saverio Colajacono. A Gesuina to moja pobożna i oddana parafianka.

Trudno było wątpić, że jest pobożna i oddana parafii. W przedpokoju komisarz dostrzegł krucyfiks na ścianie, a na szafce Matkę Boską Bolesną i świętego Antoniego Padewskiego. Dwóch innych figurek nie zdążył zidentyfikować.

– Gesuina położyła się – powiedział don Colajacono, prowadząc komisarza w głąb mieszkania.

Sypialnia z drzwiami uchylonymi na balkon wyglądała w gruncie rzeczy jak krypta: na ścianach wisiało wiele świętych obrazków przypiętych pineskami, a pod każdym była stosowna półeczka z zapaloną lampką oliwną. Komisarzowi nagle zrobiło się duszno, spocił się, musiał rozpiąć guzik pod szyją. Na szerokim małżeńskim łóżu leżał dyszący i jęczący korpus, jakby wieloryba, przykryty kocem w czerwone kwiaty, spod którego widać było tylko głowę pięćdziesięcioletniej kobiety, co prawda nieuczestnej, ale zarumienionej i pogodnej.

– Gesuino, zostawiam cię w dobrych rękach, wstąpię do ciebie później – powiedział proboszcz. Skinął komisarzowi głową i wyszedł.

Montalbano usiadł na krześle obok łóżka. Lampka na szafce nocnej oświetlała fotografię osobnika o twarzy typowego przestępcy z podręcznika

Lombrosa; był to z pewnością pan Tumminello, mąż pani Gesuiny Pratico.

– Czuje się pani na siłach udzielić paru wyjaśnień? – zaczął komisarz.

– Jeśli Bóg dopomoże, a Matka Boża będzie mi towarzyszyć...

Komisarz miał szczerą nadzieję, że Bóg i Matka Boska w takich okolicznościach znajdą trochę czasu, by pomóc wdowie. Nie chciał przebywać w tym pomieszczeniu ani minuty dłużej, niż to będzie konieczne.

– To pani odkryła zwłoki, prawda?

– Tak, ja.

– Proszę mi opowiedzieć coś więcej.

– To długa historia, panie komisarzu.

– To nic, proszę mówić o wszystkim, co może być dla nas ważne.

Wydmuchując powietrze przez nozdrza, jak prawdziwy wieloryb, wdowa usiadła na łóżku. Koc przycisnęła wstydliwie do rozległego placu defiladowego, jakim była jej pierś.

– Od czego mam zacząć?

– Od czego pani sobie życzy.

– Więc dwadzieścia lat temu, kiedy już mieszkałam w tym domu z moim biednym mężem Raffaele...

Komisarz nie mógł odżalować, że tak lekkomyślnie pozostawił swobodę historycznej i chronologicznej inwencji wdowy. Ale nie mógł tego odwołać. Trzeba było wcześniej pójść po rozum do głowy.

- ...Attilio miał straszny wypadek samochodowy

Attilio. No proszę, pani Gesuina i zamordowany mówili sobie po imieniu.

– Żona zginęła na miejscu, on miał połamane nogi, a ich syn Filippo, który wtedy skończył dwanaście lat, został zabrany do szpitala z tak mocno rozbitą głową, że przez miesiąc nie było wiadomo, czy wyżyje. Rok później ostre

zapalenie płuc zabrało mego biednego Raffaele z tego padoku. Cóż mam panu, panie komisarzu, powiedzieć? Kiedy dwoje ludzi widuje się co dzień, kiedy wita się co dzień, to w końcu łączą się ich samotne losy.

Zdanie to z pewnością zostało zaczerpnięte z jakiegoś romansu, jednak zmyliło Montalbana.

– Zostaliście kochankami?

Wdowa otworzyła szeroko oczy, podniosła ręce, żeby zasłonić sobie uszy, i mocnym podmuchem z nozdrzy dała wyraz swojemu oburzeniu. Czterdzieści płomyków pod świętymi obrazkami zakołysało się, mało brakowało, a byłyby zgasły.

– Nie! – krzyknęła. – Co panu przychodzi do głowy! Jestem uczciwą kobietą! Całe miasto zna mnie od tej strony! Attilio nigdy nawet mnie nie dotknął, ja też nigdy go nie dotknęłam.

– Przepraszam panią. Proszę mi wybaczyć – powiedział komisarz. Zaniepokoił się, że płomyki naprawdę mogą zgasnąć i w pokoju zapanuje ciemność.

– Chciałam przez to powiedzieć, że całe dni przebywaliśmy razem. Attilio mało wychodził, siedział w domu tygodniami, bo bolały go nogi, zwłaszcza gdy zmieniała się pogoda. Gotowałam mu wtedy, sprzątałam... robiłam to wszystko, co kobieta zawsze robi w domu.

– Były na to środki?

– Mam emeryturę po moim biednym Raffaele.

– Miałem na myśli pana Gambardelle.

– Attilio był przecież zamożny. W samej Vigacie miał z dziesięć magazynów, z piętnaście mieszkań, wiele nieruchomości miał też w Feli. Nie potrzebował takiej nędznej emeryturki jak moja.

– A jak układały się jego stosunki z synem?

– To była bolesna sprawa.

Tym razem od westchnienia wdowy Tumminello co najmniej dziesięć płomyków zgasło, a Montalbano nie mógł po nim dojść do siebie.

– To on go zabił!

– Jest pani tego pewna?

– To on, na pewno on! On!

Wszystkie płomyki zgasły jednocześnie. Komisarz podszedł do drzwi balkonowych, rozchylił oba skrzydła razem z żaluzjami.

– Proszę pani. Musi pani zdawać sobie sprawę z wagi tego, co pani mówi.

– Naturalnie! Zdaję sobie sprawę, i to jak! Jakbym wszystko widziała na własne oczy!

Wielorybem wstrząsnęły drgawki, koc wyglądał jak pole maków falujących na wietrze.

– Proszę mi to bliżej wyjaśnić.

– Ten Filippo to łajdak, łobuz bez czci i wiary. Nic nie umie, od trzydziestu lat siedział ojcu na karku. Nawet ośmielił się ożenić. Co tu można powiedzieć? Nie było tygodnia, żeby nie wpadał do ojca i nie wyłudzał od niego pieniędzy. A ten tylko dawał i dawał. Mnie tłumaczył, że żał mu syna, bo z jego, Attilia, winy doznał urazu głowy i teraz z niczym sobie nie radzi. A to wstrętne bydlę wykorzystywało dobre serce ojca! W końcu udało mi się przekonać Attilia, że ten pasożyt jest zwykłym spryciarzem. I zaczął mu dawać trochę mniej, a nawet czasami mu odmawiał. No to ten zbrodniarz przyszedł i zaczął ojcu grozić! Kiedyś porwał się do bicia! A wczoraj wieczorem...

Przerwała, zaczęła szlochać. Wyjęła spod poduszki chusteczkę wielkości ręcznika, wytarła nos. Zadzwończyły szyby w drzwiach balkonowych.

– Wczoraj wieczorem Attilio przyszedł do mnie na kolację, ale wcześniej

wrócił do siebie, bo chciał jeszcze obejrzeć coś w telewizji. Ja telewizji nie oglądam. Chyba to pana nie dziwi. Pokazują podstępnie takie rzeczy, że uczciwą kobietę to obraża.

Montalbano nie chciał się wdawać w dyskusję o etyce telewizji.

– Powiedziała pani, że wczoraj wieczorem...

– Moja kuchnia przylega do kuchni Attilia, a ścianka jest cienka. Myłam naczynia i nagle usłyszałam głosy Attilia i Filippa. Brali się do bójki.

– Jest pani pewna, że był u niego syn?

– Dałabym sobie głowę uciąć!

– Słyszała pani jakieś słowa, wyraźne zdania?

– Oczywiście, słyszałam, jak Attilio powiedział: „Nie dam ci ani grosza. Mowy nie ma!” A Filippo krzyknął: „Ja cię zabiję! Doczekasz się!” Potem słychać było odgłosy...

– Czego? Szarpaniny?

– Tak, panie komisarzu. Upadło krzesło. A mnie zawodziło serce: raz było jak serce zająca, raz jak serce lwa. Nie wiedziałam, co robić. A ponieważ po chwili już nic stamtąd nie dochodziło, tylko głos telewizora, uspokoiliam się. Tymczasem...

Do szlochania dołączyły się teraz jęki i pomruki.

– Jak Filippo, pani zdaniem, wszedł do domu?

– Miał klucze! Tysiąc razy przypominałam Attiliowi, żeby mu je odebrał, ale on się z tym nie spieszył.

– I dzisiaj odkryła pani, co się stało. W jaki sposób?

– Z samego rana poszłam na mszę świętą, a ponieważ chciałam przystąpić do sakramentu, nie wchodziłam do kuchni, bo nie parzyłam kawy. Kiedy wróciłam... może to była siódma... usłyszałam, że telewizor w kuchni Attilia

już gra. Wydało mi się to dziwne: on nigdy z rana nie oglądał telewizji. Poszłam tam i wtedy...

– A kto pani otworzył?

Wdowa Tumminello, która już miała zacząć szlochać, zdziwiła się.

– Nikt. Przecież mam klucze.

Zadzwieczał dzwonek.

– Otworzę – powiedział komisarz.

To był Fazio. Obok niego stał trzydziestoletni mężczyzna, dziwnie chudy, w wystrzępionych spodniach, wymiętej marynarce, z włosami w nieładzie i długą brodą. Montalbano nie zdążył otworzyć ust, kiedy za plecami usłyszał donośny, piskliwy krzyk.

Wdowa Tumminello, która miała słabość nie tylko do romansów, ale pewnie też do melodramatów, zerwała się na równe nogi i wskazując na młodego mężczyznę drżącym palcem, zawołała:

– Zbrodniarz! Morderca własnego ojca!

I padła bez zmysłów. Wydawało się, że lekkie trzęsienie ziemi wstrząsnęło całym budynkiem.

– Więc nie wiedział pan, że pański ojciec został zabity?

– Nie.

– A kiedy wszedłeś, zaraz powiedziałeś: „Podobno tata...?” Zacząłeś płakać – wtrącił się Fazio.

– To prawda. Powiedział mi o ojcu ten sklepikarz z żelaznego. Ledwie mnie zobaczył.

– Wczoraj wieczorem pokłócił się pan z ojcem? – ciągnął Montalbano.

– Tak.

- Dlaczego?
- Nie chciał mi dać pieniędzy, o które prosiłem.
- Dlaczego nie chciał ich dać?
- Oświadczył, że nie zamierza mnie dalej utrzymywać.
- A ty groziłeś, że go zabijesz. Co powiedziałaś, to zrobiłeś – raz jeszcze wtrącił się Fazio.

Montalbano popatrzył na niego kwaśno. Nie lubił, kiedy mu ktoś przerywał. I nie uważał za właściwe mówić do kogoś „ty” tylko dlatego, że jest w gorszym położeniu. Ale Filippo Gambardella zareagował na słowa Fazia apatycznie, był jakby nieobecny.

- Ja go nie zabiłem.

Powiedział to prawie szeptem.

– Dlaczego dziś rano wrócił pan do ojca? Sądząc, że żyje, chciał go pan jeszcze raz prosić o pieniądze, których nie dał panu wieczorem?

– Nie, nie po to przyszedłem.

Filippo Gambardella wydawał się zakłopotany, coś wymamrotał, ale komisarz nie zrozumiał jego słów.

– Proszę mówić, z łaski swojej, głośniej.

– Chciałem prosić, żeby mi przebaczył. Co?

– To, co mu wykrzyczałem. Groziłem mu przecież, że jeżeli nie dostanę pieniędzy, to go zabiję.

– Nie kłóciliście się już wcześniej?

– W ostatnim czasie kłóciliśmy się parę razy. Ale nigdy jeszcze nie powiedziałem mu, że go zabiję.

– Wieczorem, po tej kłótni, dokąd pan poszedł?

– Do tawerny Minicuzza. Upiłem się.

- Długo pan tam był?
- Nie wiem.
- A potem, kiedy już się pan upił, gdzie pan poszedł?
- Nie wiem.
- Gdzie pan spał?
- Nie wiem.

Montalbano czuł, że Filippo mówi szczerze. Nie wykręcał się, naprawdę nie wiedział.

- Znalazł pan czas, żeby się przebrać?

Filippo Gambardella popatrzył na niego zdumiony.

– Rano, zanim pan przyszedł do ojca, wstąpił pan do domu? Przebrał się pan?

- W co się miałem przebrać? Mam tylko to, co na sobie.
- Od kiedy pan nie jadł?
- Nie wiem.

– Zabierz go stad – powiedział komisarz do Fazia – daj mu się umyć, przynieś coś z baru. Potem się nim zajmiemy.

– Przeglądając rzeczy, które Gambardella trzymał w sypialni, znalazłem to – powiedział Galluzzo po powrocie z domu zamordowanego, który przeszukiwał.

Była to żółta koperta, taka jakich używają w urzędach, a na niej napis: „Otworzyć po mojej śmierci”. Skoro człowiek, który to pisał, już nie żył, komisarz otworzył kopertę i wyjął kartkę zawierającą kilka zdań. Attilio Gambardella pisał, że będąc w pełni władz umysłowych, zostawia wszystko, co posiada – domy, magazyny, tereny i gotówkę – swojemu jedyńemu synowi, Filippowi Gambardelli. Data była sprzed trzech dni.

W tym momencie wszedł Fazio.

– Zjadł i usnął. Co mam z nim zrobić?

– Niech śpi – powiedział komisarz, podsuwając mu testament.

Fazio przeczytał i skrzywił się.

– To go poważnie obciąża. Stuprocentowo, nawet więcej – skomentował.

– Tak myślisz?

– Mamy w rękach poszlakę. Co tu myśleć?

– Nazywam się Gianni Puccio – powiedział nienagannie ubrany, dobrze wychowany czterdziestolatek, który zgłosił się i nalegał, żeby komisarz go przyjął.

– Bardzo mi przyjemnie. Słucham pana.

– W mieście rozeszły się pogłoski, że aresztowaliście Filippa Gambardelle za zabójstwo ojca. To prawda?

– To nieprawda – odpowiedział oschle Montalbano.

– Zwolniliście go już?

– Nie. Chyba lepiej będzie, jeżeli powie mi pan, po co tu przyszedł.

– Może istotnie tak będzie lepiej – przyznał Gianni Puccio, który trochę się wystraszył. – Więc wczoraj wieczorem, około wpół do dziesiątej czy za kwadrans dziesiąta, mój samochód... jestem przedstawicielem handlowym... zepsuł się pod domem Gambardelli, którego znam od wielu lat. Znam także jego syna Filippa. Wsiadłem i podniosłem maskę. W tym momencie usłyszałem podniesiony głos Attilia Gambardelli. Spojrzałem w górę, Attilio stał na balkonie i krzyczał do kogoś, kto był na ulicy: „Nie pokazuj się tutaj! Pieniądze zobaczysz po mojej śmierci, nie wcześniej”. Potem wszedł do domu i zamknął drzwi na balkon.

– Widział pan, do kogo krzyczał?

– Oczywiście. Do swego syna Filippa. A ponieważ w mieście mówi się, że Filippo zabił ojca po awanturze, ze spokojnym sumieniem mogę pana zapewnić, że tak nie było.

– Bardzo mi pan pomógł, panie Puccio.

– Co to znaczy? Nic nie znaczy – powiedział Fazio. – Dobrze, nie zabił go w czasie kłótni, ale zrobił to potem. Poszedł do tawerny, upił się, wino dodało mu odwagi, wrócił do ojca i wykończył go.

– Wbiłeś sobie do tego swojego twardego łba, że on w tym maczał palce, prawda?

– Tak, komisarzu.

– Być może. Galio przesłuchał Minicuzza, właścicieli tawerny. Dowiedział się, że Filippo przyszedł około dziesiątej, wyciągnął dwulitrowe *fiasco* wina i wyszedł przed wpół do jedenastej.

– No właśnie. Miał dość czasu, żeby wrócić i zadźgać ojca. Doktor Pasquano twierdzi, że stało się to między ósmą a jedenastą. Co się nie zgadza? Wszystko się zgadza.

– Mniej więcej.

– A mogę wiedzieć, co się nie zgadza?

– Logicznie biorąc, nie zgadza się to, że nie wziął sobie tych dwóch milionów, które były w domu. Potrzebuje pieniędzy. Zabija ojca. Gwałtownie potrzebuje tych pieniędzy, a nie sięga po nie. Coś jeszcze się nie zgadza. Jak można zadać komuś trzydzieści ciosów nożem i nie mieć śladów krwi na ubraniu? A pamiętasz, ile było krwi w kuchni.

– Drogi komisarzu, co się z panem dzieje? Żartuje pan? Jeśli te swoje wątpliwości wysypie pan przed sędzią, to ten roześmieje się panu w twarz. Nie zagarnął sobie milionów, bo nie było to zabójstwo z premedytacją. Kiedy zobaczył, że ojciec nie żyje, przeszła mu wściekłość, wyładował się w tych

trzydziestu ciosach, przestraszył, miał wszystkiego dość i uciekł. Co do drugiej sprawy, to albo wrócił do domu, choć żona twierdzi, że nie, i zdjął zaplamione krwią ubranie, albo przebrał się u jakiegoś koleżki z tawerny, a to, co zdjął z siebie, wyrzucił do morza,

– Czyli jesteś przekonany, że musiał poplamić sobie ubranie?

– Musiał. Tu nie ma wątpliwości.

– Posłuchaj mnie uważnie, Fazio. Pan Puccio zgłosił się i zeznał, że widział Filippa około wpół do dziesiątej czy za kwadrans dziesiąta pod domem ojca. A Gambardella jeszcze wtedy żył. A Minicuzzo mówi, że Filippo przyszedł do jego tawerny o dziesiątej. Gdyby więc zabił ojca po namyśle, zawróciwszy zaraz po spotkaniu z Pucciem, nie miałby czasu pójść się przebrać. O dziesiątej był u Minicuzza. To logiczne?

– Oczywiście.

– Trzeba zatem uznać, że zabójstwo zostało dokonane już po tym, jak się upił, prawda? Taka jest twoja hipoteza?

– Oczywiście.

– Jeśli tak było, to sprawa wygląda całkiem inaczej. Nie jest to zabójstwo w afekcie, podczas kłótni. To już czyn przemyślany, wykalkulowany. Nie znaleźlibyśmy w takim razie tych dwóch milionów w szufladzie. A trzeba pamiętać, że dla niego najważniejszą sprawą było zdobycie pieniędzy. Doszłoby zatem do kradzieży.

– Jakie to kradzieże chodzą wam po głowie? – spytał pogodnie Mimi Augello, zjawiając się w biurze przełożonego.

Montalbano wpadł w złość.

– Mimi, masz beczelną minę. Gdzie byłeś całe rano?

– Nic ci nie powiedzieli? – rzucił dotknięty Mimi.

– Co mi mieli powiedzieć?

– Wcześniej rano – wyjaśnił cierpliwie Augello – komandor Zuccarello przyszedł do nas złożyć doniesienie o kradzieży w jego domu, tym koło starego dworca. Nocowali w Montelusie, u zamężnej córki. Kiedy wrócili, zobaczyli, że ktoś ich okradł. Wyniósł srebra i trochę złotej biżuterii. Jesteś zajęty sprawą Gambardellii, więc przyjrzałem się tej kradzieży.

– Jeśli sprawa jest w twoich rękach, złodzieje mogą spać spokojnie, a państwo Zuccarello pożegnać się ze swoimi srebrami – skomentował uszczypliwie komisarz.

Mimi Augello zachował się niezbyt grzecznie. Zacisnął prawą dłoń w pięść, zgiął rękę i na wysokości łokcia położył na niej w poprzek lewą.

– Takiego wała! Już mam złodzieja.

– Dał się złapać?

– Salvo, złodziei okradających mieszkania mamy w Vigacie tylko trzech i każdy pracuje inaczej. Ty o tym nie masz pojęcia, bo takie błahostki lekceważysz. Jak już się rzucasz, to na głęboką wodę, z komplikacjami wyższego rzędu.

– Peppe Pignataro, Coco Foti czy Lillo Seminerio? – spytał Fazio, który znał wszystkie cuda Vigaty.

– Peppe Pignataro – odpowiedział Augello. A potem, zwracając się do komisarza, dodał: – Peppe chce z tobą rozmawiać. Jest tutaj, w moim pokoju.

Pięćdziesięcioletni, drobny, chudy, porządnie ubrany Pignataro zerwał się na widok komisarza, Montalbano zamknął drzwi i usiadł w fotelu Mimi.

– Spokojnie, spokojnie – powiedział do złodzieja.

Pignataro usiadł z powrotem, ale wcześniej nisko się skłonił.

– Wszyscy wiedzą, że do pana można mieć zaufanie.

Montalbano nie odezwał się, nie reagował.

– To ja ukradłem,

Montalbano w dalszym ciągu siedział nieruchomo jak manekin.

– Ale komisarz Augello nie potrafi mi tego udowodnić. Nie zostawiłem odcisków. Srebro i biżuteria są już w bezpiecznym schowku. Komisarz Augello poślizgnie się na mnie jak, za przeproszeniem, na własnym łajnie.

Do kogo to mówił? Montalbano wprawdzie siedział przed nim, ale był jak skamieniały.

– Ale jak komisarz Augello będzie mi ciągle siedział na karku i trzymał na krótkim łańcuchu, to nie będę mógł się wymknąć i zdobyć trochę pieniędzy pod zastaw sreber i biżuterii. A pieniędzy potrzebuję jak mało kiedy. I to natychmiast. Uwierzy mi pan, jak panu coś powiem?

– Uwierzę.

– Moja żonę przycisnęła choroba, może pan to sprawdzić. Lekarze, którzy się nią zajmują, nie mają jej czym leczyć, muszę sam zdobyć, co trzeba, a to kosztuje góry złota.

– Mów jasno, o co chodzi?

– Niech pan porozmawia z komisarzem Augello. Niech mi da przez miesiąc spokój. Za miesiąc sam się stawię w komisariacie, przysięgam.

Patrzyli na siebie długo, w milczeniu.

– Porozmawiam – obiecał Montalbano, wstając.

Peppe Pignataro zerwał się z krzesła, skłonił, chciał chwycić i pocałować rękę komisarza. Montalbano wyrwał ją w porę.

– Chcę panu jeszcze o czymś powiedzieć. Wczoraj wieczorem, koło dziesiątej, krążyłem już w pobliżu domu Zuccarella, żeby się zorientować. Widziałem, jak komandor z żoną wyjechali gdzieś samochodem. Koło jedenastej pokazał się na ulicy Filippo Gambardella. Dobrze go znam. Ledwo trzymał się na nogach, był pijany do nieprzytomności. W pewnej chwili

stracił równowagę i padł na ziemię. Pod domem Zuccarella. Zasnął natychmiast. Spał jeszcze o czwartej, kiedy obok niego przechodziłem.

– Po co mi o tym mówisz?

– Z wdzięczności. Może dzięki temu uniknie pan pomyłki. Wszyscy mówią, że zamknął pan Filippa za zabicie ojca, więc chciałem...

– Dziękuję – powiedział Montalbano.

– Co robimy z Filippem Gambardella?

– Wypuść go.

Fazio zawahał się, rozłożył ręce.

– Jak pan chce.

– Jeszcze jedno. Zawołaj do mnie komisarza Augello.

Żeby przekonać Mimi, Montalbano męczył się pół godziny, ale Peppe Pignataro miał zapewniony spokój na cały miesiąc. I tak, nie wiadomo kiedy, zrobiła się prawie druga i komisarzowi zaczął dokuczać głód. Wzrok mu się mącił.

– Jest tam dalej jakieś miejsce? – spytał Montalbano, wchodząc do gospody „San Calogero”.

„Tam dalej” znaczyło: w głębi, w małej salce z dwoma stołami.

– Nie ma tam nikogo – zapewnił właściciel gospody.

Zamówił dużą przystawkę z krewetek i *papardelle* w sosie z mątwy. Ale później wcale się nie bronił przed czterema dużymi morskimi okoniami, od których nie można było oderwać wzroku.

– Przynieść panu kawę?

– Później. Teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, zdrzemnę się pół godzinki.

Właściciel gospody przymknął drzwi i komisarz usnął z głową wspartą na skrzyżowanych na stole ramionach, mając w ustach smak świeżej ryby, w nozdrzach zapach dobrej kuchni, a w uszach brzęk zmywanych naczyń. Pół godziny później właściciel przyniósł mu kawę. Komisarz przemył sobie twarz, osuszył papierowym ręcznikiem i podśpiewując, wrócił do komisariatu. W dodatku dzień był przepiękny.

Przed wejściem czekał na niego Fazio.

– O co chodzi?

– Chodzi o to, że jest u mnie wdowa Tumminello. Chce rozmawiać z panem. Chyba jest zdenerwowana.

– Tym lepiej.

Zdażył tylko usiąść za biurkiem, kiedy światło w pokoju przygasło – ogromny korpus wdowy w całości wypełnił drzwi.

– Mogę wejść?

– Naturalnie – powiedział uprzejmie komisarz, wskazując jej krzesło, które natychmiast zaskrzypiało mocno pod jej ciężarem.

Siedziała na samej krawędzi, z torebką na kolanach, w rękawiczkach.

– Musi mi pan wybaczyć, panie komisarzu, ale kiedy mam coś tutaj...

I dotknęła ręką serca.

– ...to mam to także tutaj.

Z kolei dotknęła ręką ust.

– Bardzo się cieszę, że to coś przyniosła pani tutaj – powiedział komisarz, dotykając swoich uszu.

– Czy to prawda, że zwolnił pan Filippa?

– Prawda.

– Dlaczego?

– Nie miałem żadnych dowodów.

– Jak to? A to, co panu powiedziałam? Bójka, grube słowa, przewrócone krzesło?

– Mam świadka, który twierdzi, że Filippo wyszedł z domu ojca, kiedy ten jeszcze żył.

– Cóż za bydlę ośmiela się tak mówić?! Pewnie współnik zabójcy. Musi pan uważać, panie komisarzu, całe miasto wie, że ojca zabił Filippo, i wszyscy się dziwią, że go pan wypuścił.

– Proszę pani, ja muszę się liczyć z faktami, nie z ludzkim gadaniem. A co do faktów, to właśnie wybierałem się z tym do pani.

Gesuina Pratico, po mężu Tumminello, która przed chwilą gestykulowała tak energicznie, że aż torebka spadła jej dwa razy na ziemię, nagle znieruchomiała. Przymknęła oczy.

– Tak? Czego pan chce ode mnie?

Montalbano otworzył szufladę biurka, wyjął żółtą kopertę.

– Chciałem pani pokazać to.

– A co to takiego?

– Testament, ostatnia wola Gambardelli,

Wdowa zbladła, i to tak bardzo, że jej twarz wydała się komisarzowi podobna do wyrzuconej na piasek meduzy.

– Znaleźliście...

Umilkła, przygryzając wargi.

– Tak, znaleźliśmy, mieliśmy więcej szczęścia niż pani. Jestem pewien, że pani także tego szukała, ilekroć Gambardella stworzył pani taką okazję.

– Co mnie to mogło obchodzić?

– Nie wiem. Powiedzmy, że szukała pani z czystej ciekawości. Proszę spojrzeć: poznaje pani pismo Gambardelli?

Podsunał jej kopertę.

– Otworzyć po mojej śmierci – przeczytała pani Tumminello. I dodała: – Tak, to on pisał.

– Gdyby pani znalazła testament, czekałaby panią piękna niespodzianka. Chce pani, żebym przeczytał?

Powoli wyjął kartkę z koperty, czytał bardzo wolno, niemal sylabizował:

– „Vigata. Ja, niżej podpisany, Attilio Gambardella, w pełni władz umysłowych, życzę sobie, żeby po mojej śmierci cały mój majątek ruchomy i nieruchomy otrzymała pani Gesuina Pratico, po mężu Tumminello, która przez wiele lat była mi wierną przyjaciółką. Mój syn Filippo zostaje tym samym wydziedziczony. Składam legalny podpis...”

Krzyk radości wdowy Tumminello był tak donośny, że spowodował wiele szkód: Catarella oparzył się gorącą kawą, Galluzzo upuścił na posadzkę maszynę do pisania, którą właśnie prznosił, a Miliuzzo Conti, zatrzymany w areszcie jako podejrzany o kradzież radia z samochodu, sądząc, że w komisariacie stosują tortury (poprzedniego dnia oglądał w telewizji film o nazistach), próbował w desperacji uciec, co skończyło się tym, że wybił sobie wszystkie przednie zęby.

Montalbano, chociaż spodziewał się czegoś takiego, ogłuchł na chwilę. Wdowa natomiast zerwała się z krzesła i tańczyła, kołysząc się to na jednej, to na drugiej nodze. Fazio, który natychmiast wpadł do gabinetu, patrzył na nią z otwartymi ustami.

– Przynieś jej szklankę wody.

Fazio wrócił zaraz z wodą, ale wdowa najwyraźniej nie zwracała uwagi na szklankę, która Fazio trzymał przy jej ustach, starając się za nią podążać.

Wreszcie dostrzegła wodę i wypila ją jednym haustem. Usiadła z powrotem na krześle. Zsiniała, była zлана potem.

– Może pani sama przeczyta – powiedział komisarz, podsuwając jej kartkę.

Wzięła ją do ręki, przeczytała. Rzuciła. Znow zbladła. Wstała, cofnęła się, patrząc ciągle na kartkę. Brakowało jej powietrza. Podniosła ręce do szyi, drżała. Komisarz stanął przed nią.

– Usłyszała pani, co Gambardella krzyczał do syna... że, owszem, dostanie wszystko, ale dopiero po jego śmierci... więc poszła pani do niego i zażądała wyjaśnień... bo przecież spadek obiecany był pani...

– Tak mi zawsze mówił – wysapała wdowa Tumminello – ciągle mi to powtarzał, świntuch... Gesuinko moja, wszystko ci zostawię... a tymczasem chwyć go tak, połóż go sobie tutaj... rozpustnik, zawsze był obleśny, kazał mi robić rzeczy nie z tej ziemi... nie dość, że byłem jego służącą... A wczoraj wieczorem miał czelność powiedzieć mi wprost, że wszystko zostawi temu łajdakowi synowi... Jeden wart drugiego, ojciec syna, a syn ojca, byli jak dwie krople wody, obaj obrzydliwi, obaj plugawi...

– Zajmij się resztą – powiedział komisarz do Fazia.

Po prostu musiał pójść na spacer do latarni morskiej, odetchnąć świeżym powietrzem, popatrzeć na morze...

Od autora

Zmieściło się w tym zbiorze trzydzieści opowiadań. Trzeba miesiąca, żeby codziennie przeczytać jedno: tak należy rozumieć tytuł.

Wszystkie powstały w okresie od początku grudnia 1996 do końca stycznia 1998 roku. Okazją do napisania *Towarzysza podróży* był Noir in Festival w Courmayeur; to opowiadanie ukazało się w czasopiśmie „Sintesi” (maj 1997). *Cuda w Trieście* stworzyłem za namową przyjaciela, triesteńczyka, z okazji uroczystości Piazza Gutenberg; utwór został opublikowany w tomiku *Raccontare Trieste* (czerwiec 1997). *Pakt* napisałem, bo przyszła mi na to opowiadanie ochota; wydrukowano je w „La Grotta delia Vipera” (Cagliari, jesień-zima 1997), Pozostałych dwadzieścia siedem pozycji ukazuje się tutaj po raz pierwszy.

Nie wszystkie (na szczęście) spośród trzydziestu historii, w które zostaje wplątany komisarz Montalbano, dotyczą zabójstw: bywają też kradzieże, w których niczego nie ukradziono, zdrady małżeńskie i śledztwa oparte na wspomnieniach. Akcja nie zawsze rozgrywa się w Vigacie, niektóre wypadki zdarzyły się w pierwszych latach służby komisarza.

Nie warto (choć jednak warto) powtarzać, że miejsca i nazwiska zostały zmyślane. Komuś, komu przyszłaby ochota się uskarżać, że natrafił na jakiś szczególny zbieg okoliczności, mogę tylko przypomnieć, że życie (które swoją pomysłowością góruje nad naszą fantazją) samo jest w istocie czystym zbiegiem okoliczności.

Nakładem wydawnictwa Noir sur Blanc ukazały się następujące utwory
Andrei Camilleriego:

KSZTAŁT WODY

2007

PIES Z TERAKOTY

2007

ZŁODZIEJ KANAPEK

2007

ZNIKNIĘCIE PATÒ

2004

GŁOS SKRZYPIEC

2008

MIESIĄC Z KOMISARZEM MONTALBANO

2008

POMARAŃCZKI KOMISARZA MONTALBANO

2009

WYCIECZKA DO TINDARI

2007

ZAPACH NOCY

2008

PIWOWAR Z PRESTON

2008

OBIETNICA KOMISARZA MONTALBANO

2009

KOLOR SŁOŃCA

2009

CIERPLIWOŚĆ PAJĄKA

2010

PENSJONAT „EWA”

2010

PAPIEROWY KSIĘŻYC

2011

SZARY KOSTIUM

2011

SIERPNIOWY ŻAR

2012

SKRZYDŁA SFINKSA

2013

SEZON ŁOWIECKI

2014

POLE GARNCARZA

2014

WIEK WĄTPLIWOŚCI

2015

ŚMIERĆ NA OTWARTYM MORZU

2016